

CHIŃCZYCY GRAJĄ W GO,
A ZACHÓD W SZACHY

ZA ZDRADĘ OJCZYZNY
szubienica, pal i kula



www.polska-zbrojna.pl

HISTORIA

polskaZbrojna

NR 2 (6) 2018

CENA 9,99 ZŁ (w tym 8% VAT) ISSN 2543-8735

OSTATNI
ZARZĄD WiN

płk Łukasz Ciepliński



BISKUP GALL
MARSZAŁEK PIŁSUDSKI
dzieje trudnych relacji

Polskie
lotnictwo
bojowe
w przededniu
Września '39



KAZIMIERZ SOSNOKOWSKI

Generał zawsze wierny

pod Łowczówkiem,
Łwowem, Ankoną



M J R W A N D A
B R O S Z K O W S K A - P I K L I K I E W I C Z

A portrait of Wanda Broszkowska-Piklikiewicz, an elderly woman with short, wavy brown hair, smiling warmly. She is wearing a light-colored, textured sweater and a pearl earring. The background is dark and out of focus.

#RycerzeBialoCzerwonej

Wanda Broszkowska-Piklikiewicz robiła rzeczy wielkie, ale nigdy nie myślała o sobie jak o bohaterze. Podobnie jak tysiące innych osób walczyła o wolną Polskę z przekonaniem, że tak po prostu trzeba. Swą postawą zasługuje na miano obrońcy biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

FOT. CZARY POMYKAŁO

**ANNA PUTKIEWICZ**
REDAKTOR NACZELNY

WOJSKO I NARÓD. AWERS I REWERS TEJ SAMEJ HISTORII. OBOWIĄZEK ŻOŁNIERZA WOBEC PAŃSTWA KOŃCZY SIĘ WRAZ Z JEGO ŚMIERCIĄ. ALE OBOWIĄZEK PAŃSTWA WOBEC SWYCH ŻOŁNIERZY NIE KOŃCZY SIĘ NIGDY.

W pamiętnikach gen. Kazimierza Sosnkowskiego z września 1939 jest opis ostatniego spotkania na ojczystej ziemi. Łańcuch ludzi, ratujących przed niewolą dowódcę Frontu Południowego wieńczy „Inżynier K.". Podczas spotkania w jego gościnnym domu garstka uchodźców staje przed gospodarzem. „Inżynier K.", jak wspominał Generał, przejawiał oznaki „silnego wzruszenia". Nocleg, pożegnanie i wymarsz w góry, ku granicy. Opis krótki, lapidarny. A mnie trudno było oderwać się od tej sceny. Od wyprostowanej sylwetki „Inżyniera K.", który u podnóża Karpat, samotnie odprowadzając wzrokiem malejący i niknący w końcu za horyzontem punkt, żegnał swoje rozbite wojsko. Pozostanie ono rozdzielone na lata między Wschodem a Zachodem z wykrwawiającą się, zniewoloną ojczyzną w środku.

Symboliczny koniec II Rzeczypospolitej, odchodzącej poza ramy krajobrazu, odmalowany przez Generała, jest w istocie obrazem wstrząsającym. Ta scena i ten człowiek stały się dla mnie jakimś pomnikowym wyobrażeniem wzajemnej, odwiecznej relacji wojska i narodu – ludności cywilnej, która bez zbędnych słów tyle już razy przejmowała rolę strażnika sprawy polskiej. Wyobrażam sobie te skromne, ciche rodziny oddające do kolejnych powstań i wojen swych synów. Te domy, mieszkania, majątki i kościoły, z których odradzało się wojsko. Ta cierpliwość i wiara, że Polska powstanie jeszcze raz.

„Czas nagli, zegar dziejowy wskazuje późną godzinę” – ostrzegał w pełnym powagi przemówieniu gen. Sosnkowski po układzie monachijskim we wrześniu 1938 r. Pół roku później Polska podpisała notę gwarancyjną z Wielką Brytanią, ale „pesymizm” odsuniętego na boczny tor Generała i tym razem nie pasował do euforycznej narracji, w której „nie oddajemy nawet guzików”, „nikt nam nie robi nic, nikt nam nie weźmie nic”, a z legendarnego już przemówienia ministra Józefa Becka zapamiętamy jedynie efektowne, lecz wkrótce fatalnie profetyczne zdanie. Okaże się bowiem, że „bezcenny honor”, jednak kosztuje. Ci, którzy zdołali przetrwać hekatombę zgotowaną polskiemu wojsku przez Niemcy i Rosję Sowiecką, powrócili niebawem jako armia podziemna, która po pierwszym szoku i rozproszeniu, znów się podniosła i odtworzyła pod dalekim dowództwem Generała. Pierwsze niepodległościowe roczniki dorosły w jej szeregach. 3 maja 1943 r. matka Zdzisława Badochy „Żelaznego”, dowódcy 2 szwadronu 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, wygładza ręką biały obrus. Stawia krucyfiks i ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej. Zapala świece i w półmroku mocny głos nowego żołnierza powtarza za jej synem: „... przysięgam na ten święty krzyż, znak męki i Zbawienia...”. Wojnę przeżyje tylko matka. Po wojnie wdowy, matki bez dzieci, sieroty bez ojców. I uparte, milczące trwanie „cywilnego zaplecza”, bez którego wielka podziemna armia nie zdołałaby przetrwać. Złamane losy rodzin Cieplińskich, Zarzyckich, Bukowskich, Dziemieszkiewiczów i wielu innych. Mieszkańcy palonej Wawolnicy, ukarani wyrokiem ludowej sprawiedliwości za pomoc żołnierzom mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, nagle bezdomni, patrzący ponad wymierzonymi w nich łufami dziarskich chłopców z KBW, jak płonie ich dobytek. Widzę ich wiernie stojące wtedy ramię w ramię z „Inżynierem K.". Niewygodny politycznie polski „Generał bez ojczyzny” doświadczał dzień po dniu, aż do swej śmierci, gorzkiej różnicy między „ziemią wybieraną a przeznaczoną”. Pochowany jest w podziemiach archikatedry św. Jana Chrzciciela w Warszawie.

Zapraszam do lektury.



nr 2

SPIS TREŚCI

78

Wielcy dowódcy

JERZY KIRSZAK

14 Kazimierz Sosnkowski.
Generał zawsze wierny

ANNA DĄBROWSKA

52 Między Ankoną a Warszawą
Rozmowa z Jerzym Kirszakiem

Zapomniane bitwy

ANDRZEJ ŁYDKA

24 Bój pierwszej brygady
pod Łowczówkiem

Strategie

JULIUSZ S. TYM

32 Generał Sosnkowski w kampanii
1939 r. Na odsiecz miastu

Na odsiecz Lwowa

DAMIAN KAROL MARKOWSKI

39 Tajemnice „Lasu śmierci”

Taktyka

PIOTR KORCZYŃSKI

42 Polska noc SS „Germanii”

RADOSŁAW SIKORA

166 Staropolska sztuka wojenna

PIOTR PLEBANIAK

170 Chińczycy grają w Go,
a ludzie Zachodu w szachy

Uzbrojenie

TADEUSZ WRÓBEL

45 Siedmiotonowy polski w boju

Podziemie niepodległościowe

ELŻBIETA JAKIMEK-ZAPART

56 Ostatni wykonawcy Testamentu
Polski Walczącej

WOJCIECH FRAZIK

68 Operacja „Cezary”.
WiN w sieci agentów

PIOTR KORCZYŃSKI

74 Ostatnia szansa Polaków
Rozmowa ze Zdzisławem Zblewskim

PIOTR KOCYAN

78 Uzbrojenie antykomunistycznego
podziemia

PIOTR KORCZYŃSKI

92 Od Powstania Warszawskiego
do wojny w Indochinach
Rozmowa z Zygmuntem Jatczakiem

146

W cieniu historii

PAWEŁ SZTAMA

84 Kaci z bezpieki przed sądem PRL

DOMINIK KAŹMIERSKI

90 Rozkaz, którego nie było

ZBIGNIEW KEPA

136 Trudne relacje biskupa
z Marszałkiem

Życiorysy heroiczne

TOMASZ SARNECKI

98 Mistrz strzelecki broni Wybrzeża

ALEKSANDER SZYCHT

102 „Czer” – legenda lwowskiego
Kedywu

56



102

Z arsenału Muzeum Wojska
Polskiego

MICHAŁ MACKIEWICZ

110 Od Werndla do Mannlichera

Lotnictwo

MARIUSZ NIESTRAWSKI

115 Lotnictwo Frontu Południowego

WOJCIECH KRAJEWSKI

122 Mewa podporucznika
Gerarda Ranosza

GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI

128 Lotnictwo polskie a sojusznicy

Motoryzacja

JAN TARCZYŃSKI

140 Wojskowe początki polskiej
motoryzacji

Orzeł biały

TOMASZ ZAWISTOWSKI

146 Półstońca kadetów
II Rzeczypospolitej

Sztandary Wojska Polskiego

JAROSŁAW PYCH

150 Orzeł pod kadeckim słońcem



160

Wojna i sztuka

M. RENATA WILEWSKA

152 Legiony Polskie w artystycznej wizji

Polska sztuka fortyfikacji

PIOTR KORCZYŃSKI

156 Twierdze nie do zdobycia
Rozmowa z Krzysztofem Wielgusem

Za zdradę ojczyzny

PIOTR KORCZYŃSKI

160 Dla ojczyzny ratowania szubienica,
pal i kula

Kawalerowie Virtuti Militari

ANNA DĄBROWSKA

174 Pierwszy komandos

Klub garnizonowy

ANDRZEJ ŁYDKA

176 Szas generalny czy ogólny wycisk

Ceremoniał wojskowy

MARIUSZ KUBAREK

177 Charakter podniosły uroczystości
wojskowych

Wielkie kolekcje

ROBERT MARCINKOWSKI

180 Przewodnik po miejscach,
których już nie ma

Notatnik kolekcjonera

ANDRZEJ WITKOWSKI

183 Świat filokartystyki

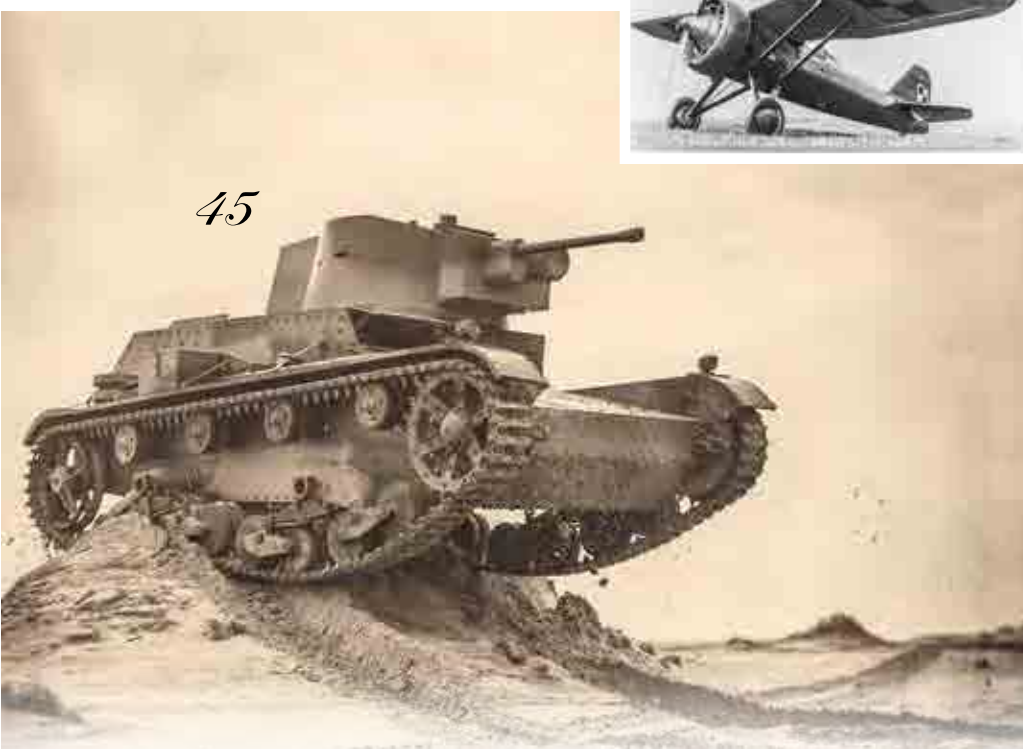
Książki

PAWEŁ SZTAMA

184 Wysilek ku zjednoczeniu



128



45

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
tel. 261 845 365, 261 845 685, faks 261 845 503;
sekretariat@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA. HISTORIA

REDAKTOR NACZELNY
Anna Putkiewicz, tel. 261 846 764;
pzhistoria@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Małgorzata Łętowska, tel. 261 845 165;
pzhistoria@zbrojni.pl

REDAKCJA
Piotr Korczyński, Aleksander Szycht,
tel. 261 845 604;
pzhistoria@zbrojni.pl

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik),
Marcin Izdebski (projekt szaty graficznej i opracowanie),
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel. 261 845 579

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:
Anna Dąbrowska, Maciej Chilczuk, prof. Andrzej Gąsiorowski,
Jarosław Godlewski, dr Grzegorz Jasiński, Mikołaj Kubacki,
płk Mariusz Kubarek, Łukasz Jędrzejczak,
Tadeusz Jeziorowski, prof. Mirosław Lenart,
ppłk Andrzej Łydk, Michał Mackiewicz,
dr Mariusz Niestrawski, dr Adam A. Ostanek,
dr Konrad Paduszek, dr Marcin Paluch, dr Anna Pastorek, prof.
Waldemar Reznar, Paweł Rozdźestwieński,
dr Jan Tarczyński, prof. płk Juliusz S. Tym,
dr Krzysztof Wielgus, M. Renata Wilewska,
prof. Wojciech Włodarkiewicz, Tadeusz Wróbel,
Łukasz Zalesiński, Tomasz Zawistowski

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Beata Stadryniak-Saracyn,
January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska
(tłumacz), Małgorzata Szustkowska, Marta Szulc,
Radosław Lechowicz
tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

DRUK:
ARTDRUK, ul. Napoleona 4,
05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej. Historia” można składać przez:
www.polska-zbrojna.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
tel. 542 315 201, 502 012 187;
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

 PARTNER

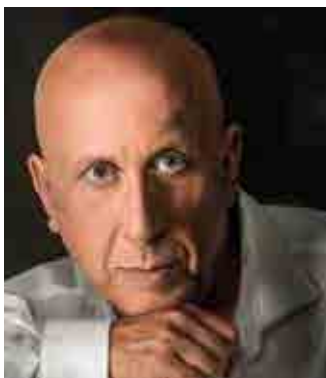
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów.
Egzemplarze kwartalnika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej
są bezpłatne. Informacje: tel. 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji kwartalnika
„Polska Zbrojna. Historia” materiałów tekstowych i graficznych
opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-
zbrojna.pl.



Jan Dylík, ułan 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich, szwadron ciężkich karabinów maszynowych. 1929 r., Prużany.
Fot. archiwum rodzinne Eugeniusza i Leszka Dylików



MAREK LASOTA

DYREKTOR MUZEUM ARMII KRAJOWEJ
IM. GEN. EMILA FIELDORFA „NILA”

Ludzka powinność

Podczas odbywającej się na Uniwersytecie Jagiellońskim w marcu tego roku uroczystości upamiętnienia działalności w latach okupacji niemieckiej tajnego uniwersytetu odczytano list jednej z ówczesnych studentek, w którym padły nieco zaskakujące słowa. Otóż, napisała ona, że jest dumna i szczęśliwa, gdyż młodość spędziła w tamtych okrutnych latach. W powszechnym przeświadczeniu wojna i okupacja to ponury czas brutalnego terroru, przepełniony lękiem, nędzą i upokorzeniem. Skąd zatem owo szczęście i duma sędziwej dziś studentki tajnej polonistki? Spotkała ona bowiem ludzi, którzy nie bacząc na okoliczności, konsekwentnie realizowali życiowe powinności, które podjęli w normalnym, niepodległym – od zaledwie dwudziestu lat – państwie. Dziś często używamy określenia: fenomen Polskiego Państwa Podziemnego. Pragniemy pokazać światu zdolność Polaków do samoorganizowania się, a poprzez kultywowanie etosu Armii Krajowej podkreślić niemal powszechny duch oporu i walki o wolność. Państwo podziemne i konspiracyjne formacje wojskowe to bynajmniej nie tylko nazwy własne przyjęte w historiografii. To przede wszystkim ludzie. Ci, których nazwiska przydają splendoru współczesnej przestrzeni publicznej – patronują ulicom, szkołom i zajmują należne im miejsca na pomnikowych cokołach. Ale przecież podjęli się oni przywódczego wyzwania, biorąc odpowiedzialność za tysiące często bezimiennych bohaterów ówczesnej codzienności. Studentów i uczniów tajnego nauczania, aktorów konspiracyjnych teatrów, autorów podziemnych publikacji, zaprzysiężonych żołnierzy polskiego podziemia i szkolących ich dowódców, sabotażystów i dywersantów rzucających wyzwanie teutońskiej i sowieckiej pysze. Co najważniejsze, brali na siebie odpowiedzialność za całe społeczeństwo, za wszystkich obywateli RP, w okupowanym kraju i na uchodźstwie.

Fenomenem było nie tyle państwo podziemne, ile pokonane militarnie i podzielone między okupantów państwo, które nigdy nie skapitulowało i, mimo klęski, natychmiast kontynuowało istnienie w konspiracji i na obczyźnie. Było to możliwe wyłącznie dlatego, że każdy obywatel, minister i zwykły robotnik, generał i szeregowy strzelec, profesor i student traktował to państwo jako powinność moralną. Historia ma przywilej analizowania i oceniania podejmowanych decyzji i ich skutków. Państwo polskie w latach wojny i okupacji nie było przecież wolne od dramaturgii życia politycznego, od konieczności wywierania presji na obywateli, od przymusu uwzględniania realiów ówczesnego świata. Bez względu na nieuchronne spory uczonych i miłośników minionych dziejów, musimy pamiętać, że w tamtych tragicznych latach, gdy wszyscy zmagali się z lękiem o życie, ze zwątpieniem, z poczuciem osamotnienia, z doznawaną krzywdą, ci, którzy zdecydowali się kontynuować obywatelskie zadania, mogą dziś wyrazić dumę z życia w tamtych czasach. Słuchajmy ich opowieści i opowieści o nich. O tych, w których widzimy zwykle tylko heroizm i szlachetność, zapominając, że byli po prostu ludźmi zmagającymi się z rozterkami, zwątpieniami, nieraz z niezrozumieniem i odrzuceniem. O tych, którzy są jeszcze z nami, i tych, którzy odchodząc, pozostawili swoje wspomnienia. Słuchajmy i czytajmy, bo moralny stosunek do własnego państwa i obywatelska skrupulatność to ludzka powinność w każdych okolicznościach i czasach.

12 stycznia 1383 r. w Pyzdrach zagrzemiał bóg wojny

*Pieczęć miejska
z lat 1312-1575*



Król Węgier i Polski Ludwik Andegaweński zmarł 10 września 1382 r., nie pozostawiając syna. Za cenę nowych przywilejów (Koszyce, 1378 r.) zagwarantował jednej z córek

dziedziczenie tronu w Polsce. W chwili śmierci Ludwika żyły tylko dwie jego córki – Maria i Jadwiga. Na tle sporów o osobę przyszłego władcy w Wielkopolsce doszło do otwartego konfliktu między stronnictwem andegawer-

skim na czele z rodem Grzymalitów a stronnictwem ziemskim pod wodzą rodu Nałęczów. Nałęczowie w zamian za uznanie prawa Marii do polskiej korony żądali usunięcia starosty generalnego Wielkopolski, Domarata z Pierzchna, oraz stałej obecności w Polsce Marii i jej męża Zygmunta Luksemburczyka. Na te propozycje nie zgodzili się Grzymalicy, co zapoczątkowało kilkuletnią wojnę domową.

W jej trakcie po raz pierwszy w Polsce użyto artylerii w działaniach zbrojnych, co potwierdził w kronice Janko z Czarnkowa. Bartosz z Odolanowa, stronnik księcia ma-

STYCZEŃ

1

2

3

4

5

6

7

8

9

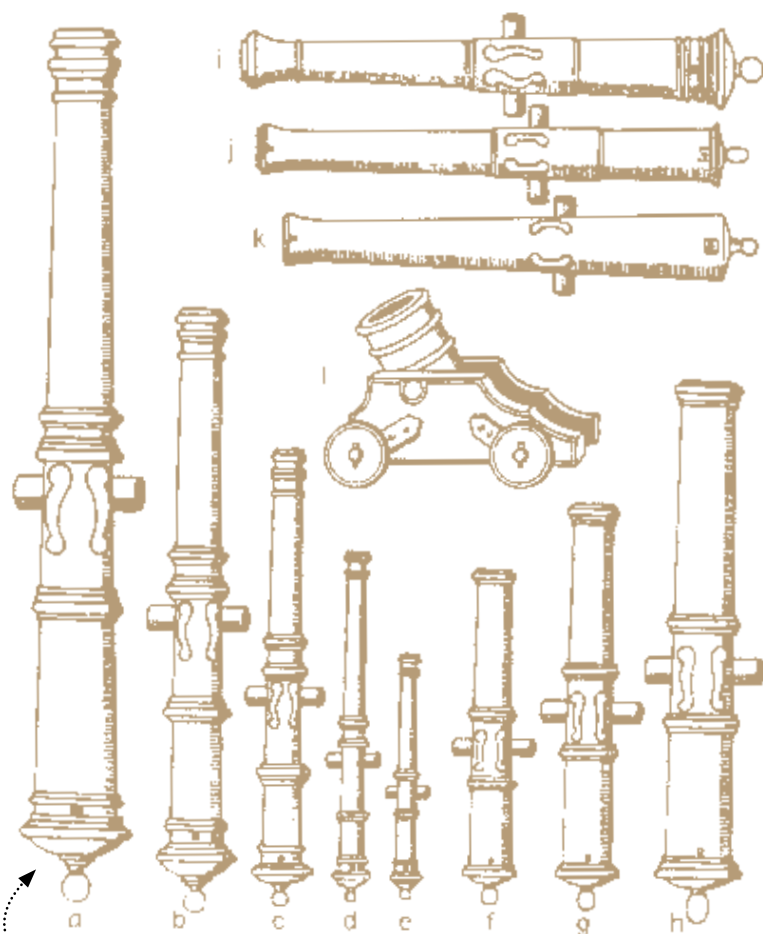
10

11

12

13

14



Typy dział stosowanych w artylerii polskiej

a) kolubryna podwójna Smok; b) półkolubryna Żmija; c) ćwierćkolubryna Sokół; d) falkonet Krogulec; e) falkonecik; f) oktawa kartauna; g) ćwierćkartauna; h) kartauna; i) lufa działowa z XVIII-XIX w.; j) lufa działowa z XVIII-XIX w.; k) lufa działowa z XIX w.; l) moździerz – działko krótkie stosowane w XVII w.



GRUBY KALIBER

PUMHARDT – żelazna lufa kalibru 82 cm.

BAZYLIKA – największa, niezachowana bombar-
da turecka, ponoć strzelała kulami o wadze pół tony
na odległość półtora kilometra. **SZALONA MAŁGOSKA**
– wykonana na polecenie księcia Filipa Dobrego, sama
lufa waży prawie 17 t; strzelała kulami wagi ok. 300 kg.
MONS MEG (Wielka Gosia) – kolejny potworek Filipa Do-
brego, wysłana jako prezent dla króla Szkocji Jakuba II,
waży „tylko” 7,5 t. **LEW** – ukochane działo Jakuba II;
w trakcie oblężenia szkockiego zamku Roxburgh
armata wybuchła, zabijając swego właścicie-
la; zgryźliwi mówili wówczas: „Lew za-
gryzł swego pana”.



Mons Meg



Pumhardt



Szalna Małgoska



*Bomba z XV w.
(rekonstrukcja)*

zowieckiego Siemowita IV, który też włączył się w grę o tron polski, przybył z wojskiem pod Pzdy 12 stycznia 1383 r. i rozpoczął kilkudniowe oblężenie. Miasta broniła załoga starosty wielkopolskiego Domarata z Pierchna. Opisujący te wydarzenia kronikarz wspominał, że w wyniku ostrzału kula kamienna wystrzelona z działa przebiła miejskie wrota i zabiła Mikołaja, plebana z Biechowa.

Pierwsze armaty pojawiły się w europejskich armiach na początku XIV w. Zrazu używano ich jedynie w trakcie oblężeń, a pierwsze użycie dział w otwartym polu nastąpiło podczas bitwy pod Crécy w 1346 r. Lufy armat były wykonywane ze skuwanych ze sobą żelaznych sztab, a całą konstrukcję dodatkowo wzmocniano żelaznymi obręczami, co nadawało lufom kształt metalowych beczek. Następnie osadzano je na drewnianych kłochach lub objano drewnianymi deskami, by zapewnić im stabilne oparcie. Taki sposób

wykonania miał sporo wad – działa były ciężkie, niecelne, miały mały zasięg, a przede wszystkim były podatne na rozerwanie.

Na przełomie XIV i XV w. lufy zaczęto odlewać – podobnie jak dzwony – w ludwisarniach. Dzięki temu stały się trwalsze i łatwiej było je wytworzyć. Wpłynęło to znacząco na upowszechnienie się ich w armiach europejskich. Kamiennne pociski do nich wykonywano ręcznie. Dopiero pod koniec XV w. zaczęto stosować kule żelazne. W tym czasie powstawały również iście monstrualne działa, które wielkością wzbudzały podziw nawet dzisiaj.

W Muzeum Wojska Polskiego zachowały się oryginalne kule z XIV i XV w., których waga wahała się od niespełna 5 do prawie 60 kg.

ŁUKASZ JĘDRZEJCZAK pracownik Działu Wystaw Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, sprawuje opiekę merytoryczną nad wystawami poświęconymi średniowieczu i renesansowi. Od 14 lat aktywny rekonstruktor historyczny.



**POLSKA
CHORĄGIEW**

Prawdopodobnie chorągiew
polskiego regimentu zdobyta
w bitwie pod Wschową
(Fraustadt) 13 lutego 1706 r.
(być może regimentu
Gwardii Pieszej
Koronnej).

13 lutego 1706 r.

LUTY

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15



Wschowa (Fraustadt) – w okresie I Rzeczypospolitej niewielkie przygraniczne miasto, dziś w województwie lubuskim – była świadkiem jednej z największych bitew w czasie wielkiej wojny północnej (1700–1721), toczonej przez Augusta II Mocnego, króla polskiego i elektora saskiego, oraz Piotra I Wielkiego, cara Rosji, z Karolem XII, królem Szwecji.

W ciągłych kampaniach w latach 1700–1706 wojska saskie zostały zdziesiątkowane. Zadanie ich odtworzenia i przygotowania do powrotu do Rzeczypospolitej otrzymał feldmarsz. Johann Matthias von der Schulenburg. Udało mu się zebrać w Saksonii ok. 18 tys. żołnierzy, w dużej mierze świeżo zaciągniętego rekruta.

Na rozkaz Augusta II wojska ruszyły ku granicy Rzeczypospolitej najkrótszą drogą. Pod Wschową drogę zastąpiła im armia szwedzka w sile 9,5 tys. żołnierzy pod wodzą feldmarsz. Carla Gustawa Rehnskiölda. Starcie rozpoczęło się od działań kawalerii szwedzkiej, która rozbiła swą saską odpowiedniczkę. Następnie dowódca szwedzki pchnął do ataku ustawioną w centrum piechotę, która skupiła główny wysiłek na słabiej wyszkolonych Rosjanach. Saski feldmarszałek, przewidując taki obrót sprawy, rozkazał założyć oddziałom rosyjskim kurtki na drugą stronę, żeby upodobnić ich do jednostek saskich. Kurtka mundurowa rosyjska od zewnątrz była zielona, ale od wewnątrz miała podszywkę czerwoną, a taki był kolor mundurów wojsk saskich.

Ucieczka saskiej kawalerii z pola walki przesądziła wynik starcia i po wielogodzinnym boju część oddziałów się poddała. Łupem Szwedów padło ok. 70 chorągwi, a do niewoli dostało się ok. 7 tys. żołnierzy, drugie tyle poniosło śmierć na polu walki. Armia sasko-rosyjska przestała istnieć.

Bitwa pod Wschową jest dla nas interesująca z kilku powodów. Brały w niej udział dwa regimenty polskie: dwubatalionowy regiment Gwardii Pieszej Koronnej pod dowództwem płk. Adama Henryka von Bose oraz regiment królowej

dowodzony przez płk. Preussa. Obie jednostki były się cztery lata wcześniej pod Kliszowem. Do końca walczyły i zachowały sprawność bojową. Jednak podzieliły los większości saskich pułków, tracąc swoje chorągwie.

Podczas badań w Szwecji natknąłem się na zapiski dotyczące zdobytych na Sasach znaków o nietypowym wyglądzie. Otóż wynikało z nich, że chorągiew wykonano z czerwonej tkaniny, obecnie mocno wypłowiałej, z namalowanymi elementami: wizerunkiem białego orła w złotej koronie otoczonego liśćmi laurowymi. Nad głową orła gotykiem napisano po niemiecku: *Gott mit uns* (Bóg z nami) – komendy w regimentach autoramentu cudzoziemskiego wydawano wówczas po niemiecku; pod gałązkami laurowymi znajdowała się dalsza część dziś nieczytelna. Sztandar wykonano z dwóch dużych brytów zszytych ze sobą, trzeci pas tkaniny jest o wiele mniejszy i doszyto go z boku – służy do zamocowania do drzewca. Obecnie zamontowane drzewce jest wtórne. Wymiary chorągwi to 187 cm wysokości i 210 cm szerokości, co sugeruje, że należała do oddziału piechoty.

Symbolika znajdująca się na niej z miejsca eliminuje oddziały z korpusu posiłkowego rosyjskiego, a także nie pasuje w żadnym wypadku do regimentów saskich, ponieważ nie zawiera motywów heraldycznych ziem elektorskich lub rodziny panującej – Wettinów. Wobec tego zostaje nam domyślać się tylko – że to któryś z polskich oddziałów. W tym wypadku powstał jednak problem w precyzyjnej identyfikacji, ponieważ w latach 1697–1706 w armii saskiej wzory chorągwi zmieniały się przynajmniej trzy razy.

Dzięki temu odkryciu zrodziła się szansa odtworzenia jednego z najważniejszych symboli każdej jednostki w wojsku – chorągwi. Dalsze badania pozwolą w przyszłości jednoznacznie przypisać chorągwie konkretnym batalionom. ■

JAROSŁAW GODLEWSKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, kustosz w Muzeum Wojska Polskiego, specjalista od epoki nowożytnej, autor publikacji dotyczących wojskowości XVI–XVIII w.

FOT. ZBIORY ARMÉMUSEUM W SZTOKHOLMIE

pod Wschową

5 marca 1813 r. pierwszy szturm Gdańska

PLAN GDAŃSKA I OKOLIC

Mało jest takich miejsc, które w ciągu sześciu lat przeżywały dwa długotrwałe oblężenia. Jednym z nich jest Gdańsk, ostatni punkt oporu wojsk napoleońskich na ziemiach polskich w 1813 r.



MARZEC

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14



poka wojen napoleońskich obfitowała w wielkie batalie i kampanie, dlatego zapominamy o oblężeniach mniej spektakularnych, często wręcz nudnych, nie-

rzadko wymagających od żołnierzy obu stron znacznie większej wytrwałości niż w przypadku słynnych bitew. To właśnie te żmudne zmagania były prawdziwą szkołą charakteru i nieraz decydowały o losach całych wojen. Mało jest jednak takich miejsc, które w ciągu sześciu lat przetrwały dwa długotrwałe oblężenia. Jednym z nich jest Gdańsk, ostatni punkt oporu wojsk napoleońskich na ziemiach polskich w 1813 r.

W epoce nowożytny Gdańsk był dużym, otoczonym nowoczesnymi fortyfikacjami miastem. Ponieważ wielokrotnie go oblegano, wymagał rozbudowy i unowocześniania umocnień. W epoce napoleońskiej wojna zawitała do bram miasta na początku 1807 r., gdy pod Gdańskiem znalazły się wojska francuskie. U ich boku stanęły nowo sformowane pułki tworzącej się właśnie armii Księstwa Warszawskiego. Po trwającym pół roku ciężkim oblężeniu oddziały Napoleona wkroczyły do miasta.

Kolejne oblężenie przeżyli gdańszczanie w 1813 r. Tym razem role się odwróciły. To Polacy i Francuzi zostali odcięci w mieście, a oblegali je Rosjanie, a później także Prusacy i Anglicy. Pod miastem 13 stycznia pojawił się budzący grozę żołnierz Wielkiej Armii podczas kampanii rosyjskiej ataman Matwiej Płatow. Ponieważ jednak dużą część jego sił stanowili nieprzydatni w oblężeniu kozacy, wsparci nielicznymi regularnymi oddziałami, oblegający ograniczyli się jedynie do blokady Gdańska, aby uniemożliwić dowóz zaopatrzenia. Próbowali też ułotkami wzniecić dezercję we francuskim garnizonie, a odezwaniami skłonić mieszczan do buntu. Bezskutecznie, gdyż garnizonem dowodził energiczny ulubieniec Napoleona, gen. Jean Rapp, który wprowadził surową dyscyplinę.

Siły oblegających powoli i systematycznie wzrastały, choć ich wielkość nie przekładała się na jakość. W miejsce regularnych pułków pojawiały się liczne, ale mało uzbrojone i jeszcze gorzej wyszkolone rosyjskie oddziały opolczeni (pospolitego ruszenia). Do pierwszych walk na przedpolu Gdańska doszło na początku lutego, ale dopiero miesiąc później, 5 marca 1813 r., Rosjanie przed świtem rozpoczęli zaciepły szturm z wielu stron. Po początkowych sukcesach nieprzyjaciela oblężeni kontratakowali



FOT. POLONA.PL

Obrońca Gdańska, 1813 r.

i odbili utracone pozycje, zadając nieprzyjacielowi wielokrotnie cięższe straty. W walkach tych wyróżnił się polski 10 Pułk Piechoty. Tydzień później, 12 marca, brytyjskie fregaty zablokowały port gdański, odcinając tym samym oblężony garnizon od reszty świata.

Latem w wyniku zawieszenia broni walki wstrzymano, jednak pod koniec sierpnia zostały one wznowione. Oblegających Rosjan wsparli Prusacy, a na redzie portu ponownie pojawiła się niewielka brytyjska eskadra. Pod Gdańsk dotarła ciężka artyleria oblężnicza, a Brytyjczycy wspierający Rosjan i Prusaków użyli pierwszy raz na ziemiach polskich broni rakietowej, tzw. rac kongrewskich. Układ sił zrobił się niekorzystny dla francusko-polsko-niemieckiego garnizonu, a sytuacja stawała się coraz gorsza. Nawet niezwykle męstwo słynnej „piekielnej kompanii” kpt. Laurenta Augustina Pelletier de Chambure’a nie mogło zmienić pogarszającej się sytuacji obrońców. Polsko-francuski oddział – niczym współcześni komandosi – zdobywał w nagłych nocnych akcjach szanse nieprzyjacielskie, nie biorąc jeńców. Wzbudzali oni popłoch wśród oblegających.

Kłeska Napoleona pod Lipskiem i przytłaczająca przewaga oblegających skłoniła gen. Rappa do rozpoczęcia w końcu listopada rozmów o kapitulacji. Podpisano ją 29 grudnia 1813 r., a ostatnie oddziały napoleońskie wyszły z Gdańska z pełnymi honorami po 355 dniach oblężenia.

MIKOŁAJ KUBACKI absolwent Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Muzeum Wojska Polskiego, napoleonista, pasjonat dziejów militarnych od XVIII do początków XX w.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kpt. Laurent Augustin Pelletier de Chambure, dowódca „piekielnej kompanii”



FOT. POLONA.PL



GENERAL ZAWSZE WIERNY

KAZIMIERZ SOSNOKOWSKI

Był nie tylko wybitnym mężem stanu. Wszędzie tam, gdzie dowodził samodzielnie – w bojach Legionów Polskich, wojnie 1920 r. i kampanii 1939 r. – wykazał uzdolnienia cechujące znakomitego dowódcę, nie stronił od pierwszej linii.

JERZY KIRSZAK

Chociaż przed nazwiskiem naszego bohatera najczęściej występuje stopień generała, to bardziej jest on postrzegany jako mąż stanu, polityk, mniej zaś jako żołnierz i dowódca frontowy. Obraz taki jest uzasadniony, zważywszy, że większą część życia Kazimierz Sosnkowski spędził na działaniach politycznych i pracy za biurkiem niż na polu bitwy. Jednak także dla podkreślenia jakże ważnych osiągnięć militarnych Sosnkowskiego artykuł ten poświęcony jest głównie jego bojowym dokonaniom.

Późniejszy Naczelnny Wódz urodził się 19 listopada 1885 r. w Warszawie, gdzie od 1896 r. uczył się w V Gimnazjum Klasycznym. Za zakładanie konspiracyjnych patriotycznych kółek samokształceniowych nie pozwolono mu uczęszczać do maturalnej klasy w rodzinnym ►

FOT. ARCHIWUM JERZEGO KIRSZAKA

Kazimierz Sosnkowski
w Karasinie,
wiosna 1916 r.



*Odnaka
1 Kompanii
Kadrowej*

FOT. DOMENA PUBLICZNA

mieście. Przeniósł się więc do XII Gimnazjum Klasycznego w Petersburgu i tam w 1904 r. zdał maturę. Po wakacjach rozpoczął studia na Wydziale Architektury Warszawskiego Instytutu Politechnicznego, a późną jesienią wstąpił do konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). Powodem tej decyzji nie były hasła rewolucji proletariackiej, lecz to, że PPS – jak sam później powiedział – „organizowała z bronią w rękę walkę o niepodległość”¹. W lutym 1906 r. podczas zjazdu PPS we Lwowie spotkał Józefa Piłsudskiego, od tej pory zaczęła się ich wieloletnia ścisła współpraca, a z czasem i przyjaźń. Sosnkowski wstąpił wtedy do kierowanej przez Piłsudskiego Organizacji Bojowej PPS i już latem został mianowany przez niego komendantem warszawskiego okręgu OB PPS.

założył tajną organizację wojskową Związek Walki Czynnej (ZWC), którego stał się rzeczywistym kierownikiem. Na zebraniu założycielskim w jego mieszkaniu powiedział m.in.: „Jedynie pięść uzbrojona – może wydrzeć caratowi ustępstwa, jedynie ona gwarantuje ich utrzymanie. Niepodległa demokratyczna republika polska leży w odległości uzbrojonego ramienia”⁴. Marian Kukiel, jeden ze współtwórców ZWC, napisał: „Sosnkowski uczynił krok niezwykle doniosłości dziejowej: w porozumieniu z kilkoma podkomendnymi założył organizację wojskową, bezpartyjną, mającą wychowywać oficerów dla przyszłego powstania zbrojnego przeciwko Rosji. [...] był [Sosnkowski] twórcą pierwszej, tajnej zrazu szkoły wojskowej polskiej i jej duszą. Jego wytrwałość, silna wola, twardy charakter utrzy-

ZAŁOŻENIE ZWIĄZKU WALKI CZYNNEJ BYŁO – OBOK TWORZENIA ODRODZONEGO WOJSKA POLSKIEGO PO 1918 R. – BODAJ NAJWAŻNIEJSZYM OSIĄGNIĘCIEM KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO.

W dowodzonym przez siebie okręgu „wprowadził nową taktykę, należyty wywiad i przygotowanie do każdej akcji, gotowe odwody na wypadek nieprzewidzianych trudności, dokładne plany wycofania się po akcji dokonanej”². Najsłynniejszą akcją zbrojną, która przeszła do historii pod nazwą „krwawej środy”, przeprowadził zaś 15 sierpnia 1906 r. Zaatakowano wówczas kilka posterunków policji, co spowodowało wycofanie Rosjan na parę dni z Warszawy. Była to pierwsza po Powstaniu Styczniowym 1863 r. poważniejsza akcja zbrojna w Królestwie Polskim. Wszelako w tym czasie rewolucja w Rosji i Królestwie już dogasała, szanse na zbrojne powstanie i niepodległość upadły.

Emigracja

Jesienią 1906 r. zdekonspirowany „bojowiec” udał się na emigrację. Zamierzał studiować architekturę na Politechnice Mediolańskiej. „Ale – wspominał później – «człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi» toteż z powodów technicznych (forsa!) zamiast do Mediolanu trafiłem... do Lwowa. Ot i życie pobiegło torem odmiennym od zamierzonego, pod znakiem nie Muz, lecz Marsa”³. Od września 1907 r. kontynuował we Lwowie przerwane przez rewolucję studia architektoniczne. Powtórnie nawiązał kontakt z Józefem Piłsudskim i z jego inspiracji w czerwcu 1908 r.

mały istnienie tej szkoły wśród niesłychanych trudności i przeszkód, wśród ośpałej obojętności ogółu, przy braku wszelkiego poparcia”; poza tym „umiał nadać swej pracy należną jej godność i powagę, umiał tchnąć w swych towarzyszy broni umiłowanie sprawy, przywiązanie do organizacji, zaciętość i upór w służbie żołnierskiej”⁵. Inny historyk w mundurze generalskim puentował: „Historia Związku Walki Czynnej stanie w dziejach naszych walk wyzwoleniczych doby popowstaniowej na miejscu pierwszorzędnym. Organizacja ta była pierwszą, która postawiła sobie za cel techniczne i ideowe przygotowanie kadr powstańczych, [...] wyłoniony z niej Związek Strzelecki wraz z Drużynami Strzeleckimi stanowiły jądro Legionów, można ją słusznie uznać za źródło dzisiejszego wojska”⁶. Wyprzedzając wypadki, można podkreślić, że założenie ZWC było – obok tworzenia odrodzonego Wojska Polskiego po 1918 r., które w 1920 r. zwyciężyło bolszewików – bodaj najważniejszym osiągnięciem Sosnkowskiego.

W Legionach Polskich

Razem z Piłsudskim 6 sierpnia 1914 r. odprawił z Oleandrów I Kompanię Kadrową do walki z Rosją o niepodległą Polskę. Kilka dni później z kompanii utworzono batalion kadrowy strzelców, na czele którego obaj wkroczyli



2



POD MUŻYŁOWICAMI I ANKONĄ

1. Kolumna niemieckiego pułku SS-Standarte „Germania” zniszczona przez oddziały 11 Karpackiej Dywizji Piechoty ze zgrupowania gen. Kazimierza Sosnkowskiego, Mużyłowice, 16 września 1939 r. 2. Naczelny Wódz oglądający niemieckie działo samobieżne zniszczone przez Polaków pod Ankoną, 18 lipca 1944 r.

do Kielc. Tam, pod nieobecność Piłsudskiego, przypadł mu zaszczyt dowodzenia inauguracyjną walką strzelców z Rosjanami 12 sierpnia 1914 r. Sosnkowski „wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerii [...] okazał się rozważnym i wołał nakazać odwrót [...] pod naporem całej dywizji cofa się, ale cofa się powoli”⁷ – pisał Piłsudski. Ponownie pod nieobecność Piłsudskiego, w Boże Narodzenie 1914 r., dowodził już całą I Brygadą w zaciętej i krwawej bitwie pod Łowczówkiem k. Tarnowa, gdzie „niezrównana odwaga osobista z jednej strony, z drugiej zaś, i to przede wszystkim, niesłuchanie zimna krew, niezmacona przytomność i zdolność orientacji w najcięższych sytuacjach, umiejętność rozkazywania i dowodzenia, zdobyły Sosnkowskiemu zewsząd najwyższe uznanie”⁸. „U podpułkownika Sosnkowskiego zgorszenie wśród oficerów, że się dowódca z karabinem między żołnierzy wdał i szedł do szturm” – dodawał inny świadek wydarzeń⁹. Natomiast komendant Piłsudski w rozkazie wydanym kilka dni po bitwie pisał m.in.: „U schyłku ubiegłego roku podczas mojej nieobecności stoczyliście z przeważającymi siłami nieprzyjaciela bój, najkrwawszy i najcięższy z tych, jakieśmy dotąd mieli. [...] Przede wszystkim na odznaczenie zasługuje szef sztabu podpułkownik Sosnkowski, pod którego dowództwem stoczyliście bój i który jeszcze raz wykazał w nim swe wysokie zdolności wojenne”¹⁰. Za bitwę tę otrzymał już w niepodległej Polsce z rąk marsz. Piłsudskiego Order Virtuti Militari. W 1943 r. złożył go jako wotum za powodzenie sprawy polskiej przy Grobie Chrystusa

w Ziemi Świętej. Później jeszcze parokrotnie, w zastępstwie Piłsudskiego, dowodził I Brygadą. Ponieważ sprawa niepodległości Polski, pomimo pozorów, stała w martwym punkcie, z początkiem lipca 1917 r. komendant i szef podali się do dymisji. W konsekwencji Legiony Polskie rozwiązano, a Piłsudskiego i Sosnkowskiego Niemcy aresztowali i wywieźli do Magdeburga.

W walkach o granice 1918–1921 i w okresie międzywojennym

Kilkanaście miesięcy później I wojna światowa dobiegała końca. Obaj więźniowie odzyskali wolność 8 listopada 1918 r. i dwa dni później dotarli do Warszawy. Piłsudski przejął władzę zwierzchnią w kraju i został Naczelnym Wodzem oraz Naczelnikiem Państwa, Sosnkowski zaś awansował na generała i dowódcę Okręgu Generalnego Warszawskiego odradzającego się Wojska Polskiego, by w marcu 1919 r. zostać drugim wiceministrem spraw wojskowych. Głównie dzięki jego niezmqordowanej pracy Wojsko Polskie w ciągu kilkunastu miesięcy urosło do ok. 900 tys. żołnierzy. Choć armia ta była różnorodnie uzbrojona i wyekwipowana, to powstrzymała najazd bolszewicki w 1920 r. i uratowała niepodległość Polski i innych państw Europy. Bez tytanicznej pracy Sosnkowskiego nie byłoby to możliwe.

Kilkunastodniowe urozmaicenie w pracy biurowej przybliżył Sosnkowskiemu przydział frontowy – w latach wcześniejszych i późniejszych zawsze najbardziej ulubiony przezeń rodzaj pracy. W połowie maja 1920 r. ruszyła na froncie litewsko-białoruskim tzw. pierwsza ofensywa Michaiła

Tuchaczewskiego. Po przeszło dwutygodniowych walkach bolszewicy zadali poważne straty polskiej 1 Armii i wdarli się ok. 150 km w głąb polskiego ugrupowania, tworząc szerokie i głębokie wyrzucenie. Wytworzyło to dogodną sytuację do kontruderzenia z północy i południa. Główne zadanie w planowanej ofensywie przypaść miało specjalnie do tego celu powołanej Armii Rezerwowej, której dowództwo objął 28 maja gen. Sosnkowski. Już 30 maja utworzona *ad hoc* armia – 8, 10, 11 Dywizje Piechoty, VII Brygada Rezerwowa Piechoty, brygada 5 Dywizji Piechoty i I Brygada Jazdy – objęła front od rzeki Dźwiny po jezioro Narocz, a 2 czerwca przeszła do kontrofensywy i w ciężkich dziesięciodniowych walkach pobiła i odrzuciła bolszewików niemal do podstaw ich natarcia – nad rzeki Autę i Berezynę. Niestety, z powodu zbyt opieszałego natarcia z południa bolszewicy nie zostali całkowicie rozgromieni. Po wykonaniu zadania generał wrócił do Warszawy na zajmowane wcześniej stanowisko wiceministra spraw wojskowych. Sosnkowski zdawał sobie sprawę, że odniesione zwycięstwo nie jest ostateczne. „Nie jest wykluczone – pisał w rozkazie – że przeciwnik raz jeszcze spróbuje odegrać się, uderzając na nasze linie obronne”¹¹. Istotnie, przewidywane uderzenie nastąpiło kilka tygodni później i doprowadziło bolszewików do serca Polski. Dopiero pod Warszawą, a później jeszcze nad Niemnem ponieśli oni ostateczną klęskę. Jednakże zwycięstwa te nie byłyby możliwe w takim rozmiarze, gdyby nie wcześniejsza kontrofensywa Armii Rezerwowej, która zadawszy bolszewikom poważne i trudne do odrobienia straty, szczególnie w kadrze dowódczej, doprowadziła wojska polskie do uprzednio straconych pozycji, czym oddaliła front od centrum

FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE / KOLORYZACJA: MIREK SZPONAR



POD NIEOBECNOŚĆ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W BOŻE NARODZENIE 1914 R. KAZIMIERZ SOSNKOWSKI DOWODZIŁ CAŁĄ I BRYGADĄ W ZACIĘTEJ I KRWAWEJ BITWIE POD ŁOWCZÓWKIEM.

państwa. Dla samego Sosnkowskiego dowodzenie armią było poważnym wyzwaniem, wszak po raz pierwszy od czasów I Brygady dowodził na froncie, i to od razu kilkudziesięciotysięcznym związkiem operacyjnym. Zadanie wykonał i został wysoko oceniony. W 1923 r. za operację tę, na wniosek marsz. Piłsudskiego, został odznaczony Krzyżem Komandorskim *Virtuti Militari* 2 kl. Profesor Wacław Jędrzejewicz, w 1920 r. kapitan i oficer sztabu Armii Rezerwowej, wspominał: „Praca z gen. Sosnkowskim nie była łatwa, ale pasjonująca. Nie wiem, kiedy ten człowiek spał, bo prawie o każdej porze dnia czy nocy można go było widzieć czy to w wagonie przy stole zarzuconym mapami, czy chodzącego po peronie i rozmyślającego nad sytuacją”¹².

Tymczasem nadeszło śmiertelne zagrożenie dla niepodległego bytu Polski. Jego zaangażowanie w dużej mierze

zawdzięczać należy Sosnkowskiemu, mianowanemu 10 sierpnia 1920 r. ministrem spraw wojskowych. Jeszcze tego dnia wziął udział w naradzie Naczelnego Wodza z szefem Sztabu Generalnego gen. Tadeuszem Rozwadowskim i francuskim doradcą gen. Maxime'em Weygandem, na której omówiono i zatwierdzono plan kontrofensywy znad Wieprza. Józef Piłsudski, przed wyruszeniem na front, ponownie 12 sierpnia konferował z trzema generałami na temat planowanej i wdrażanej akcji. Wspominając po latach owe narady i odnosząc się do głosów dyskredytujących Naczelnego Wodza jako rzeczywistego autora zwycięstwa w „18 decydującej bitwie świata”, Sosnkowski napisał stanowczo i jednoznacznie: „Twórcą koncepcji operacyjnej i urzeczywistnionego planu bitwy warszawskiej był marszałek Piłsudski”. W przełomowych



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

1. Pożegnanie gen. Kazimierza Sosnkowskiego z gen. Władysławem Andersem na lotnisku w Littorio w Rzymie przed odlotem do Londynu, 3 sierpnia 1944 r.

2. Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski na pozycjach obronnych 3 Dywizji Strzelców Karpackich, 30 marca 1944 r.

dla wojny polsko-bolszewickiej tygodniach lipca i sierpnia Sosnkowski przywrócił w armii żelazną dyscyplinę, ukrócił dezercję. Dzięki jego niewyczerpanej energii, inicjatywie, talentom organizacyjnym i niezachwianej wierze w ostateczne zwycięstwo, wydatnie zwiększono siłę obronną państwa. Do dyspozycji Naczelnego Wodza skierował m.in. 170 tys. nowych żołnierzy (w tym 80 tys. z tzw. Armii Ochotniczej), których wcielono do walczących oddziałów, 70 nowo utworzonych baterii artylerii, 200 dział na uzupełnienia starych baterii. Przygotował stolicę do obrony, zostając jej rzeczywistym dowódcą. Naczelny Wódz skonstruował, że „[...] dzięki nadzwyczajnej energii, którą dla Warszawy rozwiniął gen. Sosnkowski, od razu rzuciła się w oczy ogromna, dotąd nie znana u nas na wojnie, obsada artylerii”¹³.

Był to czas jego największych – nieporównywalnych z poprzednimi, i, niestety, niemających się już na taką skalę powtórzyć – życio-

wych osiągnięć i zasług. Sosnkowski skromnie nie uwypuklał swojej roli w zwycięstwie 1920 r., twierdził natomiast, że ma „obowiązek moralny dbać o to, by nie doznała uszczerbku prawda o polskim wodzu [czyli Piłsudskim – J.K.], któremu Ojczyzna moja zawdzięcza jedno z największych zwycięstw w jej dziejach, a świat cały uchronienie Europy przed czerwonym zalewem”¹⁴. Trudno jednak nie zauważyć, że Piłsudski bez pracy i pomocy swego *alter ego*, którym był Sosnkowski, nie mógłby dokonać tego wielkiego dzieła, gdyż przekraczało ono możliwości jednego człowieka.

Ministrem spraw wojskowych pozostawał z krótką przerwą do lutego 1924 r., od 1927 r. był inspektorem armii w Warszawie. Z racji wojskowego starszeństwa zastępował marsz. Piłsudskiego. Jednak po śmierci Piłsudskiego 12 maja 1935 r. prezydent Ignacy Mościcki wyznaczył na nowego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych gen. Edwarda Śmigłego-Rydza.

FOT. ARCHIWUM JERZEGO KIRSZAKA (2)



WŁOCHY

1. Inspekcja 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, Szkocja, 4 września 1943 r. 2. Junak Kipiniak w ramionach gen. Kazimierza Sosnkowskiego w czasie jego wizyty w Junackiej Młodszej Szkole Powszechnej w klasztorze oo. Salezjanów w Nazarecie, 19 listopada 1943 r. 3. Przyjazd Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego (na przednim siedzeniu z lewej) do Castel di Sangro. Widoczny samochód Willys MB i transporter opancerzony Half-track.

Wobec wyraźnie już zarysowującej się wojny z Niemcami, w początku czerwca 1939 r. gen. Sosnkowski sugerował marsz. Śmigłemu-Rydzowi, aby przygotować się do stoczenia głównej bitwy obronnej na umocnionej wcześniej linii Wisły i Narwi z „bardzo silnym ukształtowaniem obu skrzydeł”, a na dalekim przedpolu obu tych rzek pozostawić silne ariergardy strategiczne. Jeszcze 25 sierpnia przedstawił marsz. Śmigłemu-Rydzowi referat z przedstawioną niemiecką koncentracją, którą uważał za prawie ukończoną, i wynikającą z niej koniecznością stworzenia silnej grupy zamykającej kierunek na Radomsko – Piotrków. Ponadto Sosnkowski podkreślał potrzebę silnego ubezpieczenia skrzydeł, szczególnie zaś południowego, zabezpieczającego i zapewniającego połączenie z sojuszniczą Rumunią. Według relacji ówczesnego oficera sztabu gen. Sosnkowskiego – ppłk. Kazimierza Wiśniowskiego, późniejszego generała i szefa sztabu 2 Korpusu Polskiego – „referat nie znalazł uznania”, gdyż marsz. Śmigły-Rydz „twierdził, że koncentracja niemiecka nie jest jeszcze zakończoną w tej formie jak przedstawił ją Pan Generał. Wskazywał, że lukę na Radomsko i kierunek na Piotrków bronić będzie pośrednio odwód Naczelnego Wodza. Zgodził się na prośbę Pana Generała

i obiecał wstawić w lukę jedną Brygadę Kawalerii”¹⁵. Ostatecznie lukę tę zajęła Wołyńska Brygada Kawalerii. Jej skuteczny bój z niemiecką 4 Dywizją Pancerną pod Moką 1 września 1939 r. przeszedł do legendy kampanii polskiej. Należy przypuszczać, że gdyby pod Moką była postulowana przez Sosnkowskiego silna Grupa Operacyjna (w przededniu wojny zamierzano ją jednak powołać w składzie: 7 Dywizja Piechoty, Krakowska, Wołyńska, Wileńska Brygada Kawalerii i batalion czołgów 7 TP), bitwa miałaby inny przebieg, niż miało to miejsce w rzeczywistości.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że nawet zaakceptowanie przez Naczelnego Wodza marsz. Śmigłego-Rydz koncepcji gen. Sosnkowskiego, nie uchroniłoby Polski przed militarną katastrofą. Wszelako wdrożenie planu Sosnkowskiego pozwoliłoby na skuteczniejszą obronę; zadanie Niemcom większych strat i spowolnienie tempa ich natarcia. Inaczej rozegrana kampania, co miała wykazać już najbliższa przyszłość, miałaby też kapitalne znaczenie dla emigracyjnych stosunków wewnętrznych i zewnętrznych.

Podczas II wojny światowej

W chwili wybuchu wojny 1 września 1939 r. gen. broni Sosnkowski, najstarszy stopniem



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

W NOCY Z 15 NA 16 WRZEŚNIA POD MUŻYŁOWICAMI ODDZIAŁY 11 KARPACKIEJ DYWIZJI PIECHOTY ROZBIŁY CZĘŚĆ ELITARNEGO ZMOTORYZOWANEGO PUŁKU SS-STANDARTE „GERMANIA”.

po Naczelnym Wodzu żołnierz polski, pozostawał bez przydziału. W każdej chwili spodziewał się wezwania do udziału w dowodzeniu. Niestety, pierwsze decydujące dni kampanii upłynęły mu na bezowocnym oczekiwaniu. Dopiero 4 września Naczelny Wódz zaproponował mu objęcie w gabinecie wojennym gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego funkcji wicepremiera. Sosnkowski oświadczył, że mógłby przyjąć tę funkcję jedynie w rządzie jedności narodowej, a poza tym misja jest już spóźniona, więc prosił wyłącznie o przydział frontowy. Proponował, aby powierzono mu organizację i dowództwo obrony Warszawy. Naczelny Wódz odmówił. Sosnkowski 6 września zdecydował się jednak na wejście do rządu z pominięciem wcześniejszego warunku, „gdyż w czasach jak obecne współpracy i pomocy nie odmawia się”¹⁶. Pracę wicepremiera miał rozpocząć w chwili ustabilizowania się frontu. Tymczasem ponowił prośbę o dowództwo obrony Warszawy, do której zbliżały się już wojska niemieckie. I tym razem spotkał się z odmową. Naczelny Wódz zlecił mu jedynie przygotowanie stolicy do obrony, po czym generał miał odjechać do Brześcia nad Bugiem, dokąd przenosił się Śmigły-Rydz. Sosnkowski

wyjechał z Warszawy przed świtem 7 września. Zapewne nie podejrzewał wówczas, że rodzinnego miasta nigdy już nie zobaczy. Po południu Naczelny Wódz zaprosił go na obiad. „Śmigły mi żadnych zadań nie daje – notował generał – ogranicza się do dość luźnej rozmowy od czasu do czasu. Zdaje mu się wystarczać obecność moja w Kwaterze Głównej, [...] może chce stworzyć na zewnątrz pozory, że wspólnie prowadzimy operację”¹⁷. Dzień później znów rozgoryczony pisał w swoim notatniku: „Idę do Śmigłego, jest 12 w południe. Muszę czekać – jest fryzjer. Przechodzi kwadrans. Mówię Śmigłemu, co myślę. Są, mówię mu, trzy alternatywy [...] I. Ja idę dowodzić w Warszawie, on idzie z resztą armii na południe. II. On idzie do Warszawy, ja na południe. III. Wyznaczy kogoś w Warszawie, a sam ze mną jako szefem sztabu pójdzie na południe ratować resztki armii. Stawiam siebie do pełnej dyspozycji dla każdej z alternatyw”¹⁸. Ostatecznie Śmigły-Rydz wybrał trzecią koncepcję, co zakomunikował Sosnkowskiemu kilka godzin później. Wreszcie po kilku beczynnych dniach spędzonych w Brześciu generał udał się do Lwowa. Dopiero tam, już na gruzach kampanii, w nocy z 10 na 11 września otrzy- ►

mał dowództwo nieistniejącego Frontu Południowego, w skład którego miały wejść bardzo już stopniacie dywizje Armii „Karpaty” walczące pod Przemyślem i Armii „Kraków” na Lubelszczyźnie.

Pod Lwów podchodzili już Niemcy. Jedyną możliwością dotarcia do odciętych pod Przemyślem wojsk był przelot samolotem. Po uprzednim zorganizowaniu obrony Lwowa i odparciu przez jego załogę niemieckiego ataku, Sosnkowski odleciał 13 września do Przemyśla. Jego zamiarem było przebicie się wraz z trzema wykrwawionymi już dywizjami piechoty – 11, 24 i 38 – do Lwowa, aby bronić południowo-wschodniego obszaru Polski i połączeń z sojuszniczą Rumunią. Walcząc na dwa fronty, grupa gen. Sosnkowskiego parła na wschód. W nocy z 15 na 16 września pod Mużyłowicami oddziały 11 Karpackiej Dywizji Piechoty rozbiły część elitarnego zmotoryzowanego pułku SS-Standarte „Germania”, zdobyły dużo sprzętu motorowego i kilkanaście dział różnego kalibru. Był to sukces taktyczny polskich oddziałów niemający precedensu w całej kampanii 1939 r. „Podziwiałem wspaniały sprzęt – wspominał generał – chodząc od wozu do wozu, od maszyny do maszyny. W miejscu, które oglądałem, utknęły dwie kompletne baterie ciężkiej, dalekono-

dejmowali rozpaczliwe próby przedarcia się do Lwowa. Ostatecznie zabrakło sił. W tych ostatnich bojach gen. Sosnkowski kierował ogniem armaty przeciwpancernej lub z karabinem w ręku pozostawał na pierwszej linii. „Odnosiło się wrażenie – relacjonował szef sztabu 24 Dywizji Piechoty mjr Edmund Różycki – że dowódca armii chce dać przykład żołnierskiej śmierci w pierwszej linii walczących oddziałów”²⁰. Wobec wyczerpania oddziałów i wkroczenia Sowieców dalsza walka stała się beznadziejna. Generał już z niewielką grupą żołnierzy postanowił obejść niemieckie pozycje i od północy, od strony Dublan, przed nadejściem Rosjan prześlizgnąć się do miasta. W nocnym marszu pogubiono się i rankiem większą część kolumny przechwycili Sowieci, a Sosnkowski został jedynie z ppłk. Demelem. Postanowili przedostać się na Węgry i dalej do Francji, gdzie – jak się spodziewali – będzie odtwarzane Wojsko Polskie. Po dramatycznym przejściu przez Karpaty, 4 października Sosnkowski przekroczył granicę polsko-węgierską, a tydzień później był już w Paryżu.

W odtwarzanej na emigracji armii polskiej we Francji, a później Wielkiej Brytanii gen. Sosnkowski nie sprawował już żadnego bezpośredniego dowództwa na polu bitwy. Nawet wtedy, gdy po śmierci gen. Sikorskiego został

GENERAŁ SOSNKOWSKI W 1944 R. DWUKROTNIE INSPEKCYJNOWAŁ NA FRONCIE WŁOSKIM 2 KORPUS POLSKI, WIELOKROTNIE DOCIERAJĄC DO ODDZIAŁÓW NA PIERWSZEJ LINII BOJOWEJ, TAKŻE POD OSTRZAŁEM.

śnej artylerii. [...] Niestety, nie miałem ani szefów, ani obsługi, by uruchomić zdobyte maszyny. Żałowałem wówczas szczerze, że nie było z nami 10 Brygady Kawalerii, która miałaby nie lada okazję uzupełnienia z nawiązką swoich szczerb i braków. Spośród oddziałów grupy jedynie sztaby i oddziały łączności zaopatrzyły się w motocykle i samochody terenowe. Resztę sprzętu trzeba było zniszczyć”¹⁹. Echo tego zwycięstwa – choć nadano mu propagandowy wymiar i rozdmęto do nierzeczywistych rozmiarów – docierało do rozproszonych oddziałów Wojska Polskiego, do broniącej się Warszawy czy Lwowa i wszędzie dodawało otuchy.

Od 18 września oddziały Sosnkowskiego walczyły już na rogatkach Lwowa. Polacy naciskani z trzech stron, także przez broń pancerną, odpierali ataki – zniszczyli kilkanaście czołgów – i po-

Naczelnym Wodzem. Wynikało to z faktu, że zgodnie z umową polsko-brytyjską Polskie Siły Zbrojne operacyjnie podlegały dowództwu brytyjskiemu. Rola polskiego Naczelnego Wodza ograniczała się w zasadzie do inspekcji jednostek. Generał Sosnkowski w 1944 r. dwukrotnie inspekcjonował na froncie włoskim 2 Korpus Polski, niejednokrotnie docierając do oddziałów na pierwszej linii bojowej, także pod ostrzałem. Chwile spędzone wśród żołnierzy – nie tak częste jakby sobie tego życzył – zawsze były dlań najprzyjemniejsze. Nigdy nie stronił od kontaktów z szeregowymi żołnierzami, a chcąc bezpośrednio zapoznać się z warunkami ich ciężkiej pracy, potrafił na ćwiczeniach 1 Dywizji Pancerniej jechać w czołgu, a podczas rejsu bojowego na ORP „Błyskawica” spędzić prawie dwie godziny wśród marynarzy

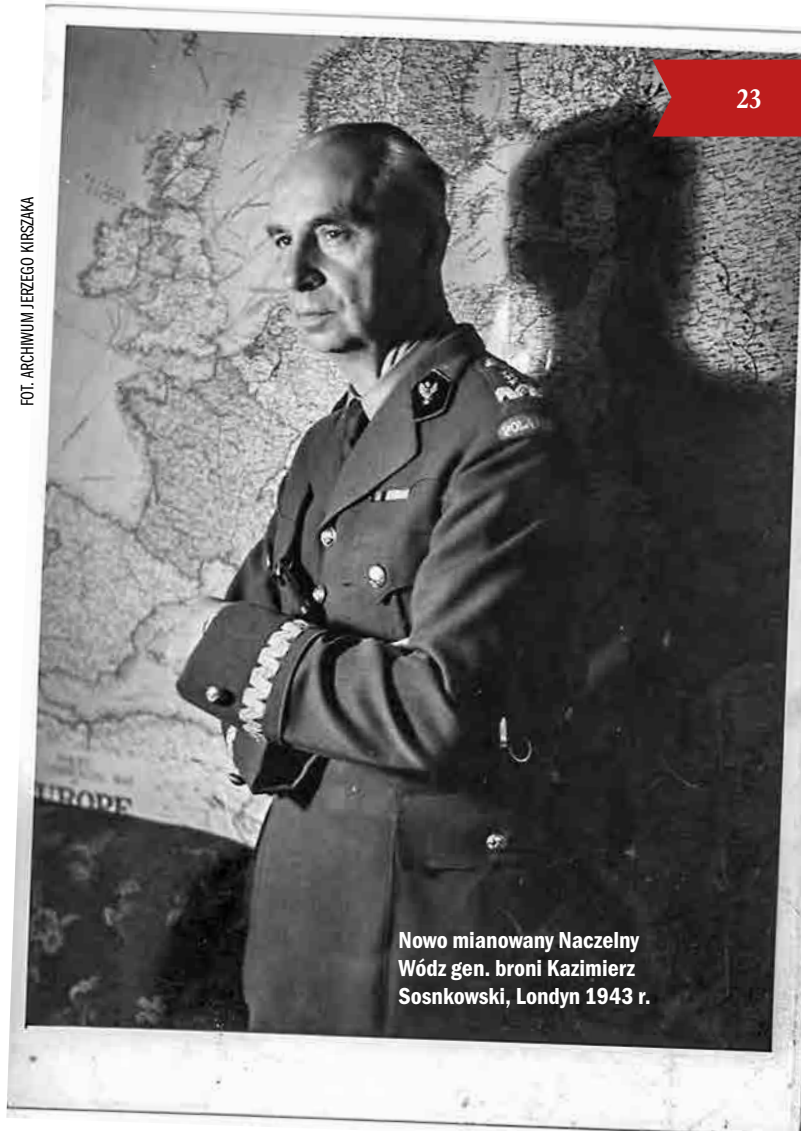
w maszynowni. Podczas inspekcji jednego z dywizjonów lotniczych z trudem udało się namówić go do opuszczenia kabiny samolotu przed startem.

Generał Sosnkowski wywarł wielki wpływ na ostateczne przygotowanie Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) do udziału w decydującym starciu z Niemcami. Wprowadził do walki całość polskich sił lądowych na Zachodzie, które w okresie, gdy był Naczelnym Wodzem, stoczyły swe historyczne bitwy, m.in. pod Monte Cassino, Ankoną, Falaise i Arnhem.

Jednakże najważniejszym zamiarem Sosnkowskiego jako Naczelnego Wodza była rozbudowa Polskich Sił Zbrojnych na podstawie spodziewanych uzupełnień po inwazji na kontynent. W samej Francji i Szwajcarii przebywało w 1944 r. ok. 800 oficerów i 40 tys. żołnierzy, ponadto w rachubę brano Polaków wcielonych do Wehrmachtu – jeńców alianckich, a w dalszej perspektywie jeńców z 1939 r. wyzwolanych z niemieckich obozów oraz polskich więźniów i robotników przymusowych w Niemczech. W grudniu 1943 r. wysłano wojskowym władzom brytyjskim zakrojony na szeroką skalę, podzielony na trzy fazy, szczegółowy Plan „P” rozbudowy Polskich Sił Zbrojnych. Naczelnny Wódz 2 września 1944 r. złożył szefowi Imperialnego Sztabu Generalnego feldmarsz. sir Alanowi Brooke’owi memoriał w sprawie dalszego użycia całości PSZ. Wobec spodziewanej – jak sądzono wówczas, realnej – możliwości pokonania Niemiec przed końcem 1944 r. odroczoneo ambitny i czasochłonny Plan „P”, ograniczając się do postulatu połączenia walczących już części PSZ, a więc 2 Korpusu, 1 Dywizji Pancerniej, 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej oraz Polskich Sił Powietrznych (Taktycznej Grupy Lotniczej) w jedną Armię Polską pod polskim dowództwem. Podkreślano, że oddziały polskie zasłużyły sobie na to, by w końcowym etapie wojny zostać połączone i użyte na decydującym teatrze operacyjnym. Dowództwo nad całością miał objąć Naczelnny Wódz. Zakładano, że armia ta weźmie udział w ostatniej fazie działań wojennych na terytorium Niemiec, a później wejdzie w skład wojsk okupacyjnych oraz rozłoży opiekę nad około dwumilionową polską ludnością w Niemczech (więźniami i jeńcami obozów, robotnikami przymusowymi, uchodźcami itd.).

Niestety, jeszcze pod koniec tego miesiąca gen. Sosnkowskiego w wyniku obcej presji zdymisjonowano ze stanowiska Naczelnego Wodza. W ten sposób upadła ostatnia szansa operacyjnego dowodzenia przez Sosnkowskiego na frontach II wojny światowej. Jego następcom nie udało się już zrealizować planu połączenia jednostek. Raz, że – choć młodszy wiekiem – nie mieli już takiej energii i zdecydowania co Sosnkowski,

FOT. ARCHIWUM JERZEGO KIRSZAKA



Nowo mianowany Naczelnny Wódz gen. broni Kazimierz Sosnkowski, Londyn 1943 r.

dwa, że koniunktura polityczna Polski, jawnie już oddawanej pod władztwo Józefa Stalina, nie sprzyjała rozbudowie i połączeniu PSZ. Po dymisji generał udał się na kilkutygodniowy urlop do Kanady. Jak się miało okazać, spędził tam ostatnią ćwierć wieku życia. Ale to już inna historia.

JERZY KIRSZAK historyk, doktor nauk humanistycznych, zajmuje się historią wojskowości i biografistyką uczestników działań niepodległościowych. Autor m.in. monografii *Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920*, opracowania naukowego pism Kazimierza Sosnkowskiego – *Wybór pism*.

¹ K. Sosnkowski, *W 30-lecie współpracy z Marszałkiem Piłsudskim*, w: *Materiały historyczne*, oprac. J. Matecki, Londyn 1966, s. 566. ² B. Miedziński, w: *Kazimierz Sosnkowski: Myśl – praca – walka*, zebrał i oprac. S. Babiński, Londyn 1988, s. 43. ³ Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, arch. Tadeusza Katelbacha, sygn. 56, t. 2/1, dok. 27. List K. Sosnkowskiego do T. Katelbacha z 23 września 1963 r., s. 2. ⁴ Cyt. za: J. Stachiewicz, *Początki Związku Walki Czynnej*, „Niepodległość”, t. II, Warszawa 1930, s. 47.

⁵ M. Kukiel, *Polskie organizacje wojskowe przed wojną*, „Polska Zbrojna”, nr 214, 6 sierpnia 1924 r. ⁶ J. Stachiewicz, *Początki...*, wyd. cyt., s. 43. ⁷ J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. VI, Warszawa 1937, s. 65. ⁸ *Legiony na polu bitwy*. Podpułkownik Sosnkowski, „Wiadomości Polskie”, nr 16, Cieszyń, 10 lutego 1915 r., s. 4. ⁹ J. Kaden-Bandrowski, *Piłsudczycy*, Oświęcim 1915, s. 58. ¹⁰ Rozkaz Komendanta Józefa Piłsudskiego do Legionistów I Pułku z 3 stycznia 1915 r., „Wiadomości Polskie”, nr 10, Cieszyń, 15 stycznia 1915 r., s. 1. ¹¹ J. Kirszak, *Armia Rezerwowa gen. Sosnkowskiego w roku 1920*, Warszawa 2013, s. 234. ¹² W. Jędrzejewicz, *Wspomnienia*, oprac. J. Cisek, Wrocław – Warszawa – Kraków 1993, s. 81. ¹³ J. Piłsudski, *Rok 1920*, w: *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, s. 115.

¹⁴ K. Sosnkowski, *Gen. Weygand o bitwie warszawskiej*, w: *Materiały historyczne*, wyd. cyt., s. 625. ¹⁵ Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, rkps. 16506, t. I, Relacja gen. Kazimierza Wiśniowskiego, k. 243. ¹⁶ J. Kirszak, *Notatki Generała Kazimierza Sosnkowskiego z kampanii wrześniowej 1939 r.*, „Niepodległość”, t. LVII, 2007, s. 166. ¹⁷ Tamże, s. 171. ¹⁸ Tamże, s. 172, 173. ¹⁹ K. Sosnkowski, *Cieniom września*, Warszawa 1988, s. 136. ²⁰ Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, rkps. 16506, t. 1, Relacja mjr. dypl. Edmunda Różyckiego, k. 220.



BÓJ PIERWSZEJ BRYGADY

I Brygada Legionów Polskich, Kęty. Komendant Józef Piłsudski (w jasnym mundurze) wraz ze sztabem podczas przeglądu oddziałów legionowych. Uroczystości nadania odznaczeń za bitwę pod Łowczówkiem.

Obok Komendanta: Edward Śmigły-Rydz (z lewej).

Dotychczasowe doświadczenie bojowe i właściwy dobór oficerów pozwoliły I Brygadzie Legionów Polskich odebrać Rosji utracone przez Austriaków pozycje pod Łowczówkiem i je utrzymać.

ANDRZEJ ŁYDKA

Rzadko się zdarza, aby dopiero co sformowany związek taktyczny rzucono w wir walki. Jednak I Brygada wzięła udział w bojach, zanim jeszcze zakończył się proces jej formowania.

Oddziały 1 Pułku Piechoty Wojska Polskiego prowadzone przez brygadiera Józefa

Piłsudskiego 13 grudnia 1914 r. wkroczyły do Nowego Sącza. Zostały owacyjnie przywitane przez mieszkańców. „Kwiaty, orkiestry, przemówienia, wiwaty. Prośba pań, żeby pozwolić na kwatery prywatne”¹. Baony I i III zakwaterowano w gmachu szkoły wydziałowej, V baon w budynku „Sokoła”, kawalerię Beliny na przedmie-

ściu Zawady, IV baon w Podegrodziu, a baony II i VI w Stadle. Po otrzymaniu zgody od dowódcy 39 Dywizji Piechoty gen. Emmericha Hadfy na dłuższy odpoczynek, przystąpiono do przeformowania 1 Pułku Piechoty w I Brygadę Legionów Polskich. Rozkaz dotyczący przemianowania 1 pp w I Brygadę ukazał się 19 grudnia i natychmiast rozpoczęły się prace nad jej organizacją. Miały trwać około miesiąca, ale już następnego dnia przerwał je rozkaz wymarszu pod Łowczówek: „Legion ma natychmiast maszerować do Zakliczyna i zameldować się do 43. Dywizji”². Zdążono w miejsce jednego pułku sformować dwa, 1 pp z baonów I i III pod dowództwem mjr. Edwarda Śmigłego-Rydza, 2 pp z baonów II i IV pod dowództwem mjr. Mieczysława Norwida-Neugebauera. W 1 pp z nadwyżek obu baonów utworzono II baon. W 2 pp baon IV przyjął numer I. Zaś V baon kpt. Witolda Ścibora-Rylskiego i VI baon kpt. Albina Satyra-Fleszara pozostały samodzielne. Czekano również na nadejście baonu uzupełniającego (z rekrutami) kpt. Leona Berbeckiego.

Piłsudski przebywał w tym czasie w Wiedniu na rozmowach politycznych Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN), a formowaną Brygadą dowodził szef sztabu, ppłk Kazimierz Sosnkowski „Józef”.

Natarcie z marszu 22 grudnia

Trzy godziny po otrzymaniu rozkazu Brygada maszerowała doliną Dunajca w stronę Tarnowa, by ratować

I Brygada: „Instrukcja z dnia 22 grudnia składała na Brygadę obowiązek odzyskania straconego klucza pozycji nad rzeką Białą: góry Łowczówek i Łowczów i Pleśna, przydzielając trzy baterie armat, 16 karabinów maszynowych, batalion honwedów 22 pp, kompanie 30 pp. Na lewym przedłużeniu miał wystąpić do akcji 30 pp. Na prawym przedłużeniu grupa gen. mjr. Clemensa Edlera von Notteses. Wystąpiono zatem do boju, kiedy front na rzece Białej na głównym odcinku został złamany”³.

Nie było czasu na dłuższe przygotowania do walki. Należało działać z marszu. Podpułkownik Sosnkowski zdecydował o natychmiastowym natarciu, zanim Rosjanie umocnią się na dopiero co zajętych stanowiskach. Nakazał atakować 1 pp mjr. Śmigłego-Rydza pozycje na wzgórzu 360, a V baonowi kpt. Ścibora-Rylskiego pozycje na wzgórzu 342. W odwodzie miały pozostać pod dowództwem kpt. Fleszara 5 pp (baony I i II) i VI baon. Do I Brygady dotarł również batalion uzupełniający kpt. Leona Berbeckiego.

Przeprowadzony o godz. 14 dwustronny atak 1 pułku piechoty na wzgórze po kilku szturmach na bagnety doprowadził do odzyskania utraconych przez Austriaków pozycji oraz dał ok. 300 jeńców. Śmigły-Rydz zaatakował czterema kompaniami, z których dwie nacierały od czoła, a dwie wykonały obejście na zachodnie skrzydło Rosjan i uderzyły od tyłu. Wzięci w dwa ognie Rosjanie

POD ŁOWCZÓWKIEM

znajdującą się w opałach 4 Armii. Do Zakliczyna legioniści dotarli wieczorem 21 grudnia, gdzie w sztabie 43 Dywizji Piechoty ppłk Kazimierz Sosnkowski został zapoznany z aktualną sytuacją. Na prawym skrzydle 4 Armii grupa płk. Emila Pattaya utraciła pozycje i pomiędzy 4 a 3 Armią pojawiła się kilkukilometrowa luka. Podpułkownik Sosnkowski otrzymał rozkaz podejścia z oddziałami pod karczmę Brzezine, gdzie mieścił się sztab grupy Pattaya, wejść w skład grupy i pomóc jej odzyskać utracone pozycje, aby zamknąć lukę.

Następnego dnia kolumna oddziałów I Brygady z ppłk. Sosnkowskim na czele dotarła do sztabu grupy Pattaya. Podczas odprawy płk Emil Pattay odebrał meldunek o cofaniu się 18 pp płk. Eduarda Besticki, który pod naporem Rosjan opuścił okopy na wzgórzach 360 (Łowczówek) i 342 (Łowczów). Zadanie odbicia utraconych pozycji na linii Łowczówek – Łowczów otrzymała

ustąpili z pola. Aby utrzymać inicjatywę, I Brygada wysłała liczne patrole w celu rozpoznania pozycji przeciwnika. Jeden z nich – ledwie ośmioosobowy, dowodzony przez plut. Gustawa Świdzkiego – w budce dróżnika przy stacji telefonicznej po stronie rosyjskiej wziął do niewoli dowództwo i sztab 132 Benderskiego Pułku Piechoty w składzie: podpułkownik, 2 kapitanów, 2 poruczników, 3 podporuczników i 27 szeregowych. Strzelcy Świdzkiego mieli średnio po niespełna 18 lat. W tym wieku rozważa i rozsądek nie należy do dominujących cech charakteru. Przeważa za to fantazja i brawura, czasami mylona z odwagą. Akurat ten legionista, który z kolegą równolatkiem sterroryzował rosnącego pułkownika karabinem z bagnetem i wziął do niewoli, miał lat 15. Jak później opowiadał „Patrzyłem na niego do góry, bo chłop był wysoki”⁴. Następnie zdjęł pułkownikowi z kurtki order z wojny rosyjsko-japońskiej i przypiął je sobie na piersi. ►



1. Łowczówek kilkanaście lat po krwawej bitwie, zabudowania chłopskie zimą, lata międzywojenne. **2.** Kazimierz Sosnkowski przyjmujący meldunek w Grudzynach. Trzeci od lewej: Edward Śmigły-Rydz. **3.** Przedwojenna fotografia pomnika legionistów z I wojny światowej na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu. Na pomniku widoczny napis „Dla Ciebie Polsko i dla Twojej chwały 1914 / 1918”.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

Nazywał się Karol Omacheli, po boju przyjął pseudonim „Japończyk”. Rosyjski pułkownik aż płakał z wściekłości, że do niewoli wzięli go „takie malczyszki”. Przesłuchiwany wieczorem w kwaterze ppłk. Sosnkowskiego nie mógł się pogodzić z myślą, że walczył z Polakami. „Poddani tego samego państwa”⁵ – wzdychał.

Czasami temperament, adrenalina lub solidarność z żołnierzami nie pozwalają dowódcy skupić się wyłącznie na dowodzeniu. Trzeba umieć znaleźć tę ledwie dostrzegalną granicę pomiędzy dowodzeniem typu „Za mną!” a dowodzeniem typu „Naprzód!”. Tego dnia wieczorem w sztabie I Brygady wrzało. „U podpułkownika Sosnkowskiego zgorszenie wśród oficerów, że się dowódca z karabinem między żołnierzy wdał i siedł do szturm”⁶, jak relacjonował Juliusz Kaden-Bandrowski. Wynika z tego, że również ppłk. Sosnkowskiego coś pchało na pierwszą linię.

Ciągłe walki 23 grudnia

Podpułkownik Sosnkowski 23 grudnia wydał zarządzenia: I i III baony 1 pp Legionów Polskich mają utrzymać

stanowiska na lewym skrzydle, V baon zaś kontynuować natarcie na wzgórze 342, II baon 1 pp ubezpieczać lewe skrzydło Brygady, I baon 5 pp LP przejść z Brzezia do Miesznej Szlacheckiej i tam czekać w odwodzie.

Tego dnia rano wyznaczony cel natarcia, czyli wzgórze 342, osiągnął również V batalion kpt. Ryłskiego i utrzymał je mimo nawały ogniowej rosyjskiej artylerii i kilkakrotnych kontrataków. Przed plutonem ppor. Henryka Bębna „Huragana” Rosjanie stosowali różne fortele, od używania austriackich czapek po powiewanie białymi chustami sygnalizujące chęć poddania się. Na początku zwiedli tym „Huragana”, który wyszedł z okopów i podszedł do przyszłych jeńców. W zapadającym zmroku dostrzegł rosyjski oddział z nałożonymi bagnetami, krzyknął „Ruki w wierzch”, na co Rosjanie i Polacy strzelili do siebie salwą. Po tym Rosjanie uciekli, pozostawiając pięciu jeńców. W tym czasie landszturmiści z grupy gen. Clemensa Edlera von Nottesa zajmujący prawe skrzydło zaczęli w panice uciekać. Kapitan Ryłski wraz z oficerem honwedów zaczął strzelać do uciekających i zastawił im drogę jednym plutonem legionistów z bagnetami na karabinach. To powstrzymało panikę.

FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE



Pod wieczór I Brygada zajmowała stanowiska kordonowo od wzgórza 342 (prawe skrzydło) do wąwozu i wzgórza 360. Otrzymała wzmocnienie dwóch kompanii 18 pp na wzgórzu 360 i dwie kompanie 30 pp wraz z czterema ciężkimi karabinami maszynowymi na lewym skrzydle. Zapowiadane przez dowództwo austriackie natarcie 11 DP nie doszło do skutku. Przez całą noc na odcinku zajmowanym przez I Brygadę trwała strzelanina. Rosjanie zajmowali pozycje w odległości 15–30 m od stanowisk legionistów.

24 grudnia – zmienność decyzji

Wigilia rozpoczęła się ostrzałem pozycji I Brygady przez rosyjską artylerię. Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim sześć pułków piechoty z 33 Dywizji Piechoty i 44 Dywizji Piechoty runęło do natarcia na pozycje legionistów. Natarcie na poszczególnych odcinkach zatrzymał ogień karabinów maszynowych lub przeciwuderzenia na bagnety, w których legioniści byli górz. Rosjanom ze 175 pp 44 Dywizji Piechoty udało się przełamać pozycje zajmowane przez 18 pp, lecz natychmiast uderzyły na nich ze skrzydła

dwie kompanie III baonu 1 pp Legionów. Rosjanie nie wytrzymali uderzenia i uciekli w panice, pozostawiając jeńców i zabitych. Według zeznań jeńców, żołnierze tej dywizji odznaczyli się szczególnie w walce na bagnety w poprzednich bitwach. O godz. 15 legionistów wzmocniło pięć kompanii austriackiego 24 Pułku Strzelców płk. Friedricha von Gerocka. Kompanie te zachowały jednak całkowicie bierną postawę, odmawiając nawet wsparcia w postaci jednej skrzynki amunicji karabinowej. Ze względu na silny ogień Rosjan nie było możliwe dostarczenie walczącym kompaniom strawy i amunicji. Legioniści ratowali się, korzystając ze zdobycznej broni wraz z amunicją.

Wieczór wigilijny minął spokojnie. Na odcinku 5 pp LP bliskość rosyjskich okopów nie pozwalała na śpiewanie kolęd. Według wspomnień legionistów na innych odcinkach Brygady kolędy jednak były śpiewane. Również w okopach rosyjskich śpiewano, ponieważ rosyjskie dywizje piechoty były uzupełniane zmobilizowanymi rezerwistami z Królestwa Polskiego. Gdy legioniści krzyknęli: „Poddajcie się ►

**Wieczór wigilijny
w 1 kompanii
1 Pułku Piechoty
Legionów
Polskich. Karasin
na Wołyniu.**

tam, wy, Polacy!”, po chwili ciszy usłyszano odpowiedź: „Sibirskie strielki nie sdajutsia”⁷. To kolędowanie weszło do legendy boju i zostało przedstawione w sztuce *Gałązka rozmarynu* Zygmunta Nowakowskiego.

Wieczorem Brygada otrzymała rozkaz opuszczenia pozycji i cofnięcia się na następną linię obrony. Bataliony go wykonały, lecz po godzinie nadesłano następny rozkaz z zadaniem ponownego zajęcia dopiero co opuszczonych pozycji. Legioniści ppłk. Sosnkowskiego wykonali ten rozkaz dosłownie. Stanowiska, w których Rosjanie zdążyli się umocnić, musiały zostać zdobyte pod silnym ogniem. Do swoich pozycji II baon 1 pp LP musiał torować sobie drogę bagnetami. Jednak 30 pp zajmujący pozycje na prawym skrzydle I Brygady nie wykonał rozkazu i skrzydło to pozostawało odsłonięte. Z powodu braku sił austriackich, wzgórze 342 ponownie obsadził V baon kpt. Ryłskiego. Na interwencję ppłk. Sosnkowskiego prawe skrzydło I Brygady zostało osłonięte przez pięć kompanii 30 pp.

25 grudnia – odwrót

O godz. 11 dowódca 30 DP, gen. mjr Julius Kaiser, przekazał dla dowódcy I Brygady informację, że następnego dnia o 14.30 jego oddziały zostaną złuzowane. Jednak o godz. 14 przeciwnik rozpoczął natarcie siłami jednej dywizji. Gęsta mgła umożliwiła podejście atakujących na odległość szturmową. Dwa rosyjskie pułki uderzyły na pięć kompanii 30 pp na prawym skrzydle I Brygady. Tego uderzenia 30 pułk nie wytrzymał i zaczął się cofać. Jednocześnie ppłk Sosnkowski otrzymał meldunek, że „stojące za moim I i III baonem rezerwy kompanie 18 pułku strzelców z karabinami maszynowymi pierwsi się wycofują, jak również kompanie 18. Pułku, które zajęły miejsce między I a II baonem, w powstałe luki wdarły się natychmiast nieprzyjacielskie kolumny”⁸.

I Brygada utrzymała pozycje do nakazanej rozkazem godziny. Zarządzony przez ppłk. Sosnkowskiego odwrót odbywał się w asyście kolumn rosyjskich, które odpierano ogniem lub atakami na bagnety. Odwrót jest najtrudniejszym rodzajem działań taktycznych. Ważne jest utrzymanie nakazanego tempa marszu. Pobliski ogień karabinowy, przeciągłe „Urraa!”, słyszane w pobliżu spowodowały, że legioniści II baonu jednak przyspieszyli tempo marszu. Zawsze czujny dowódca baonu, kpt. Józef Olszyna-Wilczyński, natychmiast zagroził: „Drugi baon, nie wrywać, bo wam zrobię zbiórkę w miejscu!”⁹. Te słowa zrobiły swoje. Maszerująca tyraliera w największym porządku minęła okopaną linię austriackiej piechoty.

Jak podsumował sztab I Brygady, walka trwała bez przerwy cztery dni i trzy noce, odparto 16 szturmów i przeprowadzono pięć ataków na bagnety. Kontrataków podczas odwrotu nie liczył nikt. Zaskoczeniem dla Rosjan było to, że młodzi legioniści lepiej od nich radzili sobie w walce na bagnety.

Ten trzydniowy bój kosztował I Brygadę 128 poległych i zaginionych oraz 342 rannych. Straty Rosjan szacowano na ok. 3000 zabitych i rannych oraz ok. 600 jeńców. Pod Łowczówkiem zdała egzamin bojowy zarówno I Brygada, jak i dowodzący nią ppłk Kazimierz Sosnkowski, który cały czas panował nad sytuacją, spokojnie podejmował decyzje i – pomimo sprzecznych rozkazów austriackich generałów oraz braku należytego współdziałania ze strony pododdziałów austriackich – nie pozwolił sobie odebrać inicjatywy.

Ostatni poległy – zamordowany Król-Kaszubski

Stanisław Kaszubski był poddanym rosyjskim. Za działalność w Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) został aresztowany, uwięziony na Pawiaku i w 1905 r. skazany na zesłanie do Archangielska. Dzięki staraniom matki wyrok zesłania zamieniono na wydalenie poza granice Cesarstwa Rosyjskiego bez prawa powrotu, czyli na banicję. Został odstawiony za kordon graniczny do Krakowa, gdzie pod nazwiskiem Król zaczął studia w Szkole Sztuk Pięknych i na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wystąpił z SDKPiL i wstąpił do Związku Strzeleckiego. Został 10 sierpnia 1914 r. dowódcą plutonu złożonego z Podhalań, a 12 listopada 1914 r. mianowano go podporucznikiem. Prowadził 25 grudnia patrol z zadaniem przekazania rozkazu o odwrocie dla batalionu kpt. Leona Berbeczkiego. W gęstej mgle otoczyli go Rosjanie i wzięli do niewoli. Nie zdołał popełnić samobójstwa. Niewypał. W czasie śledztwa Rosjanie zorientowali się, że Król jest rosyjskim poddanym. Podczas rozprawy sądowej stwierdził, że jest Stanisławem Królem-Kaszubskim z roku 1905, obywatelem Królestwa Polskiego, wstąpił do Legionów, by walczyć z największym ciemieżcą swego narodu. Został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Do wykonania wyroku był przetrzymywany w więzieniu w Pilźnie. Na stracenie wyprowadzono go 7 lutego 1915 r. Pod szubienicą odczytano mu dekret cara darujący mu życie pod warunkiem wstąpienia do armii carskiej. Odmówił. Po egzekucji zwłoki Króla zakopano na polu obok cmentarza, a grób stratówała sotnia kozaków, tak że nie pozostał po nim ślad.

Na murach Tarnowa i Pilzna rozlepiono obwieszczenia władz rosyjskich: „Dnia 25 stycznia (7 lutego) b.r. zgodnie z dekretem sądu został ukarany śmiercią przez powieszenie rosyjski poddany, Polak, warszawiak Stanisław Kaszubski za zdradę stanu. Kaszubski, gardząc interesami swego państwa i swego kraju i Polski, wstąpił do szeregu legionów austro-węgierskiego wojska i w obrębie Królestwa Polskiego przyjmował udział z niemi w kilku walkach przeciwko nam wspólnie z pruskimi zbrojnymi siłami. Podnosząc oręż przeciwko nam i tym samym popełniając zamach na dobro swojej ojczyzny, Kaszubski był zdrajcą i odstępcą od swoich rodaków – Polaków”¹⁰.



FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE (1)

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

Po zajęciu Pilzna wiosną 1915 r. przez wojska austro-węgierskie grób Króla na nowo usypano, a 2 listopada szczątki legionisty ekshumowano i uroczystość, z honorami wojskowymi pochowano na cmentarzu parafialnym w Pilźnie. Nad grobem przemówili Władysław Leopold Jaworski, prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, oraz Marian Kukiel, kapitan I Brygady. Po odzyskaniu niepodległości Stanisława Króla-Kaszubskiego pośmiertnie odznaczono Krzyżem Virtuti Militari V kl. oraz Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

Ordery, krzyże, medale...

W lutym 1915 r. dowództwo austriackiej 4 Armii przyznało za bój pod Łowczówkiem legionistom I Brygady 6 złotych Medali Waleczności, 18 srebrnych dużych Medali Waleczności i 48 srebrnych małych Medali Waleczności, a także 72 dyplomy uznania. Kawalerom tego odznaczenia przysługiwała renta miesięczna w wysokości 30 koron za me-

dal złoty, 15 koron za medal srebrny duży i 7,50 korony za medal srebrny mały.

Po odzyskaniu niepodległości 13 legionistów spod Łowczówka uhonorowano Krzyżem Virtuti Militari V kl. Z kolei po 1931 r. 90 legionistów poległych, zmarłych z ran lub zaginionych w boju pod Łowczówkiem zostało kawalerami Krzyża Niepodległości.

Cmentarz pod Łowczówkiem

Po ustaniu w 1915 r. walk na tym terenie, Bolesław Miętus, obywatel Tuchowa, wystąpił z inicjatywą ekshumowania szczątków legionistów i założenia cmentarza wojennego. Powstała *ad hoc* komisja w składzie: komisarz NKN w Tuchowie, Józef Zając, inż. Feliks Karabiński, Oberleutnant Siegfried Haller i przewodnicząca Ligi Kobiet, Maria Kuszowa. Komisja postanowiła doprowadzić do budowy cmentarza. Jego budowę zaplanowano w miejscu najcięższych walk, pod wzgórzem 360. Po wybraniu lokalizacji udano się do

1. Legioniści podczas Mszy św. odprawianej przez kapelana, ks. Stanisława Żytkiewicza w Piasecznie k. Kowla. 2. Legioniści, którzy brali udział w bitwie pod Łowczówkiem, grudzień 1914 r. 3. Rozmowa dowódców I Brygady Legionów Polskich. Walery Sławek lub Edward Śmigły-Rydz (pierwszy z prawej), Kazimierz Sosnkowski (drugi z prawej) i Józef Piłsudski (trzeci z prawej).

PODPULKOWNIK SOSNKOWSKI W PRZEMÓWIENIU WYGŁOSZONYM 1 STYCZNIA 1915 R. W LIPNICY MUROWANEJ PRZED ROZWINIĘTYM SZYKIEM I BRYGADY PODSUMOWAŁ WYSIŁEK JEJ STRZELCÓW

Żołnierze!

Bój, który rozpoczęliście dnia 22 grudnia 1914 r. na wzgórzach Łowczówka i Meszyny Szlacheckiej, był największym ze wszystkich, w jakich dotychczas brał udział 1 pułk Legionów. Mieliście do czynienia z doborową dywizją rosyjskiej piechoty, szczególnie dla przełamania tego frontu przyslaną. Mieliście sprawę z nieprzyjacielem ufnym w powodzenie.

Ruszyli do boju nasze szeregi. W pierwszy ogień poszła stara gwardia, oddziały majora Śmigłego, prac naprzód w niezawodnym ataku. W szczegółach dzielnie i sprawnie prowadzili ów atak komendanci Herwin i Bukacki, pierwszy, sunąc naprzód wytrwale pod silnym ogniem nieprzyjaciela, drugi oskrzydlając zreszcie przeciwnika, zdobywając w rozpędzie trzy rzędy okopów moskiewskich, wzmocnionych drutem kolczastym, wreszcie biorąc gęsto niewolnika.

Już wieczorem byliście, żołnierze, panami pozycji, w których kilka godzin temu triumfował nieprzyjaciel.

Odpowiedzialna skwapliwość dowódców, szlachetna odwaga szeregowców, męstwo jednych i drugich nie pozwoliło poprzestać na samem spełnieniu zadania. Patrole 1 pułku w pościgu dalej poszły, wnikać w teren, zajęty przez nieprzyjaciela. Tu patrol złożony z 8 ludzi pod dowództwem podoficera Swiderskiego wziął do niewoli prawie cały sztab benderskiego pułku rosyjskiej piechoty, a mianowicie: podpułkownika, 2 kapitanów, 2 poruczników oraz dalszych licznych jeńców.

Drugi dzień walki, 23 grudnia, upłynął na rozwijaniu się naszego frontu, wśród coraz gwałtowniejszych starć na poszczególnych jego częściach, podczas gdy prawe skrzydło z batalionem Ryłskiego sunęło ostro naprzód, lewe z oddziałami Olszyny, Grudzińskiego, Piskora odbijało ataki nieprzyjaciela, zadając mu ciężkie straty. Drugi dzień nieprzerwanej walki postawił nas wobec braku amunicji i żywności. Pierwszy zastąpiono karabinami rosyjskimi, zdobytymi na wrogu. Żywność zastąpić nam w tym boju musiała twarda chęć zwycięstwa.

Dzień 24 grudnia w przebiegu tej gwałtownej rozprawy natężeniem nie ustępował dniom poprzednim. Linie walczących teżyły się naprzeciw siebie o 30 - 40 kroków odległości. Napróżno szalał ogień artylerii nieprzyjacielskiej, nasz front trwał w ogniu, wszystkie rezerwy wcieliwszy w obrót walki. Front nieprzyjacielski zasilały wypoczęte oddziały coraz nowych grup.

Żołnierze! Uporem swym, hartem i męstwem tego dnia okazany wystawiliście sobie świadectwo godne tych wszystkich, których sława przyswieca Waszemu orężowi. Dowiedliście, że nie ma wysiłku i nie ma ofiary dość trudnej, byście się nie podjęli, gdy wróg złamać Was pragnie, a Wy zwyciężać chcecie.

Co znaczy łamać polskie fronty, przekonał się nieprzyjaciel, przypuszczając szturm na centrum naszej pozycji, skąd odparty świetnym kontratakiem komendanta Bojarskiego cofnął się w nieładzie, dając nam kilkudziesięciu jeńców.

Wieczorny rozkaz cofnął naszą linię z jej stanowisk, by za godzinę potem ponownie ją na nie powołać. Powróciliście, wyrzucając gdzieś niegdzie nieprzyjaciela bagnietem z zajmowanych przez Was dawniej stanowisk. Odeszliśmy, odpierając 16 kontrataków, zostawiając za sobą 100 poległych; nie mniej jak 4000 rannych i zabitych przeciwnik stracił w boju pod Łowczówkiem. Odeszliśmy, uprowadzając ze sobą 600 jeńców w tej liczbie 18 oficerów.

Żołnierze, w bitwie pod Łowczówkiem daliście dowód męstwa, które szacunkiem przejmuję dla Was szeregi armii austriackiej, a za które nieprzyjaciel płaci stosami trupów i rannych. Wojenna postawa Wasza wkrzesza dawne tradycje oręża polskiego. W imię tej dawnej, wiecznie żywej sławy bojów i trudów polskich rozkaz mniejszy dorzuca do nieprzebranego skarbcza imion poległych za Polskę bohaterów nazwiska Kuby Bojarskiego, komendanta I baonu, Słomki, zastępcy komendanta I baonu, Niedzielskiego, kompanijnego 2 komp. I baonu, Zagórskiego, komendanta II baonu, plutonowego Króla-Kaszubskiego, Kędzierskiego oraz wszystkich żołnierzy, których imiona na wieki zapamięta Ojczyzna.

Żegnając rannych w tej bitwie życzeniem jak najrychlejszego powrotu do służby, w imieniu Komendy pozdrawiam Was Żołnierze wezwaniem zgasłego na polu walki szeregowca 1 pułku Lubonia: Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!

Kazimierz Sosnkowski podpułkownik¹¹

Israela Wechslera, właściciela Łowczówka i Pleśnej, w celu wykupienia potrzebnych gruntów. Wechsler przekazał działki o łącznej powierzchni 2388 m² bezpłatnie, w formie darowizny, co potwierdził w 1925 r. aktem notarialnym i wpisem do ksiąg wieczystych. Mając działkę, Liga Kobiet rozpoczęła zbiórkę funduszy i materiałów budowlanych na budowę kaplicy cmentarnej. Prace realizował krakowski Oddział Grobów Wojennych C. i K. Komendantury Wojskowej w Krakowie (Kriegsgräber Abteilung K.u.K. Militär-Kommando Krakau). Teren boju pod Łowczówkiem znajdował się w ob-

rzebie VI Okręgu Cmentarnego „Tarnów” dowodzonego przez wspomnianego por. Hallera, który był również architektem. Ekshumacje przeprowadzali jeńcy rosyjscy. Zgodnie z wytycznymi wydanymi przez Wiedeński Wydział Grobów Wojennych wiedeńskiego Ministerstwa Wojny na cmentarz przeniesiono szczątki 113 legionistów, 159 żołnierzy armii austro-węgierskiej oraz 239 żołnierzy armii rosyjskiej. Austriacy, budując cmentarze, chowali na nich żołnierzy walczących armii w osobnych kwaterach, nie zakładali oddzielnych cmentarzy „narodowych”. Budowę cmentarza ukończono na wiosnę

ROZKAZ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, KOMENDANTA I BRYGADY WYDANY PO POWROCIE Z WIEDNIA 3 STYCZNIA 1915 R.

ROZKAZ Z POWODU BOJU POD ŁOWCZÓWKIEM

Żołnierze!

Pięć miesięcy mija od czasu, gdy krwią własną i odwiecznego wroga znaczyście istnienie w ojczyźnie polskiego żołnierza. Pięć miesięcy krwawej i ciężkiej pracy, która nam dała sławę pierwszorzędnej armii.

Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziale, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkim, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamięć o nich niech zawsze bliską będzie naszemu sercu.

My zaś bądźmy gotowi do dalszych walk i bojów, z których, jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swym gronie, lecz zawsze z honorem.

U schyłku ubiegłego roku, podczas mojej nieobecności, stoczyliście z przeważającymi siłami nieprzyjaciela bój najcięższy i najkrwawszy z tych, jakieśmy dotąd mieli. Zyskaliście w nim nową sławę i nowy liść wawrzynu wplećliście do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sprawy, której służymy, dziękuję wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny, towarzysze broni, że wami przewodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych, znaleźć czynny, które nie będą dla nich powszednimi.

Przed wszystkim na odznaczenie zasługuje szef sztabu, podpułkownik Sosnkowski, pod którego dowództwem stoczyliście bój i który jeszcze raz wykazał w nim swe wysokie zdolności wojenne.

Porucznik Burhardt, prowadząc batalion, zdobył trzy szeregi okopów, zabezpieczonych drutami, wzniecając popłoch u nieprzyjaciela.

Podporucznik Szczyński z 8 ludźmi wziął w okopach 100 nieprzyjacielskich żołnierzy, jako jeńców.

Podporucznik Bortnowski, pomimo bolesnej rany w szczękę, pozostał w szeregu i kierował plutonem dalej.

Podoficer Świderski na czele patrolu z 9 ludźmi przyprowadził, jako jeńców – pułkownika rosyjskiego, a przy nim 3 oficerów i 28 ludzi, wzięwszy ich ze wsi, jeszcze przez nieprzyjaciela obsadzonej.

Wymienionym oficerom i żołnierzom za przykłady odwagi i zręczności żołnierskiej, jakie w tym boju dali, wyrażam w imieniu oddziału podziękowanie i uznanie.

Józef Piłsudski
Komendant¹²

1918 r. W okresie międzywojennym odbywały się na nim uroczyste obchody rocznicy boju, odzyskania niepodległości, a od 1927 r. organizowano biegi sztafetowe od cmentarza do Grobu Nieznanego Żołnierza w Tarnowie. Po II wojnie światowej pamięć o Legionach i legionistach urzędowo usiłowano wymazać, a cmentarz popadał w ruinę. Dewastację nekropolii zatrzymał jeden człowiek, Czesław Lipiński, weteran spod Łowczówka, który od lat pięćdziesiątych XX w. podejmował starania renowacji tego obiektu. W pięćdziesiątą rocznicę boju po lewej stronie kaplicy potajemnie pojawił się kamień z inskrypcją: „1914-1964. W 50. Rocznice Kolegom, którzy z nadzieją wywalczenia Polski Niepodległej w bojach na tych polach pozostawili swoje życie w dniach 22-25.XII.1914 r. Koledzy”¹³. Od tamtego roku na cmentarzu odbywały się nieoficjalne obchody boju, a od 1989 r. już oficjalne. W 1974 r. dzięki staraniom Czesława Lipińskiego oraz innych, żyjących jeszcze legionistów cmentarz wpisano do rejestru zabytków.

Ostatni pogrzeb

Ostatnim pochowanym na tym cmentarzu uczestnikiem boju pod Łowczówkiem był gen. bryg. Gustaw Dobiesław Łowczowski (1897–1984), który w wieku

17 lat rozpoczął szlak bojowy właśnie tam. Zakończył go jako dowódca 3 Brygady 3 Dywizji Strzelców Karpackich pod Bolonią. Zgodnie z ostatnią wolą, w 1985 r. spoczął wśród kolegów ze swojego pierwszego boju.

ANDRZEJ LYDKA podpułkownik, doktorant nauk o obronności w Akademii Sztuki Wojennej. Służył w jednostkach artylerii i w jednostkach logistycznych. Od 2014 r. oficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Sześciokrotnie uczestniczył w misjach poza granicami kraju. Publicysta portalu Polska-zbrojna.pl.

¹ T. Kasprzycki, *Kartki z dziennika oficera I Brygady*, Warszawa 1934, s. 203.

² W. Milewska, J.T. Nowak, M. Zientara, *Legiony Polskie 1914–1918*, Kraków 1998, s. 55.

³ C.A.W., *Kolekcje Rękopisów z lat 1918–1939*, sygn. I.400.2545/1.

⁴ J. Kozioł, *Straceńców los, czyli o legionistach spod Łowczówka*, Tuchów 2009, s. 28.

⁵ J. Kaden-Bandrowski, *Piłsudczyce*, Oświęcim 1915, s. 59.

⁶ Tamże, s. 58.

⁷ S.F. Składkowski, *Moja służba w Brygadzie. Pamiętnik polowy*, red. W. Zbyszewska, Warszawa 1990, s. 60.

⁸ K. Sosnkowski, *Sprawozdanie z bitwy pod Łowczówkiem 22, 23, 24, 25 grudnia 1914 roku*, C.A.W., WBH 1927–1938, sygn. I.341.1. 374, odpis, mps.

⁹ G. Łowczowski, *Piąty pułk piechoty Legionów „Zuchowatych”*, Londyn 1968, s. 25.

¹⁰ J. Wieliczka-Szarkowa, *Żołnierze Niepodległości 1914–1918*, Wydawnictwo AA, Kraków 2013, s. 126.

¹¹ Śląska Biblioteka Cyfrowa, *Przemówienie podpułkownika Kazimierza Sosnkowskiego przedstawiające walki legionistów pod Łowczówkiem i Meszynie Szlacheckiej w dniach 22–25.12.1914*, Lipnica Murowana, 1.1.1915.

¹² J. Piłsudski, *Dzieła zebrane*, t. IV, Warszawa 1937, s. 24–25.

¹³ A. Partridge, *Pamięć o Łowczówku. Miejsce pamięci, w: Łowczówek 1914. Bitwa Legionów Polskich na drodze do niepodległości*, Warszawa 2014, s. 174.

*Kazimierz Sosnkowski,
generał dywizji.
Fotografia pozowana
w atelier między
1922 a 1925 r.*



Generał Sosnkowski w kampanii 1939 r. NA ODSIECZ MIASTU

Na stanowisko dowódcy Frontu Południowego 10 września 1939 r. został wyznaczony gen. Kazimierz Sosnkowski. W niezwykle trudnej sytuacji wykazał się kunsztem dowódczym.

JULIUSZ S. TYM

Wiosną i latem 1939 r. inspektor armii, a zarazem przewodniczący Komitetu do spraw Uzbrojenia i Sprzętu gen. broni Kazimierz Sosnkowski nie otrzymał żadnego przydziału wojennego. Wynikało to między innymi z tego, że był inspektorem odpowiedzialnym za teren Polesia. Spośród pięciu inspektorów armii przewidywanych na dowódców armii w przypadku konfliktu zbrojnego ze Związkiem Sowieckim w planie operacyjnym „Zachód” uwzględniono jednak początkowo jedynie inspektora z Wilna gen. dyw. Stefana Dęba-Biernackiego jako dowódcę odwodowej Armii „Prusy”. Kolejni dwaj inspektorzy – gen. dyw. Stanisław Burhardt-Bukacki (Armia „Wołyń”) i gen. dyw. Mieczysław Norwid-Neugebauer (Armia „Lida”) – zostali wysłani jako szefowie misji wojskowych do Paryża i Londynu. W czerwcu 1939 r. lwowskiego inspektora armii gen. dyw. Kazimierza Fabrycego wyznaczono na dowódcę Armii „Karpaty”. Jedynymi pozostającymi w dyspozycji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych byli gen. broni Kazimierz Sosnkowski i gen. dyw. Tadeusz Piskor. Tego ostatniego dopiero w trakcie działań wojennych – 9 września 1939 r. – wyznaczono na dowódcę Armii „Lublin”, którą miał utworzyć od podstaw.

Pierwszy przydział wojenny

Generał Sosnkowski dopiero 4 września 1939 r. otrzymał zadanie. Było ono dość nietypowe jak dla inspektora armii i drugiego pod względem stopnia wojskowego żołnierza Wojska Polskiego, pełnił bowiem rolę generała łącznikowego Naczelnego Wodza do dowódcy Armii „Karpaty” gen. Fabrycego. Generał Sosnkowski zadanie to wykonał niezwłocznie i już 6 września 1939 r. nad ra-

nem zameldował się w Sztabie Naczelnego Wodza i złożył raport o położeniu oraz stanie tego związku operacyjnego, który sam określił jako „iluzoryczność”. Mając na uwadze niekorzystny rozwój wydarzeń na froncie, Sosnkowski poprosił Naczelnego Wodza Edwarda Śmigłego-Rydza o wyznaczenie na dowódcę obrony Warszawy. Jednak wobec powierzenia tego stanowiska gen. bryg. Walerianowi Czumie otrzymał zadanie skontrolowania realizacji wydanych zarządzeń i uzupełnienia ich o wskazówki. Po wykonaniu tego zadania gen. Sosnkowski udał się do Brześcia nad Bugiem w ślad za Naczelnym Wodzem i jego sztabem. Ponownie wyruszył 8 września 1939 r. na południe jako generał łącznikowy Naczelnego Wodza do dowódcy Armii „Karpaty”.

Porażki poniesione przez większość polskich związków operacyjnych w tzw. bitwie granicznej spowodowały, że 6 września 1939 r. – przede wszystkim pod wpływem niekorzystnych informacji z Armii „Łódź” i odwodowej Armii „Prusy” – marsz. Edward Śmigły-Rydz podjął decyzję o zarządzeniu odwrotu w łuku Wisły w celu przejścia do obrony na linii Narew – Wisła, a jednocześnie nakazał przenieść swoje stanowisko dowodzenia do Brześcia nad Bugiem.

Sztab Naczelnego Wodza nie wyciągnął właściwych wniosków z przebiegu tzw. bitwy granicznej. Brak głębszej analizy operacyjnej sytuacji w pierwszych dniach września 1939 r. oraz brak przewidywań co do dalszego rozwoju spowodowały, że Naczelny Wódz Edward Śmigły-Rydz nie podjął jednoznacznej decyzji odnośnie do dalszego prowadzenia kampanii. W rezultacie dowódcy poszczególnych związków operacyjnych nie znali ►

zamiaru Naczelnego Wodza oraz myśli przewodniej manewru i priorytetów współdziałania. Brak tych elementów spowodował, że decyzję Śmigłego-Rydza z 6 września 1939 r. o odejściu za Wisłę wszystkich sił znajdujących się na zachód od niej część dowódców armii zrozumiała opacznie, a wojska Armii „Łódź” nie znały jej treści, gdyż jej dowódca gen. Juliusz Rómmel porzucił powierzony mu związek operacyjny. W przypadku każdego konwencjonalnego konfliktu zbrojnego, w którym jedna ze stron broni się, pierwsza faza działań obronnych musi mieć swój kres. Jeśli chodzi o polski Sztab Główny – nie określono w drodze gry wojennej, gdzie i kiedy on nastąpi.

Naczelny Wódz 9 września 1939 r. wydał kilka rozkazów regulujących kwestie dowodzenia na szczeblu operacyjnym. Zarządzono wówczas powstanie armii gen. Piskora, czyli Armii „Lublin”, odpowiedzialnej za obronę linii Wisły od Góry Kalwarii do Sandomierza. Wydano także instrukcję walki z oddziałami pancernymi, która niewiele wówczas wносиła, tym bardziej że poprzedniego dnia czołowe elementy niemieckiej 4. Dywizji Pancerniej zaatakowały z marszu Warszawę.

Spóźniona reorganizacja systemu dowodzenia

Naczelny Wódz 10 września 1939 r. wydał *Ogólny rozkaz operacyjny dla skrzydła północnego*, w którym określał elementy dowodzenia i koordynacji działań wojsk prowadzących walki odwrotowe na północny wschód i wschód od Warszawy. Tego dnia Sztab Naczelnego Wodza opracował plan ogólnego odwrotu na kierunku południowo-wschodnim, który następnego dnia przybrał postać wytycznych Naczelnego Wodza.

W rozkazach tych Śmigły-Rydz próbował naprawić jeden z kardynalnych błędów polskiego wojennego systemu dowodzenia ukształtowanego w latach 1926–1939, polegający na braku pośrednich szczebli dowodzenia pomiędzy Naczelnym Wodzem a dowództwami armii w postaci dowództw frontów (grup armii). Według gen. bryg. Wacława Stachewicza Wojsko Polskie nie miało pośrednich szczebli dowodzenia w postaci dowództw frontów (grup armii), ponieważ nie chciał tego marsz. Śmigły-Rydz, a powodem negatywnej postawy wobec dowództw tego szczebla miały być „[...] prawdopodobnie (tak jak i u Marszałka Piłsudskiego) ujemne doświadczenia z czasów wojny bolszewickiej”¹. Nie można zgodzić się do końca z tą opinią. Negatywne doświadczenia obu marszałków wynikały przede wszystkim z trudności w doborze odpowiednich generałów na stanowiska dowódców frontów wiosną i latem 1920 r. i tu należy upatrywać źródeł niechęci marsz. Józefa Piłsudskiego do idei frontów.

Na potrzebę utworzenia pośrednich szczebli dowodzenia wskazywali inspektorzy armii. Do takich wnio-

sków doszedł między innymi gen. dyw. Juliusz Rómmel odpowiedzialny za studia operacyjne na odcinku łódzkim. Przedstawił on 23 marca 1939 r. Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych zmodyfikowaną koncepcję osłony na odcinku Armii „Łódź”, w której wskazywał na potrzebę funkcjonowania Frontu Południowo-Zachodniego, stanowiącego „[...] jedną całość operacyjną”, na czele którego stałby jeden dowódca określony mianem „dowódcy grupy armii”².

Niestety, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych nie podzielał wówczas słusznej opinii inspektora armii na kierunku łódzkim. Dopiero w czasie kampanii Śmigły-Rydz jako Naczelny Wódz dostrzegł potrzebę utworzenia pośrednich szczebli dowodzenia, gdy okazało się, że sam nie potrafił zastąpić dowódców frontów, czego przekonującym przykładem były próby koordynowania działań na Froncie Północnym (Samodzielna Grupa Operacyjna „Narew”, Armia „Modlin” i Odwód „Wyszków”). Dlatego wyznaczono trzech dowódców, którzy mieli koordynować działania kilku związków operacyjnych. Żaden z nich nie miał organu dowodzenia zdolnego do sprostania zadaniom postawionym przed tymi generałami.

Dowódca nieistniejącego związku operacyjnego

Najważniejszą rolę miał do odegrania gen. broni Kazimierz Sosnkowski. Dnia 10 września 1939 r. został wyznaczony na stanowisko dowódcy Frontu Południowego, który miał obejmować Armię „Kraków” oraz Armię „Karpaty” przemianowaną na Armię „Małopolska”, a także „wszystkie wojska przybywające transportami do Lwowa i wojska formowane doraźnie w Małopolsce Wschodniej”. Jego celem było „[...] zapewnić utrzymanie Małopolski Wschodniej w taki sposób, by połączenia z Rumunią były utrzymane”³.

O tej nominacji gen. Sosnkowski dowiedział się późnym wieczorem 10 września 1939 r. w budynku Dowództwa Okręgu Korpusu VI we Lwowie, gdy za pomocą telegrafu (tzw. telegrafu Hughesa) nawiązał łączność ze Sztabem Naczelnego Wodza. Generał Sosnkowski, po otrzymaniu wytycznych od Naczelnego Wodza gen. Śmigłego-Rydza, przy pomocy dwóch oficerów swego sztabu: inspektora armii ppłk. dypl. Franciszka Demela i ppłk. dypl. Kazimierza Wiśniowskiego, przystąpił do tworzenia sztabu Frontu Południowego. Sześć sztabu nowego związku operacyjnego został płk dypl. Bronisław Rakowski przysłany w tym celu ze Sztabu Naczelnego Wodza. Sztab Frontu Południowego rozmieszczono w szkole przy ul. Piekarskiej we Lwowie.

Sztab Naczelnego Wodza 11 września 1939 r. otrzymał meldunek o zbliżaniu się do Brześcia nad Bugiem oddziałów niemieckiego XIX Korpusu Armijnego. Tego dnia czołowe elementy tego związku taktycznego osiągnęły Wysokie Litewskie. W związku z tym wieczorem



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)



1. Uroczystości imieninowe śp. Józefa Piłsudskiego w Warszawie 19 marca 1937 r. Gen. Kazimierz Sosnkowski (z prawej) i wiceminister Władysław Korsak (z lewej) na dziedzińcu Belwederu.

2. Uroczystość odsłonięcia pomnika Czynu Legionowego w Kielcach w październiku 1938 r. Inspektor armii gen. Kazimierz Sosnkowski (drugi od prawej) z wojewodą kieleckim Władysławem Dziadoszem (pierwszy od prawej) wśród uczestników uroczystości.

3. XIII Zjazd Legionistów w Krakowie 6 sierpnia 1935 r. Uroczystości na Sowińcu. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych gen. Edward Śmigły-Rydz rozmawia z premierem Walerym Sławkiem, obok stoi inspektor armii gen. Kazimierz Sosnkowski (z papierosem).



rozpoczęła się zmiana stanowiska dowodzenia Naczelnego Wodza, które przeniesiono do Włodzimierza Wołyńskiego. Następnie 12 września 1939 r. czołowe elementy niemieckiej 1 Dywizji Górskiej podeszły pod Lwów. Naczelnny Wódz Śmigły-Rydz 13 września 1939 r. wydał rozkaz ustalający podział sił Frontu Południowego, nakazując „dywizje piechoty, działające na przedpolu Lwowa (rejon Mościska – Sądowa Wisznia) ściągnąć wprost w kierunku południowo-wsch. i wzmocnić nimi obronę przyczółka”⁴ na linii rzek Dniestr i Stryj. Ponadto Armię „Kraków” przekazał w podporządkowanie gen. Piskora.

O tym jednak gen. Sosnkowski wówczas nie wiedział. Nie dysponując efektywnymi środkami łączności, nie miał możliwości sprawowania dowództwa, zwłaszcza podporządkowaną mu Armią „Kraków”, której dowódca

gen. bryg. Antoni Szylling meldunek o położeniu przekazał do Lwowa, wysyłając motocyklistę. W tej sytuacji gen. Sosnkowski nakazał gen. Szyllingowi działania resztek Armii „Kraków” na kierunku Janów Lubelski – Rawa Ruska – Jaworów. Obronę Lwowa powierzył dowódcy Okręgu Korpusu VI gen. bryg. Władysławowi Langnerowi. Wobec wyczerpania gen. Fabrycego podjął decyzję o osobistym objęciu dowodzenia trzema wielkimi jednostkami: 11 Karpacką Dywizją Piechoty i 24 Dywizją Piechoty oraz 38 Rezerwową Dywizją Piechoty, stanowiącymi trzon Armii „Karpaty”, a następnie Armii „Małopolska”. Zarazem gen. Sosnkowski podporządkował gen. Langnerowi zmotoryzowaną 10 Brygadę Kawalerii, która 7 września 1939 r. została przekazana z Armii „Kraków” w podporządkowanie Armii „Małopolska”. Brygada otrzyma- ▶



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Gen. Kazimierz Sosnkowski na trybunie honorowej podczas defilady z okazji dwudziestolecia 7 Pułku Ułanów Lubelskich im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego w Mińsku Mazowieckim, marzec 1938 r. Z boku trybuny od prawej: gen. Janusz Głuchowski, gen. Mieczysław Ryś-Trojanowski, gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, gen. Zygmunt Piasecki, gen. Rudolf Dreszer.

ła zadanie przemieszczenia się w rejon Żółtkwi, w celu ubezpieczenia Lwowa od północy i północnego zachodu. W ten sposób gen. Sosnkowski w sytuacji braku odpowiednich środków dowodzenia frontem, zdecydował się dowodzić siłami głównymi Armii „Małopolska”, stanowiącymi w praktyce grupę operacyjną.

Powodem tej decyzji było zarówno znaczenie kierunku Przemyśl – Lwów w pasie działania Armii „Małopolska”, jak i zbyt długi i nieefektywny łańcuch dowodzenia: dowódca frontu (gen. Sosnkowski) – dowódca armii (gen. Fabrycy) – dowódca grupy operacyjnej (gen. Łukoski) – dowódcy dywizji. To spowodowało, że dowódcy związków taktycznych i oddziałów otrzymywali rozkazy z tak dużym opóźnieniem, iż nie mogli ich wykonać, gdyż w warunkach odwrotu ich oddziały znajdowały się już gdzie indziej. Tak było między innymi podczas walk nad Sanem, gdzie pierwszy rozkaz gen. Sosnkowskiego jako dowódcy frontu do wykonania uderzenia na skrzydło niemieckiej dywizji nie dotarł na czas do wykonawcy – 11 Karpackiej DP, o czym wspominał jej dowódca płk dypl. Bronisław Prugar-Ketling.

Objęcie dowództwa nad wojskami Armii „Małopolska”

O świcie 13 września 1939 r. cztery samoloty RWD-8 startujące z lądowiska Biłka Królewska na wschód od Lwowa przewiozły gen. Sosnkowskiego i trzech oficerów jego sztabu

ścisłego – szefa sztabu Armii „Małopolska” płk. dypl. Witolda Dzierżykraj-Morawskiego oraz ppłk. dypl. Demela i ppłk. dypl. Wiśniowskiego – do Przemyśla. W tym rejonie znajdowały się wówczas wycofujące się na wschód wojska Armii „Małopolska”. Za nimi pościg prowadziły oddziały niemieckie 2 Dywizji Górskiej i 7 Dywizji Piechoty, z kolei na kierunku Sambor – Lwów działania prowadziły oddziały niemieckiej 1 Dywizji Górskiej, od północy na kierunku Radymno – Jaworów działania prowadziła niemiecka 4 Dywizja Lekka.

Dzień 14 września 1939 r. wykorzystano do ustalenia położenia, reorganizacji systemu dowodzenia, a także organizacji obrony Przemyśla. W tym czasie wojska Armii „Małopolska” zajęły rejony na wschód od miasta. Jak oceniał płk. dypl. Bronisław Prugar-Ketling, dowódca 11 Karpackiej DP, gen. Sosnkowski mógł wówczas dysponować ogółem kilkudziesięcioma batalionami piechoty (ok. 12 tys. żołnierzy) oraz 4–5 dywizjonami artylerii. Na odprawie z dowódcami dywizji przeprowadzonej tego dnia wieczorem gen. Sosnkowski miał powiedzieć: „Lina Wisła – San istnieje tylko na mapie i w teorii. Dotychczas nie zrobiono nic, by nadać jej jakiegoś praktycznego znaczenia. Trzeba szaleńca, by mógł o niej jeszcze myśleć, gdy nieprzyjaciel ma ją już za sobą”⁵. Późnym wieczorem gen. Sosnkowski podjął decyzję przebijania się na kierunku Przemyśl – Lwów, argumentując, że „[...] trzeba dochować wierności najwierniejszemu miastu!”⁶. Generał zakładał współdziałanie ze znajdującą się w rejonie Żółtkwi zmotoryzowaną 10 Brygadą Kawalerii. Jej dowódca płk dypl. Stanisław Maczek wspominał, że gen. Sosnkowski jeszcze w czasie pobytu we Lwowie wskazał, że „[...] liczy na współdziałanie brygady z dywizjami z Przemyśla, gdy te przebijając się podejda pod Lwów”⁷.

Zwycięstwo Strzelców Huculskich – taktyczny sukces na drodze odwrotu

Dzień 15 września 1939 r. wykorzystano na przemieszczenie wojsk na kierunku Przemyśl – Sądowa Wisznia. Tereny wokół tej drugiej miejscowości stały się rejonem wyjściowym do nocnego natarcia w kierunku Lasów Janowskich. W nocy z 15 na 16 września 1939 r. wojska Armii „Małopolska” dowodzone przez gen. Sosnkowskiego wykonały natarcie, w czasie którego dwa bataliony

49 Pułku Strzelców Huculskich dowodzonego przez ppłk. dypl. Karola Hodałę z 11 Karpackiej DP w nocnej walce na bagnety – stoczonej w zamieszkaną przez niemieckich kolonistów wsi Mużyłowice – pobiły elementy niemieckiego pułku SS „Germania”. Zdobyto wiele pojazdów mechanicznych, działa polowe z jaszczami, armaty baterii przeciwlotniczej, amunicję, a także żywność. Zdołano zabrać tylko kilka, może kilkanaście samochodów osobowo-terenowych i motocykli, część amunicji i żywności. Działa zniszczono, a pozostałe pojazdy podpalono. Było to jedno z najpiękniejszych zwycięstw polskiej piechoty w kampanii 1939 r.

Generał Sosnkowski tak wspominał wrażenia z pobojowiska: „Podziwiałem wspaniały sprzęt, chodząc od wozu do wozu, od maszyny do maszyny. W miejscu, które oglądałem, utknęły dwie kompletne baterie ciężkiej, dalekonośnej artylerii. Armaty osadzone były na potężnych podwoziach, wozy bojowe załogi, imponowały solidną konstrukcją i celowością urządzeń, przemysłowych do najdrobniejszych szczegółów. Niestety, nie miałem ani szoferów, ani obsługi, by uruchomić zdobyte maszyny. Żałowałem wówczas szczerze, że nie było z nami 10 Brygady Kawalerii [płk. dypl. Maczka – J.S.T.], która miałaby nie lada okazję uzupełnienia z niewiązką swoich szczerb i braków. Spośród oddziałów grupy jedynie sztaby i oddziały łączności zaopatrzyły się w motocykle i samochody terenowe. Resztę sprzętu trzeba było zniszczyć”⁸.

Wypowiedź gen. Sosnkowskiego uzupełnić należy o informację, że 15–16 września 1939 r. zmotoryzowana 10 Brygada Kawalerii prowadziła ze zmiennym szczęściem walki z pododdziałami niemieckiej 1 Dywizji Górskiej, które opanowały Hołosko i Zboiska na północnych i północno-wschodnich podejściach do Lwowa. Dodać również trzeba, że 16 września 1939 r. gen. Langner wahał się, czy nie wstrzymać natarcia brygady na Zboiska, aby po odtworzeniu jej zdolności bojowej skierować ją na Janów, by wyjść naprzeciw zgrupowaniu wojsk gen. Sosnkowskiego.

Opóźnienie działań 24 DP i 38 Rezerwowej DP spowodowało, że 16 września 1939 r. 11 Karpacka DP nie mogła kontynuować działań na Lwów i musiała poczekać na pozostałe dywizje. W rezultacie przez kolejne dwa dni wojska gen. Sosnkowskiego prowadziły obronę przejściową w kompleksie Lasów Janowskich. Na tym etapie działań 38 Rezerwowa DP broniła rejonu Janowa, aby nie dopuścić do przełamania się oddziałów niemieckiej 7 Dywizji Piechoty na kierunku Janów – Lwów. W godzinach popołudniowych 17 września 1939 r. pododdziały niemieckiego 61 pułku piechoty z 7 DP wyszły na prawe skrzydło 11 Karpackiej DP i zaczęły obchodzić jej pozycje obronne. Jeden z batalionów niemieckiego pułku opanował Lelechówkę, ryglując w ten sposób drogę na przeprawę przez rzekę Wereszycę.

17 września 1939 r.

Tego dnia do wojsk gen. Sosnkowskiego dotarła droga radiowa informacja o agresji sowieckiej. Jednocześnie samolot RWD-8 zrzucił nieaktualny już rozkaz Naczelnego Wodza Śmigłego-Rydza z 13 września 1939 r. nakazujący obronę linii Dniestr – Lwów – górny Bug, kierujący Armię „Małopolska” w rejon Stryja i Halicza, którego i tak nie mogła wykonać.

Generał Sosnkowski 17 września 1939 r. o godz. 16.30 wydał rozkaz odwrotu. 11 Karpacka DP miała działać na kierunku Lelechówka – Brzuchowice, a 24 DP i 38 Rezerwowa DP na kierunku Janów – Rzęsna. Droga odwrotu przez Lelechówkę prowadziła po wąskich leśnych duktach zatarasowanych przez tabory, a sama dolina Wereszycy była bagnista. Oddziały 11 Karpackiej DP otworzyły drogę odwrotu przez opionowaną przez Niemców Lelechówkę natarciem, które zakończyło się odbiciem wsi dopiero nad ranem 18 września 1939 r. Przemieszczenie oddziałów 11 Karpackiej DP w rejon Brzuchowic trwało do późnych godzin nocnych. Z Brzuchowic do przedmieść Lwowa było już tylko 7–8 km. Tego dnia resztki 24 DP – 3 bataliony piechoty w łącznej sile bojowej 500 bagnetów – przeprowadziły natarcie na Rzęsna, opanowaną przez pododdziały niemieckiej 1 Dywizji Górskiej. Pomimo początkowego powodzenia, natarcie utknęło we wsi.

Resztki 11 Karpackiej DP – zbiorczy batalion 49 pułku piechoty oraz zbiorczy batalion 48 i 53 pułku piechoty, razem 700 bagnetów, wspieranych ogniem 5 baterii artylerii – prowadziły 19 września 1939 r. natarcie na kierunku Brzuchowice – Hołosko. Trzykrotne próby przełamania obrony niemieckiej 1 Dywizji Górskiej – walki przebojowe, jak wówczas mówiono, czyli działania na połączenie, jak nazywa to obecnie terminologia wojskowa – nie przyniosły rezultatu. Następnego dnia ponowiono natarcie, które zostało wzmocnione przez resztki 38 Rezerwowej DP – trzy bataliony piechoty w sile ok. 200 żołnierzy każdy. Pomimo zaciętych walk tylko część sił 11 Karpackiej DP zdołała przerwać ugrupowanie bojowe niemieckiej 1 Dywizji Górskiej i przebić się do Lwowa.

Generał Sosnkowski ubolewał, że nie mógł liczyć na zmotoryzowaną 10 Brygadę Kawalerii. Niestety, 17 września 1939 r. w godzinach popołudniowych brygada otrzymała rozkaz wstrzymania natarcia i odejścia na południowy wschód, za Dniestr. Rozkaz ten wydał Naczelnny Wódz poprzedniego dnia w późnych godzinach wieczornych, jednak gen. Langner odpowiedział wówczas, że brygada związana jest walką i będzie mogła wykonać rozkaz po wyjaśnieniu położenia. Brygada po złuzowaniu przez piechotę rozpoczęła marsz na Halicz i dalej Stanisławów, a wykonując kolejny rozkaz Naczelnego Wodza, podyktowany agresją sowiecką, 19 września 1939 r. przekroczyła granicę polsko-wę-

gierską na Przełęczy Tatarskiej. Z tego powodu natarcie wojsk gen. Sosnkowskiego na kierunku Brzuchowice – Hołosko nie mogło zostać wzmocnione przez oddziały tej brygady, na co gen. Sosnkowski bardzo liczył.

Kapitulować nie będziemy

Wieczorem wobec niepowodzenia natarcia i dużych strat gen. Sosnkowski zwołał odprawę, na której zdecydował: „Kapitulować nie będziemy”⁹. Zdecydował wówczas o podjęciu próby przedarcia się do Lwowa od północnego wschodu, przenikając pomiędzy wojskami niemieckimi i podchodzącymi od wschodu oddziałami sowieckimi. Oddziały miały zabrać tylko ciężką broń wsparcia – broń maszynową i armaty przeciwpancerne – natomiast działa artylerii polowej zostały zniszczone. W rejonie Brzuchowic pozostawiono kilkuset rannych, tylko z 11 Karpackiej DP ok. 300 żołnierzy. Wykorzystując noc, zgromadzenie wojsk gen. Sosnkowskiego – resztki trzech dywizji piechoty – prowadziły przenikanie przez Grzybowice Małe, Grzybowice Wielkie, Dublany i dalej Laszki Murowane. Stamtąd droga przez Frelówkę prowadziła do Lwowa. Wybrana trasa miała ok. 20 km długości. Warunki ograniczonej widoczności spowodowały, że kolumny marszowe rwały się i gubiły w terenie. Nad ranem 21 września 1939 r. w rejonie Dublan i Laszek Murowanych natknęto się na czołowe elementy wojsk sowieckich. Część oddziałów polskich zaczęła poddawać się, inni konsekwentnie dążyli do Lwowa, oddalonego zaledwie o kilka kilometrów.

Był to ostatni epizod z dziejów Frontu Południowego i Armii „Małopolska” oraz ich wielkich jednostek – 11 Karpackiej DP, 24 DP i 38 Rezerwowej DP, które przestały istnieć. W rejonie Dublan gen. Sosnkowski zorientował się, że próba przeniknięcia do Lwowa nie powiedzie się, ponieważ oddziały sowieckie okazały się szybsze, niż zakładano. W związku z tym 22 września 1939 r. generał z ppłk. dypl. Demelem w ubraniach cywilnych rozpoczęli wędrówkę do Francji przez Węgry. Pełna niebezpieczeństw piesza wędrówka przez Karpaty zakończyła się sukcesem i 12 października 1939 r. obaj dotarli do Paryża.

Decyzja Naczelnego Wodza Śmigłego-Rydza o wyznaczeniu gen. Sosnkowskiego na dowódcę Frontu Południowego była dla niego zaskoczeniem. Generał nie otrzymał sił i środków dowodzenia umożliwiających wykonanie zadania. Brak łączności spowodował, że nie tylko nie mógł zapobiec operacyjnemu rozdzieleniu obu podporządkowanych mu armii, ale nawet trudno było koordynować działania trzech dywizji Armii „Małopolska”. Wobec ograniczonej swobody działania gen. Sosnkowski podjął decyzję o jej wywalczeniu i przebijaniu się do Lwowa. Ten zamiar konsekwentnie realizował. Przyjęty wówczas sposób dowodzenia cechowała prostota i elastyczność. Generał nieustannie poszukiwał optymalnego po-

łożenia wojsk własnych w stosunku do przeciwnika, przez co realizował zasadę manewrowości. Zarazem starał się racjonalnie dysponować siłami i środkami, odpowiednio do przyjętego planu walki, w tym koncepcji manewru. Skupiając siły i środki na kierunku głównego wysiłku, akceptował ryzyko użycia minimalnych sił na kierunkach pomocniczych. W ten sposób stosował zasadę ekonomii sił. Wyczucie położenia, przyjęty kierunek działań, sposób ich realizacji, utrzymanie ciągłości dowodzenia, a zarazem zastosowanie zasad celowości, aktywności, manewrowości, a także najtrudniejszej wśród nich – zasady ekonomii sił – świadczą o kunszcie dowódczym gen. Sosnkowskiego.

Działania na połączenie zmierzające do przebicia się do Lwowa wiązały się z dużym wysiłkiem wojsk, pomimo ich dużego zmęczenia. W wytworzonym położeniu trudno było mówić o możliwościach zachowania zdolności bojowej, co szczególnie stało się odczuwalne już pod Lwowem. Konsekwencją strat poniesionych w pierwszej dekadzie września 1939 r. przez dywizję Armii „Małopolska” było to, że w trakcie decydujących o ich losach walk miały one ograniczony potencjał. Pomimo to działania wojsk zgromadzenia gen. Sosnkowskiego, a przede wszystkim intensywność walk, stanowiły zaskoczenie dla przeciwnika, dlatego w pamięć żołnierzy niemieckiej 7 Dywizji Piechoty na zawsze zapadły zaciekle walki w Lasach Janowskich, które Niemcy nazwali „lasem śmierci” (*Der Wald des Todes*). ■

JULIUSZ S. TYM pułkownik doktor habilitowany profesor nadzwyczajny, dyrektor Instytutu Strategii Wojskowej w Wydziale Wojskowym Akademii Sztuki Wojennej, historyk wojskowy.

¹ W. Stachiewicz, *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998, s. 244. ² Centralne Archiwum Wojskowe, Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, sygn. I 302.4.342, Inspektor Armii gen. dyw. Rómmel, Plan osłony odcinka „Łódź” z 23 marca 1939 r. ³ Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (dalej: IPMS), Akta kampanii wrześniowej, sygn. A.II.19.1, Sztab Naczelnego Wodza L.dz. 11/15/III Op. Wytyczne do koncentracji sił własnych na południu z 11 września 1939 r. ⁴ IPMS, Akta kampanii wrześniowej, sygn. A.II.21.1, Sztab Naczelnego Wodza L.dz. 13/2/III Op. [rozkaz dla] Dowódcy Grupy Armii generał broni Sosnkowski z 13 września 1939 r.

⁵ B. Prugar-Ketling, *Aby dochować wierności. Wspomnienia z działań 11. Karpackiej Dywizji Piechoty. Wrzesień 1939*, Warszawa 1990, s. 47, 59. ⁶ Tamże. ⁷ S. Maczek, *Od podwoju do czołga. Wspomnienia wojenne 1918–1945*, Londyn 1984, s. 86.

⁸ K. Sosnkowski, *Cieniom września*, Warszawa 1989, s. 137–138.

⁹ B. Prugar-Ketling, *Aby dochować wierności...*, s. 142.

Bibliografia:

- Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, *Akta kampanii wrześniowej*.
 Głowacki L., *Obrona Warszawy i Modlina 1939*, Warszawa 1985.
 Maczek S., *Od podwoju do czołga. Wspomnienia wojenne 1918–1945*, Londyn 1984.
 Majka J., *Brygada motorowa płk. Maczka. 10 Brygada Kawalerii 1937–1939*, Rzeszów 2016.
 Porwit M., *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, cz. 1, *Plany i bitwy graniczne*, Warszawa 1983.
 Prugar-Ketling B., *Aby dochować wierności. Wspomnienia z działań 11. Karpackiej Dywizji Piechoty. Wrzesień 1939*, Warszawa 1990.
 Sosnkowski K., *Cieniom września*, Warszawa 1989.
 Stachiewicz W., *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza*, Warszawa 1998.
 Wasilewski T., *Obrona Lwowa we wrześniu 1939 r.*, „Bellona” (Londyn) 1941.

Panorama Lwowa ze wzgórz na północno-zachodnich przedmieściach.



TAJEMNICE „lasu śmierci”

DAMIAN KAROL MARKOWSKI

Niespełna 80 lat po bitwie Armii „Małopolska” w Lasach Janowskich wciąż prowadzone są poszukiwania żołnierzy Wojska Polskiego poległych w marszu na odsiecz Lwowa w 1939 r.

Obrączka żołnierza poległego w Lasach Janowskich w cholerę nieistniejącej gajówki Grabnik



Walki Armii „Małopolska” o przebicie się do Lwowa, stoczone głównie w Lasach Janowskich, były niezwykle zacięte. Niemiec-
cy strzelcy górscy zapamiętali dobrze brawurowe ataki polskiej piechoty i bezpardonowe walki na bagnety. W literaturze wspomnieniowej niejednokrotnie przyznawa-

li, że z uwagi na straty i zaciekłość walczących las pod Janowem był prawdziwym „lasem śmierci”. Prawdopodobnie w bitwie lwowskiej poległo do 2 tys. żołnierzy polskich i niespełna 500 niemieckich.

Najwięcej pochówków odbyło się w Lasach Janowskich, szczególnie w rejonie Lelechówki, Szkła i Janowa (obecnie Iwano-Frankowe) i na przedmieściach Lwowa w miej-



1

sowości Rzęsna Ruska, Rzęsna Polska, Hołosko i Brzuchowice. Polacy byli stroną atakującą, ponieśli duże straty w czasie natarć na pozycje niemieckie, silnie nasyczone gniazdami broni maszynowej.

Część mogił nie przetrwała okresu komunizmu i pierwszych lat niepodległej Ukrainy. Chociaż trudno podać konkretną liczbę zniszczonych obiektów, to wiele z nich przestało istnieć jeszcze w okresie pierwszej okupacji sowieckiej od września 1939 r. do czerwca 1941 r. Inne zostały również celowo usunięte przez ukraińskich nacjonalistów, starających się w latach czterdziestych XX w. zatrzeć ślady obecności Polaków w Małopolsce Wschodniej. Spore straty przyniósł także długotrwały okres komunizmu.

O miejscach pochówku wielu żołnierzy prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy. Informacje o ich lokalizacji zabrali ze sobą do grobu ich towarzysze broni lub polscy mieszkańcy podlwowskich miejscowości, którzy po 1945 r. zdecydowali się na tych ziemiach pozostać. Wielu z nich zmarło, zanim pojedyncze osoby, stowarzyszenia i wyspecjalizowane instytucje państwa polskiego rozpoczęły działania mające na celu odnalezienie szczątków żołnierzy Wojska Polskiego i zapewnienie im godnego pochówku.

„Polacy będą szukać swoich”

W 2014 r. pozarządowa Fundacja „Wolność i Demokracja” otrzymała od Ministerstwa Spraw Zagranicznych środki na organizację akcji poszukiwawczej mogił poległych pod Lwowem i przeprowadzenie ekshumacji z masowych mogił. Pojawiła się szansa, by także rodziny poległych mogły ostatecznie zakończyć żałobę – od-

FOT. ZBIORY DAMIANA MARKOWSKIEGO (4)



2

LASY JANOWSKIE

1. Dzień po bitwie w Lasach Janowskich. Żołnierze niemieccy przy ciele polskiego żołnierza.
2. Strzelcy górscy 1 Dywizji Górskiej w Lasach Janowskich. Wrzesień 1939 r.
3. Polski sprzęt zdobyty w Lasach Janowskich, na pierwszym planie armata przeciwpancerna 37 mm Bofors.



należć szczątki i godnie pożegnać bliskich. Projekt otrzymał nazwę „Strażnicy Narodowej Pamięci”.

Pierwszy sezon prac zakończył się sukcesem: w rezultacie ofiarnej pracy siedmiu grup poszukiwawczych w sierpniu i wrześniu 2014 r. zdołano zlokalizować 30 potencjalnych miejsc pochówku. Przeprowadzono również kilka ekshumacji, które pozwoliły na potwierdzenie masowych mogił. Wyniki projektu spotkały się z uznaniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Konsulatu RP we Lwowie i Wydziału Zagranicznego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Dzięki projektowi „Strażnicy Narodowej Pamięci” odnalezionych polskich żołnierzy pochowano na Polskim Cmentarzu Wojennym w Mościskach. Ich uroczyste pogrzeby odbyły się w listopadzie 2015 i w 2016 r. Kilku z nich udało się zidentyfikować imiennie i odnaleźć ich rodziny.

Kontynuowanie prac to także sprawa honoru państwa polskiego, by upomnieć się o godny pochówek swoich obrońców sprzed 80 lat, którzy do tej pory spoczywają w bezimiennych grobach, rozrzuconych na przestrzeni wielu kilometrów na przedpolach Lwowa. ■

Bibliografia:

Archiwum ROPWiM: Materiały dot. ewidencji poległych pod Lwowem, Archiwum Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie: Kartoteka PCK dotycząca poległych we wrześniu 1939 roku, list jeńców 1939 r.
Die Wehrmacht. Die Freiheitskampf des grossdeutschen Volkes, Berlin 1940. *Wir zogen gegen Polen. Kriegserinnerungswerk des VII. Armee Korps*, München 1940.

DAMIAN KAROL MARKOWSKI doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, historyk, badacz dziejów dawnych polskich ziem wschodnich, pracował w Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytucie Pamięci Narodowej, stypendysta krajowych i zagranicznych ośrodków naukowych. Autor kilku książek i ponad 100 artykułów. Od 2014 r. kierownik merytoryczny projektu „Strażnicy Narodowej Pamięci” prowadzonego przez Fundację „Wolność i Demokracja”.

PROJEKT „STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI” W EDYCJACH 2014-2017:

- 25 grup poszukiwawczych
- ponad 150 miejscowości objętych poszukiwaniami
- 55 odnalezionych mogił
- 5 przeprowadzonych ekshumacji
- 138 ekshumowanych i godnie pochowanych żołnierzy WP
- 2 uroczyste pogrzeby na cmentarzu w Mościskach
- 6 rodzin, które odnalazły bliskich po prawie 80 latach.

Niemiecki żołnierz spoglądający na miasto spowite dymami podczas oblężenia.
 Około 18-19 września 1939 r.

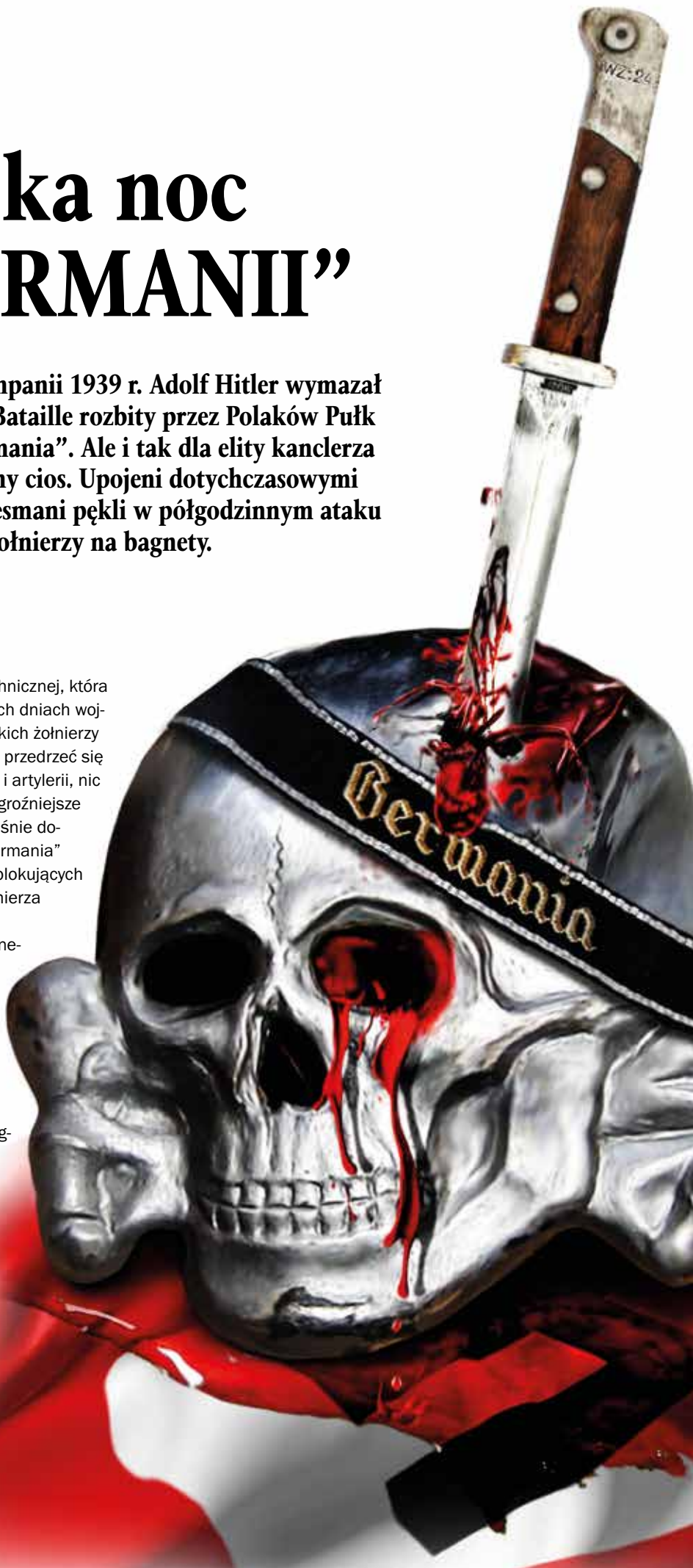
Polska noc SS „GERMANII”

Nie jest prawdą, że po kampanii 1939 r. Adolf Hitler wymazał z niemieckiego Ordre de Bataille rozбитý przez Polaków Pułk Zmotoryzowany SS „Germania”. Ale i tak dla elity kanclerza III Rzeszy był to ogromny cios. Upojeni dotychczasowymi łatwymi zwycięstwami esesmani pękli w półgodzinnym ataku polskich żołnierzy na bagnety.

PIOTR KORCZYŃSKI

Niemcy pewni swej przewagi technicznej, która potwierdziła się już w pierwszych dniach wojny, bali się jednak ataków polskich żołnierzy na bagnety. Jeśli Polacy zdołali przedrzeć się przez zaporę ogniową broni maszynowej i artylerii, nic już nie mogło ich powstrzymać. Jeszcze groźniejsze były takie ataki z zaskoczenia, czego właśnie doświadczyli esesmani z SS-Standarte „Germania” przydzieleni do jednostek Wehrmachtu blokujących dywizjom Armii „Małopolska” gen. Kazimierza Sosnkowskiego drogę do Lwowa.

W dotychczasowych działaniach elitarnego, zmechanizowanego pułku gwardii Hitlera żołnierze SS „Germanii” mieli na koncie więcej egzekucji niż działań bojowych. Przez pierwsze trzy dni wojny pułk stacjonował w Gliwicach, 4 września przeszedł do opuszczonego przez polskie wojsko Sosnowca, tam natychmiast włączył się w aresztowania i eg-



zekucje dokonywane przez Einsatzgruppe I, którymi dowodził Bruno Streckenbach. Esesmani z SS „Germanii” uczestniczyli m.in. w masowych egzekucjach w Lasach Panewickich k. Katowic, gdzie wymordowano ponad 150 ludzi. Za te i podobne „czyny bojowe” część pułku zapłaciła bardzo szybko, bo już nocą 15 września 1939 r. Stało się to za sprawą oddziałów wspierających 1 Dywizję Górską, które zajmowały pozycje we wsiach Przyłbice, Mużyłowice, Mogiła i Czarnokońce. W Mużyłowicach kwaterowało dowództwo pułku wraz z 3 batalionem i pododdziałami wsparcia. Ta właśnie miejscowość stała się główną areną dla nemezis, która nastąpiła tej feralnej dla Niemców nocy.

Bagnet na broń!

Generał Kazimierz Sosnkowski na odprawie w Sądowej Wiszni 15 września zdecydował, że wraz ze swą armią będzie przebiegał się przez Lasy Janowskie do Lwowa. Dla dowódców podległych mu dywizji oznaczało to wydanie rozkazów do natarcia na blokujące im drogę niemieckie jednostki. Wieczorem tego dnia do boju ruszyły pułki 11 Karpackiej Dywizji Piechoty płk. dypl. Bronisława Prugar-Ketlinga i 38 Dywizji Piechoty Rezerwowej płk. Alojzego Wira-Konasa. W niemieckich strzelców górskich i zmotoryzowanych esesmanów z impetem uderzyły fale polskiej piechoty. Największe laury bitewne przypadły w tym starciu 49 Huculskiemu Pułkowi Strzelców z 11 KDP ppłk. dypl. Karola Hodały. Kiedy gen. Prugar-Ketling dowiedział się od jednego z okolicznych mieszkańców, że w Mużyłowicach znajduje się sztab esesowskiej jednostki, rozkazał ppłk. Hodałę w nocnym ataku zdobyć tę wieś. Równocześnie polecił, by wyznaczeni do ataku żołnierze rozładowali broń. To miało zapewnić atakowi moment zaskoczenia, który mógł być stracony przez przypadkowy lub przedwczesny wystrzał.

Huculi ppłk. Hodały spadli na Niemców po północy 16 września jak duchy. Kłuli esesmanów bagnetami w całkowitej ciemności i ci-
szy, którą od czasu do czasu próbował prze-
rwać niemiecki karabin maszynowy, elimino-
wany zaraz przez opanowanych bojowym sza-
łem Polaków. A był on tak straszny, że Niem-
cy nie próbowali prosić nawet o pardon. Ginę-
li w ataku, którego się nie spodziewali, z któ-
rym spotkali się po raz pierwszy i ostatni
w życiu. Trupy esesmanów, które oglądali po
bitwie polscy oficerowie, były przerażające.
„Trwoga, wśród której ginęli, nie znikła z ich
twarzy”¹ – zapisał w relacji po bitwie przyszły
generał Prugar-Ketling.

Jedyne takie zwycięstwo

Pułkownik Prugar-Ketling dotarł na pobojo-
wisko w Mużyłowicach, kiedy już świtało.

„W coraz mocniej jaśniejących plamach brza-
sku porannego odróżnialiśmy domy, drzewa,
opłotki, a później... działa, jaszczce, ciągniki,
samochody – najpierw pojedyncze – potem
grupy, całe parki. Przecieraliśmy oczy, by się
upewnić, czy to nie złudzenie, tak nieprawdo-
podobnie zdobycz ta wyglądała. Wieś duża,
bogata, o szerokich podwórzach i ogrodach,
zawalona była sprzętem i materiałem wojen-
nym po brzegi”². W Mużyłowicach SS „Ger-
mania” utraciła prawie cały ciężki sprzęt,
w tym osiem haubic 105 mm, baterię dział
przeciwlotniczych, większość moździerzy
i broni maszynowej oraz wszystkie samocho-
dy. Niestety ze zdobycznego ciężkiego sprzę-
tu nie można było skorzystać ze względu na
brak odpowiednio wyszkolonych żołnierzy.
Zniszczyli go na miejscu saperzy. Znacznie
boleśniesz dla esesmanów były jednak
straty w ludziach. Od uderzeń polskich ba-
gnetów zginęli m.in.: dowódca 3 batalionu,
SS-Obersturmbannführer Willy Köppen i ad-
iutant pułku, SS-Obersturmführer Rudolf
Schomburg, a adiutant 3 batalionu,
SS-Untersturmführer Herbert Menzel został
ciężko ranny. Sztab pułku, który w panice
uciekł z Mużyłowic, zatrzymał się za Jaworo-
wem. Rozproszeni po całej okolicy żołnierze
3 batalionu zbierali się przez kilka dni w rejo-
nie miejscowości Mogiła – Tuczały.

Generał Prugar-Ketling we wspomnieniach
pisanych w czasie internowania w Szwajcarii
zanotował, że na wieść o pogromie swego
pułku Hitler wpadł we wściekłość i kazał go
skreślić ze stanu armii. W rzeczywistości jed- ▶



Plk dypl. Bronisław Prugar-Ketling, dowódca 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, 1933 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (4)

PRZYSIĘGA „RUSINÓW”

ŻOŁNIERZE WYZNANIA PRAWO-SŁAWNIEGO SKŁADAJĄCY PRZYSIĘGĘ. General Prugar-Ketling podkreślał walory bojowe i wierność przysiędze większości „Rusinów”, którzy służyli w jego dywizji. Wielu z nich walczyło także w 49 Huculskim Pułku Strzelców. Lata trzydzieste XX w.

nak większość sił pułku skoncentrowano już 17 września i następnie użyto do osłony skrzydeł XVII Korpusu Armijnego i w tej roli pozostawiono aż do zakończenia kampanii w Polsce.

ich kolejne ciężkie boje na drodze do „najwierniejszego miasta” – jak nazwał Lwów gen. Sosnkowski w czasie odprawy w Sądowej Wiszni. W nocy z 20 na 21 września 1939 r.

plk dypl. Bronisław Prugar-

-Ketling rozwiązał swą 11 Karpacką

Dywizję Piechoty, nakazując żołnierzom rozproszyć się i małymi grupkami przedzierać się ku południowej granicy. Części żołnierzy, w tym pułkownikowi, udało się przedostać do Francji, większość trafiła jednak do sowieckiej i niemieckiej niewoli. Wśród zamordowanych przez NKWD w 1940 r. oficerów tej dywizji był odznaczony przez gen. Władysława Sikorskiego za bój pod Mużyłowicami Orderem Virtuti Militari IV kl. ppłk dypl. Karol Hodała. Ci żołnierze, którym było dane dożyć układu Sikorski – Majski, znaleźli się w Armii gen. Władysława Andersa.

Paradoksalnie klęskę pupilów Hitlera wykorzystała konkurencja z Wehrmachtem. Jego wyżsi dowódcy, niechętni SS, podkreślali w raportach niedostateczne wykształcenie i brak doświadczenia esesmanów. Klęska „Germanii” była mocnym atutem w psuciu krwi Heinrichowi Himmlerowi, który musiał przyznać, że jego podwładnym jeszcze dużo brakuje do elity, a fanatyzm i doświadczenie w eksterminacji ludności cywilnej nie wystarczą w walce z doborowymi i zdeterminowanymi żołnierzami, jakimi byli podwładni gen. Sosnkowskiego. ■

¹ B. Prugar-Ketling, *Aby dochować wierności. Wspomnienia z działań 11. Karpackiej Dywizji Piechoty. Wrzesień 1939*, Warszawa 1990, s. 83.

² Tamże.

Po zakończeniu walk w 1939 r. wszystkie oddziały SS „Germanii” ponownie połączyły się i pułk przerzucono do Czech. W dalszych latach wojny SS „Germania” wchodziła w skład 5 Dywizji Pancernej SS „Wiking”.

Pokłosie

Zwycięstwo nad SS „Germanią” i innymi oddziałami z 1 Dywizji Górskiej w Lasach Janowskich w dniach 15–16 września 1939 r. bardzo podniosło morale żołnierzy gen. Sosnkowskiego. Nie mieli oni jednak zbyt wiele czasu na radość ze zwycięstwa. Czekaly

- 1. Następcy SS „Germanii” – żołnierze Waffen-SS na froncie wschodnim. Wojskowy pion SS dopiero w Rosji stał się „niezawodną machiną bojową” Hitlera. Do czasu...**
- 2. Żołnierze z SS-Standardte „Germania” w okresie, gdy pułk należał już do 5 Dywizji Pancernej SS „Wiking”.**



SIEDMIOTONOWY POLSKI W BOJU



Lekki czołg 7TP
podczas pokony-
wania nasypu.

W 1934 r. na bazie brytyjskiego czołgu Vickers E powstał polski czołg 7TP. Miłośnicy broni pancernej dyskutują nad zaletami i wadami tej maszyny. We Wrześniu '39 był w swojej klasie równorzędnym przeciwnikiem dla czołgów niemieckich i sowieckich. Niestety, 7TP było za mało.

TADEUSZ WRÓBEL

Pierwszym czołgiem Wojska Polskiego był francuski Renault FT Modèle 1917, bardziej znany jako Renault FT 17. Wóz ten uznawano za najbardziej udaną konstrukcję czołgu, jaka powstała podczas Wielkiej Wojny. Wyjątkowo trafionym rozwiązaniem, powtórzonym w większości późniejszych konstrukcji czołgowych, było ułożenie uzbrojenia w obrotowej wieży. Renault FT 17 przybył do Polski z Francji wraz Błękitną Armią gen. Józefa Hallera. W jej składzie był utworzony w 1919 r.

1 Pułk Czołgów, który zgodnie z etatem miał 120 czołgów uzbrojonych w krótkolufową armatę Puteaux SA-18 kal. 37 mm lub karabin maszynowy Hotchkiss kal. 8 mm. Jednostka ta wzięła udział w wojnie z bolszewikami.

Poszukiwanie następcy „siedemnastki”

Straty poniesione w walkach nie były duże. Bezpownotnie utracono osiem maszyn. Poczynając od 1924 r., dokupiono co najmniej kilkanaście czołgów Renault TFS



Zmodernizowany lekki czołg Vickers Mark E type A z 13,2 mm karabinem maszynowym Hotchkiss wz. 30 w lewej wieży – podczas ćwiczeń na poligonie.

(wozy dowodzenia z radiostacjami), Renault M26/27 i Renault NC27, które wywodziły się od „siedemnastek”. Dane o ich liczbie są jednak sprzeczne. W 1926 r. zaś zbudowano w Polsce pierwsze czołgi, wykorzystując części francuskie i polskie płyty stalowe. Powstało 27 wozów FT-17 CWS przeznaczonych do szkolenia, które nazywano też żelazniakami.

Potrzeba było więcej czołgów, by – zgodnie z planami mobilizacyjnymi Sztabu Głównego Wojska Polskiego – w każdym z 10 okręgów wojskowych, na które podzielona była Polska, mógł być batalion czołgów. Problemem w realizacji pomysłu były zarówno ograniczone środki finansowe, jak i niedostępność konstrukcji, która spełniałaby opracowane w 1925 r. wstępne wymagania taktyczno-techniczne. Francuskie lekkie czołgi wywodzące się z „siedemnastki” nie wzbudzały entuzjazmu wojskowych. Fiaskiem zakończyła się pierwsza próba opracowania własnego czołgu.

Szansą na wyjście z patowej sytuacji stała się propozycja przedłożona we wrześniu 1926 r. Departamentowi Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych przez Ronalda Botterilla, przedstawiciela brytyjskiej firmy Vickers Ltd w Polsce. Brytyjczycy przekazali dane o nowym czoł-

gu sześciotonowym (Six-Ton Tank), którego nie zaakceptowała ich armia, a tym samym otworzyła się możliwość sprzedaży klientom zagranicznym. Polacy jednak przez kilka lat przyglądali się tej konstrukcji.

Dopiero w 1930 r., po targach London '30, płk Józef Siłakowski, zastępca kierownika Instytutu Badań Inżynierii, który był na targach, zasugerował zakup wzorcowego egzemplarza. Jeśli maszyna przeszłaby pomyślnie testy, to po zakupie licencji możliwe stałoby się opracowanie własnej konstrukcji.

Brytyjczycy zgodzili się przysłać w 1930 r. egzemplarz czołgu do badań. Próby terenowe obnażyły pewne jego słabości konstrukcyjne. Niemniej jednak sześciotonowy Vickers w ogólnej ocenie wypadł pozytywnie w porównaniu z innymi ówczesnymi czołgami. Początkowo chciano kupić tylko gotowe wozy dla dwóch kompanii i dużo części zapasowych, które pozwoliłyby na montaż kolejnych maszyn w kraju, a następnie skopiowanie czołgu. Brytyjczycy, mając jednak w pamięci transakcję



Czołg TTP dwuwieżowy w czasie pokazów wojskowych na Polu Mokotowskim podczas uroczystości święta 3 Maja w Warszawie, 3 maja 1938 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (4)

Francuskie lekkie czołgi Renault FT17 podczas pokonywania przeszkód. Na górnym zdjęciu widoczne wozy z dwiema różnymi wieżami, z różnym uzbrojeniem.

z Polską dotyczącą tankietek Carden-Loyda, odmówili sprzedaży dużej ilości części zapasowych. Polska ostatecznie zdecydowała się na zakup 38 gotowych czołgów Vickers Mark E type A, czyli wersji dwuwieżowej, uzbrojonej w karabiny maszynowe Hotchkiss wz. 25 kal. 7,92 mm. Umowę, która obejmowała też opłaty licencyjne i patentową podpisano we wrześniu 1931 r. Co ciekawe, już w następnym roku czołgi Vickers uznano za sprzęt doświadczalny i szkolny.

Początki „siódemki”

Nabycie licencji zaowocowało rozpoczęciem w 1932 r. prac nad zupełnie nowym czołgiem, oznaczonym początkowo jako VAU-33, w którym postanowiono wykorzystać niektóre rozwiązania z wozu brytyjskiego. Interesujące przy tym było to, że Brytyjczycy zastrzegli w umowie, iż w Polsce nie będzie mogło być produkowane opancerzenie i silnik, ale naszej stronie zupełnie na tym nie zależało, bo już wcześniej uznała, że to najslabsze elementy konstrukcji Vickersa E.

Benzynowy czterocylindrowy silnik Armstrong-Siddeley „Puma” o mocy 92 KM zastąpiono silnikiem wysokoprężnym Saurer BLD o mocy 110–115 KM. Wybór tej jednostki napędowej wynikał z tego, że produkowano ją w Polsce. Konsekwencją takiej decyzji była konieczność przekonstruowania przedziału silnikowego. Zmodyfikowano też inne elementy układu napędowego. Wzmoc-



niono również opancerzenie, którego maksymalna grubość zwiększyła się z 13 do 17 mm. Kadłub i wieże powstawały z krajowych płyt pancernych cementowanych (nawęglanych), które łączono nitami i śrubami. Jesienią 1934 r. nowy czołg formalnie przyjęto na uzbrojenie i otrzymał on oznaczenie 7TP (skrót ten najczęściej jest rozwijany jako „siedmiotonowy polski”). Niemniej jednak próby trwały i konstrukcję ciągle poprawiano.

Dowództwo Broni Pancernych 18 marca 1935 r. zamówiło pierwszą partię 22 seryjnych wozów. Producentem 7TP były Polskie Zakłady Inżynieryjne w Czechowicach (po II wojnie światowej Czechowice wraz z kilkoma pobliskimi miejscowościami stały się miastem, którego nazwę zmieniono potem na Ursus, a następnie przyłączono do Warszawy), ale w projekt zaangażowane ►

było wiele innych firm. Początkowo czołgi te były dwuwieżowe. Na pojazdach z pierwszej partii zamontowano wieże zdjęte z 22 wozów Vickers, z karabinami maszynowymi wz. 30. W zamian zamontowano na nich wieże za armatą Vickers-Armstrong QF Mk E kal. 47 mm i karabinem maszynowym wz. 30 kal. 7,92 mm. Tym samym czołgi te upodobniły się do wersji Vickers E type B. W lutym 1936 r. złożono drugie zamówienie na 16 dwuwieżowych 7TP, ale to nie była wersja docelowa.

Z armatą Boforsa

Wojsko Polskie oczekiwało czołgu jednowieżowego uzbrojonego w armatę i karabin maszynowy. Po przeanalizowaniu różnych propozycji postanowiono znowu skorzystać ze wsparcia zagranicznego. Wpływ na uzbrojenie 7TP miał wybór działa firmy Bofors kal. 37 mm na armatę przeciwpancerną. Opracowanie jej wariantu czołgowego i wieży zlecono Szwedom. Ci mieli już pewne doświadczenia, gdyż stworzyli podobną wieżę dla własnej armii. Wieżę modelową wraz z dokumentacją techniczną dostarczono do Polski w listopadzie 1936 r. Szwedzki prototyp nie miał tylnej niszy na radiostację, ale na polskich rysunkach ona już była.

Dużą wagę przyłożono, aby zapewnić załodze jak najlepsze możliwości obserwacji i celowania. Jednym z urządzeń był odwracalny peryskop obserwacyjny skonstruowany w 1934 r. przez mjr. inż. Rudolfa Gundlacha. Jego podstawą były dwa przesuwne pryzmaty. Peryskop ten zapewniał obserwację dookoła 360 stopni, z polem widzenia w poziomie 54 stopnie oraz 20 stopni w pionie. Załoga dysponowała celownikiem teleskopowym wz. 37 i celownikiem peryskopowym wz. 37. Ten ostatni wywodził się z TWZ-1 firmy Zeiss. Przyrządy obserwacyjne i celownicze produkowały Polskie Zakłady Optyczne w Warszawie.

Choć wszystkie czołgi miały nisze dla radiostacji, to sprzęt łączności przewidziano tylko dla wozów dowódców batalionów, kompanii i plutonów. Dla pojazdów pancernych powstała radiostacja N2/C będąca odmianą radiostacji N2, której WP zakupiło ponad tysiąc egzemplarzy. Prawdopodobnie do wybuchu wojny w radiostację wyposażono ponad 30 czołgów 7TP. Dwuosobowe wieże z armatą 37-milimetrową zamontowano na wozach z drugiego zamówienia. Kolejne zlecenia składane od 1937 r. dotyczyły tylko wersji jednowieżowej. Co więcej, postanowiono zmodernizować do niej wcześniej niektóre z wytworzonych dwuwieżowych 7TP.

Według przyjętych założeń miało być wyprodukowanych 206 czołgów 7TP. Niemniej roczne zamówienia wynosiły zaledwie 16 sztuk. Duży wpływ na to miały ograniczone środki finansowe. Przy takim tempie dostaw ostatnie z 206 wozów trafiłyby do wojska w... 1944 r. Na produkcję 7TP negatywnie wpłynęły też wątpliwości co do wartości lekkich czołgów na przyszłym polu walki. Doświadcze-



nia z wojny domowej w Hiszpanii pokazały bowiem, że są one bardzo wrażliwe na ogień armat przeciwpancernych. Stąd w 1938 r. produkcja była nawet zastopowana. Ostatecznie do wybuchu wojny wyprodukowano – nie licząc prototypów – 132 7TP, 110 jednowieżowych i 22 dwuwieżowe. Wystarczyły one na pełne wyposażenie dwóch batalionów, które według etatów miały mieć 49 7TP w linii i kilka zapasowych. Tymczasem zgodnie z planem z 1937 r. rozbudowy i unowocześnienia sił zbrojnych przewidywano, że do 1940 r. powstanie jako odwód Naczelnego Dowództwa m.in. 8 batalionów wyposażonych w 412 wozów 7TP, w tym 20 rezerwowych.

Dwa bataliony

Dwa prototypy polskiego lekkiego czołgu trafiły do Biura Badań Technicznych Broni Pancernej w Czechowicach i Centrum Wyszkożenia Broni Pancernej w Modlinie. Czołgi seryjne jako pierwsza jednostka liniowa otrzymał zaś w 1935 r. 3 Batalion Pancerny w Warszawie, który miał już wozy Vickers. Potem działała zasada kaskady. Wraz z dostawami kolejnych czołgów 7TP brytyjskie pojazdy przekazano 2 Batalionowi Pancernemu w Żurawicy k. Przemyśla. Następnie podobnie postąpiono z dwuwieżowymi 7TP, zachowując ich tylko część na potrzeby szkoleniowe. Te zaś – poza Żurawicą – trafiły też do Modlina. Pierwszą partię jednowieżowych 7TP 2 Batalion Pancerny otrzymał w końcu 1938 r.

Pierwszą operacją wojskową, w której użyto 7TP, było zajęcie Zaolzia jesienią 1938 r. W składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk” znalazł się batalion czołgów lekkich wystawiony przez 3 Batalion Pancerny liczący dwie kompanie wyposażone w 32 maszyny 7TP.

Utworzone w 1935 r. w Wojsku Polskim samodzielne bataliony pancerne w liczbie 11 wykonywały w czasie pokoju zadania organizacyjno-szkoleniowe. Dopiero podczas mobilizacji miano na ich bazie stworzyć jednostki bojowe, w tym bataliony czołgów lekkich 7TP.



Pluton czołgów 7TP z armatką czołgową Bofors wz. 37 kal. 37 mm – w czasie ćwiczeń w 1939 r.



Polskie wojska pancerne podczas defilady po zajęciu Zaolzia. Wiodący czołg dwuwieżowy 7TP. Czeski Cieszyń, październik 1938 r.

Te według etatu miały składać się z trzech kompanii czołgów po 16 wozów. Przewidziano też jeden dla dowódcy batalionu, czyli łącznie chciano wystawić 49 pojazdów 7TP. Do tego dochodziło 69 samochodów i ciągników oraz 26 motocykli. Personel batalionu to 22 oficerów, 155 podoficerów i 274 szeregowych.

1 Batalion Czołgów Lekkich utworzono 24–25 sierpnia 1939 r., wykorzystując personel i sprzęt 3 Batalionu Pancernego. Z kolei 2 Batalion Czołgów Lekkich powstał w Żurawicy 27–29 sierpnia 1939 r. Obie jednostki przewidziane były dla Armii „Prusy” (w części publikacji funkcjonuje także nazwa Armia Odwodowa).

Fikcyjna podległość

Wybuch wojny zastał 1 Batalion Czołgów Lekkich w Inowrocławiu na Pomorzu, gdyż przydzielono go do Korpusu Interwencyjnego. Zgrupowanie to utworzono, gdyż władze Polski obawiały się hitlerowskiego puczu w Wolnym Mieście Gdańsku. Jednostkę 1 września 1939 r. przerzucono transportem kolejowym w rejon Kolaszek. Batalion ten przejechał do lasów w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego.

Natomiast 2 Batalion Czołgów Lekkich opuścił Żurawicę w nocy z 29 na 30 sierpnia 1939 r. W pierwszym dniu wojny jednostka wylądowała się w Bednarach pod Sochaczewem (kompania techniczna) i w Łowiczu (kompanie czołgów). Pododdziały 7TP przejechały

w okolicy Nieborowa. Ponieważ był to rejon działania Armii „Łódź”, jej dowódca, gen. Juliusz Rómmel, przejął nad batalionem kontrolę, czego nie akceptował dowodzący czołgistami mjr Edmund Karpów. 2 Batalion podporządkowano bezpośrednio dowódcy Grupy Operacyjnej „Piotrków”, co oznaczało ponowne przewiezienie czołgów koleją. Pomimo problemów z brakiem odpowiedniego taboru udało się je przetransportować do Pabianic po południu 2 września.

Sytuacja na odcinku broniącym przez Armię „Łódź” nieustannie się zmieniała, korektom ulegały więc również rozkazy o kierunkach przemieszczania się 2 Batalionu, który ostatecznie znalazł się w pobliżu Bełchatowa. Po południu 4 września 1939 r. 2 Batalion stał się z jednostkami niemieckiej 1 Dywizji Pancerniej na południowy zachód od Piotrkowa Trybunalskiego. Następnego dnia 1 i 3 kompania w rejonie Woli Rokszczyckiej przeprowadziły kontratak, który się nie powiódł z powodu ostrzału wrogich armat przeciwpancernych. Próbująca utrudnić Niemcom przeprawę przez rzekę Prudka 2 kompania odniosła początkowo sukces. Wraz z piechotą zdobyła Wolę Krzysztoporską i dotarła w rejon Jeżowa, gdzie napotkała czołgi z niemieckiej 4 Dywizji Pancerniej, które wsparła artyleria. Polacy wycofali się, a batalion rozpadł się na dwie części. Zgrupowanie 1 i 3 kompanii po dwudniowych walkach miało 20–22 czołgi. Natomiast w 2 kompanii wraz z pojazdami, które dołączyły, było ich 17.

Dopiero 5 września 1939 r. do walki wszedł 1 Batalion Czołgów Lekkich, który pierwsze dni wojny spędził na kolejnych przemarszach, tracąc cenne paliwo dla 7TP, bo dowództwo Armii „Prusy” nie miało pomysłu na użycie oddziału. Wozy z 2 kompanii starły się z czołgami niemieckiej 1 DPanc. pod Łuciążą. Dwa dni później 3 kompania pod Inowłodzkiem walczyła z siłami tejże dywizji posuwającej się z rejonu Spały w kierunku Nowego Miasta nad Pilicą. Wieczorem 7 września batalion osłaniał odwrót polskiej 13 Dywizji Piechoty.

W odwrocie

W następnym dniu 1 Batalion podzielono na małe pododdziały, którym nakazano obronę na rzeczce Drzewiczka. Doszło do walk z czołgami niemieckiej 1 Dywizji Lekkiej. Ten dzień był znamienity, połowę z utraconych czołgów stanowiły bowiem straty niebojowe. Pojazdy musiano zniszczyć, bo nie było możliwości usunięcia defektów technicznych. W kolejnych dniach zaczęło brakować paliwa. Po 10 września z 1 Batalionu pozostało tylko zgrupowanie złożone z 3 kompanii oraz pojedynczych plutonów z 1 i 2 kompanii. Pancernikom udało się przeprawić pod Maciejowicami przez Wisłę i znaleźć paliwo na stacji kolejowej Sobolew. W rejonie Kraśnika połączyli się z Warszawską Brygadą Pancerno-Motorową. Ostatnią akcją bojową resztek 1 Batalionu była bitwa o Tomaszów Lubelski 18–20 września 1939 r. Kiedy dowódca Armii „Lublin” gen. dyw. Tadeusz Piskor zdecydował się skapitulować, zniszczono ostatnie 7TP.

Losy bliźniaczej jednostki były podobne. Zgrupowanie 2 Batalionu złożone z ponad 20 czołgów – części 1 i 3 kompanii – dołączyło chwilowo 6 września do Wołyńskiej Brygady Kawalerii. W składzie w Chojnach k. Łodzi udało się uzupełnić paliwo. 7TP poruszały się 7 września drogą z Łodzi do Łowicza. Po przenocowaniu w rejonie miasta kolumna ruszyła dalej ku Żyrardowowi i Grodziskowi Mazowieckiemu.

Z 15 czołgów, które grupa miała jeszcze w Łowiczu, do Grodziska dotarło 9. Czołgi, w których zaczęło brakować paliwa, stanęły we wsi Polesie k. Milanówka. Tam po południu 8 września 7TP zostały dostrzeżone i zaatakowane przez niemiecką kompanię saperów z 4 Dywizji Pancernej. Relacje stron o tym starciu są sprzeczne. Niemniej jednak na pewno w ręce wroga nie wpadły wszystkie polskie czołgi. Trzy próbowały następnego dnia przebić się do Warszawy.

Drugiemu zgrupowaniu 7TP złożonemu z 2 kompanii oraz części 1 i 3 kompanii dowództwo Armii „Łódź” rozkazało 6 września skierować się do Rawy Mazowieckiej. Ponieważ tamtejszy most był uszkodzony, polskie czołgi ruszyły ku Skierniewicom. W nieustalonym miejscu przeprawiły się przez Wisłę. Możliwe, że ta część 2 Batalionu przejechała przez Warszawę. Wiadomo, że w nocy z 7 na 8 września zatrzymała się na postój w Starej Miłosnej.

Zgrupowaniu, które wówczas miało 17 czołgów i 50 innych pojazdów, 10 września wydano rozkaz odjazdu do Lublina. Jednak podczas nalotu na Garwolin uległo ono rozpadowi. Pojazdy techniczne pojechały ku wyznaczonemu celowi, a czołgi przez Łuków i Białą Podlaską dojechały do Brześcia nad Bugiem. Z 14 wozów, które dotarły, stworzono kompanię mającą osłaniać znajdującą się tutaj Kwaterę Główną Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Aby zdobyć części do napraw, rozebrano jeden z czołgów.



Defilada czołgów przed gubernatorem Hansem Frankiem i marsz. Wilhelmem Listem na ulicy Zwycięstwa (Aleje Ujazdowskie) w Warszawie z okazji pierwszej rocznicy kapitulacji wojsk polskich w kampanii wrześniowej. Widoczne czołgi 7TP (polskiej produkcji).

Kompania 7TP otrzymała 13 września rozkaz skierowania się do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie przeniosło się Naczelne Dowództwo. W starciach z Niemcami straciła w następnych dniach trzy wozy. Na nowy punkt docelowy wyznaczono Kowel, gdzie jednostkę przeorganizowano w dwa pięcioczołgowe plutony. Kiedy 17 września Związek Sowiecki napadł na Polskę, stan techniczny czołgów uniemożliwił przemieszczenie się ku granicy z Rumunią, więc je spalono, a sami czołgiści przekroczyli 20 września 1939 r. granicę z Węgrami.

Warszawska improwizacja

1 i 2 Bataliony Czołgów Lekkich nie były jedynymi jednostkami 7TP uczestniczącymi w walkach z Niemcami. W pierwszych dniach września z pozostałych w Warszawie dwuwieżowych wozów 3 Batalionu Pancernego oraz 7TP i maszyn Vickers przybyłych z Modlina sformowano Grupę Pancerno-Motorową Dowództwa Obrony Warszawy. Początkowo miała ona jedną, 2 kompanię dwuwieżowych „siódemek”. Później dołączyła utworzona 5–7 września 5 kompania licząca 11 fabrycznie nowych jednowieżowych 7TP, które wojna zastała podczas prób odbiorczych.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Przełamanie polskiej obrony na styku Armii „Prusy” i „Łódź” spowodowało, że Warszawa stała się miastem frontowym. Stąd część grupy przeprowadziła rozpoznawanie w kierunku Grójca i Nowego Miasta nad Pilicą, nie napotykając Niemców. Natomiast inny pododdział, w tym pluton dwuwieżowych 7TP, 7 września wykonał podobne zadania na północny wschód od stolicy, na kierunku Pułtusza i Wyszkowa, gdzie chwiała się polska obrona Bugu i Narwi.

Czołgi 7TP przeprowadziły 10 września 1939 r. wypad na Wawrzyszew (wówczas była to podwarszawska wieś). Bardzo kosztowny okazał się wykonany dwa dni później wypad na Okęcie. Wprawdzie zniszczono kilka niemieckich samochodów i samolot rozpoznawczy, ale stracono pięć lub nawet siedem z biorących udział w akcji czołgów. Ocalałe wozy włączono do jednej kompanii. Poniosła ona duże straty 16 września podczas wypadu w kierunku Nowego Chrzanowa. W momencie kapitulacji Warszawy w kompanii było kilka 7TP.

Wraz z Ośrodkiem Zapasowym Broni Pancernych nr 3 ewakuowano z Żurawicy k. Przemyśla na wschód szkolne dwuwieżowe czołgi 7TP 2 Batalionu Pancernego. Nie ma informacji o walkach z Niemcami. Natomiast podczas przeprawy przez Dniestr w Niżniowie w województwie stanisławowskim utracono dwie „siódemki” w starciu z Sowieci.

Dobry, ale...

7TP był z pewnością najlepszym pojazdem pancernym krajowej konstrukcji, seryjnie produkowanym przed wrze-

śniem 1939 r. Inne konstrukcje polskich czołgów, jak 10TP, nie wyszły poza etap prototypu. Atutem 7TP była bardzo dobra armata kal. 37 mm. Tym samym był on lepiej uzbrojony niż stanowiące we wrześniu 1939 r. trzon sił pancernych Wehrmachtu wozy Panzerkampfwagen I i PzKpfw II. Aczkolwiek 20-milimetrowa armata tego ostatniego była groźna dla polskiego czołgu na krótszych dystansach, bo jedna z jego słabości to tylko kilkunastomilimetrový pancerz, cieńszy niż w niemieckich PzKpfw III, PzKpfw 35(t) bądź PzKpfw 38(t).

Polscy wojskowi, którzy śledzili wojnę w Hiszpanii, wiedzieli, że potrzebne będzie wzmocnienie 7TP. Podjęto więc prace nad mocniej opancerzonym czołgiem, który otrzymał później oznaczenie 9TP. Wóz ten miał mieć pancerz do 40 mm i masę ok. 11 t. Do wybuchu wojny powstały tylko dwa prototypy. Możliwe, że lepszym rozwiązaniem byłoby zastosowanie w 7TP pancerza spawanego niż nitowanego oraz przedniej ściany kadłuba pod kątem niż pionowej. Przedni pancerz osłabiał dodatkowo, wykonany z cieńszej płyty, właz kierowcy.

W porównaniu z konstrukcjami nowych francuskich czołgów lekkich Hotchkiss H-35 i Renault R-35, lepszym rozwiązaniem była w „siódemce” dwuosobowa wieża oraz wyposażenie wozów dowódców w radiostacje. Aczkolwiek w wojennych relacjach oficerów jednostek pancernych pojawia się kwestia nieznanomości tego sprzętu przez żołnierzy. Problem ten dotyczył zwłaszcza rezerwistów, którzy trafili do batalionów 7TP w trakcie mobilizacji. W jednostkach brakowało też techników do utrzymania i napraw radiostacji.

Piętą achillesową 7TP okazał się silnik wysokoprężny na olej napędowy. O jego wyborze nie zdecydował wcale tak często podkreślany w niektórych publikacjach w przeszłości czynnik, że paliwo to jest trudniej palne od benzyny, tylko fakt, że był produkowany w kraju. Zresztą silniki wysokoprężne do napędu czołgów stosowali podczas II wojny światowej najczęściej Sowieci. W międzywojennej Polsce diesle nie były popularne, więc podczas kampanii wrześniowej ciężko było o paliwo do nich spoza źródeł wojskowych. Jego niedostatek powodował zaś porzucanie czołgów. Innym powodem był brak możliwości napraw uszkodzonych czołgów. W warunkach wojennych nie było szans ich ewakuacji do warsztatów w głębi kraju. Co gorsza, z powodu bałaganu, a może sabotażu, w skrzyniach opisanych jako części zapasowe do 7TP były te dla Vickersa E. Musiano więc kanibalizować najbardziej uszkodzone czołgi, by móc naprawić pozostałe.

TADEUSZ WRÓBEL dziennikarz i publicysta miesięcznika „Polska Zbrojna” i portalu Polska-Zbrojna.pl, ekspert do spraw wojskowości.

Bibliografia:

Jędryka J., Magnuski J., Sembrat, P., *7TP*, Warszawa 2008.
Ledwoch J., Magnuski J., Szubański R., *7TP, Tank Power Vol. CXLI*, Warszawa 2014.
Polska broń pancerna 1918–1939, „Wozy Bojowe Świata” nr 8/2017 listopad–grudzień 2017.
Relacje o działaniach czołgów 7TP, Rocznik Archiwalno-Historyczny CAW nr 2/31 2009.



Między Ankona a



„General Kazimierz Sosnkowski był przeciwny powstaniu w Warszawie. Uważał, że nie uratuje ono niepodległości Polski, a poprzez wyniszczenie Armii Krajowej ułatwi sowietyzację kraju” – mówi dr Jerzy Kirszak.

JERZY KIRSZAK doktor, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu, zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu Historyczno-Wojskowego”. Autor m.in. biografii gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Jaki był cel podróży Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego latem 1944 r. na front włoski?

General Sosnkowski wyjechał do Włoch „na bitwę” 2 Korpusu Polskiego o Ankona. Wyjazd ten był jednakże planowany dużo wcześniej. Sosnkowski, jeszcze przed zakończeniem wiosennej inspekcji 2 Korpusu na froncie włoskim podjął decyzję o powrocie do Korpusu przed rozpoczęciem zaplanowanej na maj bitwy o Monte Cassino. Miał wylecieć z Londynu 3 maja 1944 r., tak żeby wśród żołnierzy 2 Korpusu znaleźć się przed bitwą. Tymcza-

sem Anglicy odmówili polskiemu Naczelnemu Wodzowi przelotu. Wobec zamierzonego lądowania sprzymierzonych w Normandii wstrzymano bowiem wszelkie loty samolotów z Wielkiej Brytanii, które nie miały ścisłego związku z inwazją. Cztery dni po zajęciu klasztoru na Monte Cassino dowódca Korpusu gen. Władysław Anders pisał do Naczelnego Wodza Kazimierza Sosnkowskiego: „Usilnie proszę Pana Generała o przyjazd jak najszybciej do nas. Obecność Pana Generała w tych wielkich chwilach uważam za niezmiernie pożądaną”¹. Ostatecznie jednak wyjazd gen. Sosnkowskie-

2

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)



1. Generałowie Harold Alexander (pierwszy z prawej) i Oliver Leese (drugi z prawej) składają gratulacje gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu (pierwszy z lewej) i gen. Władysławowi Andersowi (drugi z lewej) po zajęciu Ankony. Na mundurach Brytyczków widać oznaki rozpoznawcze 2 Korpusu Polskiego, a na mundurze gen. Andersa oznakę 8 Armii i Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino.

2. Wizyta Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego na froncie włoskim. Castel di Sangro, 30 marca 1944 r. Naczelnny Wódz z żołnierzami 3 Dywizji Strzelców Karpackich, za jego plecami gen. Stanisław Kopański.

Warszawą

go stał się możliwy dopiero z początkiem lipca, akurat na mającą się rozpocząć bitwę o Ankonę.

Czy wobec zbliżającego się frontu rosyjskiego i powstania w Warszawie generał nie powinien zostać w Londynie?

W chwili opuszczenia przez gen. Sosnkowskiego Londynu o powstaniu w Warszawie nikt nie myślał, a Armia Czerwona była jeszcze na wschód od Lwowa i Wilna. Generał był ponadto przekonany, że nagły zryw nie może go zaskoczyć, obowiązywał przecież zakaz powstania zawarty w instrukcji rządu i Naczelnego Wodza z 27 października 1943 r. Mimo to, na wszelki wypadek, tuż przed odlotem na front włoski gen. Sosnkowski wysłał dowódcy Armii Krajowej gen. Tadeuszowi „Borowi” Komorowskiemu depeszę, w której pisał m.in.: „powstanie zbrojne narodu nie byłoby usprawiedliwione, nie mówiąc już o braku fizycznych szans powodzenia”². Poza tym gen. Sosnkowski nie mógł przewidzieć utrudnień w łączności ze sztabem w Londynie, tym bardziej że podczas ostatniego pobytu na froncie

włoskim wiosną 1944 r. łączność ta działała poprawnie. Wreszcie wierzył, że w razie alarmu, mając samolot do własnej dyspozycji, będzie mógł wrócić do Londynu w ciągu 48 godzin. Wszystko zatem wskazywało na to, że konieczna inspekcja na froncie bojowym 2 Korpusu nie przyniesie niepożądanych skutków w postaci wyjścia AK poza ramy realizowanej operacji „Burza”, tzn. akcji dywersyjnej i walk z wycofującymi się oddziałami tylnymi tylnych straży niemieckich.

Jaki był stosunek generała do powstania?

Generał Sosnkowski był zdecydowanie przeciwny powstaniu w warunkach polityczno-militarnych lata 1944 r. Uważał, że nie uratuje ono niepodległości Polski, więcej – poprzez wyniszczenie AK, hekatombę krwi, wybicie elit i nieobliczalne straty – ułatwi sowietyzację kraju. Zalecał natomiast kontynuować akcję „Burza”. Właśnie to zalecenie niektórzy sprawcy powstania zaczęli przedstawiać jako argument za rzekomym sprowokowaniem przez gen. Sosnkowskiego powstania. Nawet obecnie przy okazji obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego słyszy się niekiedy, że było ono elementem planu „Burza”, czyli jawnej walki AK z Niemcami. Tymczasem Warszawa była z „Burzy” wyłączona. Rozpoczęcie walki w stolicy nie nosiło cech akcji dywersyjnej wymierzonej w tylne straże wycofujących się Niemców. Przedstawiając to obrazowo, „Burza” w Warszawie polegałaby na zaatakowaniu przez AK ostatniej wycofującej się niemieckiej kompanii lub baterii, znajdującej się na rogatkach Woli. Walkę przeprowadzono według nieznacznie zmodyfikowanych planów powstania powszechnego, a prowadzona była w stolicy, gdzie mieściły się najważniejsze ośrodki podziemnego państwa, które czyniły z niej niemal powstanie powszechne. Generał Sosnkowski przestrzegał też, żeby w razie wybuchu zrywu nie liczone na pomoc z zewnątrz.

Czy to stanowisko było znane w Londynie i w kraju?

Tak, stanowisko Naczelnego Wodza było znane zarówno w Warszawie, jak i w Londynie. W czasie pobytu wśród walczących wojsk 2 Korpusu generał był na bieżąco informowany o rozwijającej się w Polsce sowieckiej ofensywie. Wiedząc, że w rządzie premiera Stanisława Mikołajczyka istniały tendencje do zawarcia ugody z Józefem Stalinem bez względu na cenę, uważał za moralny obowiązek przestrzec dowódcę AK przed konsekwencjami takiego rozwiązania. Wysłał więc wiele depesz, które na skutek niebывałej intrygi oficerów Sztabu Naczelnego Wodza doręczono do adresata bądź z opóźnieniem, bądź po ocenzurowaniu, wreszcie jednej w ogóle nie przekazano. Wyjątki tych depesz były następujące: „W chwili, gdy grozić będzie bezpośrednio okupowanie Warszawy przez Sowiety, dowództwo i sztab podzielić na dwa rzuty. Jeden z nich pozostaje w Warszawie, gdzie – nie ujawniając się – wspólnie z rzu- ▶



Gen. Kazimierz Sosnkowski
wśród żołnierzy 2 Korpusu
Polskiego po zajęciu Ankony
19 lipca 1944 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

tem politycznym [...] kieruje oporem przeciwko sowieckiej polityce faktów dokonanych. Ujawnianie się nie ma sensu wobec utworzenia tzw. Komitetu Wyzwolenia Narodowego i perspektywy aresztowania ujawnionych władz przez Sowiety³ (25 lipca); „W obliczu szybkich postępów okupacji sowieckiej na terytorium kraju trzeba dążyć do zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu w obliczu podwójnej groźby eksterminacji⁴ (25 lipca); „W obliczu sowieckiej polityki gwałtów i faktów dokonanych, powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary⁵ (28 lipca); „Walka z Niemcami musi być kontynuowana w formie »Burzy«. Natomiast w obecnych warunkach politycznych jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu, którego sens historyczny musiałby z konieczności wyrazić się w zamianie jednej okupacji na drugą. [...] nie widzę żadnej możliwości nawet rozważania sprawy powstania⁶ (29 lipca); „Jeszcze raz powtarzam: jestem w obecnych warunkach politycznych bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu, którego sensem z konieczności byłaby zamiana jednej okupacji na drugą⁷ (30 lipca). Czyż można zatem twierdzić, że dyrektywy gen. Sosnkowskiego z lipca 1944 r., choć pisane w formie przyjętej na tym szczepku dowodzenia i w granicach maksymalnych uprawnień Naczelnego Wodza, nie były dość wyraźne?

Czy obecność Naczelnego Wodza w Londynie mogła zmienić decyzje w kwestii wybuchu Powstania Warszawskiego?

Pozostanie gen. Sosnkowskiego w Londynie niczego by nie zmieniło. W tym czasie ośrodek decyzyjny przeniósł się już znad Tamizy nad Wisłę. Komenda Główna Armii Krajowej uniezależniła się od rządu i Naczelnego Wodza. Dowodem tego jest właśnie fakt wywołania powstania bez zgody i oglądania się na gen. Sosnkowskiego. Poza tym do powstania zachęcał rząd premiera Mikołajczyka, któremu Naczelnny Wódz podlegał. Generał Sosnkowski mógł tylko doradzać, ale go nie słuchano.

Skąd pojawił się więc zarzut, że to jego wyjazd w pewnym sensie doprowadził do wybuchu powstania?

Zarzut ten pojawił się z chęcią zrzucenia odpowiedzialności za tę tragiczną w skutkach decyzję. Jak wspomniałem, stanowisko gen. Sosnkowskiego, mimo różnych manipulacji z jego depeszami, było dobrze znane ówczesnym władzom polskim, zarówno cywilnym i wojskowym, w okupowanej Polsce, jak i na emigracji. Dopiero później ludzie ci zaczęli zmieniać zdanie i winić generała o umyślne bądź nieumyślne spowodowanie powstania. Wymownym przykładem takiego zachowania jest postawa gen. „Bora”, który w 1951 r. podczas rozmowy z gen. Sosnkowskim, zapytany przez niego: „Jak mogliście nie usłuchać mego rozkazu zabraniającego Powstania”, odpowiedział: „Bo wtedy cała chwała spadła by [tak w oryginale] na oddziały AL⁸. Z kolei w 1965 r. na pytanie historyka: „A gdyby Naczelnny Wódz zakazał walki o Warszawę?”, odpowiedział: „To byśmy jej nie rozpoczynali. Rozkaz byłby wykonany⁹. Podobnie zachował się gen. Anders, choć on akurat nie miał niczego wspólnego z wywołaniem powstania. O ile w depeszy do Naczelnego Wodza z 11 sierpnia 1944 r. określał decyzję dowódcy AK jako tragiczną i powziętą „mimo wyraźnego zakazu Pana Generała¹⁰, to już później twierdził, że jednak tego wyraźnego rozkazu Sosnkowski nie wydał. Pamiętajmy też, że gen. Sosnkowski oprócz sprzeciwu wobec powstania niewiele mógł zdziałać. Pozycja Naczelnego Wodza w 1944 r. była znacznie słabsza niż w chwili rozpoczęcia wojny. Regulował to m.in. dekret prezydenta Rzeczypospolitej z maja 1942 r., podporządkowujący Naczelnego Wodza rządowi. Po latach gen. Sosnkowski, odnosząc się do często powtarzanych wobec niego ataków, napisał: „W lipcu 1944 roku byłem winien, albowiem rzekomo nie zdołałem przekonać rządu o tragicznej niecelowości powstania warszawskiego. Mój Boże! Miałem powstrzymać Mikołajczyka, Kota, Stańczyka, Grossfelda, Banaczyka, ks. Kaczyńskiego, którzy w parę miesięcy później znaleźli się w składzie biurotowskiego reżymu!¹¹

Rozmawiała Anna Dąbrowska

¹ Cyt. za: W. Babiński, *Przyczynki historyczne do okresu 1939–1945*, Londyn 1967, s. 653. ² Armia Krajowa w dokumentach. ³ Tamże, t. 4, Wrocław 1991, s. 8, 9. ⁴ Tamże, s. 9, 10. ⁵ Tamże, s. 17. ⁶ Tamże, s. 19. ⁷ Tamże, s. 29. ⁸ Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, Arch. K. Sosnkowskiego, sygn. 93, kol. I, K. Sosnkowski do W. Babińskiego, 2 grudnia 1951 r. ⁹ J.M. Ciechanowski, *Na tropach tragedii. Powstanie warszawskie 1944*, Warszawa 1992, s. 69. ¹⁰ W. Babiński, *Na marginesie książki J.M. Ciechanowskiego, „Zeszyty Historyczne”*, z. 22, 1972, s. 174. ¹¹ K. Sosnkowski, *Materiały historyczne*, Londyn 1966, s. 13.



{ JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE }

stylizowana seria edukacyjna



OSTATNI WYKONAWCY TESTAMENTU POLSKI WALCZĄCEJ

„Czuję się jak człowiek po dobrze wykonanych obowiązkach”
– napisał 28 stycznia 1951 r. **Łukasz Ciepliński**, prezes IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” w grypsach z celi śmierci w więzieniu przy Rakowieckiej w Warszawie.

ELŻBIETA JAKIMEK-ZAPART

Gdyby losy Polski po zakończeniu II wojny światowej potoczyły się inaczej, Łukasz Ciepliński byłby zapewne tylko jednym z wielu oficerów wykształconych w II Rzeczypospolitej, którzy zapisali się chwalebnie na kartach wojny obronnej 1939 r., a po klęsce wrześniowej piastowali wysokie funkcje dowódcze w strukturach Armii Krajowej. To jednak zaangażowanie w drugą konspirację, zakończone tragiczną i przedwczesną śmiercią, a także pozostawione przez niego przesłanie z celi śmierci sprawiły, że jest obecnie jedną z najbardziej rozpoznawalnych i symbolicznych postaci powojennego podziemia antykomunistycznego.

Służba wojskowa

Łukasz Ciepliński urodził się 26 listopada 1913 r. w Kwilczu w Wielkopolsce, w nieźle sytuowanej rodzinie właścicieli piekarni i sklepu kolonialnego, jako siódme z ośmiorga dzieci. Już w szkole wyróżniał się – co podkreślali we wspomnieniach jego rówieśnicy

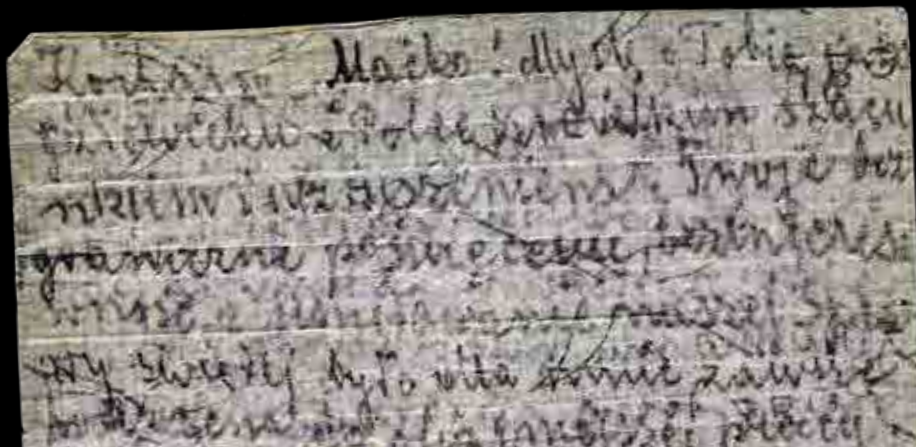
– szczególnymi ambicjami w kontekście rywalizacji o miano prymusa z historii.

W 1929 r. zdał do elitarnego Korpusu Kadetów nr 3 w Rawiczu, który ukończył w 1934 r., otrzymując świadectwo dojrzałości i stopień starszego strzelca. We wrześniu rozpoczął awansem od drugiego roku naukę w Szkole Podchorążych Piechoty w Komorowie k. Ostrowi Mazowieckiej. Kształcenie wojskowe zakończył w stopniu podporucznika i 15 października 1936 r. – jako delegat swego rocznika wraz z innymi nowo wypromowanymi oficerami – został przyjęty przez prezydenta Ignacego Mościckiego na Zamku Królewskim w Warszawie z okazji Święta Niepodległości.

W listopadzie 1936 r. rozpoczął służbę w 62 Pułku Piechoty Wielkopolskiej, w którym w 1938 r. został mianowany dowódcą plutonu, a następnie kompanii przeciwpancernej. W tym samym czasie funkcję dowódcy pułku objął ppłk Kazimierz Heilman-Rawicz, le-

gionista i hallerczyk, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, z którego osobą ściśle splotły się losy młodego oficera aż do początków 1940 r. ►

Gryps. Depozyt redakcji „Zeszytów Historycznych WiN-u”





FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W WARSZAWIE

ŁUKASZ CIEPLIŃSKI tuż po aresztowaniu.
Fragment fotografii sygnalistycznej - odnaleziony w 2017 r.
przez Elżbietę Jakimek-Zapart - publikowany na naszych łamach
po raz pierwszy dzięki uprzejmości Instytutu Pamięci Narodowej.

W obronie ojczyzny

Podporucznik Ciepliński wziął udział w kampanii wrześniowej w składzie 15 Dywizji Piechoty pod dowództwem gen. bryg. Zdzisława Przyjałkowskiego. Początkowo jego macierzysty pułk stał się z Niemcami na przedpolach Bydgoszczy, a podczas odwrotu zwalczał w mieście niemieckich dywersantów. Od 4 września wraz z pułkiem uczestniczył w walkach osłonowych na kierunku Bzury, ochraniając północną flankę cofającej się dywizji w okolicach Czerniewic i Grabkowa. Z 14 na 15 września 1939 r. pododdziały 62 pp skierowały się na przeprawę pod Brochowem, gdzie – po ciężkich walkach z 16 na 17 września 1939 r. – przekroczyły nocą Bzurę, ponosząc duże straty. To w trakcie tych walk, w czasie przeprawy pod Witkowicami Łukasz Ciepliński, dowodzący kompanią przeciwpancerną, zatrzymał natarcie niemieckie, gdy – zastę-

pując przy działku przeciwpancernym zabitego celowniczego i osobiście prowadząc ostrzał atakujących czołgów niemieckich – ogniem na wprost zniszczył, według różnych relacji, od sześciu do ośmiu czołgów, w tym dwa wozy dowódcze. Generał Tadeusz Kutrzeba miał podobno docenić odwagę młodego podporucznika, odznaczając go na polu walki Orderem Virtuti Militari odpiętym z własnego munduru.

Bitwa nad Bzurą ostatecznie zakończyła się przegraną wojsk polskich. Macierzysty pułk Cieplińskiego – poniósłszy straty 700 zabitych i 1 tys. rannych z prawie 2 tys. początkowego składu – zredukowany do stanu baonu nie oddał się do niewoli. Nocą z 18 na 19 września 1939 r. przedostał się do Puszczy Kampińskiej, aby 24 godziny później osiągnąć przedpola Warszawy, gdzie resztki oddziałów wzięły udział w obronie stolicy na odcinku „Sielce”.

DOWÓDZTWO INSPEKTORATU WYDAWAŁO PISMO „NA POSTERUNKU”, W KTÓRYM PUBLIKOWANO ARTYKUŁY OKOLICZNOŚCIOWE I POLITYCZNE ORAZ INFORMACJE O BIEŻĄCEJ SYTUACJI WOJENNEJ W EUROPIE I AFRYCE.

Łukasz Ciepliński w mundurze historycznym Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie k. Ostrowi Mazowieckiej, 1935 r.



Łukasz Ciepliński podczas promocji oficerskiej.



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



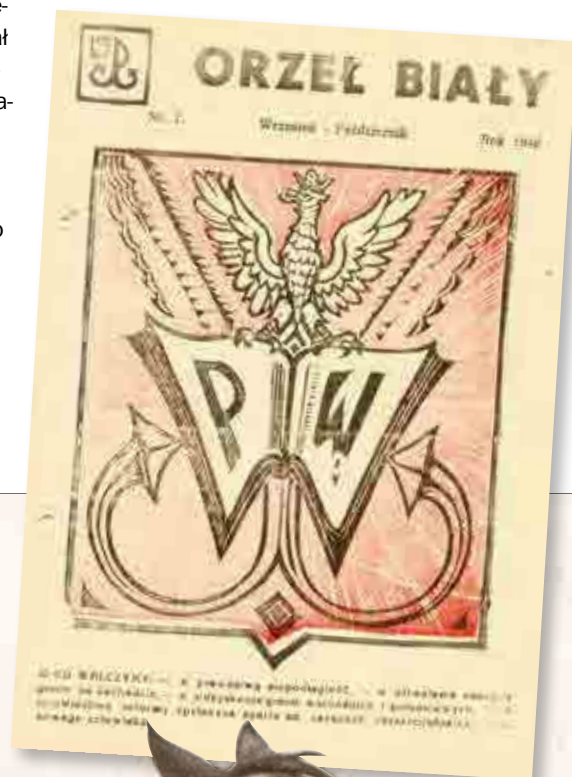
FOT. ARCH.

FOT. ARCHIWUM SP W KWILCZU

Początki konspiracji i wyprawa na Węgry

Po kapitulacji miasta ppor. Ciepliński w roli adiutanta towarzyszył – wraz z dwoma innymi oficerami 62 pp, por. Lucjanem Kühnem i ppor. Zygmuntem Pawłowiczem – dowódcy pułku, gdy ten podjął wysiłek tworzenia załóżków organizacji konspiracyjnej, nawiązując m.in. kontakt z gen. Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim. Poszukiwany przez Niemców ppłk Kazimierz Heilman-Rawicz, zmuszony do opuszczenia Warszawy, przekazał w październiku 1939 r. budowane przez siebie struktury i wyruszył z oficerami ku południowej granicy z zamiarem zaangażowania się w organizowanie konspiracji na południu kraju lub przedostania się przez Węgry do tworzonego we Francji Wojska Polskiego.

Dotarłszy wraz z podkomendnymi na Podkarpacie, nawiązał kontakt z mjr. dypl. Pawłem Zagórowskim „Strzemieniem”, twórcą siatki Organizacji Orła Białego (OOB) w południowej części województwa krakowskiego. Dzięki niemu otrzymał później z Komendy Głównej OOB w Krakowie zadanie zorganizowania Podokręgu Rzeszowskiego, obejmującego powiaty województwa lwowskiego pozostające pod okupacją niemiecką. Z polecenia ppłk. Kazimierza Heilman-Rawicza por. Lucjan Kühn miał ▶



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



Ppor. Łukasz Ciepliński w 1939 r. jako dowódca kompanii ppanc. 62 pp.



1

MACIERZYSTY PUŁK CIEPLIŃSKIEGO – PONIÓSŁSZY STRATY 700 ZABITYCH I 1 TYS. RANNYCH Z PRAWIE 2 TYS. POCZĄTKOWEGO SKŁADU – ZREDUKOWANY DO STANU BAONU NIE ODDAŁ SIĘ DO NIEWOLI.

zorganizować rejon Sanok, ppor. Łukasz Ciepliński – rejon Rzeszów, a ppor. Zygmunt Pawłowicz – rejon Przemyśl OOB. W połowie grudnia 1939 r. ppłk Kazimierz Heilman-Rawicz – wysłuchawszy przemówień radiowych gen. Władysława Sikorskiego – wraz z podkomendnymi podjął decyzję o wyprawie na Węgry do bazy łącznikowej nr 1 kryptonim „Romek” w Budapeszcie, aby po zaznajomieniu się z aktualną sytuacją i otrzymaniu instrukcji wrócić do pracy konspiracyjnej w kraju. Grupa czterech oficerów, do których dołączył syn dowódcy Jan, wyruszyła 16 grudnia pociągiem z Rzeszowa do Jasła, następnie do Nowosielec, skąd pieszo dotarli do Bukowska. Podróż nie była łatwa. Jan Heilman-Rawicz już na początku złamał nogę i na tym tle doszło do rozbieżności zdań pomiędzy sugerującymi niezabieranie go w dalszą drogę ppor. Cieplińskim i Pawłowiczem a ich dowódcą. Ostatecznie konspiratorzy w komplecie przekroczyli granicę 20 grudnia i dwa dni później dotarli do polskiego konsulatu w Użhorodzie, a następnie podzieleni na dwie grupy zameldowali się w polskim poselstwie w Budapeszcie 24 grudnia. Przez kilka dni Kazimierz Heilman-Rawicz prowadził z komendantem bazy i jednocześnie pełnomocnym przedstawicielem Naczelnego Wodza, płk. Alfredem Krajewskim, roz-

mowy na temat sytuacji w kraju, których treść przesyłana była codziennie depeszami nocnymi do Paryża. Przekazywane informacje sprawiły, że gen. Władysław Sikorski zażądał przyjazdu Kazimierza Heilman-Rawicza do Francji, przysyłając nawet specjalną wysłanniczkę, która miała go do tego nakłonić. Wobec jego kategorycznej odmowy i nieodwołalnej decyzji powrotu do kraju, oficerów zaprzysiężono i przeszkolono m.in. z zakresu akcji sabotażowo-dywersyjnych, minerstwa, szyfrowania, a także używania atramentów sympatycznych. Na zakończenie zaopatrzone w gotówkę i instrukcje na mikrofilmach. Podpułkownik Kazimierz Heilman-Rawicz otrzymał rozkaz objęcia dowództwa Związku Walki Zbrojnej w Małopolsce Środkowej z siedzibą w Rzeszowie, zorganizowania i utrzymania łączności z bazą w Budapeszcie oraz nawiązania i utrzymania kontaktu z ZWZ pod okupacją sowiecką.

Kazimierz Heilman-Rawicz i Łukasz Ciepliński wyruszyli jako pierwsi 13 stycznia 1940 r., a Lucjan Kühn i Zygmunt Pawłowicz mieli do nich dołączyć dzień później. Trasa przerzutowa wiodła przez Użhorod, gdzie w wyniku zdrady zostali zatrzymani przez żandarmerię węgierską, ale udało im się zbiec. Po dotarciu pozostałych oficerów grupa już w komplecie przeszła za przewodnikiem granicę w nocy z 15 na 16 stycznia.

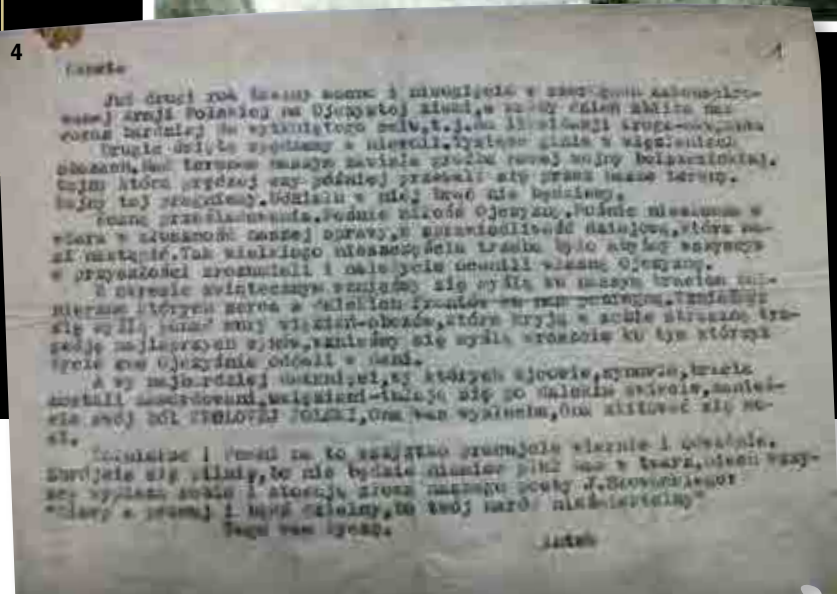
FOT. ZBIORY ELŻBIETY JAKIMEK-ZAPART



FOT. ZBIORY RODZINNE JAKOBA SCHIEGELA



4



FOT.ARCHIWUM AKT NOWYCH

1. Oficerowie 62 pp. w Bydgoszczy.
2. Ppor. Ciepliński po promocji oficerskiej.
3. Łukasz Ciepliński, gdy odbierał wybrany przez siebie ryngraf z Matką Boską Częstochowską na zakończenie Szkoły Podchorążych (1936 r.).
4. Życzenia świąteczne Łukasza Cieplińskiego dla żołnierzy Inspektoratu z 1942 r. podpisane pseudonimem „Antek”.

Widząc narastające trudności logistyczne, dowódca nakazał oficerom pozostawienie w jednym z punktów kontaktowych wszystkich materiałów konspiracyjnych, znaków rozpoznawczych i pieniędzy. Gdy dojechali do kolejnego miejsca przezuto-
wego, prowadzonego przez Ukraińca Bobaka w Ba-
ligrodzie, w wyniku zdrady przewodnika zostali
16 stycznia zatrzymani po raz kolejny, tym razem
przez policję ukraińską, i przekazani Niemcom. Wobec
pogarszającej się sytuacji aresztowanych związanej z od-
nalezieniem podczas rewizji u ppor. Łukasza Cieplińskie-
go materiałów konspiracyjnych, ppłk Kazimierz Heilman-
Rawicz rozkazał wykorzystać w przyszłości wszelkie
nadarzające się możliwości ucieczki, sam podejmując
działania w tym samym kierunku. Takie okoliczności poja-
wiły się wyłącznie w przypadku Cieplińskiego dopiero po
przewiezieniu do więzienia w Sanoku w kwietniu 1940 r.
Korzystając z zapamiętanych kontaktów konspiracyjnych,
dotarł początkowo do Rzeszowa, a następnie do Komen-
dy ZWZ w Krakowie, gdzie złożył relację z wypadków na
granicy. Jego dowódca i koledzy, przewiezieni do więzie-
nia w Tarnowie, po roku trafili do KL Auschwitz, gdzie Ka-
zimierz Heilman-Rawicz był jednym z pierwszych organi-
zatorów konspiracji obozowej.

W ZWZ-AK

Wiosną 1940 r. por. Ciepliński powrócił już z nominacją
na komendanta obwodu ZWZ do Rzeszowa i rozkazem
kontynuacji tworzenia zrębów konspiracji. Początkowo
przyjął pseudonim „Antek”, zmieniając go później wielo-
krotnie, w tym na najbardziej znany – „Pług”. Rok później
– w miejsce aresztowanego przez gestapo mjr. Stanisława
Ruśkiewicza „Floriana” – otrzymał nominację na inspekto-
ra rejonowego Inspektoratu ZWZ Rzeszów, obejmującego
przedwojenne powiaty: dębicki, kolbuszowski i rzeszowski
z częścią brzozowskiego.

Cieplińskiemu przyszło dowodzić przez cztery lata struk-
turami Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajo-
wej, na terenie niezwykle ważnym dla Niemców ze wzglę-
du na bliskość strategicznej magistrali kolejowo-drogowej
wschód-zachód, a także przemysł lotniczy w Rzeszowie
i oponiarski w Dębicy. Nowy inspektor wykazywał się zdol-
nościami organizacyjnymi i dowódczymi, dużą wagę

przywiązując do kwestii informacji i propagandy. W kontekście tych ostatnich rozbudował referat prasowo-propagandowy o kryptonimie „Wedeta”, zajmujący się m.in. nasłuchem radiowym, wydawaniem i kolportażem czasopism konspiracyjnych, ale też tworzeniem i szkoleniem bojówek propagandy ulicznej, propagandy mówionej i tzw. małego sabotażu, prowadzeniem akcji „N”, organizowaniem i szkoleniem oddziałów kobiecych Pomoc Żołnierzy oraz wykonywaniem zadań wynikających z aktywności Kierownictwa Walki Cywilnej. W ramach tej komórki dowództwo Inspektoratu wydawało pismo „Na Posterunku”, w którym publikowano artykuły okolicznościowe i polityczne oraz informacje o bieżącej sytuacji wojennej w Europie i Afryce. Niezwykle w skali okupowanego kraju był pomysł dołączenia do grudniowego wydania tej gazetki z 1942 r. opłatka wigilijnego, na którym widniało godło Polski oraz żołnierze adorujący żłóbek i błogosławiące im Dziecię Jezus. Z inspiracji inspektora, na łamach pisma ogłoszono w 1942 r. konkurs na projekt sztandaru bojowego Inspektoratu. Po rozstrzygnięciu konkursu i wyhaftowaniu sztandaru został on poświęcony na początku 1943 r. w Rzeszowie w obecności oficerów sztabu. Dziś sztandar ten eksponowany jest w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie.

Do ważnych dziedzin działalności konspiracyjnej należał wywiad. Dzięki niemu na początku 1941 r. udało się wykraść na stacji kolejowej w Sędziszowie Małopolskim niemieckie mapy wojskowe świadczące o przygotowaniach do wojny z Sowietami i przekazać pozyskane tą drogą informacje aliantom. Kolejnym sukcesem było zdobycie wiedzy na temat doświadczeń niemieckich z bronią V-2, prowadzonych na poligonie w Bliźnie k. Pustkowa po ich przeniesieniu ze zbombardowanego przez aliantów Peenemünde. W następstwie wysłania przez szefa inspektorackiego wywiadu i kontrwywiadu por. Mieczysława Wałęgę „Jura” niezwykle obszernych raportów o Wunderwaffe, szef Oddziału II informacyjno-wywiadowczego Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie płk. Stanisław Gano uznał rzeszowską komórkę informacyjną za jedną z najlepszych w kraju. Inną ważną dziedziną działalności podległych Cieplińskiemu struktur AK była dywersja. Na tym polu rzeszowskie oddziały włączyły się przeprowadzoną na jego rozkaz akcją likwidacji w maju 1944 r. wyjątkowo groźnych gestapowców Friedricha Pottebauma i Johanna Flaschke. W ramach przygotowań do innych akcji, w tym do powstania powszechnego, uruchomiono konspiracyjną wytwórnię granatów, których działanie inspektor osobi-

FOT. ZBIORY RODZINNE ALICJI LEHMANN



Łukasz Ciepliński z rodziną po promocji oficerskiej, 1936 r.

FOT. ARCHIWUM SP W KWILCZU



Łukasz Ciepliński z siostrami.

FOT. ZBIORY RODZINNE TOMASZA I KAZIMIERZY PIŚLIŃSKICH



Łukasz i Jadwiga Cieplińscy, 1946 r.

ście testował. Realizowano również inne zadania organizacyjne i bojowe, przy czym niektóre skutkowały w obliczu wojny wewnętrznymi problemami, które analizowane nawet po latach budzą niemałe kontrowersje.

Czas „Burzy”

Przygotowując się na moment wejścia wojsk sowieckich na Rzeszowszczyznę, wiosną 1943 r. utworzono z czterech wschodnich inspektoratów krakowskiego Okręgu Armii Krajowej strukturę Podokręgu Rzeszowskiego AK pod dowództwem płk. Kazimierza Putka „Zwornego”. Na jego polecenie pod kierunkiem Cieplińskiego opracowano koncepcję powstania powszechnego na terenie Inspektoratu, a później założenia do akcji „Burza” oraz plan odtwarzania sił zbrojnych, w tym przedwojennego rzeszowskiego 17 Pułku Piechoty, który miał wchodzić w skład odtwarzanej 24 Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Ostatecznie akcję „Burza” przeprowadzała rzeszowska AK w trzeciej dekadzie lipca i w sierpniu 1944 r., a w wyznaczonych w jej ramach zadaniach bojowych wzięło udział blisko 3,5 tys. żołnierzy.

Od wkroczenia do Rzeszowa Armii Czerwonej 2 sierpnia 1944 r. NKWD i sowiecki kontrwywiad wojskowy 1 Frontu Ukraińskiego – Smiersz – intensywnie rozpracowywały

struktury Podokręgu AK Rzeszów. Na wypadek aresztowania płk. Putek wyznaczył inspektora rzeszowskiego swoim zakonspirowanym zastępcą. Podczas rozmów podjętych z Sowietami przez dowództwo AK w Rzeszowie 5 sierpnia 1944 r., do których Ciepliński był od początku sceptycznie nastawiony, zażądali oni oddania broni i podporządkowania się Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego. W tej sytuacji komendant podokręgu wydał rozkaz kontynuowania działalności konspiracyjnej. Gesty pozorowanej przyjaźni szybko przeszły w fale kolejnych aresztowań. Początkowo dotknęły one ujawnionych w czasie „Burzy” oficerów i żołnierzy AK oraz osoby zajmujące kierownicze stanowiska w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. W październiku 1944 r., po niepowodzeniach premiera Stanisława Mikołajczyka w Moskwie, Sowietci przystąpili do masowych aresztowań. Wywieźli do łagrow w owym czasie co najmniej 2,5 tys. żołnierzy podziemia, a prawie drugie tyle uwięzili lub zabili. Bohaterowie okupacji niemieckiej ginęli z wyroków sowieckich sądów wojskowych, gdy w tym samym czasie ogłaszano mobilizację do (ludowego) Wojska Polskiego.

Polskie podziemie, próbując temu przeciwdziałać, zwiększyło propagandę i samoobronę. Między innymi ►

W SIERPNIU 1945 R. ŁUKASZ CIEPLIŃSKI ZAWARŁ ZWIĄZEK MAŁŻEŃSKI Z JADWIGĄ SICIŃSKĄ. DWA LATA PÓŹNIEJ PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT ICH JEDYNY SYN ANDRZEJ.

Łukasz Ciepliński na wakacjach z żoną i synem oraz chrześnicą Jadwigą Hanną Górską. Zakopane, lipiec 1947 r.





Fałszywa kenkarta Łukasza Cieplińskiego wystawiona w związku z działalnością konspiracyjną.

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Ciepliński wspólnie z podkomendnymi opracował – zaproponowany przez ówczesnego oficera wywiadu Obwodu AK Rzeszów Mieczysława Kawalca i zaakceptowany przez komendanta podokręgu – plan rozbicia więzienia na Zamku w Rzeszowie, gdzie przetrzymywano 270 żołnierzy AK. Akcja przeprowadzona w nocy z 7 na 8 października 1944 r., choć starannie przygotowana, zakończyła się niepowodzeniem.

W grudniu 1944 r. Smiersz aresztował płk. Putka, a nowym komendantem podokręgu został mjr Stanisław Pieńkowski „Hubert”, członek komendy krakowskiego Okręgu AK. Kilka dni po aresztowaniu płk. „Zwornego” Sowietci wymusili na nim aprobatę dla działań mających na celu utworzenie dywizji piechoty AK podległej gen. Michałowi Roli-Żymierskiemu, których wykonaniu zarówno Ciepliński, jak i Pieńkowski stanowczo się sprzeciwili.

Po zajęciu Małopolski przez Armię Czerwoną Łukasz Ciepliński w styczniu 1945 r. spotkał się z komendantem Okręgu AK w Krakowie płk. Przemysławem Nakoniecznikoffem-Klukowskim i zdał mu relację ze stanu Podokręgu. W następstwie decyzji dowódcy został mianowany szefem sztabu Okręgu Krakowskiego „Nie”, co przyspie-

szyło jego decyzję o opuszczeniu Rzeszowszczyzny. Ciepliński przekazał komendę „Inspektora AK Rzeszów w likwidacji” swojemu zastępcy Adamowi Lazarowiczowi 1 marca 1945 r. i wyjechał do Krakowa, gdzie był angażowany w kolejnych organizacjach niepodległościowych. W maju 1945 r. został szefem Sztabu Okręgu Delegatury Sił Zbrojnych w Krakowie, dla którego zorganizował podczas Zielonych Świątek tzw. odprawę ideologiczną. Przemyślenia z tego okresu zawarł w przygotowanym jeszcze na zlecenie komendanta Nakoniecznikoffa dokumencie programowym zatytułowanym *Projekt dalszej pracy*, w którym wyrażał rozgoryczenie rozwiązaniem AK i wskazywał na konieczność dalszej antykomunistycznej pracy konspiracyjnej w ramach ogólnopolskiego „Ruchu Odrodzenia”. Był to jeden z ważnych głosów w toczącej się w gorącym okresie końca wojny dyskusji, zarówno w kręgach rządowych na emigracji, jak i w kierownictwie podziemnym w kraju, na temat sensu kontynuacji i ewentualnego kierunku działań pod dominacją sowiecką.

W tym czasie Ciepliński postanowił również ustabilizować życie osobiste i sfinalizować trwający od kilku lat związek z rzeszowianką Jadwigą Sicińską. W sierpniu 1945 r. para się pobrała, a jedynymi świadkami przysięgi małżeńskiej złożonej z zachowaniem zasad konspiracji, w kościele pw. św. Józefa w Staromieście, byli matka Jadwigi Józefa i zaprzyjaźniony ks. Józef Czyż, były kapelan AK. Dwa lata później małżonkowie doczekali się narodzin jedynego syna, Andrzeja. Po ślubie Ciepliński przeniósł się z żoną do Zabrze, gdzie otworzył sklep galanteryjny, a także – kamuflując pobyt i pragnąc dysponować własnym oglądem spraw związanych z bieżącą polityką – wstąpił do lokalnych struktur Polskiej Partii Socjalistycznej.

Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość

We wrześniu 1945 r. została założona tajna organizacja Wolność i Niezawisłość, kontynuująca tradycję Polski Walczącej, jednak z przyjętą zasadą działania „bez walki i przemocy”, której głównym celem stało się przeprowadzenie uczciwych, demokratycznych wyborów parlamentarnych. Łukasz Ciepliński rozpoczął w niej działalność – mianowany przez prezesa Obszaru Południowego Antoniego Sanojcę – prezesem krakowskiego Okręgu WiN. Stworzył wówczas strukturę organizacyjną obejmującą trzy sfery aktywności: informację (wywiad), propa-

gandę i samoobronę (patrole tzw. Straży). Po objęciu przez Franciszka Niepokólczyckiego w listopadzie 1945 r. prezesury II Zarządu Głównego WiN, od grudnia 1945 r. do końca 1946 r. Ciepliński pełnił funkcję prezesa Obszaru Południowego i kierował pracami Zrzeszenia na Rzeszowszczyźnie, w Krakowskim i na Górnym Śląsku. Podlegała mu także sieć informacyjna o kryptonimie „Stomil” – „Iskra” dysponująca komórkami w Warszawie i na Pomorzu. W tym okresie starał się podjąć i utrzymywać kontakty z hierarchami Kościoła katolickiego, dostarczając materiały informacyjne WiN abp. Adamowi Sapiesze oraz prymasowi kard. Augustowi Hlondowi. Miał również duży wkład w przygotowanie niezwykle ważnego dokumentu, zatytułowanego *Memoriał WiN do Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych*, przedstawiającego sytuację polityczną Polski pod dominacją sowiecką, który w październiku 1946 r. przekazano na ręce przewodniczącego Zgromadzenia ONZ, Paula Henriego Spaaka. Od lata 1946 r. Ciepliński w znacznym stopniu zastępował prezesa II ZG WiN Franciszka Niepokólczyckiego, wtedy już intensywnie poszukiwanego przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i ukrywającego się. Z tego względu miał duży wpływ na skład i wytyczne dla delegacji WiN (Józef Maciołek „Kazimierz” i Stefan Rostworowski „Ignacy”), która z polecenia Niepokólczyckiego na początku września 1946 r. wyjechała do Londynu z zadaniem zorganizowania Delegatury Zagranicznej o kryptonimie „Dardanele”. Niestety, prezesa Niepokólczyckiego zatrzymano 22 października, a na jego następcę z prezesa III ZG wybrano Wincentego Kwiecińskiego, który pełnił funkcję do swojego aresztowania 5 stycznia 1947 r., czyli raptem przez niecałe dwa miesiące. Przed pozostałymi na wolności regionalnymi gremiami kierowniczymi stało zasadnicze pytanie o przyszłość WiN, szczególnie że odpowiedź na nie determinowały zapowiadane, rzekomo wolne, wybory do Sejmu Ustawodawczego, których termin wyznaczono na 19 stycznia 1947 r. Aby mieć możliwość wpływu na decyzje społeczeństwa na tym ostatnim przedwyborczym etapie, 10 stycznia w trakcie konferencji zwołanej w Krakowie grupa członków WiN skupiona wokół Cieplińskiego zdecydowała o kontynuowaniu działalności organizacji z nim w roli prezesa.

Odtwarzając rozbity aresztowaniami strukturę, nowy prezes obsadził V Zarząd współpracownikami z rzeszowskiej AK. Wiceprezesem został Adam Lazarowicz i jemu też Ciepliński powierzył zadanie odbudowania zarządów obszarów. Wydział Informacji przejął Mieczysław Kawalec, Wydział Organizacyjny Ludwik Kubik, komórkę polityczną Józef Rzepka, propagandy Franciszek Błażej, a za łączność zewnętrzną miał odpowiadać Józef Batory. Szefować Delegaturze WiN za granicą miał Józef Maciołek, natomiast na swojego doradcę politycznego nowy prezes wyznaczył Karola Chmiela z Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Po wyborach do sejmu w 1947 r.

Po sfałszowanych wyborach i rozbiciu jedynej jawnej opozycji, którą było mikołajczykowskie PSL, wszystkie pierwotne założenia organizacji legły w gruzach. Był to niewątpliwie najtrudniejszy okres w dziejach WiN, przypadający na czas załamania się postaw większej części społeczeństwa. Podczas kilkumiesięcznego kierowania Zrzeszeniem prezes Ciepliński próbował przestawić jego działania – z propagandowego wpływania na społeczeństwo na wywiadowcze na rzecz państw anglosaskich. Liczył przy tym na wybuch konfliktu zbrojnego pomiędzy niedawnymi sojusznikami, dającego ówczasie jedyną realną nadzieję na zmianę wytworzonej w Europie po II wojnie światowej sytuacji geopolitycznej. W tym celu stworzył własną alternatywną sieć łączności, starał się – choć nie bez oddolnego oporu – uaktywnić wywiad polityczny i wojskowy skierowany na wojska sowieckie w Polsce, a także uruchomił nowe szlaki przerzutowe na Zachód. W rzeczywistości WiN stawał się już w tamtym okresie organizacją kadrową, gdyż kolejni jego jeszcze niearesztowani członkowie podejmowali decyzję o ujawnieniu, w ramach ogłoszonej 22 lutego 1947 r. amnestii.

Latem 1947 r. Ciepliński spotkał się z dopiero co przybyłym z Londynu do Polski kurierem Jerzym Woźniakiem „Jackiem”, który przekazał mu nowe szyfry, kalkę tajnopisu, ale – co najważniejsze – informacje z kręgów polskiej emigracji, że w obecnym geopolitycznym układzie sił nie można oczekiwać wybuchu III wojny światowej, na którą tak bardzo liczyło podziemie, i stanowczo odradzającej prowadzenie dalszej działalności konspiracyjnej w kraju, naruszającej niepotrzebnymi ofiarami biologiczną substancję narodu i prowadzącą do jeszcze większych wobec niego represji ze strony aparatu totalitarnej władzy.

Prezes zdawał sobie sprawę, że działania bezpieki będą zmierzały do rozpracowania kolejnego Zarządu Głównego, a znając los swoich poprzedników, realnie liczył się z możliwością aresztowań. Kiedy więc zatrzymani zostali na początku października Franciszek Błażej i Józef Szmid, na naradzie w Zakopanem 10 października 1947 r. z udziałem członków Zarządu Głównego Adama Lazarowicza, Mieczysława Kawalca, Ludwika Kubika podjęto decyzję o zawieszeniu kontaktów organizacyjnych do momentu wyjaśnienia sytuacji. Los członków IV Zarządu był już jednak przesądzony, wiedza funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego o nich była na tyle obszerna, że – pomimo zaprzestania działalności – w listopadzie i w grudniu 1947 r. zostali aresztowani prawie wszyscy członkowie ZG i prezesi obszarów. Jako ostatniego ze ścisłego grona ujęto 1 lutego 1948 r. Mieczysława Kawalca, próbującego jeszcze odtwarzać zręby organizacji.

Wyroki śmierci

Łukasza Cieplińskiego aresztowano 28 listopada 1947 r. w Zabrze. Początkowo był przesłuchiwany w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach, następnie w Krakowie, a stamtąd przewieziony został do Warszawy. Wobec przedstawionego mu przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego stanu wiedzy o strukturach i działalności WiN podjął dyskusyjną decyzję o ujawnieniu Zrzeszenia za cenę nierepresjonowania jego działaczy. Umowa ta jednak od początku była podstępem zastosowanym przez najwyższych funkcjonariuszy MBP w celu ostatecznej likwidacji struktur tej w przeszłości najliczniejszej organizacji opozycyjnej. Przechowywany w pawilonach X i XI oddziału śledczego na warszawskim Mokotowie, podobnie jak pozostali jego współpracownicy, przeszedł okrutne śledztwo prowadzone pod nadzorem sowieckim. Na podstawie zeznań i przejętych archiwów, MBP rozpoczęło w 1948 r. operację o kryptonimie „Cezary”, tworząc ze zwerbowanych członków WiN tzw. V Komendę, której celem było rozpracowanie, następnie rozbicie resztek krajowych, a przede wszystkim zagranicznych struktur, a także gra operacyjna z wywiadami brytyjskim i amerykańskim, która ostatecznie zakończyła się kompromitacją tych ostatnich kilka lat później.

Po trzech latach wielokrotnie przedłużanego aresztu, 5 października 1950 r. rozpoczął się proces pokazowy członków IV ZG WiN, w którym sądzono ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Sprawę rozpoznawał Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem jednego z najkrwawszych sędziów komunistycznych, płk. Aleksandra Wareckiego, w obecności prokuratora ppłk. Jerzego Tramera. Był to typowy proces polityczny komentowany szeroko w prasie krajowej, która rozpisywała się o „zdradach narodu i szpiegach na żołdzie amerykańskim”. Rozprawa rozpoczęła się od odczytania niezbędnych dla właściwej narracji fragmentów aktu oskarżenia i była prowadzona rutynowo pod przyjętą z góry tezę, w taki sposób, żeby ani wyjaśnienia oskarżonych, ani odpowiedzi na pytania zadawane świadkom – jak choćby Franciszka Niepokólczyckiego, który bronił Cieplińskiego – nie mogły wpłynąć na zaplanowany wcześniej wymiar kary. Sędziów nie interesowały metody prowadzenia śledztwa, zaś stwierdzenie Cieplińskiego: „W czasie śledztwa leżałem skatowany w kałuży własnej krwi. Zeznania te nie są moje”¹ – pozostało bez reakcji sądu.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 14 października 1950 r. uznał Łukasza Cieplińskiego za winnego zarzucanych mu czynów i skazał na pięciokrotną karę śmierci. Podobnie na karę śmierci skazano jego sześciu podwładnych: Józefa Batorego, Franciszka Błazeja, Karola Chmiela, Mieczysława Kawalca, Adama Lazarowicza i Józefa Rzepkę, oprócz Ludwika Kubika, który dzięki staraniom rodziny żony uzyskał wyrok dożywocia, oraz łączniczek Janiny Czarneckiej i Zofii Michałowskiej,

skazanych na długoletnie więzienie. W uzasadnieniu skazującego wyroku napisano m.in.: „Przewód sądowy w sprawie niniejszej wykazuje w całej pełni drogę współpracy z okupantem hitlerowskim sanacyjnego kierownictwa Armii Krajowej i zdraziecką oraz wrogą robotę w najcięższym okresie dźwignięcia się z ruin i zniszczenia, odbudowującej się Polski Ludowej”². obrońcy oskarżonych, w tym mec. Jerzy Urbański, złożyli do Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie skargę rewizyjną, która pozostała bez uwzględnienia. Bolesław Bierut decyzją z 20 lutego 1951 r. nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok na członkach IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” wykonano 1 marca 1951 r. w więzieniu nr 1 na warszawskim Mokotowie, wzorem katyńskim – strzałem w tył głowy. Łukasza Cieplińskiego zastrzelono jako pierwszego o godz. 20, pozostałych w kilkunastu minutach odstępach.

Pamięć

Zarówno Łukasz Ciepliński, jak i wielu innych członków drugiej konspiracji niepodległościowej oczekujących na wykonanie wyroku śmierci zastanawiało się, czy było warto położyć życie na szali, czy ktoś kiedyś będzie o nich pamiętał, czy ich ofiara nie pójdzie na marne, a przede wszystkim: czy Polska będzie wolna i niezawisła oraz jak długo przyjdzie czekać na ten moment. Te i wiele innych rozważań, a także wskazówek na życie, traktowanych obecnie jak testament duchowy całego pokolenia, przekazał Łukasz Ciepliński w pisanych na cieniutkich bibułkach papierosowych do żony i syna grypsach z celi śmierci. Dziś, po 70 latach, wiemy, że fizyczna eliminacja tysięcy Niepokornych nie zabiła pamięci o tamtym pokoleniu. Przypominając i upamiętniając w różny sposób postaci Żołnierzy Niezłomnych spłacamy dług wdzięczności za ich nieugiętą postawę. Wśród tych wartości, które winny nas łączyć, jest dbałość o dobro wspólne i przyszłość naszego narodu. Oddają to najpełniej, wciąż aktualne, fragmenty grypsu Łukasza Cieplińskiego skierowane do kuzynki żony, Marii Dzierżyńskiej, a jednocześnie jego bliskiej współpracownicy z AK i WiN: „po uzyskaniu niepodległości bój o Polskę toczył się będzie w dziedzinie gospodarczej, oświatowej i naukowej”. Nam pozostaje pamiętać o tym testamencie i spełnić ostatni obowiązek wobec ofiar zbrodni sądowych, odnajdując ukryte w anonimowych miejscach szczątki Żołnierzy Niezłomnych i pożegnać z należnymi honorami.

ELŻBIETA JAKIMEK-ZAPART historyk, pracuje w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie. Od kilku lat prowadzi badania nad postacią Łukasza Cieplińskiego w ramach przewodu doktorskiego, autorka książki *Nie mogłem inaczej żyć... Grypsy Łukasza Cieplińskiego z celi śmierci* i wielu artykułów tematycznych.

¹ IPN Bu 944/69, Ciepliński Łukasz i inni, podejrzani o przynależność do oddziału WiN działającego na terenie Śląska. ² IPN BU 0259/39 t. 10, Akta kontrolno-śledcze w związku z przynależnością do ZWZ, AK i WiN, przeciwko: Łukasz Ciepliński i innym.

Polska Zbrojna

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNY
O POLSKIEJ ARMII



ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY REDAKCYJNEJ

Koszt 1 egzemplarza „Polski Zbrojnej” – 6,50 zł.

Warunkiem wysyłki egzemplarzy
jest złożenie zamówienia na adres

prenumerata@zbrojni.pl

lub telefonicznie: 261 840 400

oraz wpłata odpowiedniej kwoty na nasze konto:

23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa



OPERACJA „CEZARY”

WiN w sieci agentów

**Polska Agencja Prasowa 28 grudnia 1952 r. ogłosiła komunikat zawierający oświadczenie sygnowane przez J.J. Kowalskiego „Kosa” i Stefana Sieńkę „Wiktora” o ujawnieniu tzw. organizacji krajowej WiN.
W ten sposób zakończyła się prowadzona w latach 1948–1952 największa operacja prowokacyjna MBP.**

WOJCIECH FRAZIK

Twórcy Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, powołując we wrześniu 1945 r. organizację, zakładali, że przeniosą ośrodek decyzyjny z emigracji do kraju. Szybko okazało się, że ignorowanie Rządu RP na uchodźstwie nie jest możliwe i już w październiku prezes I Zarządu Głównego WiN płk Jan Rzepecki wysłał do Londynu jako emisariusza płk. Janusza Bokszczanina. Po rychłym rozbiciu przez bezpiekę I Zarządu Głównego następny prezes płk Franciszek Niepokólczycki dążył już do nawiązania trwałego kontaktu z polską emigracją. Wysłani kolejno emisariusze formalnie w styczniu 1947 r. utworzyli Delegaturę Zagraniczną WiN z ppłk. Józefem Maciołkiem na czele.

Po sfalszowanych przez komunistów wyborach IV Zarząd Główny WiN z ppłk. Łukaszem Cieplińskim na czele postawił przed sobą jako najważniejsze zadania budowę kadr na przyszłość i utrzymanie łączności z Delegaturą Zagraniczną WiN, za której pośrednictwem chciał informować władze RP na uchodźstwie i wolny świat o prawdziwej sytuacji w Polsce oraz zagrożeniu komunistycznym.

We wrześniu 1947 r. Departament III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) skoncentrował działania przeciw WiN na Rzeszowszczyźnie, skąd wywodziło się ówczesne kierownictwo organizacji. Tak rozpoczęły się aresztowania, które doprowadziły do zagłady Zrzeszenia. W ciągu kilku tygodni bezpieka udało się rozbić Zarząd Obszaru Południowego WiN, 27 listopada zatrzymała ona Cieplińskiego, a po następnych kilkunastu dniach przestał istnieć IV Zarząd Główny WiN. W ręce bezpieki dostały się archiwa organizacji zawierające między innymi korespondencję Zarządu z Delegaturą Zagraniczną WiN. Jedynym pionem, który uniknął pogromu, był Wydział Informacji (wywiad) kierowany przez Mieczysława Kawalca „Izę”.

Wpadka kierownictwa zbiegła się z przybyciem do Polski kuriera władz wojskowych na

uchodźstwie Adama Boryczki „Adama”, który realizował także zlecenia Delegatury. W połowie grudnia udało mu się skontaktować z Kawalcem. Ten, nie mając jasnego obrazu sytuacji w Zrzeszeniu, wyznaczył „Adamowi” spotkanie za miesiąc w Jeleniej Górze. W połowie stycznia 1948 r. „Iza” i jego najbliższy współpracownik Stefan Sieńko „Wiktor” oświadczyli kurierowi, że nie są pewni skali aresztowań, ale podejmują się odbudowy kierownictwa organizacji. Poprosili o przekazanie tej informacji Delegaturze i powrót z funduszami niezbędnymi na działalność.

Zdrada „Wiktora”

„Wiktor” wpadł w zasadzkę Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego 27 stycznia 1948 r. i umożliwił aresztowanie „Izy”. Po zatrzymaniu od początku współpracował ze śledczymi i między innymi przekazał pod kontrolę bezpieki punkty kontaktowe dla kurierów i skrzynki dla korespondencji z Delegatury. Gdy w kwietniu 1948 r. pod jeden z tych adresów zgłosił się Boryczko, który ponownie przyjechał do Polski, na spotkanie z nim przybył funkcjonariusz MBP kpt. Henryk Wendrowski. Dawny żołnierz Armii Krajowej, który w 1944 r. przeszedł na stronę komunistów i miał już bogate doświadczenie w działaniach prowokacyjnych – m.in. doprowadził do rozbicia śląskich struktur Narodowych Sił Zbrojnych i zagłady zgrupowania Henryka Flamego „Bartka” – nie wzbudził zaufania kuriera. Wobec tego na następnym spotkaniu – już w Warszawie – obok Wendrowskiego pojawił się znany Boryczce Sieńko. To rozwiało wątpliwości „Adama”. „»Wiktor« oddał mi podczas rozmowy nieocenione usługi. Podkreślam, że bez niego rozmowa byłaby zupełnie inna i skutek jej mógłby być zgoła inny, niż tego sobie życzyłem”¹ – raportował funkcjonariusz MBP.

Sieńko do dziś tłumaczy rozpoczęcie współpracy z bezpieką tym, że była to jedyna możliwość zaalarmowania Maciołka, że WiN jest całkowicie rozbita, a MBP próbuje się podszycić

pod jego kierownictwo. Takiej sytuacji obawiano się już wcześniej i na tę okoliczność Maciołek z Sieńką uzgodnili odpowiednie hasło. Tyle tylko że hasło to nie dotarło do Maciołka i nic nie wskazuje na to, że „Wiktor” kiedykolwiek próbował je przekazać. A miał ku temu okazję i w kwietniu 1948 r., i wielokrotnie później. Zachowywał się wręcz odwrotnie, wykazywał wiele inicjatywy, by uwiarygodnić fałszywe kierownictwo WiN. Będąc od 1942 r. podkomendnym w AK, a w latach 1945–1946 prawą ręką Maciołka w specjalnej sieci informacyjnej o kryptonimie „Stomil”, nadawał się do tego doskonale.

Pod koniec kwietnia 1948 r. „Adam” udał się na Zachód z raportem, z którego wynikało, że w kraju powstało nowe kierownictwo organizacji. Tak narodziła się pozorowana tzw. V Komenda WiN. W ciągu następnych pięciu lat bezpieczeństwa w krąg jej działań wprowadziła kilkudziesięciu agentów, ale tylko czterech znało istotę gry operacyjnej, której nadano kryptonim „Cezary”. Jej rozpoczęcie umożliwiła zdrada Sieńki – dostępne źródła wskazują, że jego formalny werbunek nastąpił w połowie kwietnia 1948 r. Dla uwiarygodnienia legendy agenta, który rzekomo został ranny, uciekając bezpiece, wykonano nawet bliźnię pozorującą postrzał, rozesłano za nim listy gończe i nastawiono agenturę, by sygnalizowała jego pojawienie się w terenie. Konspiracja wewnątrz resortu była posunięta tak daleko, że kilka miesięcy później, gdy z ewidencji operacyjnej MBP (gdzie w styczniu odnotowano aresztowanie Sieńki) zapytano, jakie są jego losy, Departament III odpowiedział, że zatrzymano omyłkowo inną osobę, którą zwolniono, a „Wiktor” jest nadal poszukiwany.

Rozpracowanie operacyjne

Początkowo MBP fingowało istnienie organizacji za pomocą kilku osób. Byli to: zwolniony formalnie w pewnym momencie z aparatu bezpieczeństwa Henryk Wendrowski, agent „Józef”, występujący najczęściej jako szef informacji (wywiadu); Stefan Sieńko, agent „Maciej”, wcielający się w kierownika działu organizacyjnego; i Stanisław Józef Rybicki (Żuk-Rybicki), agent „Żukowski”, przejęty z Departamentu V MBP, który odgrywał sporadycznie rolę komendanta głównego „Kosa”. Na początku 1950 r. dołączył do nich Czesław Krupowies, agent „Roman”, oficer MBP, który w latach 1945–1946 współpracował z Wendrowskim na Górnym Śląsku i Podbeskidziu. Zginął potem, 15 listopada 1951 r., w katastrofie lotniczej pod Tuszymem k. Łodzi. Także od 1950 r. wykorzystywany był intensywnie agent „Kamiński” – zasłużony podczas rozbięcia OUN-UPA w Polsce – Ukrainiec Jarosław Hamiwka.

Pierwotnie celem gry operacyjnej było przejście zaębiających się dróg łączności Delegatury i wywiadu emigracyjnego oraz dezinformowanie tych ośrodków. Ten kierunek myślenia kierownictwa MBP można zauważyć już w grudniu 1947 r., wiele miesięcy przed formalnym rozpoczęciem operacji, gdy aktywa operacyjne były jesz-



2 szwadron 6 Brygady Wileńskiej, Podlasie, 1947 r.

cze bardzo skromne. Z czasem kluczowa stała się rozgrywka z wywiadami brytyjskim i amerykańskim.

W aspekcie krajowym MBP za sprawą V Komendy planowało przejąć kontrolę nad pozostałościami struktur podziemnych i likwidować je w dogodnym momencie.

Od późnej wiosny 1948 r. „Józef”, „Maciej”, „Kamiński” i „Roman”, korzystając w pierwszej kolejności ze znajomości Sieńki i kontaktów wskazanych z zagranicy, wciągali w orbitę fałszywego WiN kolejne osoby. Do lata 1951 r. było to ok. 140 utrzymujących łączność konspiratorów. Po pewnym czasie część się wycofała. Większości nakazywano typować kandydatów do pracy podziemnej i wstrzymać się od wszelkich działań w oczekiwaniu na konflikt zbrojny. Dzięki temu bezpieczeństwa umieściła w swoich kartotekach 2 tys. nazwisk „wrogów ludu”. Część tych konspiratorów stanowili agenci wprowadzani przez MBP do rozpracowania „w ciemno”, czyli trafiający tam w przekonaniu, że mają do czynienia z prawdziwą konspiracją. Pozyskiwali oni do sfingowanej organizacji osoby przeświadczone, że biorą udział w walce o niepodległość, i kontrolowali ich poczynania.

Pozorując istnienie tajnej organizacji, która scala wysiłki niepodległościowe, MBP docierało do ludzi ukrywających się, demaskowało nielojalną agenturę, zdobywało informacje o poprzedniej działalności pozyskiwanych do WiN osób, uzyskiwało dane o niepewnych politycznie funkcjonariuszach UBP i pracownikach różnych instytucji reżimu, przejmowało archiwa konspiracyjne, broń, radiostacje i inny sprzęt. Była to znacznie skuteczniejsza metoda niż proste werbowanie tajnych współpracowników. Wielokrotnie w toku operacji okazywało się, że agent lub informator UBP, pozyskany do pracy w WiN, nie informował o tym oficera prowadzącego, a zwierzchnikowi z udawanego podziemia przekazywał triumfalnie to, co udało mu się zataić przed aparatem bezpieczeństwa. Pozyskani do fałszywej konspiracji wskazywali kolejnych potencjalnych konspiratorów, nie mieli jednak prawa sami nikogo wciągać do pracy

LIST GOŃCZY KAMIŃSKI KAZIMIERZ

ps. „Huzar”

ur. 1918, zamieszkały we wsi Markowa-Wolka gm. Piekuty, pow. Wysoko-Mazowiecki obecnie bez stałego miejsca zamieszkania, działając celem przysporzenia sobie korzyści materialnych, pod płaszczykiem obłudnych haseł politycznych, dokonał całego szeregu bestialskich morderstw i rabunków na bezbronnej ludności cywilnej. Między innymi zamordował:

- 1) PORZEŃSKIEGO Bronisława, rolnik, mieszkaniec wsi Rybaki, pow. Białek-Podlaski.
- 2) GRZESZCZUKA Franciszka, mieszkaniec m. Mozowick.
- 3) Rodzinę WÓJCZKÓW składających się z 4-osobową rodziną, w m. Wysoko-Mazowiecki.
- 4) SEMPKOWSKIEGO Józefa, rolnik, zam. we wsi Olsztyn, pow. Białek-Podlaski.
- 5) KAZIMIERCZUKA Kazimierza, rolnik, zam. w Granne, pow. Białek-Podlaski.
- 6) STĘPKOWSKIEGO Kazimierza, rolnik, zam. we wsi Arbasz, pow. Białek-Podlaski.
- 7) POPŁAWSKIEGO Piotra, rolnik, zam. we wsi Granne, pow. Białek-Podlaski.
- 8) SYCZEWSKĄ Teklę, rolniczkę, zam. we wsi Kosiarka, pow. Białek-Podlaski.
- 9) BALEJKO Eugeniusza, rolnik, zam. we wsi Grodzisk, pow. Białek-Podlaski.
- 10) ZALEWSKIEGO Stanisława, rolnik, zam. we wsi Zale, pow. Białek-Podlaski.
- 11) SYCZEWSKIEGO Aleksandra, rolnik, zam. we wsi Łopasz, pow. Białek-Podlaski i wielu innych obywateli.

Wez obecność wojny się przed wymiarem sprawiedliwości i obowiązkiem każdego obywatela jest dopomóc w jego schwytności i w imię spokoju i ładu państwa przystąpił do przetrzymania wymienionego bandyty, powinien natychmiast zawiadomić najbliższą jednostkę Ochrony Państwa, a w szczególności grupę Wojska Polskiego, znajdującą się w pobliżu.

Nazwisko zawiadamiającego nie będzie ujawnione.

Za dostarczenie wspomnianej wiadomości władze wyznaczyły nagrodę w wysokości:

20.000 zł.

KOMENDANT M.O.
BIŁOSTOKA
Sikora, mjr.



Kazimierz
Kamiński „Huzar”

ZAGŁADA ODDZIAŁU „HUZARA”

Na początku lat pięćdziesiątych jeden z ostatnich dużych oddziałów partyzanckich w Polsce tworzyli podkomendni kpt. Kazimierza Kamińskiego „Huzara” operujący na Podlasiu i wschodnim Mazowszu. Legendarny partyzant cieszył się poparciem społecznym i komunisty nie byli w stanie zniszczyć jego grupy, mimo podejmowania kolejnych operacji wojskowych oraz rozpracowań agenturalnych. Jesienią 1951 r. sprawę „Huzara” włączono jako jedno z kilkudziesięciu rozpracowań cząstkowych do gry operacyjnej „Cezary”. W wyniku przemyślnych kombinacji agentom udało się dotrzeć do kpt. Kamińskiego. Aby zlikwidować oddział, MBP upozorowało istnienie kilkustopniowych struktur sztabowych WiN, przy czym „Huzarowi” zaproponowano funkcję komendanta Okręgu Białostockiego. Wciągnięty w tę mistyfikację kpt. Kamiński po kilku miesiącach dał się skłonić do opuszczenia swoich terenów, na co równolegle wpłynęły trwające tam antypartyzanckie operacje wojskowe Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i pod koniec października 1952 r. został w Warszawie podstępnie aresztowany. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wykorzystało tu, podobnie jak w wielu innych przypadkach, żołnierskie poczucie karności i pragnienie podporządkowania się wyższym strukturalnym dowódczym. Paradoksalnie, powodzenie tego mechanizmu przeczy teozom komunistycznej propagandy, jakoby tkwiący z uporem w lesie żołnierze byli działającymi dla własnej korzyści, zdegenerowanymi bandytami.

cymi na wolności działaczami w Polsce. I tak V Komenda dotarła do dawnych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej (konspiracyjny kryptonim z czasów wojny: Wolność Równość Niepodległość – WRN), Polskiego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy i Zjednoczenia Demokratycznego. Oferując im pośrednictwo WiN w nawiązaniu kontaktów, bezpieka uzyskała możliwość kontroli korespondencji i infiltracji tych środowisk. Były one jednak tak rozbite represjami, że wszelkie próby pobudzenia ich do działalności i powołania tajnych ośrodków kierowniczych w kraju nie powiodły się. Niektórzy z tych działaczy krajowych także byli współpracownikami aparatu bezpieczeństwa. Poprzez V Komendę bezpieka starała się też infiltrować Kościół katolicki i związane z nim środowiska świeckie.

Gra z Amerykanami

Pierwsze dwa i pół roku operacji „Cezary” minęło głównie na grze z Delegaturą Zagraniczną, przyjmowaniu jej kurierów, rozpoznawaniu sytuacji na emigracji i budowaniu wiarygodności organizacji krajowej, m.in. poprzez preparowanie sprawozdań informacyjnych. Istotnym elementem była wymiana poczty, dokonywana początkowo przy okazji ►

podziemnej. Decydowało zawsze kierownictwo i w ten sposób MBP zachowywało pełną kontrolę nad tworzoną przez siebie strukturą.

W ramach operacji nie ograniczano się do rozpracowywania środowisk konspiracji pokrowskiej. Sprawna łączność Delegatury Zagranicznej WiN z krajem skłoniła emigracyjnych przywódców stronnictw politycznych do wykorzystania tej drogi do porozumienia się z pozosta-



**Adam Boryczko „Adam”,
cichociemny, emisariusz,
następnie szef łączności
Delegatury Zagranicznej WiN.**

pobytu kurierów w kraju, potem z wykorzystaniem skrytek w wagonach pociągów pasażerskich kursujących na trasie Paryż – Warszawa.

W kraju nawiązywano w tym czasie kontakty przede wszystkim z pojedynczymi osobami. Drugi etap rozpoczął się w listopadzie 1950 r., gdy pod wpływem sugestii fałszywego kierownictwa krajowego Delegatura Zagraniczna WiN zawarła umowę o współpracy z wywiadem amerykańskim. Amerykanie oczekiwali aktywizacji działalności wywiadowczej i propagandowej, przygotowania rzutów, nawiązania i utrzymywania stałej łączności radiowej oraz opracowania planów dywersji na liniach komunikacyjnych przebiegających przez Polskę. Oferowali szkolenie przysyłanych z kraju konspiratorów, rzuty sprzętu i broni, dostarczenie środków technicznych oraz stałe finansowanie. WiN został włączony w amerykańskie plany przygotowań wojennych. Przy udziale polskich sztabowców podległych Rządowi RP na Uchodźstwie wypracowano wówczas plan – znany pod kryptonimem „Wulkan” – wykonania siłami Zrzeszenia WiN skoordynowa-

nych uderzeń dywersyjnych na sowieckie linie komunikacyjne przebiegające przez Polskę. W razie wybuchu konfliktu zbrojnego miał on zastąpić amerykańskie uderzenia atomowe w krytycznym momencie walki o Europę i w ten sposób zapobiec zniszczeniom, które oznaczałyby katastrofę dla Polaków.

Umowa z listopada 1950 r. spowodowała konieczność zintensyfikowania gry operacyjnej. Należało pozyskać chętnych do szkolenia na Zachodzie, usprawnić łączność i podnieść poziom raportów wywiadowczych. Przez pierwsze lata grę operacyjną prowadziło czterech do sześciu funkcjonariuszy Departamentu III MBP, od początku 1949 r. kierowanych przez wicedyrektora tej struktury płk. Leona Andrzejewskiego, który był mózgiem operacji. Szczegółowo nadzorowali jej przebieg sowieccy doradcy. W konsekwencji jej rozwoju w listopadzie 1951 r. powołano w MBP specjalną, ściśle tajną strukturę – Wydział III A Departamentu III, zajmujący się wyłącznie rozpracowaniem operacyjnym o kryptonimie „Cezary”. W rozpoczętej wówczas trzeciej fazie operacji starano się ją tak przeorganizować, by przede wszystkim stworzyć rzeczywiste – choć ściśle kontrolowane – struktury sztabowe i terenowe, które w razie potrzeby można by pokazać Amerykanom jako oddziały gotowe wykonać opracowane na Zachodzie plany.

AGENCI BEZPIEKI

1 Henryk Wendrowski, funkcjonariusz Departamentu III MBP, w operacji „Cezary” agent „Józef”.

2 Stefan Sienko „Wiktor”, kierownik siatki informacyjnej „Iskra”, szef Biura Studiów IV ZG WiN, od 1948 r. agent MBP o pseudonimie „Maciej”.

3 Marian Strużyński, agent UBP od 1947 r., w czasie operacji „Cezary” między innymi wysłany jako emisariusz do Delegatury Zagranicznej WiN.

Kryptonim „Jowisz”

W 1951 r. WiN, realizując umowę z Amerykanami, zaczął przerzucać ludzi na Zachód na szkolenia. Jako pierwszy drogą przez Niemiecką Republikę Demokratyczną wyruszył w lipcu 1951 r. autentyczny konspirator Tomasz Gołąb „Wacław”, dobry znajomy Sieńki i Maciołka, który jako emisariusz kierownictwa krajowego miał nieświadomie uwiarygodnić V Komendę. Wzmocnił on obsadę Delegatury. Typowe dla działań bezpieczeństwa było zaangażowanie „w ciemno” do gry operacyjnej i przerzucenie pod koniec listopada 1951 r. do siedziby Delegatury Zagranicznej WiN w Monachium emisariusza, którym był doświadczony i sprawdzony agent „Robert” – Marian Strużyński, znany później jako Marian Reniak. Był on przekonany, że wysłała go autentyczna organizacja, a tylko przy okazji wykonuje zadania dla MBP. Na początku stycznia 1952 r. powrócił do Polski. Fakt przebywania na Zachodzie był potem wykorzyst-



wany jako ważny atut w rozgrywce po powrocie agenta do kraju. Nadano mu wtedy nowy pseudonim: „Teodor”.

Na początku 1952 r. zaczynał się pierwszy kurs radiotelegrafistów organizowany przez Delegaturę Zagraniczną WiN, wzorowany na wojennym szkoleniu cichociemnych, którzy byli przełożonymi uczestników kursów i ich instruktorami, obok Amerykanów. Na szkolenie to trafili z Polski m.in. Stefan Skrzyszowski vel Janusz Patera „Bolek” i Dionizy Sosnowski „Józef”. Po zakończeniu kursu 31 lipca 1952 r. polskie władze wojskowe w Londynie awansowały absolwentów, którzy oczekiwali na przerzut drogą lotniczą do kraju. We wrześniu 1952 r. Delegatura rozpoczęła drugi kurs, szkoląc dowódców oddziałów partyzanckich na potrzeby przyszłej wojny. Dopiero trzecia planowana operacja zrzutowa o kryptonimie „Jowisz” zakończyła się powodzeniem w nocy z 4 na 5 listopada 1952 r. Skrzyszowski i Sosnowski, skacząc na spadochronach z amerykańskiego samolotu z polską załogą, zostali sprawnie podjęci przez fałszywy WiN na zrzutowisku w województwie koszalińskim. Odebrano od nich sprzęt, radiostacje, broń i pieniądze, a ich samych umieszczono na konspiracyjnych melinach. Otoczeni agenturą pisali sprawozdania i przekazywali wiadomości uzyskane na kursie. W Warszawie istotną rolę w rozpracowaniu skoczków odegrał Strużyński, który spotkał się rok wcześniej ze Skrzyszowskim w Monachium. Oba skoczków 6 grudnia aresztowano. Był to pierwszy etap likwidacji gry operacyjnej.

„zaniechali wszelkiej wrogiej działalności”

Pod koniec listopada – wszystko wskazuje na to, że na Kremlu – zapadła polityczna decyzja o zakończeniu operacji i wykorzystaniu jej efektów propagandowo. Dlaczego tak się stało, do końca nie wiadomo. Z operacyjnego punktu widzenia gra przebiegała pomyślnie i miała perspektywy rozwoju. Początkowo planowano tylko likwidację niektórych jej wątków, a dopiero po kilku lub kilkunastu dniach musiano zdecydować o całkowitym jej przerwaniu i tzw. ujawnieniu fałszywego WiN jako prawdziwego. Według jednej z hipotez, Moskwa obawiała się, że Amerykanie, którzy prowadzili podobne działania także w innych krajach za żelazną kurtyną – przekonani o sile podziemia antykomunistycznego – zaczną wojnę, której skutki będą nieprzewidywalne. Moskiewskie władze chciały ich skompromitować i zmusić do zmiany polityki. Inna hipoteza głosi, że Józef Stalin, przygotowujący nową wielką czystkę, potrzebował do jej rozpoczęcia rozpętania hysterii bezpośredniego zagrożenia wojennego. Nie można też wykluczyć, że Sowieci zdobyli drogą agenturalną informację, że Amerykanie mają coraz większe wątpliwości co do autentyczności wspieranych przez nich struktur.

I Delegatura WiN, i Amerykanie zapowiadali jesienią 1952 r. przysłanie do Polski swoich wysłanników. Cały czas po stronie komunistycznej istniała obawa odwrócenia gry, czyli przejęcia inicjatywy operacyjnej przez Amerykanów i dezinformowania MBP co do rzeczywistych działań CIA w Polsce. Odpowiedź na pytanie o motywy przerwania operacji „Cezary” znajduje się w nadal niedostępnych archiwach rosyjskich.

Gdy 27 grudnia 1952 r. rzekomo powstało oświadczenie „skruszonych przywódców” WiN „Kosa” i „Wiktor” o ujawnieniu organizacji, bezpieka aresztowała w całym kraju ponad 100 osób, od początku operacji zaś różnym formom represji poddano prawie 300 osób. Kilkunastu konspiratorów skazano potem na śmierć, przede wszystkim w procesach pokazowych partyzantów „Huzara” i spadochroniarzy-radiotelegrafistów WiN. O losach aresztowanych decydował osobiście ówczesny przywódca partii komunistycznej i PRL Bolesław Bierut.

W wyniku operacji „Cezary” MBP uzyskało doskonały wgląd w życie polityczne i działania, także tajne, emigracji niepodległościowej. Przez kilka lat pod ścisłym nadzorem sowieckim polska bezpieka dezinformowała wywiady zachodnie. Komuniści przejęli ok. 1 mln 147 tys. dolarów przeznaczonych dla podziemia, a także wiele sprzętu: kilkanaście radiostacji, aparaturę naprawdzającą samoloty na zrzutowiska, aparaty fotograficzne, zegarki, które to przedmioty były potem nagrodami dla funkcjonariuszy, oraz tajnopisy. Nieświadomi istoty sprawy konspiratorzy przekazali sfigowanej przez bezpiekę organizacji ukryte archiwa i magazyny broni.

Na przełomie 1952 i 1953 r. przeciw emigracji niepodległościowej i państwowi zachodnim rozpoczęła się olbrzymia kampania propagandowa. Jej symbolem była otwarta w Warszawie wystawa „Oto Ameryka”, na której pokazano między innymi wyposażenie skoczków WiN.

Od połowy lat pięćdziesiątych kolejne roczniki funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa uczyły się na przykładzie rozpracowania „Cezary”, jak należy prowadzić gry operacyjne. Przejmowanie autentycznych struktur pod kontrolę bezpieki kontynuowano, gdy pojawiła się znów zorganizowana opozycja. Istotę prowokacji utrzymywano w tajemnicy aż do końca lat osiemdziesiątych, a gdy ją ujawniono, dla zaciemnienia obrazu włączono do niej pewne wątki innego, równoległego prowadzonego przeciw środowiskom narodowym rozpracowania o kryptonimie „Ośrodek” zakończonego w tym samym czasie tzw. aferą Bergu. ■

WOJCIECH FRAZIK historyk, doktor nauk humanistycznych, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie. Redaktor naczelny półrocznika „Zeszyty Historyczne WiN-u”, członek redakcji periodyku „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989”.

¹ AIPN, 0192/590, t. 47, Sprawozdanie z przebiegu rozmowy z „Adamem” na spotkaniu w dniu 14 IV 1948 r. w Warszawie.

Ostatnia szansa Polaków

„Nazwa »Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji« stanowiła odzwierciedlenie poglądów płk. Jana Rzepeckiego i części jego najbliższych współpracowników z lata i jesieni 1945 r.” – mówi dr hab. Zdzisław Zblewski.



Oddział WiN dowodzony przez Zdzisława Brońskiego „Uskoka”.

Panie Profesorze, czy rozwiązanie przez p.o. Naczelnego Wodza gen. Władysława Andersa 7 maja 1945 r. organizacji „Nie” i zastąpienie jej Delegaturą Sił Zbrojnych (DSZ), organizacją stricte wojskową, nie było błędem? „Nie” w planach jej komendanta, gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” miała być, mówiąc w uproszczeniu, organizacją długodystansową, nastawioną na przetrwanie okupacji sowieckiej. Prócz działań wywiadowczych i propagandowych nie przewidywano akcji zbrojnych. Walka miała zostać ograniczona wyłącznie do samoobrony, a oddziały partyzanckie planowano zdemobilizować.

Organizacja „Nie” była rzeczywiście ciekawą i przemyślaną koncepcją na działalność niepodległościową pod nową, sowiecką, okupacją. Jednak kiedy w kwietniu 1945 r. płk Jan Rzepecki, ówczesny zwierzchnik podziemia poakowskiego, występował do gen. Andersa z wnioskiem o jej rozwiązanie, kierował się ważnymi przesłankami. Obawiał się, że po serii aresztowań osób zaangażowanych w tworzenie organizacji „Nie” jej struktury zostały w dużym stopniu rozbite lub zdekonspirowane przez Sowietów. Przypomnę, że na początku marca 1945 r. przypadkowo aresztowano współtwórcę tej organizacji, gen. Fieldorfa, a pod koniec miesiąca w rękach sowieckich znaleźli się ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” oraz kilkunastu innych, poinformowanych o istnieniu „Nie”, przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Obawy te okazały się w dużej mierze słuszne, ponieważ podczas moskiewskiego „procesu szesnastu” w czerwcu 1945 r. wątek ten często pojawiał się na sali sądowej. Poza tym ograniczenie konspiracji poakowskiej do formuły „Nie” oznaczało pozostawienie swojemu losowi tysięcy akowców, którzy mimo formalnego rozwiązania AK w styczniu 1945 r. nadal pozostawali w podziemiu i czynnie, z bronią w ręku, przeciwstawiali się sowietyzacji Polski. Pułkownik Rzepecki chciał zachować nad tymi środowiskami kontrolę, licząc – jak się później okazało, zdecydowanie na wyrost – że uda mu się skutecznie ograniczyć rozmiary rozpalającej się wojny partyzanckiej („rozładować lasy”) i równocześnie wykorzystać potencjał poakowskiej konspiracji do rozwijania innych, politycznych form walki z komunistyczną władzą. Do realizacji tak nakreślonych celów organizacja „Nie” zupełnie się nie nadawała, toteż płk Rzepecki był zwolenni-

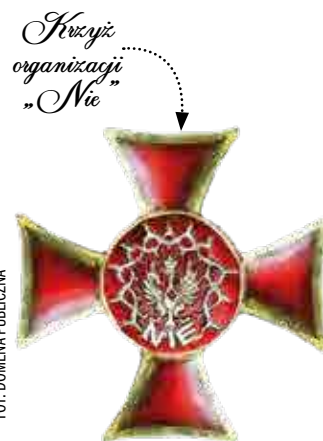
kiem jej rozwiązania i powołania nowej struktury konspiracyjnej, której gen. Anders nadał nazwę: Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj.

Pełna nazwa organizacji, która powstała 2 września 1945 r. po rozwiązaniu Delegatury Sił Zbrojnych, brzmi Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość”. Już sama nazwa kryje w sobie sprzeczności, by nie powiedzieć, brak realizmu wobec brutalnej rzeczywistości narzuconej przez Sowietów i służących im polskich komunistów. Cemu kierownictwo WiN – złożone w większości z wojskowych z byłym Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj, płk. dypl. Janem Rzepeckim na czele – zdecydowało się tak wyraźnie akcentować polityczny i cywilny charakter organizacji?

Nazwa Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji stanowiła odzwierciedlenie poglądów płk. Rzepeckiego i części jego najbliższych współpracowników z lata i jesieni 1945 r. Współtwórca Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” kładł nacisk na cywilny i polityczny charakter tej organizacji, gdyż nie wierzył w skuteczność zbrojnego oporu podziemia niepodległościowego, a także nie podzielał nadziei dużej części konspiratorów na rychły wybuch wojny między Związkiem Sowieckim a mocarstwami zachodnimi. Ostatnią szansę na powstrzymanie procesu sowietyzacji kraju widział w wygraniu przez partie niekomunistyczne „wolnych i nieskrępowanych” wyborów parlamentarnych, obiecanych Polsce przez przywódców trzech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej podczas konferencji w Jałcie w lutym 1945 r. W deklaracji programowej WiN z września 1945 r., zatytułowanej *O wolność obywatela i niezawisłość państwa*, znalazło się stwierdzenie, że „uczciwe demokratyczne wybory” są „jedyną drogą słuszną i wiodącą do zaprowadzenia w kraju zdrowych stosunków”. Pułkownik Rzepecki wyobrażał sobie WiN jako ponadpartyjną organizację polityczną, która wykorzystując możliwości, jakie daje działalność w konspiracji, miała wspierać jawne ugrupowania opozycyjne, takie jak Polskie Stronnictwo Ludowe kierowane przez Stanisława Mikołajczyka, ograniczać oddziaływanie komunistycznej propagandy na polskie społeczeństwo, kształtować niepodległościowe postawy społeczne i podejmować różnorakie działania, których celem byłoby niedopuszczenie do sfałszowania wyników wyborów.



ZDZISŁAW ZBLEWSKI
doktor habilitowany,
pracownik Instytutu
Historii Uniwersytetu
Jagiellońskiego.
Zajmuje się
najnowszą historią
Polski ze szczególnym
uwzględnieniem dzieł
polskiej konspiracji
niepodległościowej
po II wojnie światowej.
Autor m.in. monografii
*Okręg Krakowski
Zrzeszenia „Wolność
i Niezawisłość”
1945–1948. Geneza,
struktury, działalność.*



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mówiąc o WiN, najczęściej przywołuje się nazwiska trzech jego prezesów: pierwszego – płk. dypl. Jana Rzepeckiego; drugiego – płk. Franciszka Niepokólczyckiego; i ostatniego – ppłk. Łukasza Cieplińskiego. Wszystkich trzech łączyła piękna karta bojowa i konspiracyjna z czasów wojny oraz to, że kierując WiN, stali się bohaterami tragicznymi, choć ten tragizm miał różne odcienie. Z całej trójki płk Niepokólczycki wydaje się największym realistą, który w WiN starał się realizować to, co postulował gen. „Nil” w „Nie”. Podpułkownik Ciepliński to dla wielu postać heroiczna, choć zdarzają się opinie, że powołanie IV Zarządu Głównego WiN było tragedią, która doprowadziła jedynie do największego sukcesu w historii aparatu bezpieczeństwa, czyli operacji „Cezary”. Najbardziej kontrowersyjny wśród tej trójki wydaje się płk Jan Rzepecki, który po swym aresztowaniu jesienią 1945 r. stał się w rękach bezpieki „skutecznym narzędziem” do walki z własną organizacją. A jak Pan, Panie Profesorze, ocenia poczynania tych trzech postaci?

To prawda, że wspomniani prezesi WiN byli odmiennymi osobowościami i że każdy z nich prezentował nieco inne poglądy na cele i metody działania Zrzeszenia, choć wydaje mi się, że przywołana przez pana nieostra i często zwodnicza kategoria realizmu politycznego nie jest właściwym miernikiem ich politycznych wyborów. Trudno też zgodzić się z tezą, że płk Niepokólczycki starał się w WiN realizować założenia przyjęte wcześniej przez gen. Fieldorfa w organizacji „Nie”. Owszem, jego zaplecze organizacyjne, czyli II Zarząd Główny WiN, było stosunkowo nieliczne, zwłaszcza w porównaniu z rozbudowanym sztabem płk. Rzepeckiego. Wynikało to jednak nie tyle z chęci nawiązania do elitaryzmu „Nie”, ile z ograniczonych możliwości płk Niepokólczyckiego, który działając w Krakowie i na Górnym Śląsku, funkcjonował na nieznanym sobie terenie, w dodatku bez dostępu do takich zasobów finansowych, jakimi dysponował zarówno jego poprzednik, jak i następca. Z kolei postawy przyjęte przez płk. Rzepeckiego i ppłk. Cieplińskiego po aresztowaniu przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego nie różniły się od siebie w sposób aż tak zasadniczy, jak mogłoby się wydawać. Na początku śledztwa obaj dali się przekonać funkcjonariuszom bezpieki, że WiN został już rozpracowany, oraz zgodzili się na ujawnienie podległych sobie struktur i działaczy w zamian za ograniczenie rozmiarów represji. Co prawda Ciepliński dość szybko się z tej „umowy” wycofał, zorientowawszy się, że padł ofiarą manipulacji, nie zapobiegło to jednak zmontowaniu przez UBP wiosną 1948 r. wspomnianej przez pana gry operacyjnej o kryptonimie „Cezary”. Uwięziony płk Rzepecki zaś konsekwentnie dążył do całkowitej likwidacji WiN, przyczyniając się nawet do aresztowań niczego nieświadomych

konspiratorów w zamian za obietnicę ich łagodnego potraktowania przez funkcjonariuszy bezpieki. W środowisku akowskim taka postawa spotkała się z dość powszechną krytyką, zwłaszcza że wbrew zapewnieniom bezpieki część zdekonspirowanych przez Rzepeckiego osób doznała surowej represji.

W czasie swej prezesury płk Niepokólczycki oparł swe działania m.in. na sieci tzw. Brygad Wywiadowczych, które okazały się bardzo skuteczne w infiltracji komunistów w Małopolsce już od 1941 r. Czy mógłby Pan przybliżyć ich działalność w WiN?

Brygady Wywiadowcze były początkowo siatką wywiadu działającą w ramach tzw. administracji zmilitaryzowanej o kryptonimie „Teczka”, tworzonej w czasie wojny jako zaplecze administracyjne dla Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Wywiadowcy Brygad zajmowali się zbieraniem informacji o sytuacji społeczno-politycznej na ziemiach polskich, ze szczególnym uwzględnieniem różnego rodzaju środowisk wyrotowych, do których zaliczano m.in. komunistów. W grudniu 1944 r. sieć tę przekazano Okręgowi Krakowskiemu „Nie”, zaś po pewnym czasie przejęła ją Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie WiN. Apogeum powojennej działalności Brygad przypadło na pierwszą połowę 1946 r., kiedy struktura ta pełniła rolę pionu wywiadowczego i propagandowego II Zarządu Głównego WiN. Na jej czele stał ppor. Edward Bzymek-Strzałkowski, który dysponował siecią doświadczonych wywiadowców, działających w Krakowie i różnych miejscowościach rozsianych w całej Małopolsce. Komórką propagandową Brygad kierował znany krakowski artysta plastyk Wiktor Zbigniew Langner. Jej najbardziej znaną inicjatywą było przeprowadzenie latem 1946 r. tzw. akcji „Odpluskwiwanie”, polegającej na kolportażu różnego rodzaju materiałów agitacyjnych mających zniechęcić przedstawicieli nowej władzy do podejmowania działań o charakterze antydemokratycznym. Siatkę Brygad Wywiadowczych rozbito w wyniku aresztowań, przeprowadzonych latem i jesienią 1946 r., a jej główni działacze z ppor. Bzymkiem-Strzałkowskim byli sądzeni w zorganizowanym rok później tzw. procesie krakowskim, w którym na ławie oskarżonych zasiadła grupa działaczy II Zarządu Głównego WiN z płk. Niepokólczyckim oraz kilku wysokiej rangi członków Polskiego Stronnictwa Ludowego ze Stanisławem Mierzwą na czele.

Po sfalszowaniu przez komunistów referendum z 30 czerwca 1946 r. WiN rozpoczął akcję informowania zachodniej opinii publicznej o sytuacji w Polsce. Wymienić można tutaj m.in. Memorandum do Rady Bezpieczeństwa ONZ ppłk. Wacława Lipińskiego. Czy ten i podobne monity wywoływały jakikolwiek rezonans na Zachodzie?



JAN RZEPECKI

FRANCISZEK
NIEPOKOŁCZYCKIWINCENTY
KWIECIŃSKIŁUKASZ
CIEPLIŃSKI

Zrzeszenie utrzymywało na różnych szczeblach organizacyjnych kontakty z przedstawicielstwami dyplomatycznymi państw zachodnich w Polsce przez cały okres istnienia organizacji, a w drugiej połowie 1946 r. utworzyło w Londynie Delegaturę Zagraniczną WiN, na której czele stanął ostatecznie ppłk Józef Maciołek, jeden z najbliższych współpracowników ppłk. Cieplińskiego. Organizacja zrobiła więc wiele, żeby uświadomić zachodniej opinii publicznej, jak rzeczywiście wygląda sytuacja w Polsce pod rządami komunistów. Wysiłki te nie przyniosły jednak zamierzonych efektów. Wspomniany przez pana słynny memoriał Zrzeszenia z lata 1946 r. nie trafił pod obrady Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, zaś mniej znany, ale równie istotny dokument, przygotowany w czerwcu 1947 r. przez IV Zarząd Główny Zrzeszenia i skierowany do Departamentu Stanu USA, nie doczekał się odpowiedzi Amerykanów. Generalnie tuż po wojnie mocarstwa zachodnie nie były zainteresowane podjęciem współpracy politycznej z polskim podziemiem niepodległościowym. Zrzeszenie WiN traktowały raczej jako dostawcę potrzebnych wiadomości, przy czym w miarę upływu czasu w coraz mniejszym stopniu chodziło im o informacje polityczne, natomiast coraz bardziej zainteresowane były danymi z zakresu gospodarki i wojskowości. Tego typu oczekiwania Amerykanów i Brytyjczyków wywoływały w kierownictwie WiN obawy przed przekształceniem Zrzeszenia w jedną z siatek zachodnich wywiadów. Nastrojom tym zdecydowanie przeciwstawił się ppłk Ciepliński, który we wrześniu 1947 r. pisał do Delegatury Zagranicznej: „wyczuwamy [Waszą] stałą obawę przed tym, abyśmy nie byli agentami Agnieszek [tj. państw anglosaskich – Z.Z.]. Nie rozumiemy postawy takiego przeobrażenia. My odwrotnie, przyszłość Polski widzimy w ich zwycięstwie i dlatego powinniśmy zrobić wszystko, aby otworzyć im oczy na istotę zagrożenia nie jako agencji, ale jako przyszli kontrahenci, nie tylko na odcinku wywiadowczym, ale właśnie politycznym”.

W wielu wspomnieniach przedstawiciele tzw. terenu, w tym żołnierzy oddziałów partyzanckich podległych WiN, można trafić na sformułowania, że albo nic nie wiedzieli o tym, że AK czy DSZ zmieniła nazwę na WiN, albo nie przywiązywali do tego wagi, nadal walcząc z bronią w ręku z NKWD

i UBP. Dobrym przykładem są tutaj chociażby losy oddziałów mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika” oraz kpt. Kazimierza Kamińskiego „Huzara”. Jak Pan ocenia rzeczywisty wpływ kolejnych Zarządów Głównych WiN na podległe im oddziały leśne?

W chwili utworzenia Zrzeszenia WiN we wrześniu 1945 r. sytuacja w podziemiu poakowskim była skomplikowana. Na wielu terenach dawne siatki organizacyjne AK funkcjonowały nadal, a całe powiaty, zwłaszcza Polski wschodniej, kontrolowały oddziały partyzanckie składające się z akowców, którzy zignorowali, powtarzane latem tego roku przez Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, wezwania do demobilizacji. Między kierownictwem WiN a poakowskimi strukturami terenowymi ukształtowała się więc złożona sieć wzajemnych relacji. Jakkolwiek kolejne Zarządy Główny stały zasadniczo na stanowisku, że walkę zbrojną należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony, wykonywanych przez niewielkie, kilkusobowe patrole, to poczucie odpowiedzialności za los dawnych oficerów i żołnierzy AK, nadal tkwiących w dawnych strukturach konspiracyjnych lub wręcz „w lesie”, powodowało, że struktury te po prostu włączano do Zrzeszenia w takiej formie, w jakiej ukształtowały się one jeszcze w okresie okupacji niemieckiej. W tej sytuacji nazwa „WiN” była dla wielu dowódców terenowych jedynie kolejnym szyldem, za którym nie kryły się żadne istotne zmiany w ich dotychczasowej działalności. Nic więc dziwnego, że często nawet nie fatygowali się, aby poinformować o tym swoich żołnierzy, głęboko przekonanych, że nadal walczą w szeregach AK. Z punktu widzenia kierownictwa WiN poakowskie struktury terenowe, a zwłaszcza oddziały leśne, były często nabytkiem dość kłopotliwym, choćby dlatego, że ich członkowie z reguły nie podzielali przekonania kolejnych prezesów Zrzeszenia, że czas walki zbrojnej się skończył, a nadszedł okres rywalizacji politycznej. Równocześnie wielu lokalnych dowódców chętnie uznawało autorytet WiN, gdyż takie podporządkowanie legitymizowało ich działalność i pozwalało na wpisanie jej w szerszy kontekst trwającej walki politycznej. W efekcie między kierownictwem Zrzeszenia a poakowskim „terenem” wytworzyła się w latach 1945–1946 silna zależność symboliczna, w ramach której obie strony poczuwały się do lojalności wobec siebie. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński



UZBROJENIE

antykomunistycznego podziemia

Żołnierze Polskiego Państwa Podziemnego stworzyli jedną z najskuteczniejszych grup dywersyjnych. Zbrojne ramię wolnej Polski umierało długo, ale do końca z bronią w ręku.

PIOTR KOCYAN

Rozkaz był jasny – nie walczyć z Sowietami. Akcja „Burza” – w której żołnierze Armii Krajowej w roli gospodarza wspierającego sowieckie oddziały w walce – miała stać się zwieńczeniem działalności AK i gwarancją odbudowy suwerennej Rzeczypospolitej. Przez kilka lat z dużym wysiłkiem gromadzone środki bojowe były przeznaczone głównie na ten cel. Broń pozyskiwano z depozytów, pobożowisk, produkcji podziemnej, rekwizycji, akcji organizowanych w tym celu i zakupów. Armia Czerwona ponownie wkroczyła do Rzeczypospolitej 4 stycznia 1944 r. „Burza” tym samym weszła w stadium realizacji. Za nacierającymi czerwonoarmistami szły oddziały NKWD, które przystąpiły do rozbrajania polskich żołnierzy podległych władzom Polskiego Państwa Podziemnego. Kadre i władze cywilne Sowieci aresztowali i wywieźli w głąb Związku Sowieckiego lub rozstrzelali na miejscu. Akowców wcielano też do armii gen. Zygmunta Berlinga. Stan ten trwał do upadku Powstania Warszawskiego, kiedy to działalność sowiecka doprowadziła do rozbitcia struktury dowodzenia AK. Wiele oddziałów partyzanckich pozostało bez dowodzenia, zmuszone były one zatem przejść do obrony pasywnej. Najtragicznijszym wydarzeniem 1944 r. stała się utrata spójności organizacyjnej, ►

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W WARSZAWIE (2)

MAGAZYN BRONI

STANISŁAW CZECHAŃSKI
we wsi Górka-Zaczernie.
Z bronią i amunicją z magazynu, który zorganizował. Broń
odnalazła 2 września
1947 r. bezpieka.



Broń odnaleziona przez bezpiekę u Franciszka Nabożnego, członka WiN, 4 września 1947 r. we wsi Głogów w Rzeszowskiem.



Wykryty przez funkcjonariuszy bezpieki magazyn broni WiN „Rozdzielnia” u Wojciecha Błoniażza „Pioruna”, „Zręba” (na zdjęciu z N.N. mężczyzną) we wsi Zaczernie w gminie Głogów w województwie rzeszowskim 30 sierpnia 1947 r.

a także brak wzajemnej komunikacji i bezpowrotna utrata ogromnej ilości broni. Armia Krajowa 19 stycznia 1945 r. rozkazem komendanta głównego gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka” została rozwiązana.

Po przejściu frontu przez ziemie polskie doszło do nasycenia oddziałów bronią głównie niemiecką i sowiecką, która w całości wypierała wyeksploatowaną już broń polską, amerykańską i angielską z uwagi na nietypową amunicję lub w przypadku pistoletu Sten – niską funkcjonalność. W wyniku działalności zbrojnej i zużycia amunicji niemieckie pistolety maszynowe w latach 1946–1947 przestały pojawiać się na wojennych fotografiach, wypierane przez PPSz wz. 41 i PPS. W broni zespołowej ceniono nadal MG42 i MG34, ale ustępowały one miejsca coraz większej liczbie rkm-ów DP. Pojawiały się też pewne ilości karabinów szturmowych na amunicję pośrednią MP43 (StG44). Broń tego typu stosowano na froncie wschodnim, od 1944 r. zaś ze względu na dużą siłę ognia zaopatrywano w nią – wraz z amunicją 7,92 x 33 mm Kurz – oddziały partyzanckie. W użyciu wciąż pozostały Walthery, Parabellum, Colt 1911, Vis, Browning HP i rewolwer Nagant z rozwierconymi komorami pod amunicję 7,62 x 25 mm TT. Dominującą bronią stał się jednak pistolet TT, który tworzył z PPSz wz. 41 lub PPS wygodny zestaw.

Pod sowiecką dominacją

Próba stworzenia zorganizowanego na nowych zasadach oporu względem dominacji sowieckiej skończyła się niepowodzeniem. Narodowe Siły Zbrojne, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, Ruch Oporu Armii Krajowej, Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość w obliczu działań NKWD, Smierszu, MBP nie były w stanie wytonić jednolitego dowództwa. Ostatecznie ugrupowania bojowe, które wyszły ze struktur AK i nie uległy rozwiązaniu, oraz te, które scaliły się ponownie z rozformowanych uprzednio oddziałów pod dowództwem uznanej kadry oficerskiej, utworzyły samodzielne jednostki bojowe lekkiej piechoty w sile nawet kilkudziesięciu ludzi.

Celem działalności oddziałów podziemia niepodległościowego było opanowanie obszaru, na którym przebywały, kontrola ruchów nieprzyjaciela i niedopuszczenie do stworzenia struktury nowej władzy na wzór sowiecki. Przyjęta taktyka pozostawiała dużą swobodę poszczególnym oddziałom (szwadronom) co do przemieszczeń, baz, apro wizacji i rekwirowania. Większe akcje przeprowadzały zgrupowania kilku oddziałów, czasem pod dowództwem jednego lub grupy charyzmatycznych oficerów. Jak na warunki wojny partyzanckiej żołnierze ci utrzymywali wyjątkowo wysoki standard umundurowania i symboliki.



Karność, lojalność, bezkompromisowość wobec zła i poszanowanie chrześcijańskich wartości to cecha wspólna wielu biografii Żołnierzy Niezłomnych. Kilkudziesięcioosobowe oddziały pozostające w ciągłym ruchu stały się trudne do lokalizacji i infiltracji. Jednocześnie te same grupy wyposażone w broń samoczynną potrafiły skutecznie konfrontować się z jednostkami aparatu represji. Taktyczne wykorzystanie zaskoczenia, działań pozoracyjnych, osłony i uderzeń z kilku kierunków wskazuje na duże doświadczenie kadry oficerskiej. Jedną z najlepiej zorganizowanych operacji zbrojnego podziemia niepodległościowego była akcja kpt. Antoniego Hedy „Szarego” z 4–5 sierpnia 1945 r., zakończona rozbiciem więzienia w Kielcach i uwolnieniem kilkuset osób.

Nieco inny charakter miała aktywność 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Dominowała tu działalność polegająca na kontrolowaniu podległego obszaru, nękanu nieprzyjaciela, manifestacji siły i organizowaniu wielu akcji siłami poszczególnych szwadronów. „Łupaszka” i jego podkomendni odznaczyli się inwencją, dzięki czemu długo pozostali nieuchwytni.

Nieliczni

W 1945 r. żołnierze zbrojnego podziemia niepodległościowego odnieśli wiele spektakularnych sukcesów w konfrontacji zbrojnej z oddziałami NKWD i funkcjonariuszami MBP (Łowicz, Kurylówka, Las Stocki, obóz w Rembertowie, Hrubieszów). Szacuje się, że liczba żołnierzy zaangażowanych wówczas w działalność niepodległościową wynosi pomiędzy 80 a 100 tys., z cze-



Odnalezione przez bezpiekę dokumenty i materiały wybuchowe, które Stanisławowi Borkowicz „Młotowi” (WiN) powierzył Antoni Listwan „Lemiesz”, adiutant komendanta Okręgu Rzeszowskiego WiN.



Dowody rzeczowe (broń) ze śledztwa w sprawie rtm. Witolda Pileckiego. U góry cztery pistolety maszynowe, od lewej: Sten Mk II, Błyskawica i Mitraillette MAS 38. U dołu, po prawej: niemiecki pistolet P08 Parabellum (Luger) oraz amunicja, magazynki i lornetka. Zdjęcie z akt procesowych, wykonane po aresztowaniu Pileckiego w maju 1947 r.

go prawdopodobnie 30% stanowili żołnierze stacjonujący w lesie. Pozostali tworzyli zaplecze wywiadowcze, aprowizacyjne i rezerwę dla oddziałów. Stany posiadanej broni pozwalały według dzisiejszych szacunków na pełne wyekwipowanie ok. 30% żołnierzy w broń indywidualną i zespołową. Tak było do tzw. amnestii z lutego – kwietnia 1947 r. Po tym wydarzeniu w antykomunistycznym podziemiu zbrojnym pozostało zaledwie 2 tys. żołnierzy w kilkudziesięciu grupach zbrojnych. ►



UZBROJENIE ŻOŁNIERZY POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

 Bazowano na broni polskiej i niemieckiej dostosowanej do naboju 9 x 19 mm Parabellum i 7,92 x 57 mm Mauser. Były to kalibry priorytetowe. Główną część stanowiły karabiny powtarzalne Mauser Gw98k zarówno polskiej, jak i niemieckiej produkcji w różnych odmianach i wzorach. Z broni krótkiej dominowała mozaika modeli, z czego najbardziej pożądane były rewolwery Nagant i pistolety Vis (polski i niemiecki), Browning HP i Walther P-38. Wśród pistoletów maszynowych królował MP40 i Sten (zrzuty i produkcja podziemna), ale zdarzały się też modele starsze, jak MP18, MP28, EMP. Broń sowiecka głównie zdobytą w trakcie akcji rozbrajania sowieckiej partyzantki i porzuconą w czasie operacji „Barbarossa” pojawiała się przede wszystkim w oddziałach operujących na Kre-sach, początkowo w niewielkich ilościach, ale z tendencją narastającą. Karabiny Mosin wz. 1891/30 na amunicję 7,62 x 54 mmR, peemy PPD na 7,62 x 25 mm TT i Nagant wz. 1895 to główne modele sowieckiej proveniencji. Zdarzały się także karabiny samopowtarzalne SWT, rusznice przeciwpancerne PTRD. W arsenałach znajdowała się broń zespołowa, z czego najbardziej pożądane były pozostałe po kampanii wrześniowej rkm Browning wz. 28 oraz czechosłowackie ZB wz. 26 i 30 do naboju 7,92 x 57 mm Mauzera. Pewne ilości UKM MG34 i MG42 oraz sowiecki rkm DP stanowiły cenne uzupełnienie. Magazynowano dużo granatów: Sidorówek, Filipinek i mniejsze ilości niemieckich granatów trzonkowych oraz rzadziej: RG-42, F-1, polskie wz. 23 i wz. 33. Inna broń, ckm, rusznice przeciwpancerne (polskie, niemieckie i sowieckie), granatniki i lekkie moździerze, Piat, choć z uwagi na trudność w wykorzystaniu w trakcie walki manewrowej, była głównie składowana.



2. Jeden z dowodów rzeczowych w oskarżeniu o działalność szpiegowską rtm. Witolda Pileckiego: pistolet Vis wz. 35, magazynek i amunicja.

Fotografia z akt procesowych wykonana po aresztowaniu Pileckiego w maju 1947 r.

1. Część broni wykorzystana w sprawie rtm. Witolda Pileckiego, oskarżonego o działalność wywiadowczą: ZB wz. 26 (u góry), MG-42 (poniżej). W dolnej części zdjęcia granaty ręczne, amunicja oraz magazynki. Fotografia z akt procesowych wykonana po aresztowaniu Pileckiego w maju 1947 r.



Wraz z wypełnieniem ankiety amnestyjnej przepadła zarówno część składów broni, jak i broń przechowywana indywidualnie. Było to jednak uzbrojenie niskiej jakości i znacząco wyeksploatowane, na co wskazują zachowane spisy poamnestyjne urzędów bezpieczeństwa publicznego. Z tego wynika, że najwartościowszą broń zachowano lub przeniesiono do innych nowo tworzonej kryjówek. Tak zwana amnestia z 1947 r. dała też obraz stanów uzbrojenia partyzantki niepodległościowej. Na podstawie analiz fotografii i wspomnień można stwierdzić, że podstawą wyposażenia stała się broń samoczynna, głównie

w postaci pistoletów maszynowych. Zmniejszoną liczbę żołnierzy rekompensowano gęstością ognia i manewrowością.

Po tzw. amnestii nastąpił głęboki regres w działalności podziemnej. W lesie pozostali ludzie ideowi, niegodzący się z rzeczywistością PRL i pozbawieni złudzeń co do intencji nowej władzy. Jednocześnie była to grupa żołnierzy, którzy zdawali sobie sprawę z iluzji tzw. amnestii względem ich dotychczasowej postawy i działalności oraz mieli świadomość porzucenia przez niedawnych sojuszników Polski. Zeterminowani chronili się w lesie, grupując się w kilkunastoosobowe oddziały mające za cel



Dwaj nieznani mężczyźni z bronią i amunicją odnalezioną w magazynie WiN „Rozdzielnia” u Stanisława Zwierconą w miejscowości Dynów w powiecie brzozowskim. Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zlikwidował magazyn 1 września 1947 r.

manifestację przez opór zbrojny niezgody na utratę suwerenności Polski. Okoliczności wymusiły pogłębienie konspiracji, skupienie się na samoobronie, akcjach aprowizacyjnych i na działalności na małą skalę.

W latach 1947–1949 paradoksalnie oddziały zbrojne podziemia niepodległościowego osiągnęły też największą skuteczność. Przeciętny stan osobowy oddziału stanowiło od sześciu do kilkunastu żołnierzy o wysokim morale i doświadczeniu bojowym. Wyposażenie zoptymalizowano pod kątem szybkich i gwałtownych uderzeń z natychmiastowym odskokiem w teren. Podstawą był rkm DP dający kontrolę obszaru do 500 m, czasem jeszcze MG42, bronią główną stały się StG44 i PPSz wz. 41 i PPS. Używano rkm DP, mimo problemów z magazynkami i ułomnością układu powrotnego z racji na dostępność amunicji. StG44 stanowił uzupełnienie rkm DP do dystansu 300–150 m, pozwalał on na osłonę odskoku sekcji rkm i służył do ostrzeliwania odsłoniętych flank. Skuteczne używanie StG44, broni o nieznanym właściwościach, i wypracowanie taktyki jej użycia wymagały sporej wiedzy i intuicji, co jest dowodem na wysoki kunszt bojowy Żołnierzy Niezłomnych. PM PPSz wz. 41 na dystansie do 150 m, dzięki magazynkowi bębnowemu na 72 naboje 7,62 x 25 mm TT, pozwalał na kontrolę opanowanego obszaru, zaś PPS dzięki manewrowości

służył jako broń szturmowa i do szybkiej reakcji. Mimo trudności w zaopatrzeniu w amunicję StG44 stał się karabinem najbardziej uniwersalnym. Wraz ze zmniejszaniem stanów oddziałów zbrojnych i niemożności podziału ról w składzie grupy broń ta zyskiwała na znaczeniu.

Do ostatka

W 1949 r. nastąpił kolejny regres, gdy funkcjonariusze urzędów bezpieczeństwa publicznego rozbili ostatnie struktury dowódcze zbrojnego podziemia niepodległościowego. Oddziały musiały skupić się na przetrwaniu, a ich składy zmalały do kilku osób, niektórzy partyzanci ukrywali się też indywidualnie. Sytuacja taka trwała do 1953 r., kiedy funkcjonariusze UBP rozbili ostatnią zwartą grupę bojową, a symbolicznie do śmierci jednego z ostatnich Niezłomnych, Józefa Franczaka „Lalka”, w 1963 r. Żołnierze ukrywający się samotnie korzystali głównie z broni krótkiej i pistoletów maszynowych PPS, oczywiście często w dyspozycji ich pozostawały składy po rozbitych grupach, ale wykorzystanie tej broni było z reguły niemożliwe.

Żołnierze antykomunistycznego podziemia zbrojnego, mimo że nie przechodzili tak złożonego szkolenia jak cichociemni, dzięki doświadczeniu byli bardzo skuteczni w działaniu. Przy niskich stanach osobowych i minimalnych stratach własnych potrafili rozbić liczniejsze ugrupowania NKWD i UBP. Ich zwalczanie do tzw. amnestii w 1947 r. angażowało większość sił NKWD operujących w Polsce.

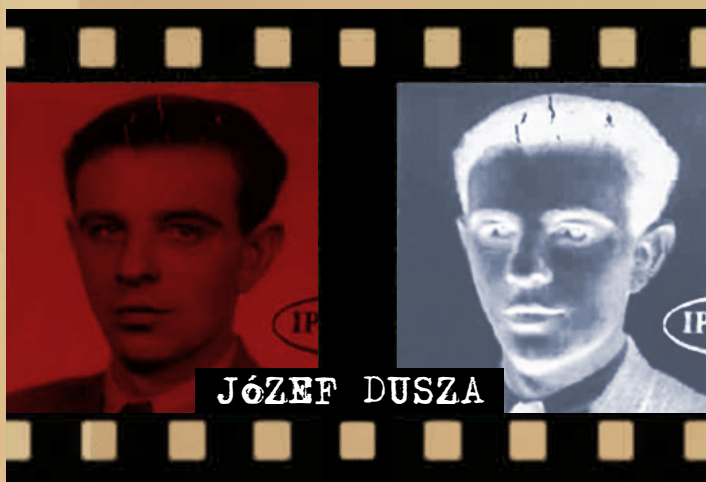
Walki toczone w latach 1947–1953 uniemożliwiły zainstalowanie na ziemiach polskich systemu komunistycznego w takiej postaci, jak w innych krajach tzw. bloku wschodniego. Niewymierną zasługą Żołnierzy Niezłomnych była obawa władz Związku Sowieckiego przed zbrojnym wystąpieniem w okresie późniejszym. Niewiadoma zarówno dla władz PRL, jak i Związku Sowieckiego pozostała zdolność społeczeństwa polskiego do takiego zrywu. Studia nad taktyką i działaniem zbrojnym podziemia niepodległościowego w Polsce są dziś jak najbardziej potrzebne szczególnie wobec obecnej sytuacji politycznej i konfliktu na Ukrainie.

PIOTR KOCYAN magister inżynier, konstruktor mechanik, bronioznawca, członek Security Direct. Specjalizuje się w tematyce uzbrojenia, lotnictwa i energetyki jądrowej. Autor ok. 100 publikacji z dziedziny budowy, eksploatacji i produkcji broni w miesięcznikach „Arsenal” i „wSieci Historii”.

Bibliografia:

Amnestia 1947 r. na Białostocczyźnie jako próba „rozbrojenia terenu”, w: *Komunistyczne amnestie lat 1945–1947 – drogi do „legalizacji” czy zagłady?*, red. W. Muszyński, Warszawa 2012, s. 347–369.
 Broń strzelecka polskiego podziemia niepodległościowego na Białostocczyźnie w latach 1939–1956 (zarys problematyki), w: *Zabytki czasu minionego bogactwem teraźniejszości – militaria wśród wartości kulturowo-przyrodniczych regionu, kraju i zjednoczonej Europy. Materiały z ogólnopolskiej konferencji naukowej Oświęcim-Twierdza 10–11 IX 2010*, Oświęcim-Twierdza 2010, s. 156–167.
 Krajewski K., *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1945*, Kraków 2015.
 Markowska M., *Wykłęci. Podziemie polityczne i zbrojne (1944–1956)*, Warszawa – Lublin 2013.
 Pawlina S., *Praca w dywersji. Codziennosc żołnierzy Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej*, Gdańsk 2016.

KACI PRZED



JÓZEF DUSZA



JERZY KĘDZIÓRA

W stalinowskim imperium najwierniejszymi wykonawcami woli „imperatora” byli jego „pretorianie” – funkcjonariusze NKWD.

PAWEŁ SZTAMA

Nawet oni musieli liczyć się z aresztowaniem i śmiercią, jeśli Józef Stalin stwierdził, że trzeba wymienić kadry zbyt skompromitowane zbrodniami, które sam zarządził. Podobny los spotkał kilku funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) w Polsce już po śmierci sowieckiego dyktatora.

Stalin zmarł 5 marca 1953 r. Wydarzenie to było szokiem dla wielu komunistów. Późniejszy, wieloletni wiceminister spraw wewnętrznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej gen. Franciszek Szlachcic napisał we wspomnieniach: „Ktoś nawet powiedział, że wszystkiego by się spodziewał, ale nie śmierci Stalina”¹. Śmierć człowieka odpowiedzialnego za miliony ofiar nie mogła po-

zostać bez konsekwencji. Schedę po Stalinie objął Nikita Chruszczow, który w wyścigu o władzę pokonał szefa osławionej sowieckiej bezpieki Ławrientija Berię. Beria został napiętnowany, oskarżony o zdradę i zamordowany.

Tak zwana odwilż, śmierć Berii i ucieczka Światły

Wydarzenia te zapoczątkowały w Związku Sowieckim i w innych państwach bloku wschodniego tzw. odwilż. Oznaczała ona odejście od polityki powszechnego terroru, którego symbolami były działania organów bezpieczeństwa, utworzonych we wszystkich krajach tzw. demokracji ludowej według schematu sowieckiego aparatu represji.

Z BEZPIEKI SĄDEM PRL



JÓZEF RÓŻAŃSKI



JERZY KASKIEWICZ



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

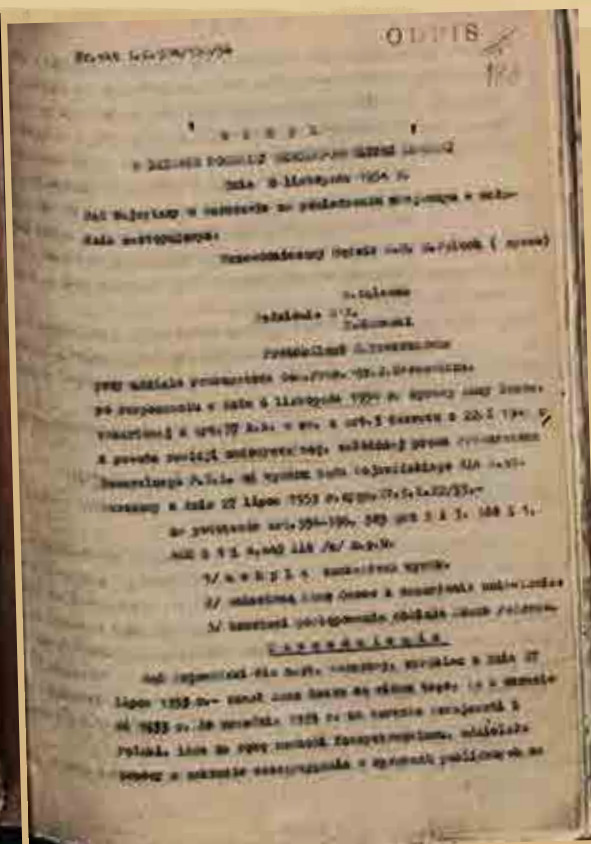
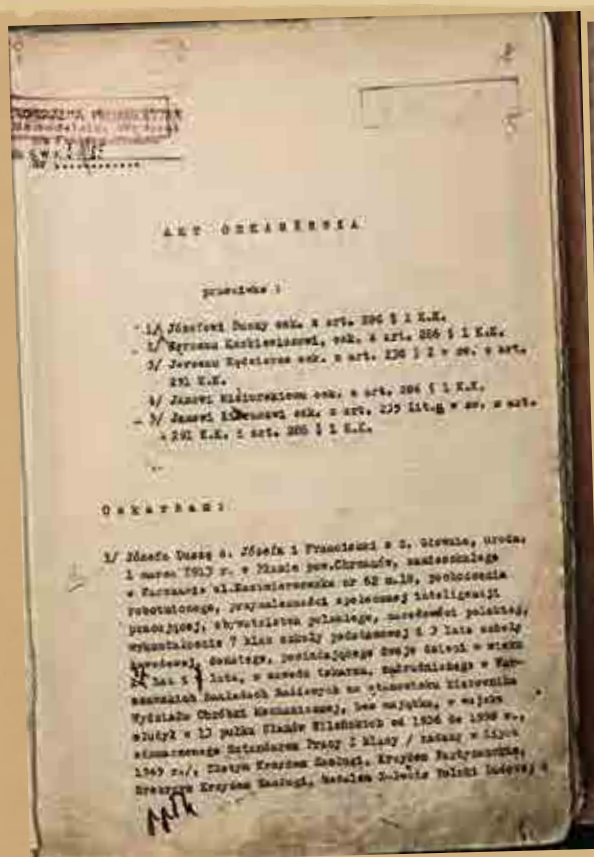
**NIE POSTAWIONO ICH W STAN OSKARŻENIA ZA
STOSOWANIE „NIEDOZWOLONYCH METOD ŚLED CZYCH”
W STOSUNKU DO SZEROKO ROZUMIANEJ OPOZYCJI,
CZY TO POLITYCZNEJ, CZY WOJSKOWEJ.**

W Polsce sytuacja wyglądała nieco odmiennie. Choć w połowie 1953 r. w osławionym Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego rozpoczęto m.in. kontrolę więzień, to terror nie osłabł. W więzieniach nadal przetrzymywano tysiące Polaków, których komuniści uznali za wrogów ustroju. Wśród nich byli żołnierze podziemia niepodległościowego i członkowie szeroko rozumianej opozycji, a także niektórzy komuniści z Władysławem Gomułką na czele. Ponadto nasiliła się walka z Kościołem katolickim. Jej symbolem było internowanie, we wrześniu 1953 r., prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego.

Pewne zamieszanie w szeregi partyjnej wierzuszki wprowadziła ucieczka na Zachód płk. Józefa Światły, wicedyrektora Departamentu X MBP. Światły, który miał ogromną wiedzę o najważniejszych instytucjach PRL, w tym o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) i MBP, zbiegł podczas podróży służbowej do Berlina 5 grudnia 1953 r.

Śmierć Berii i ucieczkę Światły kierownictwo PZPR postanowiło wykorzystać do zmian w MBP. Podjęto decyzję o rozwiązaniu Departamentu X, który odpowiadał za poszukiwanie „wroga wewnętrznego”. Ponadto na początku 1954 r. zwolniono dwóch prominentnych funkcjonariuszy bezpieki. Najpierw ze stanowiskiem pożegnał się dyrektor Departamentu X płk Anatol Fejgin, a później dyrektor Departamentu Śledczego płk Józef Różański. Dodatkowo zdecydowano się zredukować etaty w aparacie represji o 12% oraz zakazano stosowania tortur i innych nadużyć, które przed 1954 r. były normalną praktyką, szczególnie w pionie śledczym resortu. Wszystkie podjęte wówczas kroki miały charakter wyłącznie powierzchowny.

Sytuacja polityczna zdecydowanie przyspieszyła jesienią 1954 r. Od września na falach Radia Wolna Europa można było usłyszeć cykliczne audycje Światły



PODCZAS PROWADZONEGO PRZECIWKO RÓŻAŃSKIEMU ŚLEDZTWA PADŁO WIELE NAZWISK JEGO WSPÓŁPRACOWNIKÓW, KTÓRZY ZASŁYNEŃLI ZE STOSOWANIA OKRUTNYCH TORTUR. BYLI TO M.IN. JÓZEF DUSZA, JERZY KASKIEWICZ, JERZY KĘDZIORA, JAN KIERAS I JAN MISIURSKI.

zatytułowane niezwykle intrygująco „Za kulami bezpieki i partii”. Wierchuszka partyjna nie potrafiła przejść obok tych opowieści obojętnie. Ze stanowiskiem pożegnali się dwaj najważniejsi funkcjonariusze resortu: minister Stanisław Radkiewicz, który miał przejść na drugorzędne stanowisko, a także jego wieloletni zastępca gen. Roman Romkowski. Powołano specjalną komisję, która miała zbadać działalność MBP, a przede wszystkim funkcjonowanie Departamentu Śledczego w okresie, gdy kierował nim Różański. Szefem komisji został prominentny członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR gen. Franciszek Jóźwiak. Komisja ustaliła, że w pionie śledczym było wiele nadużyć. Podjęto zatem decyzję o aresztowaniu Różańskiego, które nastąpiło w listopadzie 1954 r. Dodatkowo zdecydowano się także na przepro-

wadzenie gruntownej reformy organów bezpieczeństwa. Z początkiem grudnia 1954 r. rozwiązano MBP, a w jego miejsce utworzono Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Podczas prowadzonego przeciwko Różańskiemu śledztwa padło wiele nazwisk jego współpracowników, którzy zasłynęli ze stosowania okrutnych tortur. Byli to m.in. Józef Dusza, Jerzy Kaskiewicz, Jerzy Kędziora, Jan Kieras i Jan Misiurski. Kozłem ofiarnym mieli stać się, w pierwszej kolejności, MBP i pracujący w tej instytucji funkcjonariusze. Według partyjnej propagandy doszło do niekontrolowanej działalności komunistycznej bezpieki, która wymknęła się spod nadzoru PZPR. Pisano o niej w prasie, a podczas III Plenum KC PZPR, które odbyło się pod koniec stycznia 1955 r., Bolesław Bierut, mówiąc o wypa-

cezeniach w MBP, stwierdził: „Na czym polegały te wyłączenia? Polegały one na: 1) na odrywaniu zadań i zakresu funkcji organów bezpieczeństwa od całości kształtu działalności Partii i Państwa Ludowego”². Tym samym los wielu funkcjonariuszy „zasłużonych” dla utrwalania tzw. władzy ludowej był przesądzony. A działalność i zbrodnie przez nich popełnione świetnie nadawały się do nakreślenia takiego scenariusza.

Dusza, Kaskiewicz, Kędziora, Kieras i Misiurski byli przez kilka lat oficerami śledczymi. Pierwsi trzej służyli w Departamencie Śledczym MBP. Kieras pracował najpierw w Wydziale Śledczym Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w ówczesnym Stalinogrodzie (Katowicach), a Misiurski w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. W latach 1948–1949 wszyscy wymienieni zostali przesunięci do Biura Specjalnego przemianowanego w listopadzie 1951 r. na Departament X MBP. Ich droga do komunistycznych organów represji była jednak różna.

Drogi do безпеeki

Najstarszy z tej piątki funkcjonariuszy był Dusza (rocznik 1913), najmłodszy Misiurski (rocznik 1928). Kaskiewicz urodził się w 1923 r., Kędziora w 1925 r., a Kieras w 1922 r. Pochodzili z różnych części Polski: od Nowogródzkiej (Kaskiewicz), poprzez Kielecczą (Kędziora i Misiurski) oraz Małopolską (Dusza), po Śląsk (Kieras). Wszyscy wywodzili się z rodzin robotniczych. Czterech z nich deklarowało w ankietach specjalnych, że ich rodzice byli wyznania rzymskokatolickiego. Tylko Kaskiewicz pisał, że wychowywano go w obrządku prawosławnym. Oficerowie ci nie mieli wyższego wykształcenia. Najpierw ukończyli szkoły powszechne. Później część z nich podjęła naukę na różnych kursach rzemieślniczych, inni kontynuowali edukację w gimnazjach.

W przedwojenny ruch komunistyczny zaangażował się tylko Dusza. Do czynienia z komunistami miał też Kędziora, którego ojciec był działaczem Komunistycznej Partii Polski (KPP).

Różne były także ich dzieje po wybuchu II wojny światowej. Dusza brał udział w kampanii polskiej 1939 r. Po jej zakończeniu pracował w Chrzanowie, gdzie w 1942 r. wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej (PPR). Następnie ukrywał się przed gestapo, a po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną rozpoczął pracę w aparacie bezpieczeństwa.

Zupełnie inaczej potoczyły się losy reszty z piątki funkcjonariuszy. W czasie II wojny światowej Kaskiewicz uczył się w Technikum Sowieckiego Handlu tzw. Targowli w Białymstoku. Wówczas zaangażował się w politykę. Agitował na rzecz przyłączenia tzw. Zachodniej Białorusi do Związku Sowieckiego. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej pracował jako pomocnik buchaltera w jednym z niemieckich urzędów. Po wej-

ściu Armii Czerwonej na Nowogródzycznę został funkcjonariuszem безпеeki, najpierw w Białymstoku, a później w Sieradzu. W 1945 r. przeniesiono go do MBP.

Kędziora po wybuchu wojny uciekł do Lwowa. Tam rozpoczął działalność komunistyczną. W 1942 r. przetrzucono go do Polski. Był członkiem specjalnej grupy bojowej przy Oddziale II Sztabu Głównego Gwardii Ludowej. W 1944 r. został żołnierzem ludowego Wojska Polskiego, a w 1945 r. rozpoczął służbę w aparacie bezpieczeństwa publicznego.

Kierasa natomiast w 1940 r. wywieziono na roboty przymusowe do Deutsch Wette (Nowego Świątowa). W 1943 r. udało mu się stamtąd zbiec. Jednak po jakimś czasie aresztowano go i umieszczono w KL Blechhammer, z którego uciekł w kwietniu 1944 r. Rozpoczął pracę w PKP w Łazach, a w 1945 r. tamtejsza organizacja partyjna PPR skierowała go do pracy w aparacie represji.

W pierwszym okresie II wojny światowej Misiurski nadal się uczył. Dopiero w 1944 r. wstąpił do Armii Ludowej. Przez krótki czas był funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej. W listopadzie 1945 r. rozpoczął pracę w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Koźuchowie i stopniowo piął się po szczeblach kariery.

Śledztwo i proces

Wszyscy wymienieni funkcjonariusze dosłużyli się stopni oficerskich w aparacie represji. Dusza był podpułkownikiem, Kaskiewicz i Kędziora zostali majorami, a Kieras i Misiurski kapitanami. Byli także bardzo wysoko oceniani w opiniach służbowych.

Oficerowie ci słynęli ze stosowania brutalnych metod śledczych. Ich zachowania podczas prowadzenia śledztwa ujawnili świadkowie w czasie zeznań przed komisją Józwiaka i w całym postępowaniu przeciw Różańskiemu, prowadzonym w latach 1954–1955. Mówili o tym więźniowie, którzy wcześniej dostali się w ich ręce, a także służbowi koledzy oskarżonych. Szczególnie ci drudzy niezwykle gorliwie opowiadali wiceprokuratorowi Prokuratury Generalnej Kazimierzowi Kukawce. Do winy – choć jeszcze wówczas zapewne nie przypuszczali, że zostaną za nią pociągnięci do odpowiedzialności – przyznali się również Dusza, Kaskiewicz, Kędziora, Kieras i Misiurski. Ich bardzo precyzyjne zeznania, w których m.in. dokładnie opisali swoje kariery w Departamencie X, prowadzone sprawy lub też metody śledcze, jakie stosowali wobec przesłuchiwanym, nie mogły zostać niezauważone. Obciążali zarówno samych siebie, jak i współtowarzyszy.

W tej sytuacji już w marcu 1955 r. z resortem musiał się pożegnać Józef Dusza. Poszedł on drogą Kierasa, który został wydalony ze służby jeszcze w czerwcu 1954 r. Pozostali pracowali w organach bezpieczeństwa jeszcze przez kilka miesięcy. Jednak 13 lipca 1955 r. całą piątkę aresztowano. W niepa-
mięć poszły ich niedawne „zasługi”. Nikt nie starał się ►

ich bronić. Nikt nie szukał usprawiedliwienia. Zostali 26 lipca dyscyplinarnie zwolnieni z resortu.

Na liście funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa przeznaczonych do aresztowania była zdecydowanie większa liczba niż wymienionych pięciu i Różański. Jednak prokurator, powołując się na art. 86 lit. c, ówczesnego Kodeksu karnego, wyszedł z założenia, że przestępstwa m.in. Eugeniusza Chimczaka, Jana Grzędy, Adama Humera, Edmunda Kwaska, Romana Laszkiewicza, Kazimierza Świtonia i innych przedawniły się. Oznaczało to, że winę za całość zbrodni MBP miało ponieść tylko sześciu funkcjonariuszy pracujących w resorcie. Inni, którzy równie gorliwie „utrwalali władzę ludową” w latach 1944–1956, zwalczając brutalnie podziemie niepodległościowe, opozycję polityczną, różnego rodzaju konspiracyjne grupy młodzieżowe i Kościół katolicki, mieli pozostać bez kary.

Wiceprokurator Kukawka 13 grudnia 1955 r. sporządził i wysłał do Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy akt oskarżenia przeciwko całej piątce oficerów śledczych. Dusza, Kaskiewicz, i Misiurski zostali oskarżeni z artykułu 286 § 1 kk, który brzmiał: „Urzędnik, który przekraczając swą władzę lub nie dopełniając obowiązku, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze więzienia do lat 5”. Kędziorez postawiono zarzuty z art. 230 § 2 w zw. z art. 291: „Jeżeli śmierć wynika z umyślnego uszkodzenia ciała, rozstroju zdrowia, spędzenia płodu lub porzucenia, określonego w art. 200, sprawca podlega karze więzienia do lat 10. Jeżeli urzędnik dopuścił się jakiegokolwiek przestępstwa podczas urzędowania lub w związku z urzędowaniem, sąd może wymierzyć karę wyższą o połowę od najwyższego wymiaru kary, przypisanego za dane przestępstwo”. Kieras natomiast został oskarżony z art. 235 lit. a w zw. z art. 291 i 286 § 1 kk: „Kto pozbawia człowieka wzroku, słuchu, mowy, zdolności płodzenia podlega karze więzienia do lat 10”.

Proces Duszy, Kaskiewicza, Kędziory, Kieras i Misiurskiego rozpoczął się 27 grudnia 1955 r. Nie transmitowało go radio, nie pisało o nim w gazetach. Władza nie miała zamiaru nagłaśniać informacji o brutalnej działalności MBP. Adwokatów dla oskarżonych wyznaczono z urzędu, nikt bowiem dobrowolnie nie chciał ich bronić.

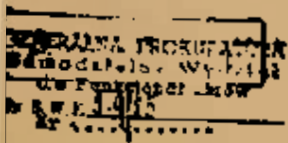
W pierwszym dniu rozprawy prawie wszyscy oskarżeni przyznali się do winy. Dusza powiedział: „Czyny, których się dopuściłem w okresie tych lat [1948–1953 – P.Sz.], są sprzeczne z prawem i ja ich nie pochwalam. W tym okresie, kiedy ja je popełniłem, wierzyłem ludziom, z którymi pracowałem, uważałem ich za wzór komunistów. W sytuacji, jaka wtedy istniała, uważałem, że przymus jest usprawiedliwiony”³. Podobnie zachowali się Kaskiewicz, Kieras i Misiurski. Winę za swoje zachowanie zrzucili na przełożonych, głównie na Romkowskiego i Różańskiego. Opowiadali o problemach zdrowotnych, które dotknęły ich w wyniku długich, kilkunastogodzinnych śledztw, jakie prowadzili przez dłuższy czas. Jedynym, który zaprzeczył oskarżeniu, był Kędziora. Wprawdzie dość precyzyjnie opowiedział, jakich metod śledczych używał w stosunku do przesłuchiwanego przez siebie Wacława Dobrzyńskiego, ale tłumaczył się przy tym, że bezpośrednią przyczyną śmierci więźnia był brak pomocy lekarskiej, a nie tortury, które zastosował.

Drugiego dnia procesu, 28 grudnia, wezwano na rozprawę 13 świadków, w tym ofiary oskarżonych funkcjonariuszy oraz ich byłych kolegów ze służby. Wiele osób odmówiło składania zeznań podczas trwania procesu. Ludziom tym tak bardzo utkwily w pamięci przesłuchania prowadzone przez oskarżonych, że obawiali się następstw psychicznych kolejnego spotkania z nimi. Jedynym, który dobrowolnie chciał zeznać, był przesiadający w więzieniu Kazimierz Moczarski. Jego jednak nawet nie uwzględniono w grupie świadków.

Byli aresztanci Specjalnego Więzienia Departamentu X MBP, tzw. Spaceru w Miedzeszynie i więzienia mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie podtrzymywali wcześniejsze zeznania. Opowiadali o sposobach i metodach pracy oskarżonych: o gnębieniu psychicznym czy też o stosowaniu najróżniejszych bardzo bolesnych tortur. Ci natomiast wraz z adwokatami próbowali „łapać świadków za słowa”. Niekiedy starali się podważyć ich wiarygodność, wskazując, jak choćby w przypadku Janusza Sokołowskiego, zaburzenia psychiczne spowodowane przejściami, których doświadczył on w śledztwie. Bronić swoich kolegów starali się byli funkcjonariusze Departamentu X MBP.

Koniec

Ostatnie akordy rozprawy wybrzmiały 29 i 30 grudnia 1955 r. Prokurator drugiego





PROKURATOR, POWOŁUJĄC SIĘ NA ART. 86 LIT. C, ÓWCZESNEGO KODEKSU KARNEGO, WYSZEDŁ Z ZAŁOŻENIA, ŻE PRZESTĘPSTWA M.IN. EUGENIUSZA CHIMCZAKA, JANA GRZĘDY, ADAMA HUMERA, EDMUNDA KWASKA, ROMANA LASZKIEWICZA, KAZIMIERZA ŚWITONIA I INNYCH PRZEDAWNILI SIĘ.

dnia zażądał dla Duszy i Kaskiewiczza – pięciu lat pozbawienia wolności, dla Misiurskiego – dwu i pół roku więzienia, a wobec Kędziory i Kierasa „surowego wymiaru kary”. Wszystkich miała objąć tzw. ustawa amnestyjna.

W mowach końcowych obrońcy oskarżonych prosili jednocześnie o umorzenie spraw podlegających przedawnieniu i sprawiedliwe wyroki. Adwokat Misiurskiego podkreślił także, że wyrok sądu powinien być adekwatny do młodego wieku oskarżonego, a w przypadku Kierasa uwzględnić jego zły stan zdrowia psychicznego. Jedynie obrońca Kędziory domagał się uniewinnienia oskarżonego.

Oskarżeni zaś w ostatnim słowie oficjalnie wyznali skruchę, żaden z nich jednak nie wypowiedział do swych ofiar słowa: „przepraszam”.

Proces Duszy i innych zakończył się już 2 stycznia 1955 r. Oskarżonych sąd uznał winnymi zarzucanych im czynów. Najsurowszy wyrok otrzymał Kieras – dziewięć lat pozbawienia wolności. Jednocześnie na mocy ustawy amnestyjnej z 22 listopada 1952 r., zmniejszono mu wyrok do sześciu lat więzienia. Dusza został skazany na pięć lat pozbawienia wolności. Po amnestii zmniejszono karę do trzech lat i czterech miesięcy. Sąd skazał Kaskiewiczza na cztery lata pozbawienia wolności. Po amnestii zmniejszono czas odbywania kary do dwóch lat i ośmiu miesięcy. Jerzy Kędziora usłyszał wyrok trzech lat. Po amnestii był to rok i sześć miesięcy.

Jan Misiurski otrzymał dwa lata w zawieszeniu. Po amnestii pozostał mu rok.

Proces Duszy i innych oficerów śledczych był jednym z pierwszych elementów pseudorozliczeń z okresem stalinowskim, które zarządzili faktyczni twórcy tamtego systemu. Postawieni przed sądem funkcjonariusze współodpowiedzialni za zbrodnie i terror stalinowski w Polsce wykonywali polecenia partyjnej wierzuszki. Nie postawiono ich w stan oskarżenia za stosowanie „niedozwolonych metod śledczych” w stosunku do szeroko rozumianej opozycji, czy to politycznej, czy wojskowej. Zostali napiętnowani i osądzeni za pracę w Biurze Specjalnym – Departamencie X MBP. Wyroki, które otrzymali, nie były i do dziś nie są zgodne ze społecznym poczuciem sprawiedliwości.

Partia niewielkim kosztem chciała osiągnąć cel, który sobie wówczas postawiła. Sukces ten był jednak pozorny i krótkotrwały, a prawdziwe trzęsienie ziemi miało dopiero nadejść.

PAWEŁ SZTAMA absolwent Wydziału Nauk Historycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Doktorant Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz pracownik naukowy Biura Badań Historycznych w Lublinie. Interesuje się historią aparatu represji w latach 1944–1956 w Polsce i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), Wspomnienia gen. bryg. Franciszka Szlachetca, IPN BU 0379/751, k. 74. ² Archiwum Akt Nowych, KC PZPR, III/12, Referat Bolesława Bieruta, 21 I 1955 r., s. 59–60. ³ AIPN, Akta sprawy kamej przeciwko: Józef Dusza i inni, IPN BU 2547/1, cz. 1, Protokół rozprawy głównej, 27 XII 1955 r., k. 0170.



Rozkaz, którego nie było

Niekiedy żołnierze stają przed koniecznością wykonania polecenia, którego nie tylko nie rozumieją, ale które może im się wydawać sprzeczne z przysięgą, moralnością i zdrowym rozsądkiem. Ale rozkaz to rozkaz. Taka żołnierska dola.

DOMINIK KAŹMIERSKI

Mój dziadek, Wiktor Kaźmierski, służył przed laty w Korpusie Ochrony Pogranicza (KOP). Nie był żołnierzem zawodowym, tylko z poboru. W roku 1933 – po odbyciu kursu w szkole podoficerskiej KOP w Osowcu k. Grajewa – trafił do jednej ze strażnic KOP na ówczesnej granicy polsko-sowieckiej w okolicach Baranowicz.

We wspomnieniach Wiktora Kaźmierskiego często pojawia się jego bezpośredni przełożony, sierż. Żeszutko (bądź Rzeszutko, dopiero po śmierci dziadka bowiem uświadomiłem sobie, że nigdy go nie spytałem, przez jakie „żet” się pisał ów pan). Zapamiętany został trochę jak sierż. Barnes ze słynnego filmu „Pluton” Olivera Stone’a. Doświadczony, zawodowy żołnierz, ale zarazem twardziel i postrach „nowych”. Takich jak mój dziadek.

Pewnego dnia sierżant zebrał kilku niedoświadczonych żołnierzy, w tym także Wiktora Kaźmierskiego, i przekazał im nowe wytyczne dowództwa. Otóż spodziewano się wówczas niepokoju na granicy. Niepokój szczególnie rodzaju. Ze strony sowieckiej miały do Polski iść bliżej nieokreślone tłumy uciekinierów-imigrantów. A żołnierze pilnujący granicy mieli ich nie przepuścić. Żeby było jeszcze ciekawiej, sierżant zaznaczył: „Jak będą szli do przejścia granicznego, wymierzacie karabiny i celujecie, później strzelacie”. Dodał jednak: „Ale podnosicie lufę »o palec« do góry, tak by kule przeleciały nad ich głowami. Nie zabijacie, bo to też Polacy. Tylko my ich tu nie chcemy”. Żołnierze przez jakiś czas chodzili podenerwowani. Nic specjalnego jednak nie nastąpiło. Nie było żadnych tłumów na granicach. Służba odbywała się spokojnie, a do tego dziwnego rozkazu nikt już później nie wracał.

Nadszedł wreszcie czas, gdy Wiktor Kaźmierski służbę wojskową zakończył. Wrócił do domu. Mijały lata. Jednak

owa przemowa sierżanta już do końca życia mojego dziadka nie dawała mu spokoju. „Jak to?” – zastanawiał się. – „Polski żołnierz miał strzelać do Polaków?” Aż do śmierci nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Nad tą kwestią zastanawiałem się i ja. Nigdzie nie znalazłem oficjalnego potwierdzenia takiego rozkazu. Był wszak podany żołnierzom ustnie. O co więc mogło chodzić? Pewne poszlaki może dać tu moment, w którym mój dziadek odbywał służbę w KOP. Lata 1932–1933 to czas, gdy w Związku Sowieckim władze zaczęły odchodzić od tzw. polityki korenizacji. W wielkim skrócie chodziło o liczne utworzone tam jednostki administracyjne, których mieszkańcy należeli do jednego narodu. Były dwie polskie: Marchlewszczyzna i Dzierżyńszczyzna. Miały być modelowymi tworami pokazującymi, jak wspaniale i nowocześnie żyje się w komunizmie. Jednak projekt ten już w owym czasie poniósł – w oczach kremlowskich decydentów – fiasko. Ostatecznie Marchlewszczyznę i Dzierżyńszczyznę zlikwidowano w latach 1935–1937. Opornych Polaków zaś spotkał tragiczny los. I być może właśnie mieszkańców owych „polskich republik” spodziewali się na granicy dowódcy KOP? Ale dlaczego „strzelać”? Bo wśród owego tłumu uchodźców byłoby co niemiara sowieckich agentów. A z masą różnych Wand Wasilewskich, Bolesławów Bierutów i podobnych, kontestujących – w ten czy inny sposób – ustrój i istnienie niepodległego państwa polskiego, byłyby duże kłopoty. I taka moim zdaniem była przyczyna wydania żołnierzom KOP tego strasznego rozkazu strzelania do Polaków. Rozkazu, którego nie było. ■

DOMINIK KAŹMIERSKI historyk, dziennikarz, nauczyciel. Współpracował m.in. z „Nowym Państwem”, „Dziennikiem. Polska, Europa, Świat”, „Uważam Rze. Historia”.

*Świadek ukończenia przez Wiktora
Kaźmierskiego kursu w szkole KOP
w Osowcu k. Grajewa.*





Lp. *42/117*

ŚWIADECTWO

Mr. Wierski Wiktor URODZONY DNIA *30 lipca* 1910 R.
W *Łodzi* POWIATU *Łódź* WOJEWÓDZTWA *Łódź*
UKOŃCZYŁ W CZASIE OD DNIA *20 września* 1932 R. DO DNIA *14 marca* 1933 R.

SZKOLE PODOFICERSKA

10 Centr. Szkoł. Podofic. Korpusu Ochrony Pogranicza
Z WYNIKAMI *dobrymi* I OTRZYMAŁ NOMINACJĘ NA *starszego strzelca*

Człowiek w Głównym
DNIA *14 marca* 1933 ROKU

Induski

OSK. SZKOLA PODOFICERSKA



OSK. SZKOLA PODOFICERSKA

HONOR



OJCZYZNA



WALECZNYM



NA
POLU CHWAŁY

OD POWSTANIA DO WOJNY



*Zygmunt Jatozak jako żołnierz
batalionu „Miotła”. Obraz olejny
Aleksandra Karcza.
Archiwum Zygmunta Jatozaka*

WARSZAWSKIEGO W INDOCHINACH

„Zostałem »Ryszardem« w 1943 r. Przydzielono mnie do grupy Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej. Była to grupa dywersyjna »Anatol« por. Tadeusza Janickiego »Czarnego«, w której byłem do 1944 r. W marcu tego roku przeniesiono mnie do grup bojowych, do batalionu »Miotła«” – wspomina por. Zygmunt Jatczak.

Był Pan żołnierzem Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej, a następnie batalionów „Miotła” i „Czata 49”. Jaka była Pańska droga do elitarnych oddziałów powstańczej Warszawy?

Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy Niemcy schwytali mnie w łapance w Warszawie i wywieźli do Majdanka. Tutaj poznałem chłopaka, z którym siedziałem aż do końca. Prawie dwa miesiące tam siedzieliśmy, na III polu, nie pamiętam już numeru baraku. Pamiętam, że naszym blokowym był Żyd, który nas mocno gonił. To były polskie bloki, w pierwszych trzech przetrzymywano chłopów z Zamojszczyzny. W następnych mieszkali ludzie schwytani w łapanekach w Warszawie. Mego współtowarzysza wykupiła w gestapo matka, która miała tam znajomą agentkę. A mnie zwolnili, bo moja mama poszła do komendanta policji granatowej, płk. Aleksandra Reszcyńskiego. On dobrze znał mojego ojca, który przed wojną służył w policji. Zapewnił moją matkę: „Pani Jatczakowa, niech pani się nie martwi, pani syn wróci”. I rzeczywiście wróciłem. Miałem szczęście, bo za dwa tygodnie, 5 marca 1943 r., pułkownika zastrzelili geelowcy w jego mieszkaniu na Żoliborzu.

Mój znajomy z obozu miał kuzyna Ryszarda Sitnika, do którego często zachodziliśmy. I on pewnego dnia zapytał mnie, czy nie chciałbym wstąpić do podziemia, bo potrzebują tam sprytnych chłopaków. I tak się to zaczęło. On mnie tam wprowadził. Któregoś dnia otrzymałem wezwanie, chyba do mieszkania przy Hożej. Pamiętam, że to było mieszkanie

któreś z koleżanek i że tam światło nie było włączone, tylko wszędzie stały zapalone świece. W takiej scenerii mnie zaprzysiężono. Tak zostałem »Ryszardem”. Przydzielono mnie do grupy Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej. Była to grupa dywersyjna „Anatol” por. Tadeusza Janickiego „Czarnego”, w której byłem do 1944 r. W marcu tego roku, kiedy miałem już 20 lat, przeniesiono mnie do grup bojowych, do batalionu „Miotła”.

W tym czasie, aby mnie znów nie złapano i nie uwięziono na Majdanku, musiałem pracować. Zatrudnienie załatwił mi szwagier w przejętej przez Niemców pożydowskiej firmie Amber. Prowadził ją trojhender (niemiecki komisarz) Prusiewicz, poznaniak. On stałe mi powtarzał: „Zygmunt, nie mieszaj się w żadne awantury, żebyś nigdzie nie należał. Żebyś cię nie musiał potem wyciągać”.

A Pan już dawno konspirował...

Tak, ale prowadzenie działalności konspiracyjnej miałem utrudnione, bo musiałem być ciągle w pracy. Na konspirację przeznaczaliśmy przeważnie weekend. Spotykaliśmy się w sobotę i niedzielę. Czasem wyjeżdżaliśmy za miasto, w lasy niedaleko Tłuszcza. Tam ćwiczyliśmy strzelanie lub musztrę. A przed powstaniem przez trzy dni stawiano nas w gotowości bojowej i ją odwoływano. Pamiętam, że 1 sierpnia 1944 r. byliśmy przy Hożej; siąpił wtedy deszcz, choć było ciepło. Przyszedł do nas por. „Czarny” i powiedział: „Chłopaki, dziś nie będzie powstania, idźcie do domu”. Mama wtedy przygotowała mi



FOT. PIOTR KORCZYŃSKI

ZYGMUNT JATCZAK
porucznik, żołnierz Kedywu, a następnie batalionu „Miotła” i „Czata 49” w Powstaniu Warszawskim. W 1948 r. został żołnierzem 13 pól-brygady Legii Cudzoziemskiej, tej samej, która wcześniej wraz z polską Samodzielną Brygadą Strzelców Podhalańskich odznaczyła się w walkach pod Narwikiem w 1940 r. W jej szeregach walczył na południu Indochin. Zarówno za udział w Powstaniu Warszawskim, jak i za walki w Indochinach wielokrotnie odznaczany, m.in. polskim Krzyżem Walecznych i francuskim Médaille Militaire. Został 9 lipca 2017 r. wyróżniony najwyższym francuskim odznaczeniem – Legią Honorową.



Na spacerze z przyjaciółmi. Pierwszy z prawej Zygmunt Jatzak. Warszawa, ul. Wolska, 1943 r.

obiad, było gdzieś przed godz. 15. Nagle przyjechał Rysiek Sitnik na rowerze i powiedział: „Zygmunt, ubieraj się, powstanie!”. I tak się zaczęło, choć właściwie początek był jeszcze przed wybuchem, bo nasz oddział miał zbiórki przy ul. Dzielnej 72, w budynku fabryki Kamlera. Tym samym, w którym sztab miał komendant główny AK, gen. Tadeusz Komorowski „Bór”. Wtedy o tym nie wiedziałem, ale stanowiliśmy jego obstawę. Właśnie do tego budynku po godz. 16 przyjechali po coś bahnschutze [straż kolejowa – P.K.] i wywiązała się strzelanina. Na szczęście w godzinę „W” przyszyli nam na pomoc inne oddziały.

Drugiego dnia powstania przypadkowo wpadłem do gabinetu gen. „Bora” u Kamlera. Lubiłem wszędzie zaglądać. Zobaczyłem, że on siedzi w gabinecie dyrektora. Szybko się wycofałem, ujrzałem tylko jego łysinę i uciekłem.

Co Pan jeszcze zapamiętał z pierwszych chwil powstania?

Tego samego dnia, 2 sierpnia, miałem targ z zastępcą dowódcy batalionu, ppor. Sewerynem Skowrońskim „Anatolem”, który chciał mnie wyrzucić z oddziału za to, że mu nie zasalutowałem. Ostatecznie zostałem w batalionie, ale miałem później takie dziwne zdarzenia, że często wystawiano mnie na pierwszą linię, na ubezpieczenie i o mnie zapominano. Na przykład na Bonifraterskiej ustawili mnie z tyłu jednego z domów. Na-

przeciwko biegł mur, a za nim byli Niemcy. Nasi chłopcy obstawiali fronton domu, a mnie dowódca postawił z tyłu, na balkonie pierwszego piętra, z widokiem na Stadion Polonii. Trwało to dłuższy czas, więc zszedłem wreszcie z piętra do jednego chłopaka i zapytałem, jaka jest sytuacja. A ten, żeby wracał, bo Niemcy wszędzie wkoło. Wróciłem na balkon, odebzpieczyłem dwie filipinki i visa i czekałem na Niemców. Za jakiś czas usłyszałem terkot. Pomyślałem: „Cholera, coś jedzie”, ale to był jakiś inny odgłos. I nagle pod moimi nogami wytrysnął ogień. Zbiegam na parter, żywego ducha nie było. Później dopiero zobaczyłem, jak wszyscy moi koledzy wychodzą z piwnicy. A ten odgłos to była mina samobieżna Goliat. Po wyjściu z piwnicy cały mój pluton stał bezradny. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić, a Niemcy walili z miotaczy i broni maszynowej ze wszystkich stron. Wreszcie padł rozkaz: „Przebiegamy przez ulicę!”. Po drugiej stronie w bramie byli nasi. I wtedy na ochotnika jako pierwszy zgłosił się młody, może piętnastoletni chłopiec: „Ja, panie poruczniku”. Nie dobiegł, dzieciaka skosił erkaem na środku ulicy. Tak samo drugiego. Dopiero trzeci przebiegł. Podobnie było na Sapieżyńskiej, tam też Niemcy spalili miotaczami kamienicę, którą my zajęliśmy wieczorem. Dosłownie podeszwy butów paliły nam się na pogorzelisku, gdy staliśmy na tej pozycji. Niemcy po drugiej stronie w bramie ustawili cekaem i znowu padł rozkaz, żeby przeskoczyć ulicę. Dwóch pierwszych chłopaków przebiegło. Biegłem jako trzeci i nagle zobaczyłem pod moimi nogami ogień. Niemiec już dobrze się wstrześli. Później zobaczyłem, że w nogawce spodni mam dziurę po pocisku smugowym – milimetry od kolana. Już ani jeden wtedy z naszych nie przeszedł. Porucznik krzyknął, że obejdą w koło. Przecież można było tak od razu, żeby nie narażać naszego życia.

Piątego dnia powstania w podobnej akcji pierwszy zostałem ranny. Dowódca rozkazał mi z meldunkiem przeskoczyć z rogu Żytniej i Okopowej na drugą stronę ulicy. Gdy szykowałem się do biegu, pocisk z działka przeciwpancernego uderzył w drzwi, przed którymi stałem. Wyrzuciło mnie na 2 m i wyglądałem strasznie, cały pokrwawiony, z odłamkiem pocisku w ręce. Jak mnie sanitariuszki zaczęły opatrywać, okazało się jednak, że odłamek wkręcił się w sweter – miałem tylko niewielką ranę w ramieniu i siniaki.

FOT. ARCHIWUM ZYGMUNTA JATZAKA



POWSTANIE WARSZAWSKIE

1. Opatrywanie rannego żołnierza na ulicy. Warszawa, sierpień 1944 r.
2. Powstańczy posterunek przed wejściem do kwatery dowództwa. Warszawa, sierpień 1944 r.
3. Posąg Chrystusa przed kościołem Świętego Krzyża w Warszawie. Wrzesień 1944 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)



W powstaniu służył Pan m.in. w osobistej obsłudze dowódcy ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”. W jakich okolicznościach objął Pan tę funkcję i jak Pan zapamiętał tego legendarnego dowódcę?

„Radosława” pierwszy raz zobaczyłem chyba trzeciego dnia powstania. Stał na Okopowej z oficerami. W czasie walk na Starym Mieście nasz pluton był pod dowództwem pchor. Leszka Niżyńskiego „Niemego”. Na Świętojerskiej obsadzałem barykadę z kolegą

„Jaguarem”. Nazywaliśmy go „Sercowy”, bo on był chory na serce. Ale jak się okazało, nie do końca był chory. W pewnej chwili on do mnie powiedział: „»Ryszard«, poczekaj, coś przyniosę”. A Niemcy już byli blisko, przez tuby nawoływali do poddania się. „Jaguar” wrócił z puszką wołowiny i butelką wódki. Wypiliśmy tę wódkę, w głowie się nam zakręciło i wróciliśmy na barykadę. Zobaczyliśmy, że zaczęło się bombardowanie, ściany się rozchwiały od bomb zrzuconych przez sztukasy. Powiedziałem: „»Jaguar«, skoczmy do bramy naprzeciwko, bo tutaj wszystko się wali”. Tak zrobiliśmy, ale wtedy zasypało nas i w tej bramie. Wygrzebaliśmy się, a pijany „Jaguar” wbiegł z powrotem na barykadę i wygrażał pięściami niemieckim lotnikom. Wówczas potwierdziło się stare przysłowie, że pijanego nieszczęście nie spotyka. Ani nas nie drasnęło. Zeszliśmy z barykady, a raczej z tego, co z niej zostało, i dołączyliśmy do ewakuacji.

Na Starym Mieście trwały zaciekle walki, to było prawdziwe piekło. Tutaj, na pl. Bankowym, zginął kolega, który mnie wciągnął do konspiracji. Przebiecie się ze Starego Miasta do Śródmieścia nie powiodło się. Nie udały się ani atak przez gruz, ani próba ataku przez kanały. Kiedy próbowaliśmy się przebijać, musieliśmy zostawić nasze pozycje niemalże puste. Wszyscy byli zgrupowani tam, gdzie



1

1. Żołnierze batalionu „Miotła”. W środku plut. Jerzy Michalski „Korczak”. Wrzesień 1944 r.

2. Po wyzwoleniu z niewoli: Zygmunt Jatzak z kolegą z AK, kpr. pchor. Włodzimierzem Brzezińskim „Bosco”. Koszary US Army w Bremie, przełom 1945 i 1946 r.

FOT. ARCHIWUM ZYGMUNTA JATZAKA (2)



2

mieli się przebić, a za nami masa cywilów. Kiedy atak się nie udał, wszyscy musieli się wycofać. Wreszcie zapadła decyzja o ewakuacji kanałami. W tej dramatycznej sytuacji trzeba było zostawić część ludzi na barykadach, żeby osłaniali odwrót głównych sił. Wszyscy stali w kolejkach do kanałów. Podszedł do nas dowódca i zapytał: „Kto na ochotnika zostanie na barykadzie, bo ktoś musi ubezpieczać ewakuację”. Pomyślałem, że nie mam już nic do stracenia, widziałem, jak się nasz dom palił przy Żytniej. O tym, że moja rodzina ocalała, dowiedziałem się dopiero w Wietnamie. Zgłosiłem się i wtedy porucznik kazał mi się stawić u „Radosława”. Jak się zgodziłem zostać, dali mi stena i amerykańskiego colta 11/45. Wcześniej miałem kbk mausera, visa i granaty. Gdy zameldowałem się w sztabie na Miodowej, przyszedł do mnie „Radosław” i chciał zobaczyć, jaką miałem broń. Spojrzał na mojego podniszczony stena i colta i zapytał: „Tylko to masz?”. Zawołał Zbigniewa Ścibora-Rylskiego „Motyla” i rozkazał mu, aby mi dał swoją nowiutką błyskawicę. Ściborowi wyraźnie było to nie w smak, ale nie miał wyjścia.

Najpierw nas wysłano na Długą. Podpułkownik Mazurkiewicz otrzymał wiadomość,

że tam któryś z oddziałów wycofuje się bez polecenia. „Radosław” wydał rozkaz jednemu z oficerów ze swojej świty, nie pamiętam nazwiska, że w razie czego mam rozstrzelać jego dowódcę. Weszliśmy na Długą, a tam armagedon. Wszędzie ogień, wszystkie kamienice płonęły. Na środku stał jakiś oficer z chłopakami. Podeszliśmy do niego, mówiąc: „Panie kapitanie, proszę zajmować z powrotem stanowiska, bo inaczej będziemy musieli pana rozstrzelać”. Kapitan zbłądł i zaczął krzyczeć na swoich żołnierzy, żeby wracali na stanowiska. Następnie dostaliśmy rozkaz, żeby sprawdzić wiadomość, że Niemcy są już w kościele pw. św. Jacka. Weszliśmy tam krążgankiem, od strony klasztoru. Zobaczyłem, że pod kropielnicą klęczał staruszek, siwiutki i się modlił. Zapytałem: „Panie, nie widział pan Niemców?”. Ale do niego już nic nie docierało. Wszedłem do kościoła, a tam makabra – zwały trupów przywalonych sufitem; Niemców już nie było.

Od tego dnia ciągle byłem przy ppłk. Mazurkiewiczowi w obstawie aż do chwili zejścia do kanałów. Tutaj się pogubiliśmy. „Radosław” z oficerami gdzieś odszedł, a jego obstawa została na Długiej przy Barokowej. Zobaczyliśmy

cywilów z tobołami na plecach i białymi flagami wychodzących z ruin od strony Daniłowiczowskiej. Gdy wchodzili na barykadę, krzyczeli do nas: „Bandyty, wycofujcie się, a nas zostawiacie na pastwę Niemców!”. Powiedziałem do kolegów: „Trzeba strzelić na postrach, bo kobiety nas rozszarpia”. Dałem może ze dwa razy w niebo i jako ostatni weszliśmy do kanału. A tam ciasno, miałem na sobie skórzany płaszcz niemieckiego motocyklisty, zrzuciłem go przed wejściem. Za mną szedł „Jaguar”, nagle chwycił mnie za pas i krzyczał, że ma atak serca i jeszcze ze z tyłu za nami się pali, bo Niemcy puścili benzynę i podpalili. Prosiłem, żeby mnie puścił, bo ani on, ani ja nie ruszymy z miejsca. Wreszcie mnie przestał trzymać i jakoś doczołgaliśmy się do głównego kolektora i dołączyliśmy do naszej kolumny. Dalszej drogi już nie pamiętam, prócz tego, że bardzo chciało mi się spać, to było jak senny majak. Wyszliśmy na Wareckiej niedaleko Poczty Głównej i tam dołączyliśmy znowu do „Radosława”. Pamiętam, jak chodziliśmy z nim do gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” na Świętokrzyską. Tam się chyba kłócili, bo ppor. Mazurkiewicz wychodził od niego zawsze bardzo poruszony. Musieliśmy mu też torować drogę, bo w Śródmieściu były tłumy ludzi. Któregoś dnia „Radosław” kazał nam się odmeldować i zgłosić do naszego oddziału, którego resztki były w Alejach Ujazdowskich, chyba w budynku ambasady szwajcarskiej. Stamtąd już wszyscy poszliśmy na Czerniaków. Tutaj po dwóch dniach Niemcy uderzyli na Szpital św. Łazarza. Nasz pluton pod dowództwem por. Kazimierza Jackowskiego „Torpedy” dostał rozkaz pójścia na odsiecz i wówczas zostaliśmy odcięci. Wtedy cała nasza grupa, resztki po batalionie „Miotła”, nazwane „Czatą”, została rozbita. Obstawialiśmy willę Pniewskiego, w której dzisiaj mieści się Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk. Zapamiętałem, że tam znaleźliśmy stół zastawiony niemieckim jedzeniem na gorąco, którego Niemcy nie zdążyli zjeść przed wycofaniem się. Pamiętam do dziś smak gorącego gulaszu i puszki ze sztucznym miodem. My wszyscy, zamiast obstawiać okna i prażyć Niemców, zajadaliśmy się tymi przysmakami.

Tutaj kolejny raz miałem nieprzyjemną sprawę. Kiedy przyszedł rozkaz od „Radosława”, żeby nikogo nie przepuszczać ze Śródmieścia na Czerniaków, akurat stałem na posterunku. Przychodziły do mnie dziewczyny i prosiły, że chłopaków pozostawiały. A ja: „Macie przepustkę, jak nie, to wracać”. W pewnym momencie podeszło do mnie dwóch oficerów, kapitan z majorem, w polskich mundurach z dystynkcjami. I ja ich pytam: „Panowie, macie przepustki?”, a oni, że nie. To ja proszę: „Panowie, do tyłu”. Gdy oni zaczęli ze mnie żartować, to ja do nich: „Panowie, możecie się śmiać, ale ja was nie przepuszczę”. Wtedy jeden do drugiego powiedział: „Strzel chamowi w łeb”. Odbezpieczyłem błyskawicę, mówiąc: „Tylko spróbuj...”. Zaczął się krzyk, wyskoczył mój do-

wódca „Torpeda” i pytał, co się dzieje. Odpowiedziałem, że ponownie oficerowie chcieli mnie zabić. Wtedy „Torpeda” rozkazał mnie zluźnować. Nie wiem, jak to się skończyło, przypuszczam, że mój dowódca ich przepuścił.

Ale tym samym potwierdził Pan, że jest zdyscyplinowanym żołnierzem.

Tak, ale znowu zaczęło się „zapominanie” o mnie. I zostałem ponownie ranny 13 września, do dziś mam kulę w prawej dolnej szczęce. Jak sowiecka artyleria zaczęła ostrzelać Czerniakowa, już było po 13 września, przyszedł rozkaz, żebyśmy się wycofali z zajmowanych stanowisk. Była umowa, że my się wycofujemy, a Rosjanie rozpoczną ostrzał niemieckich stanowisk. Nie wiedzieć czemu, nikt mnie nie ściągnął z posterunku i zostałem przy Książęcej 7, w ruinach po naszej kwaterze. Po trzecim wybuchu pocisku artyleryjskiego wycofałem się do piwnicy, by przeczekać tę kanonadę. Naraz do piwnicy wpadli ludzie w niemieckich panterkach. Zamierzyłem się z automatu, a oni krzyknęli: „Nie strzelaj, my z »Zośki«!”. Okazało się, że przedarli się przez niemieckie pozycje. Pytali, gdzie nasi; odpowiedziałem: „Idźcie do tyłu”. A rosyjska artyleria nie przestawała strzelać. Wypadłem za nimi z piwnicy, a przede mną wybuch, gdy podnosiłem się z leja, w który wpadłem, za mną kolejna eksplozja. Chciało mi się wtedy płakać, bo co się podniosłem, to wybuch. Ale jakoś wreszcie udało mi się dotrzeć do oddziału, a tam zdziwienie: „»Rysiek« smartwychwstał!”. Koledzy pozwolili mi wtedy odpocząć, a nawet odczyścili zapiaszczoną błyskawicę. Od tego czasu do kapitulacji Niemcy nas już nie atakowali.

Co zdecydowało, że po wyjściu z niewoli zaciągnął się Pan do Legii Cudzoziemskiej?

Po pierwsze, odmówiłem powrotu do Polski na piśmie. Urzędnicy, chyba z Unry, w Niemczech namawiali nas: „Wracajcie do kraju, tam macie wolny kraj”. Mój ojciec, policjant, wcześniej służył w armii rosyjskiej i opowiadał nam, co komuniści robili w Rosji po rewolucji. Ojciec nie tyle obawiał się wojny, co rewolucji. Ciągle przestrzegał mamę przed rewolucją w Warszawie, mówił, że komunizm się w niej zakorzenił bardzo i trzeba będzie z niej uciekać. Po podsłuchiowaniu rozmów rodziców na komunizm byłem uczulony.

Po drugie, jak wspominałem, byłem przekonany, że nie mam już rodziny, że nikt z moich bliskich nie przeżył powstania. Odmówiłem powrotu do kraju, a komuniści odebrali mi obywatelstwo.

I jeszcze jedno, po zakończeniu służby w oddziałach wartowniczych alianci proponowali, byśmy my, Polacy, szukali sobie pracy u Niemców. Nie chciałem pracować u tych, przeciw którym nie tak dawno walczyłem. Postanowiłem więc wstąpić do Legii Cudzoziemskiej. ■

Rozmawiał Piotr Korczyński

Mistrz strzelecki broni Wybrzeża

Wyniki por. Andrzeja Matuszaka, publikowane w przedwojennej prasie, inspirowały tysiące żołnierzy, przyciągając do sportu strzeleckiego w równym stopniu podoficerów, co podchorążych i młodzież oficerską.

TOMASZ SARNECKI

Ten młody chłopak podczas Narodowych Zawodów Strzeleckich w Wilnie w kategoriach karabin i karabinek zdobył wszystkie główne nagrody indywidualne. Były to kolejno konkurencje: karabin wojskowy – 300 m, trzy postawy, 501 pkt na 600 możliwych; broń długa dowolna bez szkieł optycznych – 300 m, trzy postawy, 526 pkt na 600; karabinek sportowy – 500 m, trzy postawy, 1134 pkt na 1200.

Wcześniej, bo już w 1931 r., podczas Międzynarodowych Zawodów Strzeleckich we Lwowie Andrzej Matuszak jako młody zawodnik WKS Kielce został pierwszym polskim mistrzem świata w strzelectwie. W głównej konkurencji – karabin standard (3 x 20 strzałów, 300 m stojąc) odniósł spektakularny sukces.

Nikt wtedy nie wiedział, jak potoczy się jego kariera nie tyle sportowa, co *stricto* wojskowa. Jesienią 1935 r. ukończył z szesnastą lokatą Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Następnie w 1936 r. został przydzielony do 4 Pułku Piechoty Legionów Polskich w Kielcach. Jako wybitny oficer o ponadprzeciętnych uzdolnieniach zasilił w kwietniu 1937 r. szeregi nowo utworzonego 2 Batalionu Morskiego, obejmując stanowisko dowódcy 2 kompanii w Wejherowie.

Tarcza dla Gdyni

Pod koniec czerwca 1939 r. na Wybrzeże przybył gen. dyw. Louis Faury, były dyrektor nauk Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie – powszechnie lubiany Papa Faury, wielki przyjaciel Polski – mianowany wkrótce, 23 sierpnia

1939 r., szefem francuskiej misji wojskowej w Polsce. Zwiedził koszary, dokonał przeglądu baonu i obserwował krótkie ćwiczenie w wykonaniu 2 kompanii strzeleckiej pod dowództwem por. Matuszaka. Tematem była obrona prowadzona przez małe grupy piechoty, dobrze umocnione w terenie i wyposażone w ciężką broń maszynową (kompania w pierwszej linii, kompania jako odwód batalionu i kompania na linii czat). W tych przypadkach należało uwzględnić użycie ckm-u do celów widocznych i niewidocznych w wykonywaniu: zapory ogniowej, zapór ryglowych i stanowisk zapasowych. Matuszak wykonał zadanie wzorowo, dzięki czemu wyjechał wraz z dwoma kolegami (porucznikami Górskim i Zagrodzkim) na szkolenie w Centrum Wyszko-

lenia Piechoty w Rembertowie. Tam trafił na kurs dowódców kompanii, udoskonalony przez dyrektora nauk Centrum Wyszko-

lenia Piechoty płk. dypl. Bronisława Ducha. Po powrocie z kursu, 3 sierpnia 1939 r., por. Matuszak wziął udział w pierwszym i zarazem ostatnim święcie Batalionu. Przy pięknej pogodzie odbyła się defilada na ul. Gdańskiej, a następnie obiad żołnierski w koszarach. Na uroczystości był obecny nowo mianowany dowódca Lądowej Obrony Wybrzeża płk Stanisław Dąbek, a w imieniu dowódcy 16 Dywizji Piechoty – dowódca artylerii dywizyjnej płk Witold Doliwa-Andruszewicz.

Przed burzą

Jeszcze w czerwcu rozpoczęto energiczne przygotowania stanowisk obronnych. Na całym odcinku wykona-



FOT. ZBIORY AUTORA

Plakat autorstwa Stefana Norblina, XXVIII Międzynarodowe Zawody Strzeleckie, Myśliwskie i Łucznicze, Łódź, 1931 r.

no rowy strzeleckie w pełnym profilu, stanowiska broni maszynowej i schrony obserwacyjne. Przygotowano także stanowiska zapasowe ckm-ów, uwzględniając warunki do otwarcia ognia pośredniego (poprawki donośności na wiatr, temperaturę i ciśnienie atmosferyczne przy amunicji polskiej SC, kal. 7,92 mm) do maksymalnych wartości donośności rzędu 3500 m.

Wzorcowa jednostka gdyńskiej piechoty, przemianowana w dobie mobilizacji na 2 Morski Pułk Strzelców, wystawiła placówki ubezpieczenia już 23 sierpnia, tj. na dzień przed rozkazem telefonicznym z Dowództwa Floty mobilizującym pułk. Placówkę nr 1, w sile drużyny, ulokowano w rejonie stacji kolejowej Wielki Kack, której budynki zachowały się do dziś. Natomiast placówkę nr 2, w sile plutonu z ckm-em, w rejonie toru Gdynia-Orłowo – Zoppot, oddaloną o 500 m od przejścia granicznego na szosie; w linii znajduje się dziś pamiątkowy pomnik 2 Morskiego Pułku Strzelców. Pułk wymaszerował z koszar 27 sierpnia 1939 r. na pozycje bojowe, organizując obronę na dwukrotnie szerszej niż regulaminowa, bo aż ośmiokilometrowej linii obrony, poczynając od plaży w Orłowie aż do Chwarzna, czyli na południowych stokach Redłowa i Witomina. Pozostałości pozycji obronnych 2 MPS można odnaleźć w witomińskim parku jeszcze dziś. Porucznik Andrzej Matuszak objął dowodzenie 5 kompanią II baonu na najbardziej odpowiedzialnym i trudnym odcinku: plaża Orłowo – Ieśniczówka Krykulec.

Tarcza dla ojczyzny

Najpierw 1 września por. Matuszak dowodził brawurowym przeciwuderzeniem, odrzucając Niemców aż za pozycje wyjściowe; Niemcy wywozili swoich zabitych kilkoma samochodami. Następnie został wyznaczony przez dowódcę płk. Ignacego Szpunara do nocnego wypadu, wraz z I baonem kpt. Jana Wysockiego i kompanią zwiadowców ppor. Mariana Klisia, z zadaniem odrzucenia Niemców za granicę Zoppotu. W nocy z 1 na 2 września, działając zaskoczenia, polskie oddziały zlikwidowały wszelki opór, nie zdobywając jednak głównego przedmiotu natarcia, tj. wzgórza 84,3, osłaniane go zaciekle z broni maszynowej i moździerzy. Wzięto wtedy do niewoli 25 jeńców, zdobyto 5 ckm-ów, 1 moździerz, 1 działko ppanc., 2 pm, radio, a przy zabitym obserwatorze artyleryjskim znaleziono materiały wywiadowcze: rozkazy brygady, kryptonimy, plany polskiej obrony, w tym także spis wszystkich dowódców 2 MPS, od dowódcy pułku do plutonu włącznie. Następnie 2 września II batalion z sukcesami odpierał dalsze próby przełamania pozycji obronnej na głównym niemieckim kierunku natarcia, który wspierały: cała artyleria



Zawodnik WKS Kielce Andrzej Matuszak z polskim kbk Mauser wz. 29. Pierwszy polski mistrz świata w strzelectwie. XXVIII Międzynarodowe zawody strzeleckie, myśliwskie i łucznicze, Lwów, 1931 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Stanowiska obserwatorów i komisji strzelniczej głównej XIII Narodowych Zawodów Strzeleckich w Krakowie, lipiec 1938 r.

brigady, pancernik „Schleswig-Holstein” i ciężka broń piechoty. Warto wspomnieć, że por. Andrzej Matuszak był również dowódcą improwizowanego pociągu pancernego pozorującego natarcie po osi toru kolejowego Wielki Kack – Osowa, odciągając uwagę Niemców od głównego natarcia w rejonie wsi Osowa. Warsztaty kolejowe w Gdyni napędce przygotowały kilka wagonów towarowych, których ściany od zewnątrz umocniono prowizorycznymi arkuszami grubej blachy i skrzynkami z piaskiem. Podobnie osłonięto parowóz. Pociąg wyruszył z Wielkiego Kacka 4 września o godz. 1. Na platformach zewnętrznych Matuszak obsadził po dwóch obserwatorów: podoficer i strzelec, na lokomotywie

Ppor. Andrzej Matuszak, Zawody Strzeleckie Polska-Estonia-Łotwa, Warszawa 1935 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Tarcza por. Andrzeja Matuszaka z 2 Batalionu Morskiego. Pierwsze miejsce w klasyfikacji indywidualnej konkursu głównego w kategorii karabin wojskowy (kb. 1): tarcza pierścieniowa, odległość 300 m, trzy postawy (stojąc, kłęcząc, leżąc), 501 pkt na 600 możliwych. XII Narodowe Zawody Strzeleckie w Wilnie, lipiec 1937 r.

Fot. „Wiarus”
nr 43/1937



– siebie z rkm-em i jednym strzelcem, w wagonach krytych – po dwa ckm-y i podzielony pluton pod dowództwem ppor. Drabczyńskiego. W odległości 800 m na południe od stacji pociąg dostał się pod bardzo silny ogień niemieckich ckm-ów rozmieszczonych na stanowiskach wzdłuż toru. Okazało się, że „opancerzenie” pociągu nie jest dość mocne, niemieckie pociski przebijały blachy. Ośmiu żołnierzy zostało rannych, granat rzucony do tendra przez Niemca o mało nie doprowadził do tragedii. Na szczęście st. strz. Połudzeń zdążył go odrzucić. Mimo częściowego powodzenia akcji wypadowej – wzięto do niewoli 22 jeńców, zdobyto 3 moździerze, działko ppanc., broń maszynową, 5 samochodów i 6 motocykli – zaniechano dalszych prób natarć z użyciem pociągu ze względu na słabości opancerzenia i brak możliwości oświetlenia przedpola.

Działania wojenne 2 MPS, zakończone 19 września 1939 r. dramatyczną obroną Okisywa, były bezprecedensowe w całej historii walk na Wybrzeżu. Obrona pozycji granicznych Gdyni trwała nieprzerwanie do 12 września, czyli aż do powtórzonego rozkazu płk. Stanisława Dąbka o bezwzględnym wycofaniu się na Kępę Okyską wobec groźby okrążenia Gdyni z kierunku północno-zachodniego. Gdyńskich pozycji granicznych broniło przez 12 dni łącznie 3 tys. pełnych poświęcenia żołnierzy i oficerów 2 Morskiego Pułku Strzelców.

Warto stale o tym przypominać i nie ograniczać się przy omawianiu kolejnych rocznic obrony Wybrzeża tylko do hasłowego wystrzału niemieckiego pancernika i siedmiodniowej obrony Westerplatte przez 230 żołnierzy.

Po zakończeniu walk por. Matuszak wraz z grupą oficerów Lądowej Obrony Wybrzeża dostał się do niewoli. Był jeńcem obozu Oflag II E Neubrandenburg. Po wojnie – współzałożyciel Polskiego Związku Strzeleckiego, kapitan sportowy Zarządu Związku i trener. Jego podopieczni w 1966 r. na mistrzostwach świata w Wiesbaden zdobyli aż siedem medali.

TOMASZ SARNECKI (1966–2018) grafik, autor słynnego plakatu Solidarności „W samo południe 4 czerwca 1989”. Absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Autor opracowań, prezentacji i wystaw historycznych. Współpracował z Dowództwem Garnizonu Warszawa i Uniwersytetem Warszawskim oraz Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Pracował w Wojskowym Centrum Edukacji Obywatelskiej. Kierował Stowarzyszeniem Historycznym „Cytadela”. Współpracował z grupami rekonstrukcji historycznych.



Gen. dyw. Louis Faury, wykładowca taktyki ogólnej, historyk wojskowości, dyrektor nauk Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie (1921–1928), szef Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce (23 sierpnia – 17 września 1939 r.).

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



MISTRZ SARNECKI NA STRAŻY HISTORII

Był jednym z pierwszych autorów, z którymi planowałam współpracę przy tworzeniu kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”. Pamiętam nasze spotkanie i radość śp. Pana Tomasza z faktu, że powstaje nowy wojskowy tytuł, który poświęcony będzie historii chwały polskiego oręża. Przygotowany do rozmowy, żarliwy i przekonujący w prezentowaniu propozycji publicystycznych. Taktowny i skromny. Mieliśmy w planach przypomnienie historii Baonu Stołecznego – śp. Tomasz Sarnecki położył wielkie zasługi w upamiętnieniu tej historycznej formacji. Bardzo mi żal, że nie doczekał debiutu na naszych łamach. Tytuł artykułu, nadesłanego nam przed śmiercią, który dziś publikujemy, zawsze już będzie miał dla mnie symboliczną wymowę. Wierzę, że Tomasz Sarnecki drogę do wieczności przemierza wśród tych, których upamiętnieniu poświęcił życie. Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie.

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”

REKONSTRUKCJA SYLWETKI

Rekonstrukcja sylwetki porucznika, dowódcy kompanii 2 Morskiego Pułku Strzelców, koszar Gdynia/Redłowo, dziś Szpital Morski im. PCK. Na zdjęciu śp. Tomasz Sarnecki, Stowarzyszenie Historyczne Cytadela.



FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Jedna z załóg polskiego Liberatora przed akcją przerzucenia cichociemnych latem – 1586 Eskadra Specjalnego Przeznaczenia.

„Czer” – legenda lwowskiego

Kiedy komuniści podczas sfingowanego procesu wydali na niego wyrok śmierci, kilkuset mieszkańców jego rodzinnych stron wystąpiło z petycją do Bolesława Bieruta o ułaskawienie.

ALEKSANDER SZYCHT

Ówczesnej władzy nie udało się zabrać Piotrowi Szewczykowi „Czerowi” życia, toteż postanowiła je zniszczyć. Po latach trudno było w schorowanym, wyniszczonym ciężką pracą starcu rozpoznać wirtuoza fachu – komandosa, który był postrachem Niemców, upowców i komunistów. Służba Bezpieczeństwa pilnowała go do końca.

„Czer” upamiętnienie swego życia zawdzięcza historykowi Adamowi Cyrze.

Nigdy się nie poddawał

Urodził się w 1908 r. w Babicach k. Oświęcimia. Był jednym z dziewięciorga rodzeństwa. Wiedział, co znaczy bieda, to z jej powodu musiał przerwać studia prawni-



Piotr Szewczyk „Czer”
w pierwszych latach wojny.



FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO,
ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

**Odznaka skoczka
spadochronowego
z wieńcem bojo-
wym otrzymywa-
nym po odbyciu
skoku bojowego
do kraju.**

Kedywu

cze. Wychowany w patriotycznej atmosferze, dbający o kondycję fizyczną 15 sierpnia 1931 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie, później kontynuował naukę w Szkole Policyjnej w Mostach Wielkich w województwie lwowskim. Wspinął się po szczeblach kariery policyjnej i wojskowej, odbywając rozmaite kursy, praktyki i ćwiczenia w Wojsku Polskim. Ukończenie kursu oficerów policji w Kowlu na Wołyniu i Szkoły Oficerskiej Policji Państwowej w Warszawie otworzyło mu możliwość kolejnych awansów. Jako policjant pracował w różnych miejscach Polski.

Szewczyk w Wojsku Polskim od 1 stycznia 1937 r. był już podporucznikiem. Kiedy w maju 1938 r. kończył w 57 Pułku Piechoty ostatnie przedwojenne ćwiczenia, na *Rocznej liście kwalifikacyjnej* odnotowano, że zna

dwa języki: niemiecki i w mowie ukraiński. W dokumentach czytamy także „Jednostka o charakterze jeszcze nie ustalony[m] na dużym poczuciu honoru i godności”¹. Wrócił do szkoły w Mostach Wielkich, tym razem jako instruktor. Sprawność fizyczna musiała iść w parze z intelektualną, skoro 28 sierpnia 1939 r. mianowano go szefem biura mobilizacyjnego Komendy Głównej Policji Państwowej. We wrześniu 1939 r. powierzono mu obronę dostępu do dwóch najważniejszych mostów stolicy: ks. Józefa Poniatowskiego i Kierbedzia (Aleksandryjskiego). Dowodził tam kompanią karabinów maszynowych Policji Państwowej. Nie lubił bierności, toteż już w listopadzie 1939 r. przedostał się przez Słowację na Węgry. Stamtąd powrócił jeszcze w 1939 r. jako kurier do okupowanego kraju.

Turysta Sikorskiego

Już w styczniu Szewczyk – ponownie przez Węgry – dotarł do Zagrzebia, a następnie do Francji, by dołączyć do tworzącej się Armii Polskiej. W lutym 1940 r. został żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich. Wiosną na dalekiej północy dowodził plutonem w bitwie o Narwik. Za okazane bohaterstwo gen. Władysław Sikorski już w Szkocji przypiął mu odznaczenie Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari. Natomiast 20 marca 1942 r. rząd norweski na emigracji przyznał Szewczykowi Krzyż Wojenny z Mieczami, który otrzymało jedynie 12 walczących Polaków. W latach osiemnastu przyszedł do niego – na adres Urzędu do Spraw Kombatanów – list od zmarłego w 1957 r. króla: „Norwegia składa Ci podziękowanie za wszystko, co dałeś Jej w walce o wolność. Naczelny Wódz Haakon Rex”². Nie wiemy, gdzie przez mniej więcej 30 lat list leżał.

Po powrocie z norweskich fiordów Szewczyk zdążył wziąć udział w kolejnej walce z Niemcami we Francji i znów otrzymał zagraniczne odznaczenie, tym razem francuski Krzyż Wojenny z Palmą. Po klęsce Francuzów przedostał się do Hiszpanii, stamtąd do Portugalii, a następnie do Anglii jako – jak mówili Niemcy – turysta Sikorskiego. Później określenia tego, stosowanego przez niemiecką propagandę, użył na zasadzie dowcipu król Wielkiej Brytanii Jerzy VI w stosunku do Polaków, którzy chcieli przedostać się do armii polskiej; następnie zostało ono przyswojone przez samych Polaków. W Anglii wcielony do 1 Dywizjonu Artylerii Przeciwlotniczej prawie rok zgłębiał tajniki tej broni i pełnił funkcję instruktora wychowania fizycznego. Już w sierpniu 1941 r. szkolił się w 1 Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego.

Przez siedem miesięcy pływał w brytyjskiej flocie handlowej, gdzie miał okazję szlifować angielski, szkolił się bowiem do przyszłej dywersji morskiej. Pozostawał w tym czasie do dyspozycji Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza. Potem, 16 stycznia 1942 r., ►

Wniosek nominacyjny na podporucznika rezerwy.

Stopień i tytuł	Nazwisko i imię	Data urodzenia (dzień, miesiąc, rok)	F. K. U. i ostatnie miejsce zamieszkania	Wykaz szkoleń pchor. rez. gdzie, w jakim czasie, z jakim postępem i oceną	Ogólna opinia o czasie praktyki w polku po ukończeniu szk. pchor. rez.	Data odbycia egzaminu, od brytyjskich wojsk w rezerwie i ogólna ocena z nich	Zakwalifikowany przez Komendę wojskową z oceną	Wzrost
1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	Szewczyk Piotr	29 9 1908	Województwo Łódzkie, powiat Łódź, ul. ...	1. Szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Łodzi, 1934-1935, z oceną ... 2. Szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Łodzi, 1935-1936, z oceną ... 3. Szkolenie w Szkole Podchorążych Rezerwy w Łodzi, 1936-1937, z oceną ...	dobry	18.10.1936, z oceną ...	dobry	175 cm

3



1. Piotr Szewczyk podczas przygotowań do starć z Niemcami w Szkocji.

2. Wniosek nominacyjny z ocenami ze szkoleń.

3. Piotr Szewczyk policjant, lata trzydzieste.

FOT. ZBIORY GIMNAZJUM GIMNIEGO IM. MUR. PIOTRA SZEWCZYKA W RAJSKU (2)

Żołnierze 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, w której szkolił się Piotr Szewczyk.

Brytyjski sztylet komandosa FS – model 2 do szkoleń walki wręcz, przetrwania i cichego zabijania.

zgłosił się na kurs dla cichociemnych. Determinację Szewczyka potęgowała informacja, że w jego rodzinnym Oświęcimiu powstał niemiecki obóz śmierci. Chciał walczyć. Aż 2413 kandydatów opuszczało w tajemnicy swoje oddziały. Szewczyk pomyślnie ukończył twarde szkolenie i miał zostać wysłany do kraju jako jeden z zaledwie 316 skoczków. Znamienne, że ćwicząc skoki z samolotu, „zaczepił się spinaczami za główną linkę, która omotała mu nogę i zawisł głową w dół. Miał jednak na tyle siły, że wdrapał się przez niezamknięty otwór z powrotem do samolotu”³. Anglicy pod wrażeniem tego wyczynu nie potrafili odmówić prośbie o po-

nową próbę skoku. Brytyjski instruktor długo wspominał to zdarzenie.

W nocy z 17 na 18 lutego 1942 r. „XXI ekipa spadochronowa, licząca ośmiu skoczków odleciała 2 samolotami. Operacja lotnicza »Floor«, dowódca S/L Boxer. Skoczkowie: ppor. Tadeusz Benedyk ps. »Zahata«, por. Józef Czuma ps. »Skrity«, ppor. Jacek Przetocki ps. »Oset«, por. Piotr Szewczyk »Czer«. Zrzut przyjęła placówka odbiorcza »Puchacz«, położona 9 km na południowy wschód od Mord. Pilot wykonał bardzo dokładnie nalot na placówkę, jednak pułap zbyt niski, a prędkość samolotu niedostatecznie wytracona. W rezultacie »Czer« i »Skrity« ciężko się potłukli”⁴. Szewczyk przyjął pseudonim „Czer” od nazwiska narzeczonej Walerii Czerwik. Ponieważ delegat Komendy Głównej Armii Krajowej odebrał od skoczków pasy z pieniędzmi i broń z zasobników, do Warszawy dotarli, mając jedynie fałszywe dokumenty.

„Czer” dochodził do siebie po trudnym lądowaniu i pozostawał w przydzielonej kwaterze. Kiedy do środka wpadli funkcjonariusze Kripa, licząc na łapówkę – myśleli bowiem, że jest ukrywającym się Żydem lub polskim oficerem – Szewczyk chwycił z zaskoczenia kapełusz jednego z nich i uciekł drugimi drzwiami.

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

We Lwowie

Na wiosnę 1943 r. skierowano go do Lwowa, gdzie spędził najbardziej intensywny czas okupacyjnego życia. W maju tego roku objął dowództwo Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Armii Krajowej Inspektoratu Lwów – Miasto. Działał natychmiast i była ku temu okazja. Lwowska Narodowa Organizacja Wojskowa początkowo nie kwapiła się do scalania z AK, ale los znajdującej się w tragicznej sytuacji ludności Kresów Południowo-Wschodnich stał się argumentem do zapomnienia o podziałach.

Akcję scaleniową przerwała jednak tragedia. Szef wywiadu NOW Roman Wójcicki „Zalewski” dopuścił się zdrady. Zwerbowany przez gestapo 31 maja 1943 r. spowodował aresztowanie ponad 100 osób. Jan Bojczuk „Wig”, szef wydziału propagandy lwowskiego NOW, chcąc uniknąć aresztowania, wyskoczył z okna, doznał złamań, toteż przewieziono go do szpitala przy ul. Janowskiej. Znał on wiele nazwisk i kontaktów. Nie było pewne, czy wytrzyma śledztwo, a że w szpitalu był mniej pilnowany, NOW zwróciła się z prośbą do AK o odbicie go. „Akcję, która trwała tylko kilka minut, przeprowadził ubezpieczony przez kolegów kpt. Piotr Szewczyk „Czer”, z Kedywu Okręgu Lwów”⁵. Po zlikwidowaniu obstawy kpt. „Czer” wyniósł „Wiga” ze szpitala na rękach. W czasie odwrotu, gdy zamierzano go ukryć w jednej z leśniczówek, członkowie zespołu zostali zaskoczeni przez wartownika. „Czer”, zwany we Lwowie także „Piterem” lub „Siwym”, sięgnął po broń i jego także położył trupem.

Bez zabijania obyło się w lipcu 1943 r., gdzie podczas akcji zajęcia magazynu w Czortkowskiej Skale związane ochronę i dozorcę. Zdobyto wówczas pół tony materiału wybuchowego, który przewieziono do Lwowa. W dzień Święta Niepodległości zaplanowano zrywanie torów na linii Lwów – Przemyśl. „Akcję przeprowadził por. »Czer« wkrótce ze starszeństwem właśnie z tego dnia awansowany do stopnia kapitana”⁶. Oslonę Piotra Szewczyka – tak jak innych lwowskich cichociemnych – podczas akcji stanowiła tzw. sekcja „Saturna” i „Sępa”. Nazwa wzięta się od pseudonimów Ryszarda Błażewicza i Michała Sulickiego. Sekcja „Saturna” przebrana była w mundury niemieckiej żandarmerii, co ułatwiało jej poruszanie się. Jedną z akcji, które przeprowadzili jej członkowie, była likwidacja za pomocą granatów i butelek zapalających dwóch placówek nacjonalistów ukraińskich na Kleparowie, przy ulicach Czeremchowej i Wszystkich Świętych.

Jak krewcy byli to ludzie i jak bardzo „Czer” musiał uważać na ich młodzieńczą fantazję, ilustruje sytuacja, kiedy rok później w maju 1944 r. do restauracji na rogu ulic Zamartynowskiej i Panieńskiej weszli Tadeusz Misiewicz „Żbik”, Tadeusz Łabudek „Daleki” i Stanisław Łabudek. Pierwszy, najstarszy z nich, miał 24 lata, a ostatni, najmłodszy, zaledwie 19. Chcieli napić się piwa. Zastali w środku umundurowanych Niemców i kilku policjantów ukraińskich, a ci, powiązani z Organizacją Ukraińskich

Nacjonalistów (OUN), słynęli we Lwowie z brutalności. „Ukraińcy zaczęli ubliżać Polakom. T[adeusz] Misiewicz z kolegami musieli okazać swoje dokumenty i opuścić restaurację. Wkrótce powrócili [...]. Jeden obstawiał tylne wyjście, a dwóch weszło do środka. T[adeusz] Misiewicz z kolegą otworzyli ogień z automatów do milicjantów ukraińskich i Niemców. Przeciwnik poniósł duże straty. Po akcji Polacy wycofali się. Na odgłos strzelaniny nadbiegli żołnierze niemieccy i rzucili się w pogoń [...]. Podczas pościgu i wymiany ognia wszyscy trzej zostali ranni – T[adeusz] Misiewicz w pierś, T[adeusz] Łabudek w plecy, a S[tanisław] Łabudek w nogę. Zdołali jednak ująć pogoń”⁷.

Lwowski Kedyw na „Nieszporach”

Samowola młodych ludzi, choć naganna, dowodzi wielkiej determinacji tego pokolenia, z której zrodziła się akcja o kryptonimie „Nieszpory”. Lwowski Kedyw przeprowadził ją pod dowództwem Piotra Szewczyka zimą 1944 r., kiedy wokół Lwowa miało miejsce kilkanaście napadów UPA. W samym mieście policjanci ukraińscy zaś zaczęli legitymować młodych lwowian w wieku poborowym. Po upewnieniu się, że mają do czynienia z Polakiem, mordowali strzałem w tył głowy i zabierali dokumenty. Według jednej z hipotez, były im potrzebne dokumenty na polskie nazwiska wobec zbliżającej się klęski III Rzeszy. Podziemie wielokrotnie i bezskutecznie usiłowało porozumieć się z OUN. Policjant ukraiński zastrzelił nawet pod oknem narzeczonej Jerzego Suchardę, syna profesora Politechniki Lwowskiej, co wstrząsnęło miejscowym społeczeństwem. Pogrzeb Suchardy zamienił się w demonstrację.

„9 i 11 marca, a potem w dniach następnych kilkuosobowe patrole AK – w tym Kedywu Okręgu – i zastrzeliły w dwóch wymienionych pierwszych dniach 11 policjantów, tracąc przy tym dwóch ludzi. Do zwłok zastrzelonych policjantów przyczepiono kartki informujące, za co zostali zastrzeleni.

Akcja okazała się skuteczna. Mordy na młodych Polakach we Lwowie ustały”⁸.

Skutku natomiast nie przyniosły akcje odwetowe za mordowanie mieszkańców podlowskich wsi w kolejnych dniach marca. „Czer” i jego ludzie rozstrzelali przypadkowych ukraińskich mężczyzn, m.in. we wsiach Chlebowice Świrskie i Czerepin, razem 130 osób. I mimo że akowcy biorący udział w akcji nie zabijali kobiet i dzieci, wkrótce okazało się, że ich ofiarami byli Ukraińcy przychylni Polakom, a nawet Polacy. Spowodowało to potępienie akcji przez lwowskie społeczeństwo, które uważało, że likwidować należy tylko bezpośrednich sprawców. Akcje odwetowe na mieszkańcach wsi ukraińskich zarzucono. ►

*Oryginalny
szafander
bojowy
cichociemnych*





Widok Teatru Wielkiego na Wałach Hetmańskich, centrum Lwowa, największego miasta obszaru pld.-wsch. AK.

FOT. FOTOLIA

1. Wyposażenie cichociemnego: brytyjski szcoryk, tzw. Churchill, znakomicie nadawał się do działań dywersyjnych; pistolet Colt wz. 1911 A1, kal. 11,43 mm o sile pocisku obalającej przeciwnika na ziemię; busola; niemiecka latarka. 2. Podrobiona kenkarta „Czera”.

Wiosną 1944 r. „Czer” siedział ze znajomym, Tadeuszem Siekierą, w restauracji przy ul. Gródeckiej we Lwowie. Do środka weszło dwóch niemieckich żandarmerów i podeszło do stolika. „Czer”, który miał przy sobie broń i konspiracyjne dokumenty, „spokojnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni i za moment usłyszał strzał, oddany przez niego w twarz pierwszego żandarma, a potem kolejny do drugiego”⁹ – relacjonował Siekiera. Po wydostaniu się z restauracji kazał Siekierze uciekać osobno i się ukryć, dodając: „dam ci znać, co masz robić dalej [...]”. Po tygodniu przekazano mi informację [...]: »Ten pierwszy, który miał w ręce Twój Durchlasschein [tak w oryginale] (przepustkę), nie odzyskał przytomności i zmarł. Ten drugi został tylko ranny, ale on nie widział Twojego Durchlasscheinu i nie zna Twojego nazwiska, możesz wracać do pracy”¹⁰.

Koledzy go uwielbiali

Najdobitniej charakteryzują „Czera” dwie opinie członków konspiracji. Zygmunt Tor, członek lwowskiej AK, napi-

sał: „Duże chłopisko, tęgi o szerokich barach, siwej bujnej czuprynie [miał pasmo siwych włosów – A.Sz.] i dużych szlacheckich wąsach. W obejściu rubaszny, jakby nawet gruboskórny. Potem okazało się, że to człowiek o tzw. głębokim sercu. Tak np. wróciwszy pewnej nocy z jakiejś akcji zmordowany, przemoczony, »przespał« do rana na klatce schodowej pod drzwiami swojej kwatery. Bał się obudzić domowników, gdyż w mieszkaniu było chore dziecko [...]”¹¹. Inny cichociemny, kolega jeszcze z czasów szkoły, Ryszard Nuskiewicz „Powolny”, pisał: „Czer» był człowiekiem, który dla potrzebującego gotów był zedrzeć z grzbietu ostatnią koszulę i podzielić się każdym groszem. Bezpośredni w sposobie bycia, nie dbający [tak w oryginale] o przyszłość, komunikatywny, miał mnóstwo znajomych. Koledzy niemal go ubóstwiali, a kobiety – z uwagi na wyjątkową urodę – błądły na jego widok”¹².

Akcja „Burza”

W pamiętnych dniach 23–27 lipca 1944 r. w czasie akcji „Burza” „Czer” ze swoimi żołnierzami zdobywał Poli-

technikę Lwowską. „Kiedy na ul. Kopernika podeszły dwa radzieckie wozy pancerne, poderwał pod ich osłoną ludzi do natarcia na budynki politechniki [...]. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że natarcie zalegnie, ale kompania Kedywu wysunęła się na czoło. Śmiało przeskoczyli otwartą przestrzeń pola ostrzału i wdarli się do gmachu politechniki”¹³. Gmach zamieniono na szpital wojskowy, z którego korzystali również żołnierze sowieccy.

Nie był to jedyny przykład świetnego wyczucia działania przez „Siwego” podczas walk o Lwów. On i jego ludzie z rejonu Politechniki zaobserwowali, że do cerkwi św. Jura, bastionu nacjonalistów ukraińskich, ściągają młodzi Ukraińcy. Ponieważ można było się obawiać zorganizowania ukraińskich oddziałów i demonstracji we Lwowie „poszedł tam patrol z kpt. Siwym (Szewczykiem) i po tym wszystkim wyszedł jeden z dostojników kościelnych ukraińskich, ich zwyczajem na tacy podał białego zarzniętego koguta, co u nich było znakiem pokoju. Nie mniej [tak w oryginale] były wypadki strzelaniny i kilku Ukraińców tam zginęło”¹⁴.

Najbardziej pomysłowym rozkazem Szewczyka w te dni było jednak coś, co ilustruje jednocześnie obawy mieszkańców Lwowa przed masowymi zbrodniami ukraińskich nacjonalistów. Jeden z oddziałów akowskich, złożonych z młodych chłopców, chciał zająć rejon ul. Gródeckiej, na którym Niemcom bezwzględnie zależało, ponieważ potrzebowali arterii ewakuacyjnych na zachód. Atak młodych akowców przyniósł straty i zaczęli oni uciekać. Na Lewandówce powstała plotka, że to dywizja SS „Galizien” rozpoczęła masową rzeź Polaków w mieście, co spowodowało panikę ludności. „Ludzie omijając śródmieście, gdzie toczyły się walki, uciekali w stronę Łyczakowa i Pasiek. Część z nich, znalazłszy się na szosie Zielonej, nocowała na polach. Rano przyleciał niemiecki samolot i ostrzelał uciekinierów. Kilkaście osób zostało rannych”¹⁵. Rozprzestrzeniającą się panikę powstrzymał „Czer”, który demonstracyjnie poderwał swoich ludzi. Krokiem marszowym i ze śpiewem na ustach wymaszerowali z budynku politechniki w kierunku Gródeckiej, co pokazało, że AK kontroluje sytuację.

Generał „Walter” zapraszał – „Czer” zdezerterował

Po wyzwoleniu Lwowa „Czer” pisał, że na „odprawie z gen. Armii Czerwonej [...]” dziękował nam za oddane usługi przy zdobyciu Lwowa, prosił o listę do odznaczeń (na której i ja byłem), zrobiono wspólne zdjęcie, atmosfera była braterska wynikała, jak powiedział gen. Armii Czerwonej, ze wspólnej walki o Lwów”¹⁶. Znając sowiecką dwulicowość, nie stawiał się na słynną wspólną odprawę 31 lipca 1944 r. Dwa dni później, 2 sierpnia, awansowano go do stopnia majora, lecz we wrześniu udał się do Lublina, by wstąpić do (ludowego) Wojska Polskiego. Tam, posługując się nazwiskiem Piotr Skotnica, otrzymał rangę pułkownika i jeszcze w listopadzie 1944 r. gen. Karol Świerczewski

„Walter” proponował mu dowodzenie 7 Pułkiem Piechoty lub komendanturę Przemyśla.

Tragiczna wpadka

Piotr Szewczyk (Piotr Skotnica) zdezerterował, a pod koniec roku 1944 r. jako kurier usiłował – wraz z towarzyszem – przez Rumunię dotrzeć do Londynu. Niestety, rumuński przewodnik przestraszył się ryzyka i zrezygnował w trakcie przerzutu. Obaj natknęli się na patrol sowiecki. Kiedy czerwonoarmiści kazali im się zatrzymać, zaczęli uciekać w stronę pobliskiego lasu. Sowieci trafili „Czera” w nogę. „Żadnych materiałów [...] przy nim nie znaleziono, gdyż posiadane dokumenty organizacyjne jak sfotografowany raport [...] w trzech egzemplarzach [...] wyrzucił, jeden zjadł, a trzeci będący w zapalniczkę został wraz z zapalniczką zabrany przez żołnierza z patrolu. [...] żałował, iż nie wziął ze sobą broni, bo może używszy jej mógłby wykręcić się z sytuacji”¹⁷.

Zarzucano mu szpiegostwo, ale wraz z ukradzioną zapalniczką przepadł ostatni dowód, zaś „Czer” miał przy sobie dużo pieniędzy i łatwo wmówił Sowiecom, że jest szmuglerem. Gdy noga zaczęła mu gnić, umieszczono go w szpitalu w Czerniowcach na Bukowinie. W marcu 1945 r., kiedy stan „Czera” uległ poprawie, Sowieci dopytywali się o jego zdrowie. Udawał bardziej cierpiącego, niż był w rzeczywistości, wyczekując warty najłagodniejszego strażnika, którą ten miał pełnić 23 marca. Między godz. 20 a 21 poprosił go o pozwolenie na pójście do toalety, gdzie demonstracyjnie udał się o kulach. Następnie wyskoczył z okna. Skok na nie do końca zdrową nogę sprawił, że zemdlął, ale po odzyskaniu przytomności udał się pod znany sobie adres, gdzie go skutecznie ukryto.

Powrót do Lwowa

Wrócił do Lwowa, stamtąd pojechał do Krakowa, gdzie bez uprzedzenia przyszedł na ślub siostry. Spotkanie było krótkie i wzruszające, bo powiedział jej, że jest śledzony przez funkcjonariuszy UBP i musi natychmiast wyjechać. Na początku maja udał się do Warszawy, gdzie zameldował się płk. Janowi Gorazdowskiemu „Wolańskiemu”, szefowi Komendy Głównej Dowództwa Sił Zbrojnych. Ten wysłał go do Emilii Malessy „Marcysi”, szefa łączności zagranicznej. Kiedy „Marcysia” dowiedziała się, że jest on kolegą jej poległego męża, również cichociemnego Jana Piwnika „Ponurego”, zyskał jej zaufanie. Dostał polecenie, by przedostać się do Londynu. Uczynił to, jadąc od 24 lipca 1945 r. przez Czechosłowację, a następnie Niemcy i Francję. Od Malessy otrzymał klucz szyfrów: w „pudełku drewnianym na papierosy zaszyfowaną paczkę zdjęcia na błonie filmowej”¹⁸.

Aresztowanie

W Londynie 3 września zameldował się gen. Stanisławowi Tatarowi „Taborowi” w Oddziale VI Sztabu Naczelne-



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W WARSZAWIE / MICHAŁ NIWICZ

go Wodza. Ten skierował go do płk. Mariana Utnika, od którego otrzymał „pędzel do golenia, w którym znajdowało się pismo [...] oraz 1000 dolarów do przekazania [...]”¹⁹ dla członków nowo powstałej organizacji Wolność i Niezawisłość. Do Warszawy wrócił 15 października 1945 r. i natychmiast zameldował się u „Marcysi”. Tadeusz Jachimek „Ninka”, sekretarz generalny WiN, 19 października odebrał od niego przywiezione rzeczy. Niestety, 4 listopada próbował doprowadzić do spotkania z „Marcysią”; nie wiedział, że już zatrzymali ją funkcjonariusze bezpieki. W rezultacie „zostaje wraz z płk. Janem Rzepeckim i innymi osobami z pierwszego kierownictwa WiN aresztowany”²⁰.

W czasie śledztwa torturował go płk. Józef Różański (Goldberg) i ppłk Ludwik Serkowski. „Czerem” zajął się także chor. Jerzy Kaskiewicz, który przesłuchując Kazimierza Moczarskiego „Rafała”, „Maurycego”, Stanisława Sędziaka „Wartę” i Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”, prócz bicia i kopania miażdżył palce i przypalał. Innym śledczym, z którym miał do czynienia, był Jerzy Kędziora, ten sam, który przesłuchiwał Łukasza Cieplińskiego „Pługa”. W Warszawie na Rakowieckiej „Czer” widział więzionych i maltretowanych członków podziemia, cichociemnych oraz pilota Stanisława Skalskiego. „W biciu też nie wszyscy byli jednakowi – wspominał Skalski. – Byli zwyczajni bandyci i byli wirtuozi. Pamiętam godziny spędzone w towarzystwie największych tuzów wydziału śledczego: [Ludwika – A.Sz.] Serkowskiego, [Adama – A.Sz.] Humera, [Bronisława – A.Sz.] Szymańskiego... Razem było ich pięciu. Ci nie zniżali się do kija i kopniaków, nie dawali się ponieść sadystycznemu upojeniu. Bili z zimnym wyrachowaniem, z premedytacją; bili gumami oraz czymś, co wydawało świst – chyba były to paski miedzianej blachy lub druty. Po każdym uderzeniu człowiek czuł się tak, jakby mu ucięto kawałek ciała, bicie wydawało się ćwiartowaniem”²¹.

Jeden z wymienionych funkcjonariuszy UBP Bronisław Szymański otrzymał od płk. Różańskiego fiolkę z trucizną, aby „Czera” otruć, jednak zrezygnowano z tego zamiaru.

Wyrok

Piotr Szewczyk „Czer” został skazany na śmierć. Pisząc do Bolesława Bieruta prośbę o ulaskawienie, wspominał o akcjach, o których trudno się z innych źródeł dowiedzieć: „Rozbiłem szpital więzienny w obrębie obozu gdzie ubiłem osobiście pięciu, a szóstego dobiłem Niemca, uwalniając około 50-ciu osób Polaków, Ukraińców i Żydów, którzy byli tam jako personel pomocniczy. Uwolnionym groziła śmierć lub obóz. Kilka dni później ze szpitala więziennego będącego pod ochroną gestapo uwolniłem 15 Polaków [...] uratowałem kilka polskich wsi przed bandami UPA. Ochroniłem niejednego Polaka życie przed gestapo i UPA na terenie Lwowa i obszaru, staczając z nimi walki. Pomażałem zorganizować z obozu ucieczkę gru-



1. Powojenna fotografia Piotra Szewczyka.

2. Banknoty znalezione przy Piotrze Szewczyku przez bezpiekę. 3. Karta identyfikacyjna wystawiona przez biuro oficerów łącznikowych 8 sierpnia 1945 r.

pie 20-tu jeńców sowieckich, w tym 14 oficerów [...]”²². Po szyku zdań można zorientować się, w jakim był stanie.

Zaciekle bronił go adwokat, pisząc do Bieruta: „Ale to nie wszystko. Stykając się z oskarżonym SZEWCZYKIEM nie tylko przekonałem się o jego wartości moralnej, lecz i o tym, że te przemiany społeczne, jakie w Polsce zostały przeprowadzone, całkowicie mu odpowiadają [...]. Przekonałem się również, że odwaga SZEWCZYKA nie ma granic i że jest to pożyteczny człowiek dla naszej rzeczywistości. Wreszcie ustaliłem, że SZEWCZYK, który z powodu braku środków materialnych przed wojną przerwał studia i był podkomisarzem policji, nie wahał się jednej chwili z ryzykiem osobistym wyciągnąć [...] z Berezы swojego kolegę z lat dziecinnych Czerwińskiego Mariana, obecnie pułkownika i posła na sejm z ramienia PPR. [...] Szewczyk odznacza się odwagą cywilną, tak cenną w dzisiejszych czasach. Z całym przekonaniem w słuszność mojej prośby [...] osmielam się prosić o ulaskawienie całkowite”²³.

Prezes Najwyższego Sądu Wojskowego płk dr Władysław Garnowski w opinii kierowanej do Bieruta stwierdził, że „skazany SZEWCZYK Piotr na łaskę nie zasługuje”²⁴. Nie pomogła też prośba do Bieruta Emilii Malessy. Wystosowała ją zatem także kilkuset mieszkańców rodzinnych

FOT. ZBIORY GIMNAZJUM GIMNIEGO IM. MUR. PIOTRA SZEWCZYKA W RAKOWIE (1)

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ W WARSZAWIE / MICHAŁ NIWICZ (4)



4. Fragment prośby o ułaskawienie do Bieruta.
5. Dokument ze sprawy Piotra Szewczyka podpisany przez Józefa Różańskiego.



Piotr Szewczyk,
październik 1987 r.

FOT. ARCHIWUM „GAZETY KRAKOWSKIEJ”

stron. Bierut 2 lipca 1947 r. zmienił karę na 15 lat więzienia. Odsiadując wyrok, „Czer” doznawał dodatkowych szykan. Amnestią objęto go 4 maja 1956 r. Po wyjściu z więzienia zmaltretowany zatrudnił się jako stolarz, by osiąść w Warszawie, „gdzie dopiero ciężka choroba [...] na początku 1986 r. uniemożliwiła mu czynną pracę zawodową. Miał wówczas 77 lat. Bardzo już schorowany, samotny, w trudnych warunkach materialnych, znalazł oparcie i pomoc [...] ze strony rodziny zamieszkałej w Babicach koło Oświęcimia. Tam poznałem »Czera«, zamkniętego w sobie i nieufnego, będącego od wielu lat pod obserwacją Służby Bezpieczeństwa. Z trudem udało mi się pokonać jego wewnętrzne opory do nawiązywania nowych kontaktów [...]. Pomimo to każdą rozmowę ze mną kończył słowami »Proszę o mnie nic nie pisać« – relacjonował Adam Cyra²⁵.

Piotr Szewczyk odszedł 28 stycznia 1988 r. do dziś, mimo wysiłków wspomnianego historyka i autora biograficznej broszury o nim, nie jest postacią wystarczająco znaną. ■

ALEKSANDER SZYCHT redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”.

Autor dziękuje pracownikom Instytutu Pamięi Narodowej, Archiwum Ośrodka KARTA, Wojskowego Biura Historycznego, Gimnazjum Gminnego im. mjr. Piotra Szewczyka w Rajsku za pomoc w pozyskaniu materiałów.

¹ WBH CAW AP 416, Odpis opinii Szkoły (Baonu) Podchorążych Rezerwy.

² A. Cyra, *Cichociemny z Babic. Major Piotr Szewczyk 1908–1988*, Oświęcim – Tuluwice 2016, s. 11. ³ Tamże, s. 14.

⁴ J. Tucholski, *Cichociemni. Historia legendarnych spadochroniarzy*, Wrocław 2010, s. 178. ⁵ J. Węgierski, *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989, s. 53.

⁶ J. Węgierski, *Komendy Lwowskiego Obszaru i Okręgu Armii Krajowej 1941–1944*, Kraków 1997. ⁷ E. Jaworski, *Lwów. Losy mieszkańców i żołnierzy Armii Krajowej w latach 1939–1956*, Pruszków 1999, s. 91.

⁸ J. Węgierski, *W lwowskiej...*, s. 98–99. ⁹ A. Cyra, *Cichociemny...*, s. 17. ¹⁰ Tamże.

¹¹ J. Węgierski, *Komendy Lwowskiego Obszaru...*, s. 363–364.

¹² R. Nuszkiewicz, *Uparci*, Kraków 1983, s. 140; cyt. za: A. Cyra, *Cichociemny...*, s. 15.

¹³ P. Lisiewicz, *Plan Burza. Wyśięk zbrojny Armii Krajowej 1944–1945*, Warszawa 1990, s. 215–216. ¹⁴ Archiwum Wschodnie Ośrodka KARTA, Relacja Jerzego Gardynika udzielona Wiesławowi Krasnodębskiemu, AWI/181, s. 25. ¹⁵ AWI/1379 2k, s. 53.

¹⁶ PN BU 944/196, k. 207. ¹⁷ IPN BU 944/196, k. 105. ¹⁸ IPN BU 944/196, k. 100.

¹⁹ IPN BU 944/196, k. 182. ²⁰ A. Cyra, *Cichociemny...*, s. 22.

²¹ <http://dzieje.pl/aktualnosci/100-lat-temu-urodzil-sie-stanislaw-skalski-lotnictwa> ²² PN BU 944/196, k. 207. ²³ IPN BU 944/196, k. 211. ²⁴ IPN BU 944/196, k. 213. ²⁵ A. Cyra, *Cichociemny...*, s. 27.

Bibliografia:

Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej, IPN BU 944/196.

Archiwum Wschodnie Ośrodka KARTA, AWI/181, AWI/1379 2k.

Cyra A., *Cichociemny z Babic. Major Piotr Szewczyk 1908–1988*, Oświęcim – Tuluwice 2016.

<http://dzieje.pl/aktualnosci/100-lat-temu-urodzil-sie-stanislaw-skalski-lotnictwa> Jaworski E., *Lwów. Losy mieszkańców i żołnierzy Armii Krajowej w latach 1939–1956*, Pruszków 1999.

Lisiewicz P., *Plan Burza. Wyśięk zbrojny Armii Krajowej 1944–1945*, Warszawa 1990.

Nuszkiewicz R., *Uparci*, Kraków 1983.

Tucholski J., *Cichociemni. Historia legendarnych spadochroniarzy*, Wrocław 2010. Węgierski J., *Komendy Lwowskiego Obszaru i Okręgu Armii Krajowej 1941–1944*, Kraków 1997.

Węgierski J., *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989.

Wojskowe Biuro Historyczne, Centralne Archiwum Wojskowe, WBH CAW AP 416.

OD WERNDLA DO

Z epopeją Legionów Polskich nierozzerwalnie związane są karabiny systemu Mannlichera, standardowe uzbrojenie cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier.

MICHAŁ MACKIEWICZ

Broń ta nie od razu trafiła do rąk naszych strzelców, z których większość rozpoczynała kampanię przeciwko Moskalom wyposażona w werndle – konstrukcje rodem z lat sześćdziesiątych XIX w. „Umundurowanie w opłakanym stanie, mała część ma jednolite szare mundury i maciejówki. Poza tym zbieranina mundurów, bluz austriackich i rubaszek rosyjskich, także częściowo cywilne i kolejarzy, a było też kilku w zakopiańskich góralskich strojach. Buty przeważnie w podobnym stanie jak mundury [...]. Uzbrowieni są przeważnie w karabiny Werndla, tj. karabiny starego typu, bez magazynu i nie repetujące, z jedną kulą ołowianą okrągłą w lufie”¹. Tak zapamiętał początki tworzenia polskiej formacji August Krasicki, oficer Komendy Legionów. Owe „nie repetujące” werndle nie były żołnierzom Józefa Piłsudskiego zupełnie niezbrane, wielu członków przedwojennych organizacji paramilitarnych zdążyło się bowiem z nimi zapoznać w trakcie szkolenia strzeleckiego.

Historia karabinu zaczyna się właściwie w 1866 r. na polach Königgrätz, gdzie Prusacy odnieśli spektakularne zwycięstwo nad Austriakami. Ci pierwsi mieli odtylcowo ładowane iglicówki Dreysego, drudzy kapiszonowe karabiny systemu Lorenza. Dreyse strzelał amunicją scaloną i mimo że nie zachwycał parametrami balistycznymi, okazał się zdecy-



MUZEUM
WOJSKA
POLSKIEGO

ŁADOWNIK

Ładownik systemu Mannlichera z nabojami kal. 8 mm odnaleziony na pobojo-wisku z okresu I wojny światowej.



FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE (2)

*Wizerunek polskiego
legionisty z plakatu
werbunkowego; żołnierz
trzymając w ręku karabin
Mannlicher wz. 1895*



MANNLICHERA

Członek polskiej organizacji strzeleckiej uzbrojony w karabin Werndl wz. 1867/77.

dowanie prostszy w obsłudze i bardziej szybkostrzelny od karabinów odprzodowych zasilanych amunicją rozdzielnego ładowania. Ta pamiętna bitwa zakończyła trwającą od średniowiecza erę broni strzeleckiej ładowanej od wylotu lufy i zainicjowała bezprecedensowy wyścig zbrojeń. W ciągu dwudziestu kilku lat skonstruowano i wprowadzono do uzbrojenia niezliczoną ilość karabinów, początkowo czarnoprachowych i jednostrzałowych, a potem powtarzalnych, tzn. wielostrzałowych, wyposażonych w magazynki, i wreszcie strzelających małokalibrową amunicją elaborowaną bezdymnym prochem. Werndl wpisuje się w pierwszy etap.

Jak się nie ma, co się lubi...

Z początku Austriacy zaczęli przerabiać regulaminy ładowania na broń odtylcową (system Wänzla). Jednak już w 1867 r. przyjęto do uzbrojenia nową konstrukcję systemu Jozefa Werndla, twórcy zakładów zbrojeniowych Österreichische Waffenfabriks Gesellschaft w Steyr. Aby karabin załadować, należało najpierw częściowo odciągnąć kurek, a potem, trzymając za skrzydełko zamka, obrócić go; wówczas półokrągła bruzda ustawiała się dokładnie na osi komory naboju, umożliwiając włożenie patronu. Teraz można było zamknąć zamek i odciągnąć kurek do końca. Ściągnięcie spustu powodowało obrót kurka i uderzenie w ruchomą iglicę znajdującą się wewnątrz trzonu zamkowego, a ta z kolei biła w spłonkę naboju. Broń strzelała amunicją kal. 11 mm. W 1873 r. dokonano niewielkiej innowacji polegającej na zastosowaniu znacznie wygodniejszego kurka, który osadzono częściowo wewnątrz i przede wszystkim bliżej osi lufy. Oczywiście w chwili wybuchu I wojny światowej karabiny i karabinki Werndla były już zupełnym przeżytkiem, ale zalegające w magazynach egzemplarze wydano niektórym jednostkom tyłowym, a także żywiołowo organizującym się Legionom Polskim, co do których wartości bojowej żywiono obawy. „Najważniejszy jednak moment dnia to fa-sunek Werndli” – wspominał dzień 11 sierpnia 1914 r. Wilhelm Wilczyński, żołnierz późniejszego 1 Pułku Piechoty. – „Są to stare austriackie karabiny jednostrzałowe, które na skutek zastąpienia ich nowymi o ładunku 5-nabojowym i powtarzalnymi karabinami Mannlicher, z użycia w armii austriackiej były wycofane. Tak jak wszyscy otrzymuję taki karabin bez pasa, dlatego też, by móc go nosić na ramieniu, przywiązuję do niego sznurek”². Ale, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Zapał i chęć do walki były wśród Polaków tak silne, że nawet archaiczna broń nie mogła ich zniechę-

FOT. ZBIORY MICHAŁA MACKIEWICZA

cić. Starano się nawet podkreślać przewagę werndli nad bronią małokalibrową; jeden z dowódców plutonów relacjonował: „Chłopcy nasi nabrali w końcu dużego zaufania do Werndli: wzbudzał szacunek długi i szeroki bagnet tych karabinów, podnoszono to, iż kule werndloskie zadają cięższe rany, niż delikatne kulki Mannlicherów. A przecież niedawno z taką niechęcią brano tę broń...”³ Bagnet rzeczywiście robił wrażenie; mimo że w latach siedemdziesiątych znacznie go skrócono, to i tak w porównaniu do krótkiego „noża” stosowanego do mannlichera, jego 47-centymetrowa klinga imponowała. A jednak przebrojenie legionistów w karabiny wielostrzałowe, które nastąpiło już po niecałych dwóch miesiącach od wyruszenia w pole Pierw-

Mannlicher na dwa takty

W latach osiemdziesiątych XIX w. Austro-Węgry zdecydowały się wprowadzić do uzbrojenia nowoczesny karabin wielostrzałowy. Specjalnie powołana komisja działała wyjątkowo opieszale i dopiero szok wywołany przyjęciem w Niemczech mauzera wz. 1871/84, wyposażonego w ośmionabojowy magazynek rurowy, spowodował gwałtowne przyspieszenie jej prac. Spośród kilku zaprezentowanych modeli uwagę zwróciła konstrukcja pochodzącego z Niemiec Ferdinanda Mannlichera, jak się miało okazać, jednego z najgenialniejszych rusznikarzy w dziejach i twórcy ponad 150 patentów w dziedzinie broni strzeleckiej. Karabin wypo-



MUZEUM
WOJSKA
POLSKIEGO

KARABINY

1. Werndl wz. 1873/77 kal. 11 mm. Te przestarzałe karabiny trafiły do uzbrojenia Legionów Polskich w sierpniu 1914 r., ale po upływie niespełna dwóch miesięcy zastąpiono je nowocześniejszymi mannlicherami.

2. Mannlicher wz. 1888/90 kal. 8 mm. Ze względu na inną konstrukcję zamka i sposób jego ryglowania broń ta ustępowała walorami bojowymi karabinom wz. 1895.

3. Mannlicher wz. 1895 kal. 8 mm.



szej Kompanii Kadrowej – notabene wyposażonej w mannlichery – przyjęto entuzjastycznie. „Do Szczucina przybyliśmy w dniu 13 września [...]. Tutaj nastąpił nowy zwrot w dziejach naszego Pułku: zmiana uzbrojenia i wyekwipowania. Cóż to za radość była dla żołnierza, kiedy nareszcie spełniły się jego marzenia i dostał Man[n]licher wraz z nowymi ładownicami. Zapomniano o śniadaniu, obiedzie, a tylko pouczano się wzajemnie, jak ładować i rozładowywać nowy karabin; żołnierz na noc nawet nie chciał się z nim rozstać”⁴ – wspominał Michał Żymirski, późniejszy peerelowski marszałek Rola-Żymierski. Co prawda były to karabiny nie najnowszego wzoru, ale w porównaniu z czarnoprochowymi werndlami stanowiły cud techniki.

sażony był w magazynek pudełkowy umieszczony w środku ciężkości broni, co stanowiło rozwiązanie iście rewolucyjne. Stosowane do tychczas magazynki rurowe, m.in. podłufowe, miały dwie podstawowe wady: niewygodne i powolne ładowanie, które w przypadku wystrzelenia zapasu amunicji z magazynka czyniły jego ponowne napełnienie tak kłopotliwym procesem, że w ferworze walki broń z wielostrzałowej przeistaczała się w jednostrzałową; z kolei w miarę ubywania nabojów zmieniał się środek ciężkości, co miało negatywny wpływ na celowanie. Magazynek zastosowany przez Mannlichera, w którym naboje układały się w pionowym rzędzie, wyeliminował te niedoskonałości, a ładowało się go błyskawicznie dzięki ładownikowi mającemu postać blaszanej ramki obejmującej pięć nabojów. Wdzięczny opis owego wynalazku za-

FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE (3)

mieszczono w *Instrukcji strzeleckiej*, wydanej we Lwowie w 1912 r. nakładem Polskich Drużyn Strzeleckich: „[...] jest to usztywniona karbami blaszana skrzyneczka, zamknięta od tyłu i boków; góra i spód łódki jest zaopatrzona w wargi, tak, że patроны tędy wyjść nie mogą; na ścianie tylnej (łożysku) znajduje się nosek. Boki (policzki) wskutek sprężystości przytrzymują szczelnie patроны”⁵. Po wystrzeleniu naboju ładownik samoistnie wypadł przez otwór w dnie magazynka, a strzelec mógł włożyć kolejny 5-nabojowy pakiet. Wielki zachwyt wzbudził też dwutaktowy zamek, a więc taki, który do przeładowania wymagał jedynie dwóch ruchów ręki (dwa takty), a nie czterech, jak w większości ówczesnych modeli z zamkami tłokowymi ślizgowo-obrotowymi.

Do 1885 r. Mannlicher przedstawił kilka projektów powtarzalnych karabinów kal. 11 mm, z których jeden osta-

trzonu zamkowego z rączką i tłoka zaporowego z symetrycznymi ryglami. Ten pierwszy wykonywał jedynie ruch liniowy, drugi natomiast miał spiralne bruzdy, które współpracowały z wystającymi polami wewnątrz trzonu. Odcinając do tyłu trzon zamkowy, powodowało się automatyczny obrót tłoka i odryglowanie broni oraz wyciągnięcie pustej łuski. Ruch do przodu powodował wprowadzenie kolejnego naboju z magazynka i ponowne zaryglowanie. Przekonstruowany zamek zastosowano najpierw w karabinku wz. 1890 (skrótowy karabin dla oddziałów jezdnych, technicznych itd.), a następnie w karabinie wz. 1895 dostosowanym do nowego naboju kal. 8 mm, o tępo zakończonym czubku i prędkości początkowej 620 m/s. Stosowano do niego krótki nożowy bagniet, który w wersji podoficerskiej miał charakterystyczne zagięte ramię jelca i strzemiączko do temblaka.

Broń miała smukły, elegancki kształt i wykonana była z materiałów najwyższej jakości; wz. 1895 był też najlżejszym z ówczesnych regulaminowych karabinów, jego masa wynosiła tylko 3,65 kg, podczas gdy u większości przekraczała 4,2 kg. Z punktu widzenia obciążonego i przemierzającego setki kilometrów piechura była to niewątpliwa zaleta, chociaż niektórzy poczytywali ją za wadę:

„Zbyt mała waga karabinu w stosunku do siły naboju powoduje wielki odrzut szybko męczący strzelca. Karabin ten jest przykładem, że wagi broni nie można

zmniejszać dowolnie, bez uszczerbku wartości broni”

– napisano w polskim regulaminie z lat dwudziestych⁶. Krytykowano też konstrukcję zamka, jakoby nadmiernie złożoną: „Łuska walcowata przy wyrzucaniu z lufy po wystrzale powoduje częste urywanie pazura wyciągu, gdyż tenże wyciąga ją wprost z lufy, nie wykręcając jej przy pierwszym ruchu zamka zaryglowanego”⁷.

W istocie zamek ten nie jest skomplikowany, cechuje go duża niezawodność i żywotność, jednak w trudnych warunkach bojowych, kiedy do mechanizmów dostawał się brud, zdarzały się problemy z jego otwarciem. „Czuwając stale, strzelam od czasu do czasu do ukazujących się główek moskiewskich” – relacjonował epizod z bitwy pod Łowczówkiem Wilhelm Wilczyński. – „Karabin Mannlicher 90-tka [wz. 1888/90 – to właśnie te karabiny zastąpiły w Legionach jednostrzałowe werndle – M.M.] zacina mi się do tego stopnia, że muszę sobie przy repetowaniu pomagać nogą, co spowodowało w końcu urwanie się rączki zamkowej. Biorę w posiadanie karabin Julka, który go już teraz nie potrzebuje, ale i ten karabin także 90-tka zacina się również. Uważam tylko, by drugiej rączki zamkowej nie oberwać”⁸. Dzięki innej konstrukcji zamki w karabinach wz. 1895 były zdecydowanie solidniejsze i bardziej odporne na trudy frontowej służby. Te nowe mannlichery trafiały do Legionów ►



tecnie zaakceptowano i jako wz. 1886 przyjęto do uzbrojenia. Niemal w tym samym momencie nowa konstrukcja stała się nic niewartym złomem. Wszystko za sprawą Francuzów i ich rewolucyjnego lebel. Choć karabin sam w sobie nie był konstrukcyjnie przełomowy, to strzelał małokalibrową amunicją elaborowaną prochem bezdymnym, o nieporównywalnie lepszych właściwościach od prochu dymnego (czarnego), zwiększającym wydatnie prędkość początkową pocisku i zasięg strzału. Poza tym nie zanieczyszczał lufy i nie powodował kłębow dymu utrudniających celowanie i ukrycie pozycji strzeleckiej.

Wszyscy pospiesznie zaczęli się przezbrać. Także Austriacy, wprowadzając nowy wz. 1888 dostosowany do małokalibrowej amunicji 8 mm, ale jeszcze na proch czarny i wreszcie wz. 1888/90 zasilany amunicją z prochem bezdymnym. Jak się okazało, nie było to ostatnie słowo geniusza ze Steyr, który na początku lat dziewięćdziesiątych zdołał ulepszyć konstrukcję dwutaktowego zamka. Składał się teraz z dwóch zasadniczych części:



FOT. ZBIORY MICHAŁA MACKIEWICZA

Polscy żołnierze podczas walk z Ukraińcami w Galicji Wschodniej. Uzbrojenie stanowią karabiny wz. 1895.

sukcesywnie, jeszcze w 1915 r. Wilczyński zaopatrzył się we wz. 1895 dopiero w maju 1915 r., odbierając broń połączemu pod Konarami żołnierzowi austriackiemu.

Ze zbrojowni na filmowy plan

Legioniści oraz Polacy służący w c.k. armii nie byli jedynymi użytkownikami austriackiej broni. Była ona powszechnie stosowana także podczas zmagania w latach 1918–1921. To właśnie w mannlichery uzbrojona była większość Polaków walczących o Lwów w listopadzie 1918 r. Niektórzy bardzo sobie chwalili dwóchwytowe zamki, które umożliwiały szybkie prowadzenie ognia. Józef Grabowski, jeden z obrońców Szkoły Kadetów, wspominał: „[...] używaliśmy często podczas ataków systemu strzelania bez odkładania kolby od twarzy, jedna dłoń była stale na cynglu, a druga na gałce zamku, tak, że natychmiast po zarepetowaniu następował strzał, a po strzale repetowanie”⁹. Ponieważ niedostatek broni był olbrzymi, nie gardzono także i tą, dla której najodpowiedniejszym miejscem wydawały się muzealne sale... „Ruch w zbrojowni szalony, gorączkowy; wydają broń, amunicję. Ci, którzy wcześniej zgłosili się, dostali karabiny najnowszej typu, ale dla innych – już zabrakło Mannlicherów – dostały się im stare, austriackie, jednostrzałowe Werndle”¹⁰ – pisał Jan Rogowski. Karabiny i karabinki systemu Mannlichera (wz. 1895) pozostały w uzbrojeniu niektórych pułków Wojska Polskiego do początków lat trzydziestych, kiedy to ostatecznie zastąpiono je standardowym systemem Mau-

sera (wz. 1898). Część wycofanej broni przekazano Policji Państwowej, inne sprzedano republikańskiej Hiszpanii, pozostała trafiła do magazynów. Jeśli zaś chodzi o werndle, to ich archaiczny wygląd sprawił, że były pożądane przez... wytwórnie filmowe. W 1928 r. wypożyczono z warszawskiej Cytadeli 200 karabinów firmie Forbert-Film realizującej obraz *W lasach polskich*.

Oparty na motywach powieści Józefa Opatosza i z napisami w języku jidysz film opowiadał o Żydach walczących o niepodległość Polski. Leciwe werndle, z charakterystycznymi zewnętrznymi kurkami, nie raziły aż tak bardzo wyglądem w historycznym fresku o Berku Joselewiczu i dawnych powstaniach.

MICHAŁ MACKIEWICZ absolwent Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracuje w Dziale Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego. Zajmuje się m.in. ewolucją broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor licznych publikacji z dziedziny bronioznawstwa, historii wojskowości i muzealnictwa.

¹ A. Krasicki, *Przysięga w Kielcach*, w: *Legiony to straceńców los! Relacje i wspomnienia z pierwszych bojów Legionów Polskich 1914–1915*, oprac. J. Kowalczyk i R. Kulak, Kielce 1989, s. 27. ² *Na szlaku bojowym z I Brygadą Legionów Polskich. Pamiętnik Wilhelma Wilczyńskiego*, wstęp i oprac. A. Jędrzejewska, P. Waingertner, Warszawa – Belchatów 2012, s. 26. ³ Kuczewski, *Tumlin-Kielce-Nowy Korczyn. Z opowiadań komendanta plutonu*, w: *Legiony na polu walki. Działania pierwszego pułku Legionów na lewym brzegu Wisły w sierpniu i wrześniu 1914 roku, relacje uczestników*, Piotrków 1916, s. 136–137. ⁴ M. Żymirski, *Pod Nowym Korczynem i Opatowcem*, w: *Legiony...*, wyd. cyt., s. 225. ⁵ *Instrukcja strzelecka do użytku „Drużyn” i „Oddziałów Strzeleckich” jak również „Drużyn strzeleckich” młodzieży szkolnej*, według regulaminów wojskowych oprac. W. Rawicz, Lwów 1912, s. 27. ⁶ *Załącznik nr 1 do Skryptu Działania Piechoty*, Rembertów 1927, maszynopis w zbiorach Michała Mackiewicza. ⁷ Tamże. ⁸ *Na szlaku bojowym...*, wyd. cyt., s. 37–38.

⁹ J. Grabowski, *Listopadowe boje o szkołę kadetką*, w: *Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918. Relacje uczestników*, t. 2, Lwów 1936, s. 163. ¹⁰ J. Rogowski, *W obronie Lwowa*, Lwów 1939, s. 89.



Lotnictwo Frontu Południowego

W pierwszym tygodniu września 1939 r. Armię „Karpaty” przekształcono w Armię „Małopolska”, a po kilku dniach Naczelne Dowództwo podjęło decyzję o utworzeniu ponad Armiami „Kraków” i „Małopolska” związku wyższego rzędu – Frontu Południowego.

MARIUSZ NIESTRAWSKI

Od początku 1939 r. II Rzeczpospolita szykowała się do obrony przed agresją niemiecką. Oslonę granicy południowej powierzono pierwotnie wyłącznie Armii „Kraków”. Wkrótce okazało się, że wojska niemieckie mogą zaatakować także z terytorium zależnego od niemieckiej III Rzeszy – Państwa Słowackiego. Przedłużono więc obronę flanki południowej, czego ukoronowaniem było utworzenie latem 1939 r. Armii „Karpaty”. W pierwszych dniach września, po przełamaniu przez Wehrmacht polskiej obrony na granicy południowej, niezbędne okazało się zreorganizowanie tamtejszych sił. Jeszcze w pierwszym tygodniu września Armię „Karpaty” przekształcono w Armię „Małopolska”, a po kilku dniach Naczelne Dowództwo podjęło decyzję o utworzeniu ponad Armiami „Kraków” i „Małopolska” związku wyższego rzędu – Frontu Południowego.

Późnym wieczorem 10 września na dowódcę Frontu Południowego wyznaczono gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, który od 9 września znajdował się przy sztabie Armii „Małopolska” jako oficer łącznikowy Naczelnego Wodza marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Powierzono mu zadanie obrony Małopolski Wschodniej i tym samym zablokowania Niemcom możliwości przecięcia dróg prowadzących na przedmoście rumuńskie. Sztab frontu rozpoczął działalność o świcie 11 września.

31 Eskadra Rozpoznawcza oraz 23, 26, 56 Eskadry Obserwacyjne

W skład Frontu Południowego weszły Armie „Kraków” i „Małopolska”, a także wszystkie wojska doraźnie zorganizowane w Małopolsce Wschodniej. Teoretycznie była to siła dość znaczna, gen. Sosnkowskiemu podlegało kilkanaście wielkich jednostek taktycznych. W rzeczywistości sytuacja wyglądała dużo gorzej, z wieloma dywizjami i brygadami nie było łączności, a dowodzone przez

Sosnkowskiego związki były zdeorganizowane w wyniku dotychczasowych walk. Nie najlepiej przedstawiała się też sprawa lotnictwa frontu. Tworzyły je cztery mniej lub bardziej nadwerężone eskadry: 31 Eskadra Rozpoznawcza, a także 23, 26 i 56 Eskadry Obserwacyjne.

Spośród jednostek lotniczych Frontu Południowego z pewnością wyróżniała się 31 Eskadra Rozpoznawcza. Wchodzącą w czasie pokoju w skład poznańskiego 3 Pułku Lotniczego eskadrą dowodził kpt. pil. Witalis Nikonow. Wyposażona w samoloty PZL.23 Karaś jednostka rozpoczęła kampanię w ramach Armii „Karpaty”. W pierwszych dziesięciu dniach wojny eskadra była bardzo aktywna. Często prowadziła rozpoznania, latając także w przestrzeni powietrznej Państwa Słowackiego, utrzymywała łączność i przeprowadziła kilka bombardowań. Między innymi 3 września eskadra Nikonowa obrzuciła bombami niemiecką kolumnę pancerną na trasie Nowy Targ – Chabówka, trzy dni później zaatakowała Niemców na drodze Jędrzejów – Kije. Intensywna działalność miała swoją cenę. Do 10 września z dziewięciu posiadanych pierwszego dnia wojny załóg utracono pięć Karasi i dwie całe załogi (jedna zginęła, a druga znalazła się w niewoli). Stracono też jeden z dwóch samolotów obserwacyjnych RWD-14 Czapla, które eskadra otrzymała w charakterze uzupełnień. Od godzin popołudniowych 10 września załogi Nikonowa zajmowały lotnisko Batiatycze k. Kamionki Strumiłowej.

Drugą z pochodzących z byłej Armii „Karpaty” eskadr gen. Sosnkowskiego była 56 Eskadra Obserwacyjna. Jej wyposażenie stanowiły samoloty Lublin R.XIIID. Do sierpnia 1939 r. eskadra wchodziła w skład 5 Pułku Lotniczego w Lidzie. Pierwsze koncepcje obrony Polski zakładały użycie tej dowodzonej przez kpt. obs. Mariana Sukniewicza jednostki w ramach Armii „Modlin”. Jednak konieczność przekazania dotacji lotniczej nowej Armii „Karpaty” zmieniła pierwotny plan i eskadra trafiła do południowej Polski. ►

W ciągu czterech pierwszych dni wojny latała raczej po polskiej stronie frontu, wykonywała zadania łącznikowe, wyszukiwała tereny nadające się na lotniska i poszukiwała zestrzelonych samolotów niemieckich. Nie uchroniło to eskadry kpt. Sukniewicza przed ogniem przeciwlotniczym – prowadzonym przez polskie oddziały. Od 5 września eskadra pracowała także w rejonie przygranicznym, zapuszczając się nawet ponad terytorium Państwa Słowackiego. Tuż przed utworzeniem Frontu Południowego eskadrę przebazowano na lotnisko Lubień. W ciągu pierwszych dni kampanii stracono jedną załogę wraz z samolotem, było dwóch rannych pilotów oraz jeden uszkodzony samolot.

W przeciwieństwie do wymienionych wcześniej eskadr dwie kolejne rozpoczęły kampanię, działając na korzyść Armii „Kraków”. W latach pokoju obie stacjonowały w 2 Pułku Lotniczym w Krakowie. Pierwszą była 23 Eskadra Obserwacyjna dowodzona przez por. obs. Władysława Rewakowicza. W pierwszych dniach wojny prowadziła ona rozpoznanie dla wchodzącej w skład Armii „Kraków” Grupy Operacyjnej „Bielsko”, później przemianowanej na GO „Boruta”. Latała jednak też bezpośrednio dla sztabu Armii „Kraków” i dla 10 Brygady Kawalerii. Pierwsze 10 dni września załogi eskadry spędziły na dostarczaniu swymi Czapłami meldunków, rozpoznawaniu postępów wojsk niemieckich oraz odnajdywaniu własnych jednostek i sztabów. Eskadra 9 września przeszła w skład Armii „Małopolska”. Następnego dnia przeniosła się na lotnisko

który dostał się do niewoli. Ponadto w eskadrze ranni w czasie wykonywania zadań w powietrzu zostali jeszcze pilot i obserwator. Uszkodzone były dwie maszyny. W ramach uzupełnień jednostce przekazano trzy samoloty.

Pozostałe jednostki lotnicze, które kampanię polską 1939 r. zaczynały w składzie Armii „Kraków”: III./2. Dywizjon Myśliwski (121 i 122 Eskadry Myśliwskie) oraz 24 Eskadrę Rozpoznawczą oddano do dyspozycji Naczelnego Dowództwa. Armia „Małopolska” całe swe lotnictwo przekazała Frontowi Południowemu.

W powietrzu dla gen. Sosnkowskiego

Na całym Froncie Południowym były tylko cztery eskadry i to o zmniejszonej w wyniku intensywnych działań wartości bojowej. Dokładano więc starań, by wzmocnić jednostki lotnicze Kazimierza Sosnkowskiego. 31 Eskadrze Rozpoznawczej 11 września wysłano ostatnie cztery sprawne samoloty 55 Samodzielnej Eskadry Bombowej. Lotnicy eskadry kpt. Nikonowa nie zdążyli jednak odebrać samolotów Karaś, a te zostały już poważnie uszkodzone na lwowskim lotnisku Skniłów. 31 Eskadry Rozpoznawczej nie zasiły też przybyłe załogi, gdyż zgodnie z rozkazem powróciły one do macierzystej jednostki. W ciągu tego dnia licząca cztery sprawne samoloty eskadra Nikonowa nie wykonywała zadań w powietrzu.

56 Eskadra Obserwacyjna przeprowadziła za to dwa rozpoznania. Podczas lądowania rozbiła się jedna z po-



SPOŚRÓD JEDNOSTEK LOTNICZYCH FRONTU POŁUDNIOWEGO Z PEWNOŚCIĄ WYRÓŻNIAŁA SIĘ 31 ESKADRA ROZPOZNAWCZA.

Słowita na wschód od Lwowa. Z posiadanych na początku wojny dziewięciu samolotów – siedmiu Czapli i dwóch RWD-8 – uszkodzono trzy Czaple i jednego erwudziaka. Ponadto rannych zostało dwóch pilotów. Jeden z samolotów łącznikowych RWD-8 wymieniono na kolejną obserwacyjną Czaplę z bazy Dęblin.

Drugą z krakowskich eskadr w ramach Frontu Południowego była 26 Eskadra Obserwacyjna, na czele której stał kpt. obs. Stanisław Rzepa. Kampanię polską eskadra rozpoczęła od współpracy z 7 Dywizją Piechoty i GO „Śląsk”. Ceną za ofiarne rozpoznanie i korygowanie ognia własnej artylerii przez eskadrę już w pierwszych dniach września była utrata kilku stanowiących wyposażenie Lublinów R.XIII. Od dziewiątego dnia wojny eskadra pracowała dla Armii „Małopolska”. Bazowała wówczas na lotnisku Podborce 5 km na wschód od Lwowa. Do 10 września jednostka kpt. Rzepy utraciła cztery zestrzelone samoloty, dwóch poległych pilotów, dwóch poległych obserwatorów i jednego rannego obserwatora,

wracających maszyn. Eskadrę wzmocniono jednak czterema samolotami pochodzącymi z bazy lotniczej we Lwowie, a pozostawionymi na lotnisku Lubień Wielki. Stan 56 Eskadry Obserwacyjnej wynosił więc sześć samolotów, które wieczorem przeniosły się na lotnisko Biłka Szlachecka. W tym czasie do eskadry przydzielono też nowego pilota.

26 Eskadra Obserwacyjna liczyła trzy sprawne samoloty. Jeden z nich wysłano na rozpoznanie na skrajnym wschodnim skrzydle, aż do Drohobycza, Borysławia i Stryja.

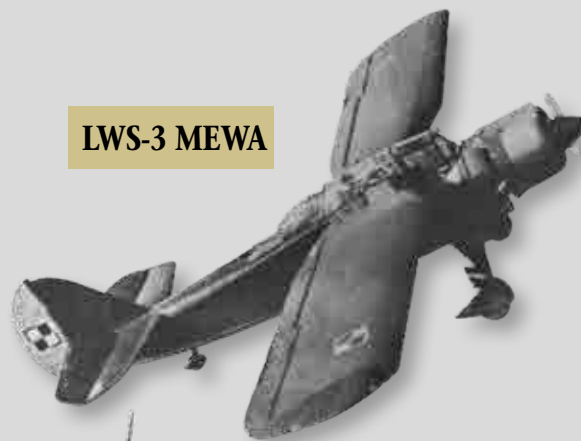
23 Eskadra Obserwacyjna przy pomocy załogi – por. obs. Wacława Raczyńskiego i ppor. rez. pil. Tadeusza Kaszyckiego – obserwowała ruchy nieprzyjaciela na drodze Rudki – Sambor – Felsztyn – Chyrów. Około godz. 15 obserwator dostrzegł liczne jednostki niemieckie w rejonie Dobromila. Maszerowała niemiecka 1 Dywizja Górską. Potwierdzało to meldunki o natarciu Niemców na Lwów. Jako uzupełnienie eskadra por. Władysława Rewakowicza



Ppor. Stanisław Ostaszewski był jednym z pilotów 56 Eskadry Obserwacyjnej, która wykonywała loty dla Frontu Południowego. Na fotografii jako pilot balonowy w 1938 r. podczas zawodów balonowych juniorów zorganizowanych przez sekcję balonową Aeroklubu Warszawskiego.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

LWS-3 MEWA



PZL.23 KARAŚ



LUBLIN R.XIII

FOT. MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO W KRAKOWIE (3)

otrzymała dwa samoloty LWS-3 Mewa. Ze względu na problemy z łącznością por. Rewakowicz nie otrzymywał rozkazów na kolejny dzień, wysłał więc por. obs. Radomira Walczaka po wytyczne do sztabu Armii „Małopolska”.

Przeptyw informacji był problemem całego Frontu Południowego. O ile gen. broni Kazimierz Sosnkowski pozostawał w stałym kontakcie z dowódcą Armii „Małopolska” gen. bryg. Kazimierzem Fabrycem, o tyle nie miał początkowo żadnej łączności z Armią „Kraków” gen. bryg. Antoniego Szyllinga. Z tego względu już 11 września Sosnkowski wysłał lotnika w obszar Sandomierza, by ten odnalazł sztab gen. Szyllinga. Lotnik wykonał zadanie dopiero 12 września. Szylling nie miał łączności z Naczelnym Wodzem, więc dopiero z lotniczego meldunku dowiedział się, że jego armia wchodzi w skład Frontu Południowego. Lotnik odleciał następnie do gen. Sosnkowskiego z meldunkiem o położeniu Armii „Kraków”.

Na 12 września sztab Frontu Południowego zaplanował akcję zaczepną, którą miały przeprowadzić Grupa

Operacyjna „Południowa” (11 Karpacka Dywizja Piechoty i 24 Dywizja Piechoty) oraz 38 Dywizja Piechoty Rezerwowej. Rankiem wysłano lotnika z zadaniem obserwacji rozwoju sytuacji na ziemi. Z raportu wynikało, że zamierzona akcja nie doszła do skutku. Lotnik zaobserwował walkę wyłącznie na odcinku 24 DP, a na osi natarcia 11 KPD widział maszerujące kolumny niemieckie. Autorem meldunków była załoga 56 Eskadry Obserwacyjnej – por. rez. obs. Antoni Zajączkowski i ppor. pil. Zbigniew Żmigrodzki – która swoim Lublinem wykonała loty rozpoznawcze na trasie Jarosław – Radymno – Przemyśl oraz Drohobycz – Sambor – Chyrow – Ustrzyki Dolne.

W sztabie założono, że por. Zajączkowski się pomylił, ale ok. godz. 10 gen. bryg. Kazimierz Fabrycy zameldował, że dowódca GO „Południowej” nie otrzymał rozkazu do wykonania zwrotu zaczepnego. Wyjaśniało to bierność 11 KPD. Walki 24 DP miały natomiast charakter obronny. Stracono szansę na skuteczny zwrot zaczepny. ►



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

RWD-8 użytkowany przez zwycięską ekipę ze Lwowa podczas krajowych zawodów samolotów turystycznych Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej w Warszawie, 1938 r.



RWD-14 CZAPLA

RWD-8



FOT. MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO W KRAKOWIE (2)

Poza lotami por. rez. obs. Antoniego Zajączkowskiego i ppor. pil. Zbigniewa Żmigrodzkiego 56 Eskadra Obserwacyjna wykonała 12 września jeszcze trzy loty rozpoznawcze. Załogi: por. obs. Edmund Sienkiewicz i kpr. pil. Konstanty Gawlik; ppor. obs. Kazimierz Kucza i ppor. rez. pil. Stanisław Orda oraz ppor. obs. Stanisław Ostaszewski i kpr. pil. Szymon Kita, rozpoznawały teryny Lwowa, Jaworowa, Lubienia i Chyrowa. Podczas ostatniego lotu zaobserwowano ruch kolumn pancernych posuwających się od Jaworowa i Lubienia Wielkiego na Lwów. W ciągu dnia zanotowano stratę – łącznikowy RWD-17 por. obs. Mieczysława Gorzeńskiego rozbił się podczas lądowania w Lublinie.

Zdecydowanie bardziej spektakularne działania stały się udziałem 31 Eskadry Rozpoznawczej. Tego dnia w rejonie Krakowca załoga: ppor. obs. Leon Nowicki, lecący jako strzelec pchor. obs. Mariusz Pszeny i st. sierż. pil. Konstanty Korzeniowski wykryła niemiecką kolumnę pancerną w drodze z Radymna do Jaworowa. Była to posuwająca się na północny wschód 4 Dywizja Lekka. Dowódca lotnictwa Armii „Małopolska”

ppłk dypl. Olgierd Tuskiewicz wydał rozkaz zbombardowania nieprzyjaciela. Zadanie trudno było zrealizować, gdyż bomby 50- i 100-kilogramowe zakopano 10 września podczas opuszczania lotniska w Cieszanowie. Bombardowanie zdecydowano się więc przeprowadzić bombami o wadze 12,5 kg, które nie mogły zaszkodzić pojazdom pancernym. Do nalotu wysłano dwa Karasie. W rejonie celu polskie samoloty liniowe napotkały trójkę myśliwców Bf-109D ze składu Zerstörergeschwader 2. Załogę ppor. obs. Leona Nowickiego zestrzelono z samolotu Messerschmitt, za sterami którego siedział Unteroffizier Hans Katzmann. Polska załoga zginęła. Drugi samolot Karaś w składzie: ppor. obs. Stefan Szczepański, kpr. pil. Alfred Kuźniacki i kpr. strz. sam. Stanisław Lis uratował się przejściem do lotu koszącego. Straty zrekomensowano, przydzielając eskadrze dwa inne samoloty PZL.23.

23 Eskadra Obserwacyjna otrzymała 12 września rozkaz przesunięcia się na lotnisko Markowce k. Stanisławowa; por. obs. Wacław Racyński i st. szer. pil. Jan Korepta zajmowali się wyszukiwaniem lotnisk w rejonie Buczacza. Po dolicie do Markowców i przybyciu rzutu kołowego

eskadra naprawiała samoloty, poszukiwała paliwa i starała się nawiązać łączność ze sztabem armii we Lwowie.

Wobec szybkich postępów jednostek pancernych i zmotoryzowanych niemieckiego XXII Korpusu Armijnego 12 września po południu zdecydowano się odtworzyć front na ogólnej linii Dniestr – Lwów – górny Bug. W tym celu Armię „Kraków”, Grupę Operacyjną „Południową” oraz 38 Dywizję Piechoty Rezerwową należało skierować na Lwów. Sosnkowski wysłał lotnika do gen. Szyllinga z rozkazem podjęcia marszu na wschód. Rozkaz ten dotarł do sztabu Armii „Kraków” kolejnego dnia. Jeszcze 12 września wysłano też lotnika do 38 DPRez., by zatrzymała ona dotychczasowy marsz i wzięła kurs na Mościska, a następnie kierowała się na Sądową Wisznę i wreszcie Lasy Janowskie. Meldunek zrzucano ok. godz. 19. Dostarczyli go ppor. obs. Mieczysław Łapa i kpr. pil. Gerard Twardoch z 26 Eskadry Obserwacyjnej. W czasie lotu powrotnego załoga wylądowała w terenie górzystym, rozbijając swego Lublina, i pieszo wróciła do jednostki.

Łączność za pomocą samolotów miała oczywiście niedostatki, gen. Sosnkowski uznał więc, że dla koordynowania marszu oddziętych w rejonie Przemyśla dywizji GO „Południowej” i 38 DPRez. należy wysłać tam zwierzchniego dowódcę. Generał Sosnkowski chciał delegować do tego zadania gen. bryg. Fabrycego. Dowódca Armii „Małopól-

Markowce na południowy wschód od miasta. Podporucznik obs. Stanisław Ostaszewski wykonał tam kilka lotów rozpoznawczych dla dowódcy obrony miasta. Po rozpoznaniu terenu pod kątem możliwych lądowisk o godz. 22 rzut powietrzny eskadry osiągnął Lachowce, 20 km na południowy zachód od Stanisławowa.

26 Eskadra Obserwacyjna poza lotem łącznikowym do 38 DPRez. wykonała 12 września jedno rozpoznanie. Następnie przeniesiono ją na lotnisko k. Brzeżan. Lądując, rozbito przydzielony eskadrze niedawno samolot LWS-3 Mewa. Nie wykonywano lotów bojowych, ponieważ nie było łączności ze sztabem, a do tego panowały złe warunki atmosferyczne. Po południu eskadra przeniosła się na lotnisko Zagwóźdź k. Stanisławowa.

Żałoga ze składu 23 Eskadry Obserwacyjnej – por. Oskar Sablik i kpr. pil. Walenty Kopa – 13 września przeprowadziła na korzyść sztabu armii lot rozpoznawczy w rejonie Mielec – Nisko. Dzień później ta sama załoga poddała obserwacji rejon Kolbuszowa – Przeworsk. Także ta eskadra trafiła na lotnisko Zagwóźdź.

W ciągu tych dwóch dni lotów bojowych nie wykonywała 31 Eskadra Rozpoznawcza. Winę za to znów ponosiła rwąca się łączność. Eskadra kpt. Nikonowa 14 września przeniosła się na lotnisko Kozówka k. Brzeżan.

WOBEC SZYBKICH POSTĘPÓW NIEMCÓW 12 WRZEŚNIA PO POŁUDNIU ZDECYDOWANO SIĘ ODTWORZYĆ FRONT NA OGÓLNEJ LINII DNIESTR – LWÓW – GÓRNY BUG



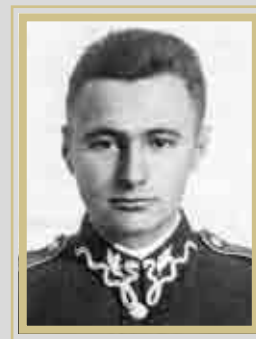
ska” uznał jednak plan za nierealny i nie zgodził się na ten przydział. W konsekwencji gen. Sosnkowski sam zdecydował się przeprowadzić do Lwowa trzy dywizje piechoty. Problemem był jednak też sposób dostania się do oddziętych dywizji. Początkowo myślano o wypadzie zmotoryzowano-pancernej grupy ze składu 10 Brygady Kawalerii. Szybko okazało się, że pierwsza polska brygada zmotoryzowana nie ma dostatecznych sił na taką akcję. Pozostała droga powietrzna. O świcie 13 września dowódca frontu odjechał na lotnisko 56 Eskadry Obserwacyjnej pod Biłką Szlachecką. Stamtąd czterema samolotami Lublin R.XIIID gen. Sosnkowski wraz z trzema oficerami sztabowymi: szefem sztabu Armii „Małopolska” płk. dypl. Witoldem Morawskim, a także oficerami do zleceń ppłk. dypl. Kazimierzem Wiśniowskim i ppłk. dypl. Franciszkiem Demelem przelecieli do Przemyśla. Po wykonaniu zadania samoloty powróciły na lotnisko Biłka Szlachecka.

Zerwana łączność

Jeszcze tego samego dnia eskadra otrzymała rozkaz przeniesienia się w rejon Stanisławowa na lotnisko

Natomiast 14 września latała za to 26 Eskadra Obserwacyjna. Żałoga: ppor. obs. Mieczysław Łapa i kpr. pil. Stefan Pliszke – rozpoznawała rejon Lwowa, a por. obs. Aleksander Chełstowski i kpr. pil. Michał Zarębówicz – obszar Przemyśla i Drohobycza. Tego dnia do eskadry kpt. Rzępy włączono jednego Lublina R.XIII i jednego RWD-14 Czapla.

Odlatując do Przemyśla, gen. Sosnkowski przyczynił się do zablokowania przepływu informacji, to bowiem do Lwowa trafiały informacje o rozwoju sytuacji na różnych odcinkach frontu. Drogą lotniczą 14 września otrzymano tam przeznaczony dla gen. Sosnkowskiego meldunek od gen. bryg. Mieczysława Boruty-Spiechowicza, dowódcy Grupy Operacyjnej „Boruta”. Poza tym kpt. obs. Julian Łagowski z Plutonu Lotniczego Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej przekazał korespondencję od dowódcy Armii „Lublin” gen. dyw. Tadeusza Piskora. Na skutek problemów z łącznością telefoniczną, której nie mogły zastąpić nieliczne samoloty, od 13 września gen. Sosnkowskiemu podlegały realnie tylko trzy dywizje piechoty: 11 KDP, 24 DP i 38 DPRez. Dowódca Frontu Południowego nie miał też łączności z Naczelnym Dowództwem. ►

**Eugeniusz Arciuszkiewicz****Jan Stanisław Korepta****Stefan Pliszke****Władysław Rewakowicz**

Nieotrzymujące rozkazów, zmagające się z trudnościami zaopatrzeniowymi polskie lotnictwo od 14 września działało już bardzo nieregularnie. Starano się latać na rzecz zgrupowania gen. Sosnkowskiego, ale trudno było odnaleźć własne oddziały, by rzucić im meldunki. Skuteczniej lotnictwo pracowało na rzecz oddziałów lokalnych, tzn. takich, które operowały w pobliżu lotnisk poszczególnych eskadr. 56 Eskadra Obserwacyjna 14 września przeprowadziła trzy loty rozpoznawcze, dwa na rzecz dowódcy odcinka „Rohatyn” płk. dypl. dr. Euzebiusza Bardla, a jeden na rzecz dowódcy lotnictwa Armii „Małopolska” ppłk. dypl. Olgierda Tuskiewicza. W czasie każdego lotu zaobserwowano nieprzyjaciela.

Podpułkownik Tuskiewicz, znalazł się 15 września w Stanisławowie, tam nawiązał kontakt z gen. Kazimierzem Fabrycem i wszedł w skład odtwarzanego sztabu Armii „Karpaty”. Tego dnia otrzymał on wiadomość, że na obszarze armii stacjonują eskadry Brygady Pościgowej, które były pozbawione łączności z własnym dowództwem. Tuskiewicz je sobie podporządkował, ale eskadrom myśliwskim brakowało paliwa i amunicji, więc latały tylko w bardzo ograniczonym zakresie.

Także 15 września sztab Frontu Południowego wydał 23 Eskadrze Obserwacyjnej rozkaz przeprowadzenia trzech lotów rozpoznawczych. Załoga: por. obs. Stefan Lintzel, dowódca 2 plutonu, i kpr. pil. Antoni Kępczyński, skierowała się do rejonu Gródka Jagiellońskiego. Porucznik obs. Radosław Walczak i ppor. rez. pil. Tadeusz Kaszycki mieli polecieć wzdłuż trasy Lwów – Sambor – Chyrow – Jarosław – Radymno – Jaworów – Lwów, jednakże w czasie wykonywania zadania ich samolot został przechwycony przez wrogie myśliwce. Były to Messerschmitty Bf-109D ze składu Zerstörergeschwader 2, które wracały z ataku na wykryte lotnisko polowe Brygady Bombowej. Oberfeldfelbel Kurt Müller zgłosił co prawda zestrzelenie, ale polska załoga lotem koszącym zdołała uciec na postrzelanej maszynie.

Inna załoga 23 Eskadry Obserwacyjnej – por. obs. Oskar Sablik i st. szer. pil. Jan Korepta – bezskutecznie poszukiwała polskich sił w Lasach Janowskich, gdzie

powinny się znajdować dywizje prowadzone przez gen. Sosnkowskiego. Po południu dowódca eskadry por. obs. Władysław Rewakowicz i kpr. pil. Karol Kłyszcz powtórzyli zadanie por. obs. Oskara Sablika, jednak także im nie udało się odnaleźć gen. Sosnkowskiego.

56 Eskadra Obserwacyjna przeprowadziła rankiem dwa loty w rejonie Lwowa. Jednym samolotem polecieł dowódca 1 plutonu por. obs. Mieczysław Gorzeński z kpr. pil. Tomaszem Tubisem, a drugim ppor. obs. Mieczysław Marcola z ppor. pil. Zbigniewem Żmigrodzkim.

Biernie ten dzień spędzili natomiast 26 Eskadra Obserwacyjna i 31 Eskadra Rozpoznawcza, które znów nie miały łączności ze sztabem.

Obie latały za to 16 września. 26 Eskadra Obserwacyjna prowadziła rozpoznanie w rejonie Stryja (por. obs. Aleksander Chełstowski i kpr. pil. Andrzej Duda) oraz Przemyśla (por. obs. Stanisław Król i kpr. pil. Michał Zarębowicz). Meldunki z rozpoznania trafiły do sztabu Frontu Południowego.

Dwa loty rozpoznawcze w rejonie Jaworowa i Sambora wykonała 31 Eskadra Rozpoznawcza. Wyniki miały być dostarczone gen. Sosnkowskiemu, ale załogi nie odnalazły jego sztabu. Tego dnia eskadrę zasilili dwa samoloty Karaś ze Stanisławowa. Podobnie jak poprzednie nie miały wyposażenia ani uzbrojenia.

Lotów bojowych nie wykonały natomiast dwie pozostałe eskadry frontu. Częściowo spowodowane to było złymi warunkami atmosferycznymi. W 56 Eskadrze Obserwacyjnej plut. pil. Wacław Januszkiewicz i kpr. pil. Alojzy Łozowski, przydzieleni z 55 Samodzielnej Eskadry Bombowej, odprowadzili dwa Lubliny do naprawy w Łucku.

Przed południem 17 września por. obs. Stanisław Król i kpr. pil. Andrzej Duda z 26 Eskadry Obserwacyjnej wykonywali rozpoznanie południowo-zachodniego obszaru Lwowa. W czasie lotu wykryli nieprzyjacielskie lotnisko i zgrupowanie czołgów. Po południu ten sam pilot z por. obs. Janem Prażmowskim próbowali lądować na zajętym przez Niemców Skniłowie, ale ogień przeciwlotniczy zmusił ich do porzucenia tego zamiaru.



Marian Sukniewicz



Olgierd Tuskiewicz

Ograniczyli się więc do zrzucenia meldunku oddziałom polskim we Lwowie.

Także 17 września por. obs. Stanisław Gorzeński i por. rez. pil. Antoni Jankowski z 56 Eskadry Obserwacyjnej rozpoznawali teren Przemyśla. Tego dnia po południu ppłk Olgierd Tuskiewicz dostał z Naczelnego Dowództwa Lotnictwa rozkaz wycofania podległych mu eskadr do Rumunii. Rzutem powietrznym miał nakazać lądowanie w Czerniowcach. 23 Eskadra Obserwacyjna – cztery samoloty – dostała rozkaz o godz. 15. Przed odlotem miała jeszcze przekazać go dalej do 31 Eskadry Rozpoznawczej. Do eskadry kpt. Nikonowa wysłano ppor. obs. Lecha Małynicza i ppor. pil. Zdzisława Hirsza, którzy rozbili swą Czapłę przed lotniskiem. 23 Eskadra Obserwacyjna wystartowała o godz. 16, załogi nie wylądowały jednak w Czerniowcach, lecz doleciały aż do Jass. Rzut kołowy

o 17 wystartowała z lotniska Lachowce, a po godzinie wylądowała w Czerniowcach. Droga powietrzną do Rumunii skierowali się: ppor. obs. Kazimierz Kucza i kpr. pil. Szymon Kita na RWD-14 Czapla, a także dowódca 2 plutonu kpt. obs. Eugeniusz Arcuszkiewicz i ppor. rez. pil. Stanisław Orda, por. obs. Edmund Sienkiewicz i kpr. pil. Konstanty Gawlik oraz por. rez. obs. Antoni Zajączkowski i kpr. pil. Tomasz Tubis na Lublinach R.XIIID. Rzut kołowy przekroczył granicę 18 września o godz. 20.30.

26 Eskadra Obserwacyjna rozkaz lotu do Rumunii otrzymała przed wieczorem. Wylot zaplanowano na rano 18 września. Start uniemożliwiła jednak mgła. Wobec braku paliwa i niechętniej Polakom postawy miejscowych Ukraińców dowódca eskadry kpt. obs. Stanisław Rzepa nakazał zniszczenie pozostałych samolotów i przekroczenie granicy samochodami. Rzut kołowy wkroczył na terytorium Rumunii w Kutach.

W ciągu całego dnia 18 września nikt nie porozumiał się z pozostawioną załogą 23 Eskadry Obserwacyjnej. Próby lotników nawiązania łączności ze sztabem Armii „Małopolska” spełzły na niczym i w rezultacie o godz. 15 odlecieli oni do Rumunii. Mechanik Rutkowski dostał się do niewoli, ale z niej zbiegł, kierując się na Węgry.

Z opóźnieniem, 18 września, do Rumunii wystartowała też załoga por. obs. Jerzego Sukiennika z 31 Eskadry Rozpoznawczej.

Samoloty 23, 26 i 56 Eskadry Obserwacyjnej oraz 31 Eskadry Rozpoznawczej nie były jedynymi polskimi maszynami pojawiającymi się nad dywizjami i brygada-

56 ESKADRA OBSERWACYJNA 14 WRZEŚNIA PRZEPROWADZIŁA TRZY LOTY ROZPOZNAWCZE NA RZECZ DOWÓDCY ODCINKA „ROHATYŃ” I DOWÓDCY LOTNICTWA ARMII „MAŁOPOLSKA”.

znalazł się na terytorium Rumunii w nocy z 17 na 18 września. Na lotnisku Markowce pozostawiono jedną Czapłę z załogą: por. obs. Radomir Walczak i ppor. pil. Tadeusz Kaszycki, którym towarzyszył mechanik plut. Rutkowski z samochodem i paliwem. Zadaniem pozostawionej załogi było wykonanie rankiem 18 września rozpoznania na rzecz dowódcy lotnictwa armijnego.

31 Eskadra Rozpoznawcza – trzy Karasie i jedna Czapla – wystartowała o godz. 16.50 i po 70 minutach, na resztkach paliwa, wylądowała w Czerniowcach. Brakowało kpr. pil. Jana Daczki, który zaginął w drodze. Rzut kołowy eskadry przekroczył granicę w nocy z 17 na 18 września.

Droga do Rumunii

Licząc jeszcze cztery samoloty 56 Eskadra Obserwacyjna otrzymała rozkaz lotu do Rumunii o godz. 16.15,

mi Frontu Południowego. Kilkakrotnie jednostki niemieckiego XXII Korpusu Armijnego były bombardowane przez Łosie i Karasie ze składu Brygady Bombowej. Rozkazy do gen. Kazimierza Sosnkowskiego i sztabu Armii „Małopolska” przekazywały samoloty 16 i 63 Eskadry Obserwacyjnej, a także ppor. pil. Hieronim Dudwał z Brygady Pościgowej, który podczas lotu łącznikowego zestrzelił niemieckiego rozpoznawczego Henschla Hs-126. Wraz z rozpoczęciem wykonywania rozkazu ewakuacji do Rumunii jednostki gen. Sosnkowskiego zostały pozabawione jakiegokolwiek pomocy lotniczej.

MARIUSZ NIESTRAWSKI absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii. W latach 2010–2014 pracownik Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu. Od 2015 r. w Muzeum Narodowym Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie.

**PIERWSZY PROTOTYP
LWS-3/I MEWA**

Samolot podczas prób w Instytucie Technicznym Lotnictwa w Warszawie w marcu 1939 r. Wyróżniał się uzbrojeniem strzeleckim zamontowanym w owiewkach na goleniach podwozia. To on zakończył swój lot pod Zamościem 17 września 1939 r.

Mewa

podporucznika Gerarda Ranoszka

Relacje świadków pozwalają odkryć zupełnie nieznane zdarzenia z lat II wojny światowej. Szczególnym doświadczeniem jest, gdy można zidentyfikować ich uczestników, a opowieści zilustrować archiwalnymi zdjęciami.

WOJCIECH KRAJEWSKI

Było tak właśnie latem 1998 r., gdy wraz z amerykańskim lotnikiem weteranem Robertem F. Willsem szukałem świadków pobytu załogi jego samolotu Liberator na lotnisku w Mokrem pod Zamościem¹. Miejscowa ludność wspominała wtedy, że jesienią 1944 r. w okolicy wylądował jeszcze jeden amerykański samolot. Pozostał po nim namacalny ślad – zagadkowy kawałek blachy z napisem w języku angielskim: „Sway chocks to b...” i „Fingertight only”. Znalazca tego elementu twierdził, że pochodził on z samolotu amerykańskiego, który w 1944 r. nadleciał nad lotnisko w Mokrem. Miał uszkodzone silniki i wylądował „na brzuchu” na polach, kilkaset metrów przed lotniskiem. Zdarł poszycie od spodu, ale nikomu z załogi nic się nie stało. Świadkowie potwierdzali, że był to „duży, »srebrny« [bez kamuflażu, a więc amerykański – W.K.] samolot bombowy z wieżyczką strzelecką

*Opisany w tekście
kolektor spalin
po konserwacji,
2012 r.*



FOT. ZBIORY DR. TOMASZA J. KOPANSKIEGO



na ogonie". Nie było wiadomo, jakie zadanie wykonywał nad Polską, skąd przyleciał i co stało się z jego załogą. Mówiono, że w okolicznych wioskach powinny leżeć jeszcze jego pozostałości.

Na tropie nieznanego

Zachęceni opowieściami o czekających na odnalezienie relikwii amerykańskiego bombowca, poszliśmy tym tropem. Przeważnie jednak okazywało się, że byliśmy spóźnieni o kilka lat, ponieważ albo opisywany „plot wykonany z nitowanych lotniczych blach” już dawno rozebrano i wywieziono na złom, albo naoczny świadek pamiętający zdarzenia z lat wojny właśnie niedawno zmarł.



Samolot LWS-3/I Mewa sfotografowany przez Niemców tuż po lądowaniu w sadzie w Kolonii Hubale pod Zamościem 17 września 1939 r. Widoczne są dwa kaemy w goleniach podwozia. Brak karabinu obserwatora, który został zabrany przez polskich lotników. Na stateczniku pionowym widoczny znak wytwórni LWS, a na sterze kierunku resztki białej farby oznaczającej samolot prototypowy w trakcie prób.



Zdjęcie tego samego samolotu wykonane jakiś czas później. Widoczna rozerwana owiewka zdemontowanego przez Niemców kaemu prawej goleni podwozia.



wanych tam Mew nie są do końca znane. Produkcja samolotów ruszyła tuż przed wybuchem wojny. Z literatury tematu wynika, że część tych samolotów po 2 września ewakuowano z zakładów LWS do parku Bronowickiego w Lublinie, a inne ukryto w lesie przy szosie wiodącej do Krasnegostawu, gdzie znaleźli je Niemcy. Część samolotów spalono. Lotnictwo polskie użyło w wojnie 1939 r. czterech Mew (w tym dwa prototypy). Wiadomo, że maszyny te ewakuowano na południowy wschód kraju, gdzie ostatecznie zostały rozbite i spalone. Czy jeden z tych samolotów mógł zakończyć swój lotniczy żywot pod Zamościem?

Prototypowa Mewa w walce

Informacje o wojennych losach nielicznych LWS-3 Mewa są niezwykle skąpe. Dlatego też pełna identyfikacja tego samolotu wydawała się od początku mało prawdopodobna. Jedyne szerzej publikowany dokładny opis dotyczy lotu bojowego ppor. rez. pil. Gerarda Karola Ranozka z 17 września 1939 r., podczas

którego zaatakował on niemieckie kolumny wojska gdzieś daleko „pod Horodenką” w województwie stanisławowskim na Pokuciu (dziś Ukraina), co skończyło się awaryjnym lądowaniem i spalaniem samolotu przez polskich lotników.

Rozstrzygnięcie zagadki przyszło niespodziewanie. W książce Tomasza J. Kopańskiego poświęconej 24 Eskadrze Rozpoznawczej w wojnie obronnej Polski 1939 r. zamieszczono dwa zdjęcia pierwszego prototypu samolotu LWS-3/I Mewa pilotowanego przez ppor. rez. pil. Gerarda Ranozka sfotografowanego po przymusowym lądowaniu, jak głosił podpis: „w rejonie Zamość-Zwierzyniec”, a nie, jak to dotąd określano, gdzieś daleko „pod Horodenką”. Obie miejscowości – Zamość i Zwierzyniec – leżą w odległości ok. 20 km od siebie; ale pomiędzy nimi, nieco bliżej Zamościa, znajduje się właśnie Kolonia Hubale, gdzie wylądował poszukiwany przeze mnie samolot. Zbieżność miejsc i zdarzeń nie mogła być przypadkowa. Trudno było przyjąć, by

Przedwojenna karta pocztowa przedstawiająca samolot LWS-3 Mewa

tak blisko siebie wylądowały w tym samym czasie dwa tak rzadko spotykane samoloty jak LWS-3 Mewa. Musiał to być jeden i ten sam samolot – utrwalony na zdjęciach prototyp Mewy pilotowany przez ppor. rez. pil. Gerarda Ranoszkę.

Maszyna ta miała bardzo ciekawy przebieg służby. Wyprodukowano ją latem 1937 r. jako pierwszy z trzech prototypów, została oblatana w Lublinie w kwietniu 1938 r. Wiadomo, że po usunięciu usterek, we wrześniu 1938 r., samolot rozpoczął próby w Instytucie Technicznym Lotnictwa w Warszawie, wykazując doskonale własności pilotażowe. W listopadzie badania te przerwano, gdyż samolot został wysłany na XVI Międzynarodowy Salon Lotniczy w Paryżu (25 listo-

23 Karaś i LWS-3/I Mewa – Dywizjonu Doświadczalnego Instytutu Technicznego Lotnictwa w Warszawie. Los związał ten egzemplarz prototypowej Mewy ze wspomnianym ppor. rez. pil. Gerardem Ranoszką. Po mobilizacji do lotnictwa, początkowo był on pilotem Dywizjonu Doświadczalnego i uczestniczył w ewakuacji jego samolotów z Warszawy najpierw na lotnisko polowe Ogrodzienice pod Grójcem, a następnie 5 września na południe kraju na lotnisko polowe Żabczyce pod Pińskiem. W związku z rozwojem niekorzystnej sytuacji militarnej 13 września rozpoczęto ewakuację samolotów z lotnisk zapasowych na południe kraju w kierunku Śniatynia. Był wśród nich także prototypowy egzemplarz LWS-3/I Mewa. Samolot 15 września przyleciał



1



2

FOT. ZBIORY WOJTKA MATUSIAKA

FOT. ZBIORY ROBERTA GRETYNGIERA

1. Mjr pil. Gerard Ranoszek, który wylądował na LWS-3/I Mewa pod Zamościem. Zdjęcie z okresu służby w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii. 2. Mjr pil. Gerard Ranoszek (stoi z lewej) wraz ze swoim nawigatorem i mechanikami na skrzydle samolotu Beaufighter Mk VI w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym „Lwowskich Puchaczy” Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii.

pada – 11 grudnia 1938 r.). Wzbudził tam duże zainteresowanie i uznano go za równorzędny z konstrukcjami zagranicznymi – brytyjskim Westland Lysanderem i niemieckim Henschlem Hs-126. Gdy samolot powrócił do Polski, badania wznowiono i wprowadzono kilka modyfikacji. Wiosną 1939 r. przeprowadzono próbne strzelania na poligonie w Rembertowie i Biedrusku. Równocześnie oblatano drugi prototyp LWS-3/II, a na początku 1939 r. uruchomiono produkcję seryjnych Mew. Gdy wybuchła wojna, pierwsze maszyny były gotowe do odbioru.

Pierwszy prototyp LWS-3/I Mewa 1 września 1939 r. znajdował się wśród 20 samolotów – PZL 37 Łoś, PZL

na lotnisko Kniahinin na Wołyniu, gdzie przekazano go 24 Eskadrze Rozpoznawczej. Przeszedł do jej składu także jego pilot ppor. Gerard Ranoszek. Eskadrę ewakuowano następnie do Użyńca do majątku Ludwików k. Łucka.

Znaczącym dniem dla tej odtwarzanej lotniczej historii był 17 września. Rankiem Ranoszek z ppor. obs. Feliksem Sobieralskim wystartowali właśnie tą prototypową Mewą w celu nawiązania łączności z naczelnym dowódcą Lotnictwa i Obrony Przeciwlotniczej gen. Józefem Zającem. Wylądowali w rejonie Śniatynia w województwie stanisławowskim (dziś Ukraina), gdzie dowiedzieli się o inwazji sowieckiej na Polskę. W sytuacji, gdy

wszyscy ewakuowali się do Rumunii, oni zdecydowali zrobić coś wręcz odwrotnego. Postanowili polecieć do Warszawy, która, jak głosiło radio, wciąż się broniła. Podporucznik Gerard Ranoszek wspominał, co było dalej: „Wystartowaliśmy o świcie 17-go września i w okolicy Zamościa spotkaliśmy długie kolumny niemieckie konne ciągnące z zachodu na wschód w dolinach wśród zalesionych wzniesień. Zrobiłem kilka niskich nalotów, strzelając w kolumny z dwóch karabinów maszynowych Vickers zamontowanych przy kołach w podwoziu »Mewy« [...]. Rzeź była wielka, niestety też wśród koni, ale »Mewa« też oberwała, bo po wyciągnięciu z ostatniego ataku po prostu stanęło śmigło. Wylądowałem na polanie leśnej, chłopcy wiejscy przynieśli nam słomy, podpalił »Mewę« i dali nurka w las w momencie jak na krańcu polany pokazał się niemiecki pojazd a biedna »Mewa« już dobrze się paliła”³. W późniejszej relacji ppor. Ranoszek wspominał ten lot krótko: „[...] zostaliśmy zestrzeleni w okolicy Zwierzyńca w trakcie ataków na kawalerię niemiecką. Po spaleniu »Mewy« i po 2-tyg. nocnym marszu dotarliśmy do rozgromionej Warszawy 3-go października. 16 grudnia 1939 prysnąłem stamtąd z grupą kol.-inż. przez Słowację i Węgry do Francji”⁴.

Z cytowanych wspomnień wynika, że lotnik spalił Mewę, ale zdjęcia i relacja świadka Stanisława Bielaka dowodzą, że to podpalenie nie było skuteczne. Samolot nie spłonął. Opuszczoną maszynę pozostawioną w dobrej kondycji oglądali spokojnie niemieccy żołnierze. Podpalili ją sami jakiś czas później. Dlaczego Ranoszek zataił fakt porzucenia niezniszczonego samolotu, tego nie wiadomo. Być może nie chciał przyznawać się, że pozostawił wrogowi niezniszczonego prototypową maszynę. Jakby miało to jakieś znaczenie...

Obecnie można przyjąć, że miejscem, w którym wylądował przymusowo prototyp LWS-3/I Mewa pilotowany przez ppor. Gerarda Ranoszkę z obserwatorem ppor. Feliksem Sobieralskim, nie była ani daleka Horodenka, ani Zwierzyńca, ale sad we wsi Kolonia Hubale pod Zamościem. I to tam zakończyła się bojowa droga tego samolotu. Pozostał po tym wojennym epizodzie kolektor spalin, dwa zdjęcia... i garść wspomnień o lądowaniu nieznanego polskiego samolotu pod Zamościem.

Wspominany tu kilkakrotnie ppor. rez. pil. Gerard Ranoszek kojarzy się historykom lotnictwa przede wszystkim z nieco późniejszym okresem, gdy latał w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym „Lwowskich Puchaczy” w Wielkiej Brytanii. Rzeczywiście po klęsce wrześniowej opuścił on Warszawę i przedostał się przez Słowację oraz Węgry do Francji. Tam został przeszkolony w grupie kpt. Tadeusza H. Rolskiego na francuskich samolotach myśliwskich, ale w walkach nie uczestniczył. Po kapitulacji Francji przedostał się przez Afrykę Północną do Wielkiej Brytanii. Po przeszkoleniu lotniczym na samolotach Hawker Hurricane służył krótko w 32 Dywizjonie Myśliwskim brytyjskich sił powietrznych (RAF) i 306 Dywizjonie Myśliwskim „Toruńskim” Polskich Sił Powietrznych. Zimą 1942 r. przeniósł się do 307 Dywizjonu Myśliwskiego Nocnego „Lwowskich Puchaczy”, gdzie był dowódcą eskadry, a następnie całego dywizjonu. Właśnie z tym dywizjonem jest do dziś najbardziej kojarzony. W czasie wojny dosłużył się stopnia majora. Ogółem zestrzelił trzy i uszkodził dwa samoloty Luftwaffe. Był kawalerem wielu odznaczeń polskich i obcych, m.in. Orderu Virtuti Militari V kl., trzykrotnie Krzyża Walecznych i brytyjskiego Zaszczytnego Krzyża Lotniczego (Distinguished Flying Cross, DFC). Po wojnie wyjechał do Republiki Południowej Afryki i tam się osiedlił. Zmarł w Johannesburgu w 1992 r. Rok później jego prochy złożono na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. ■

Autor dziękuje panom: dr. Tomaszowi J. Kopańskiemu, Markowi Rogusowski, Pascalowi Kergerowi, Wojtkowi Matusiakowi oraz Robertowi Gretzingerowi za udostępnienie zdjęć archiwalnych samolotu LWS-3/I Mewa i jego pilota mjr. Gerarda Ranoszkę. Artykuł ten dedykuje pamięci zamojskiego dziennikarza i doskonałego znawcy historii Zamościa, śp. dr. Krzysztofa Czuby, mojego towarzysza i przewodnika w tych badaniach.

WOJCIECH KRAJEWSKI archeolog, historyk i muzealnik; kustosz Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Badacz miejsc katastrof samolotów i poszukiwacz lotników zestrzelonych nad Polską podczas II wojny światowej. Zajmuje się też archeologią dawnych pól bitew i historią Powstania Listopadowego. Autor kilku książek, kilkadziesiąt artykułów i kilkunastu wystaw.

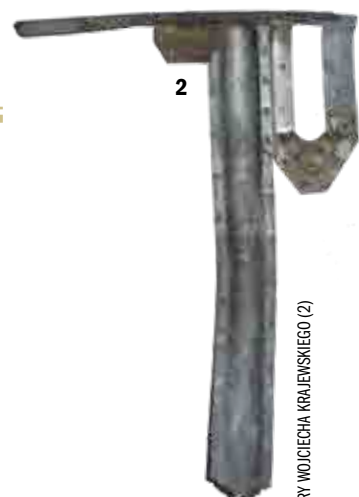
¹ Zob. „Polska Zbrojna Historia” nr 4, 2017/1, 2018, s. 134.

² Relacja Stanisława Bielaka złożona Wojciechowi Krajewskiemu w 1998 r. ³ T.J. Kopański, *24 Eskadra Rozpoznawcza 1939*, Sandomierz 2012, s. 93. ⁴ Tamże, s. 93 i 94.

Bibliografia:

Glass A., *LWS 3 Mewa*, Warszawa 1996.
Glass A., *Polskie konstrukcje lotnicze do 1939 r.*, t. II, Sandomierz 2007.
Kopański T.J., *24 Eskadra Rozpoznawcza 1939*, Sandomierz 2012.
Morgała A., *Samoloty wojskowe w Polsce 1924–1939*, Warszawa 2003.
Pawlak J., *Polskie eskadry w Wojnie Obronnej. Wrzesień 1939*, Warszawa 1991.

1. Punca kontroli odbioru technicznego Lubelskiej Wytwórni Samolotów, wybita na elemencie konstrukcji kadłuba, 2012 r.
2. Fragment odnalezionego elementu konstrukcyjnego kadłuba samolotu LWS-3/I Mewa, 2012 r.



FOT. ZBIORY WOJCIECHA KRAJEWSKIEGO (2)

LOTNICTWO POLSKIE a sojusznicy

Polskie lotnictwo bojowe, którego początki sięgają 1918 r., przed wybuchem II wojny światowej znalazło się w niezwykle trudnej sytuacji.

GRZEGORZ ŚLIŻEWSKI

U mowną datę odrodzenia państwa polskiego poprzedza pierwszy lot bojowy lotnictwa spod znaku biało-czerwonej szachownicy. Stało się to 5 listopada 1918 r., gdy samolot pilotowany przez kpt. pil. Stefana Bastyrę, z obserwatorem por. Januszem de Beauriain, po wystartowaniu z lotniska na Lewandówce, zaatakował pozycje ukraińskie w okolicach Lwowa.

Wkrótce samoloty bombowe, których stery dzierżyli polscy piloci, atakowały konnicę Siemiona Budionnego i wspierały wojska naziemne podczas Cudu nad Wisłą, bombardowały także Frankfurt nad Odrą. Kiedy wojenna zawierucha ucichła, lotnictwo zamiast walki o granice, musiało zadbać o swój rozwój.

Lotnictwo podczas operacji wojskowych działało w sposób spontaniczny, kierując się bieżącymi potrzebami wymuszonymi aktualną sytuacją na froncie. Po zakończeniu wojny demobilizacja i ograniczenie wydatków na zbrojenia przeformatowały możliwości funkcjonowania powietrznej części armii.

Polsko-francuska konwencja wojskowa

Zabiegi o współpracę z Francją trafiły na podatny grunt. W Polsce bowiem wciąż pamiętano o sojuszu sięgającym czasów napoleońskich i lotniczych powiązaniach w postaci chociażby, działającej do 1920 r. w Warszawie i Bydgoszczy, Francuskiej Szkoły Pilotów. Na czele Departamentu IV Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych RP stał francuski generał François-Léon Lévêque. Również dyplomacja kraju nad Sekwaną, obawiająca się rewanżu ze strony niemieckiego sąsiada, szukała naturalnego sojusznika, który mógłby zastąpić znajdującą się w niebycie carską Rosję. Dla Polski zaś kooperacja z Francją miała być przede wszystkim gwarantem bezpieczeństwa zachodniej granicy. W II RP współpracę tę traktowano także jako niezbędne zabezpieczenie i wsparcie w sytuacji ewentualnego nowego konfliktu z Armią Czerwoną. Francja nie ograniczała się do Polski i pierwsze kroki

w celu zawiązania nowego, wymierzonego w Niemcy, sojuszu wojskowego skierowała do Czechosłowacji.

W lutym 1921 r. podpisano w Paryżu konwencję wojskową gwarantującą Polsce m.in. pożyczkę w wysokości 400 mln franków, która w czterech transzach miała być wydatkowana na reorganizację polskiej armii. Na rozwój lotnictwa wojskowego przeznaczono 63 mln franków, a połowa tej sumy miała się znaleźć już w pierwszej racie kredytu. Wkrótce kwotę tę zwiększono do 75 mln franków, co świadczy o realnych potrzebach tego rodzaju broni.

Jednym z elementów modernizacji lotnictwa, na który mocno naciskali Francuzi, było utworzenie eskadr niszczycielskich. Przełożyło się to na akceptację w 1923 r. programu rozbudowy polskiego lotnictwa, a w założeniach tych uwzględniono utworzenie dwóch eskadr ciężkich bombowców.

Utworzenie eskadr niszczycielskich miało uzasadnienie w sztabowych planach zachodniego sojusznika, atakowanie zaplecza przeciwnika było bowiem jednym z podstawowych elementów działania Francuskich Sił Powietrznych (Armée de l'air), a że eskadry miały stacjonować w okolicach Renu, nie mogły swoim zasięgiem objąć całych Niemiec. Dlatego potrzebni byli sojusznicy skupiający się na atakach wschodnich terenów ewentualnego przeciwnika, a w działaniach tych mogły ich uzupełnić francuskie eskadry stacjonujące w Polsce i Czechosłowacji. Nie chodziło wyłącznie o atakowanie np. Berlina bądź Królewca, przemysłu albo lotniczych baz. Równie istotne były informacje o dyslokacji niemieckich wojsk, zwłaszcza wiadomości o przesunięciach oddziałów z frontu wschodniego na zachodni. Dlatego Francuzi deklarowali przetrzucenie na teren sojuszników nie tylko eskadr bombowych, ale także rozpoznawczych.

Z ziem II RP blisko było na Pomorze, Prusy Wschodnie i Berlin, podczas gdy z Czechosłowacji na Śląsk, Saksonię i ewentualnie – gdyby nie pozwalała na to zasięg bombowców z Francji – na Bawarię. Jednocześnie, z racji dużej liczby Polaków zamieszkujących Górny Śląsk,



UKŁAD Z RAMBOUILLET

GENERALNY INSPEKTOR SIŁ ZBROJNYCH RP gen. Edward Śmigły-Rydz (szósty z lewej) i prezydent Francji Albert Lebrun (piąty z lewej) w towarzystwie ministra spraw zagranicznych Francji Yvon Delbosa (pierwszy z lewej), premiera Francji Léona Bluma (drugi z lewej), gen. Charles'a d'Arbonneau (trzeci z lewej), ambasadora Francji w Polsce Léona Noël'a (czwarty z lewej), gen. Wacława Stachewicza (drugi z prawej) oraz dostojników francuskich w ogrodzie zamku Rambouillet.

Wrzesień 1936 r.

czeskie lotnictwo miało w tym rejonie ograniczyć aktywność.

W związku z planami działalności francuskiego lotnictwa z terytorium II RP, zdecydowano o dostosowaniu niezbędnej do działania sojuszników infrastruktury najpierw w Poznaniu i Toruniu, a następnie Łodzi. Podstawowe materiały wpływające na funkcjonowanie powietrznych oddziałów pochodzić miały z Francji, natomiast po polskiej stronie pozostawała prostsza produkcja i obsługa jednostek stacjonujących w II RP. Sojusznicy deklarowali wprawdzie przerzucenie tam eskadr rozpoznawczych i ciężkich bombowców, ale w rzeczywistości w tym czasie Francja nie miała sześciu eskadr ciężkich bombowców (dwa dywizjony), które mogłaby wysłać na wschód.

Aby wypełnić zobowiązania, w 1925 r. Polacy zakupili w ramach kredytu 32 ciężkie bombowce Farman Goliath, których zadaniem miało być atakowanie celów we wschodnich Niemczech. Samoloty przybyły do Polski po przewrocie majowym, kiedy warszawska polityka związana z sojuszami zmieniła priorytety. Goliathy stały się

przykładem głoszonej przez nową ekipę rządzącą niewłaściwej polityki dotychczasowych dowódców lotnictwa wojskowego, wydających potrzebne dewizy na nieodpowiednie maszyny. Bombowce były zbyt duże, by zmieścić się w znajdujących się w Polsce hangarach, a ich osiągi były dalekie od potrzeb (samoloty miały problemy, kiedy trzeba było lecieć pod wiatr).

Traktat lokarneński i przewrót majowy

Podpisanie w 1925 r. traktatu lokarneńskiego pomiędzy Niemcami, Wielką Brytanią, Francją, Belgią i Włochami było jednym z elementów, który wyhamował współpracę polsko-francuską. Gwarancja nienaruszalności wschodniej granicy Francji bez podobnego zabezpieczenia polskiej granicy zachodniej jednoznacznie pokazywała, że sojusznik skupia

się tylko na własnym bezpieczeństwie i daje Niemcom wolną rękę w staraniach o odzyskanie Wielkopolski, Śląska i Pomorza.

Rok później nastąpił przewrót majowy. Poprzednicy płk. pil. Ludomiła Rayskiego, który wówczas stanął na czele Departamentu IV Żeglugi Powietrznej MSWojsk., skupiali się na utworzeniu jak największej liczby eskadr, by zbudować podwaliny silnego lotnictwa. Po 1926 r. wszystko się zmieniło. Rayski uważał, że należy urealnić możliwości podległych mu jednostek i w związku z brakiem personelu, który zapewniłby pełną obsadę eskadr, a także niedostateczną infrastrukturą, postanowił zmniejszyć liczbę eskadr.

Zmieniła się koncepcja wyposażenia polskich sił powietrznych. W poprzednich latach, by zaopatrzyć rodzime eskadry, kupowano lotniczy sprzęt za granicą. Nowa ekipa rządząca postawiła na rodzimy przemysł. Priorytetem było skupienie przemysłu lotniczego poza strefą prywatną, by mieć nad nim większy nadzór i wpływ na możliwości produkcyjne zakładów. A nowatorskie konstrukcje miały spowodować ich rozwój technologiczny. Dlatego w styczniu 1928 r. podpisano licencję na produkcję myśliwców Wibault, które wykonane były z duraluminium. Nie miały wprowadzić najlepszych parametrów pilotażowych i używano ich tylko w lotniczym szkolnictwie, ale przy ich budowie nie używano powszechnie wówczas stosowanego drewna i płótna. Rzadko jeszcze w tych czasach spotykaną koncepcję samolotu całkowicie metalowego przeanalizowali młodzi inżynierowie z nowo powstałych Państwowych Zakładów Lotniczych. Efektem były doskonałe – jak na pierwszą połowę lat trzydziestych – myśliwce PZL P.7, a wkrótce potem PZL P.11.

Nastawienie na wyposażenie jednostek lotniczych w rodzime konstrukcje sprawiło, że przestano interesować się francuskim sprzętem, z wyjątkiem silników, z którymi przemysł II RP miał problemy. Ożywione kontakty gospodarcze związane z przemysłem lotniczym

GEN. DYW. PIL. JÓZEF ZAJĄC

Żołnierz Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Dostał się do niemieckiej niewoli, z której zbiegł i wstąpił do Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera. W wojnie polsko-bolszewickiej był szefem sztabu, m.in. w 3 Armii. Później był także dowódcą 23 Dywizji Piechoty. W 1936 r. został inspektorem obrony powietrznej państwa. W 1937 r. przeszkolił się w pilotażu. W 1939 r. mianowany dowódcą lotnictwa, funkcji tej pozbawiono go po kampanii francuskiej w 1940 r. Był dowódcą polskiego wojska na Środkowym Wschodzie oraz zastępcą gen. Władysława Andersa. Pozostał na emigracji.

zamarły, Polacy interesowali się nim sporadycznie, np. wtedy gdy brakowało duraluminium na produkowane w PZL myśliwce.

Polsko-francuski układ z Rambouillet

Stagnacja polsko-francuskich kontaktów gospodarczych szła w parze z zanikiem lotniczej współpracy sztabowej. Sytuacja zmieniła się po podpisaniu we wrześniu 1936 r. układu w Rambouillet, który zapewnił Polsce fundusze na rozbudowę armii, przysporzył bowiem 2,6 mld franków, w tym 1 mld franków na zakup materiałów wojskowych we Francji. Dał też podstawy do odnowienia sojuszu oraz ożywienia kooperacji między sztabami i służbami wywiadowczymi. Była to odpowiedź na zajęcie przez Niemcy Nadrenii.

Mimo że pożyczkę z Rambouillet lotnictwo wykorzystало w niewielkim stopniu, odnowienie współpracy sprawiło, że podczas rozmów w Paryżu w październiku 1937 r. powrócono do pomysłu przybycia francuskich eskadr nad Wisłę. Rok później do Polski dotarły pogładowe egzemplarze lotniczych bomb i środków łączności.

Kooperacja została gwałtownie przerwana, gdy Polska zajęła Zaolzie. Do ocieplenia kontaktów doszło dopiero w lutym 1939 r., w obliczu coraz bardziej agresywnej polityki Nie-



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

GEN. BRYG. PİL. LUDOMIŁ RAYSKI

Żołnierz Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Jego ojciec był powstańcem styczniowym, który osiedlił się w Turcji i przyjął jej obywatelstwo. Po przystąpieniu Turcji do wojny Ludomił Rayski walczył w jednostkach lotniczych tego kraju. W 1919 r. wrócił do ojczyzny i w wojnie polsko-bolszewickiej był m.in. dowódcą 7 Eskadry Lotniczej. W latach 1926–1939 był dowódcą polskiego lotnictwa. Podczas II wojny światowej latał jako szeregowy pilot, m.in. z pomocą dla Powstania Warszawskiego. Pozostał na emigracji.



miec. Powrócono wówczas do rozmów dotyczących działania francuskiego lotnictwa z polskich baz, jednak postęp zanotowano jedynie odnośnie do amunicji, łączności i uzbrojenia pokładowego. Wymazanie Czechosłowacji z mapy Europy sprawiło, że intensywność rozmów przybrała na sile. W maju wyłoniono w Paryżu podkomisję, której zadaniem była współpraca lotnicza, także na wypadek wybuchu wojny. Ustalono granicę działania lotnictwa na początku wojny na linii: Szczecin – Górlitz – Brno, a w razie sytuacji wyjątkowej: Rostock – Rasthenow – Chemnitz – Linz. Francuzi zadeklarowali wówczas także, że są gotowi, by po rozpoczęciu konfliktu zbrojnego przerzucić do Polski pięć eskadr bombowców Amiot 143M, których zadaniem byłoby zbombardowanie celów strategicznych i taktycznych, np. zgrupowań wojsk zagrażających polskiej armii, infrastruktury lotniczej i składów amunicji lub paliw. Końcowe ustalenia zawierały szczegóły o bazowaniu Francuzów w Polsce oraz sprawach związanych z uzbrojeniem i zaopatrzeniem bombowców. Dodatkowo uzgodniono, że sztab francuskiego lotnictwa w Polsce znajdować się będzie w Radomiu lub Lublinie, a węzły lotnisk podstawowych, określonych kryptonimem „Leon”, usytuowane będą między Radomiem, Lublinem i Międzyrzeczem. Poza tym ustalono, że Francuskie Siły Powietrzne będą miały zapewnione trzy strefy wysuniętych lotnisk: w rejonie Tomaszów Mazowiecki – Piotrków (kryptonim „Jean”), Gniezno – Września („Paul”) i Inowrocław – Aleksandrów („René”). Określono także sposób i miejsce magazynowania niezbędnego do pracy francuskiego lotnictwa wyposażenia, jak paliwo, amunicja, bomby.

Wariant brytyjski

W maju prowadzone były również rozmowy z Wielką Brytanią – Polacy, zachęceni sukcesem negocjacji z Francuzami, starali się namówić Królewskie Siły Powietrzne (RAF) na podobny wariant przerzucenia jednostek nad Wisłę. Brytyjczycy już wcześniej brali pod uwagę atak np. na zbiorniki paliwa i rafinerie w okolicach Szczecina, ale pozostali wobec tych planów sceptyczni, bo zdawali sobie sprawę ze słabości własnego lotnictwa bombowego. Pomysł wzięcia Niemców w dwa ognie był jednak dla Anglików na tyle intrygujący, że w lipcu zasugerowali oni użycie przez dowództwo lotnictwa bombowego RAF (Bomber Command) dwóch dywizjonów średnich bombowców typu Vickers Wellington (32 samoloty). Przemawiała za tym możliwość zaatakowania z polskich baz prawie 20 celów strategicznych.

Londyn interesowały lotniska usytuowane w środkowej części Polski – między Wisłą a Bugiem, które musiały mieć spore rozmiary ze względu na bombowce Wellington. Musiały one bowiem mieć ponad tysiąc metrów pasa startowego, by wzbicić się w powietrze przy pełnym ładunku. Strona polska wstępnie zaproponowała Warszawę, Dęblin i Brześć, ewentualnie Białystok i Świdnik pod Lublinem.

Konkretna propozycja strony brytyjskiej padła 3 sierpnia 1939 r., Anglicy byli gotowi wysłać do Polski przeznaczone dla wellingtonów bomby, paliwo itd., ale jednocześnie chcieli ten fakt utrzymać w tajemnicy. W liście pracownika Ministerstwa Lotnictwa (Air Ministry) Zjednoczonego Królestwa do ppłk. dypl. Bogdana Kwiecińskiego, attaché wojskowego i lotniczego Ambasady Rzeczypos-

PZL P.11

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



PZL P.7

FOT. MUZEUM LOTNICTWA POLSKIEGO W KRAKOWIE



spolitej Polsce w Londynie, napisano: „Rząd brytyjski dał upoważnienie do tego przedsięwzięcia pod warunkiem, że transakcja zostanie wykonana w sposób najbardziej tajny, przy zachowaniu pozorów sprzedaży tego materiału i ekwipunku rządowi polskiemu. Brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa ma nadzieję, że polskie władze zachowają ścisłą tajemnicę i będą przestrzegać pozorów sprzedaży. Aby zapewnić skuteczne działania brytyjskich bombowców z wysuniętej bazy w Polsce, polskie władze będą musiały zapewnić liczne ułatwienia. Dotyczy to lotnisk (jedna baza główna i jedna pomocnicza), obrony na ziemi, łączności, transportu mechanicznego, ułatwień magazynowania, części wyekwipowania lotniska, zakwaterowania personelu, żywienia, obsługi lekarskiej, dostarczenia tłumaczy, dostarczenia niewykwalifikowanych robotników, ułatwień warsztatowych, urządzeń fotograficznych, dostarczenia energii elektrycznej, tlenu, glikolu, zimowego ekwipunku, urządzeń odkażających przeciwgazowych, obsługi meteorologicznej etc.”¹

Przybyła kilka dni później do Polski brytyjska misja wojskowa błyskawicznie doszła do

porozumienia z gospodarzami, którzy szybko wyrazili zgodę na przetrzymanie na wschód jednostek RAF i zapewnili o niezbędnym wsparciu oraz opiece nad przybyłymi brytyjskimi lotnikami i ich maszynami. Ostatecznie 26 sierpnia określono zasady współpracy, a podstawowym zastrzeżeniem sojuszników była deklaracja, że bombowce Wellington będą brać za cel wyłącznie obiekty militarne.

Kiedy wybuchła wojna, Polacy apelowali do sojuszników o lotnicze wsparcie, ale spotkali się z odmową. Anglicy mieli przynajmniej argumenty, bo w atakach na bazy niemieckiej marynarki wojennej, które wykonali w pierwszych dniach wojny, ponieśli duże straty. Stało się zatem jasne, że akcja brytyjskiego dowództwa lotnictwa, przeprowadzona z terenu sojusznika, zakończy się równie tragicznie. Francuzi natomiast ograniczyli się we wrześniu 1939 r. do lotów rozpoznawczych w okolicach Linii Maginota, nie próbując nawet wywiązać się z wcześniejszych sojuszniczych zobowiązań.

Powrót do rozmów na początku 1939 r. zbiegł się ze zmianą na stanowisku dowódcy polskiego lotnictwa. Generał Ludomił Rayski złożył dymisję, którą przyjęto. Jego obowiązki przejął wówczas gen. Józef Zająć, inspektor obrony powietrznej państwa, któremu powierzono funkcję naczelnego dowódcy lotnictwa i obrony przeciwlotniczej na czas wojny. Zaledwie tydzień później, 28 marca 1939 r., gen. Tadeusz Kasprzycki, minister spraw wojskowych, wydał zarządzenie, by dowódca lotnictwa „przystąpił niezwłocznie do zakupów zagranicznych [...] samolotów myśliwskich i liniowych”². Podjęto więc rozmowy z Francją i Wielką Brytanią. Za sprawą Francji o realnej możliwości sprzedania Polsce własnych produktów dowiedziały się również firmy ze Stanów Zjednoczonych.

Negocjacje z Francją i Wielką Brytanią odbywały się na wszystkich płaszczyznach: Polacy spotykali się z przedstawicielami obu sojuszników, ale też państwa zachodniej Europy prowadziły rozmowy między sobą. Warszawa chciała wykorzystać ten moment i zyskać od sojuszników kredyty na doposażenie własnej armii. Dlatego np. wystąpiono z sugestią, by Londyn wsparł polskie potrzeby kredytem w wysokości 60 mln funtów. W brytyjskim Ministerstwie Skarbu wzbudziło to opór, zwłaszcza przy ewentualnych zakupach za te fundusze sprzętu poza Wielką Brytanią. Tamtejsze Ministerstwo Spraw Zagranicznych zarzuciło kolegom z sąsiedniego resortu patrzeć na

sprawę wyłącznie przez pryzmat finansowy, bez zrozumienia polityki zagranicznej państwa. Wkrótce pojawiły się jednak głosy podkreślające potrzeby zbrojeniowe własnego państwa, wskazywano, że w przypadku wybuchu wojny Polska straci rynki zbytu i nie będzie w stanie kredytu spłacać. Kiedy więc w połowie czerwca doszło nad Tamizą do spotkania przedstawicieli brytyjskiego rządu z przybyłą do Londynu polską misją wojskową, postulat o kredyt w wysokości ponad 60 mln funtów, zmniejszony podczas następnego spotkania o połowę, spotkał się z fatalnym oddźwiękiem wśród sojuszników.

W przededniu wojny

Po spotkaniu przedstawicieli ministerstw skarbu obu sojuszniczych państw, które odbyło się na przełomie czerwca i lipca 1939 r., zdecydowano, by zaproponować Polsce pożyczki w wysokości 600 mln franków i 5 mln funtów szterlingów, których przeznaczeniem było wyekwipowanie Wojska Polskiego.

Od Wielkiej Brytanii polskie lotnictwo chciało uzyskać głównie nowoczesne myśliwce typu Supermarine Spitfire bądź inne podobne maszyny oraz samoloty rozpoznawczo-bombowe Fairey Battle lub Bristol Blenheim. Generał Józef Zając interesował się także mniej typowymi konstrukcjami, np. dwumiejscowym myśliwcem Boulton Paul Defiant i przeznaczonym do lotnictwa morskiego Fairey Swordfish. O ile z samolotami rozpoznawczo-bombowymi nie było problemu, bo Brytyjczycy od razu zaoferowali 150 samolotów Battle, a ostatecznie ich liczbę zredukowano do 100, to z myśliwcami był kłopot. Jak napisał 19 maja 1939 r. ppłk dypl. Kwieciński do szefa Oddziału II Sztabu Głównego: „Byłoby obecnie bardzo trudnym, jeżeli nie niemożliwym, uzyskać większą ilość samolotów myśliwskich. Aczkolwiek produkcja tych samolotów (Hurricane i Spitfire) jest stosunkowo bardzo duża, to jednak fakt, że jeszcze wiele myśliwskich eskadr angielskich jest wyposażonych w stary sprzęt zmusza angielskie Ministerstwo Lotnictwa do przezbierania tych eskadr, przez co zapotrzebowanie na ten sprzęt jest bardzo wysokie i zaledwie jest pokrywane przez produkcję”³.

Królewskie Siły Powietrzne miały swoje potrzeby: ze służby wycofywano myśliwskie dwupłatowe Gloster Gladiator, a ich miejsce zajmowały Hawker Hurricane'y i Supermarine Spitfire'y. Ostatecznie Brytyjczycy proponowali jedynie 14 Hurricane'ów, co było dla Polaków liczbą zdecydowanie zbyt małą. Dodatkowo ten typ samolotu nie współgrał z polskim przemysłem lotniczym, Spitfire – w przeciwieństwie do Hurricane'a – był bowiem konstrukcją całkowicie metalową, podobnie jak produkowane do tej pory P.11, P.24, Karasie i Łosie.

Ostatecznie 2 sierpnia Polska uzyskała brytyjskie gwarancje finansowe na prawie 8,2 mln funtów. To pozwoliło na przygotowanie do wysyłki materiałów, na których zależało Polakom. Pierwszy transport, m.in. my-

śliwce Hurricane (14 sztuk) i bombowce Battle (7 maszyn), wyruszył do Gdyni 22 sierpnia na pokładzie SS „Lassell”, ale już następnego dnia został przez Brytyjczyków zawrócony. W związku z zagrożeniem na Bałtyku statek skierowano do Konstancy i szacowano, że dotrze do Rumunii 9 lub 10 września.

Kiedy Adolf Hitler wypowiedział polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy, kwestia polsko-francuskiej kooperacji wróciła także w kontekście pomocy finansowej. Trudności z pozyskaniem maszyn, przede wszystkim myśliwskich, w Wielkiej Brytanii sprawiły, że Polacy zwrócili się w stronę drugiego sojusznika. Paul Reynaud, francuski minister skarbu, 7 lipca przekazał Juliuszowi Łukasiewiczowi, polskiemu ambasadorowi w Paryżu, ustną informację o przyznaniu Polsce kredytu w wysokości 430 mln franków. Oficjalnie umowę tę sygnowano 18 sierpnia.

We Francji zainteresowano się przede wszystkim myśliwskim Morane Saulnier MS.406 oraz dwusilnikowymi Breguet 690 i Potez 63, które mogły być zarówno ciężkim myśliwcem, jak i lekkim bombowcem. W Holandii sprawdzono natomiast jednomiejscowego Koolhovens FK.58. Na początku sierpnia zdecydowano się na zakup 160 MS.406, które miały stanowić trzon wyposażenia polskiego lotnictwa myśliwskiego.

Z powodu wzmożonej aktywności Polaków poszukujących samolotów myśliwskich, ofertę złożyli także Amerykanie. W przeciwieństwie do Europy, która szykowała się do wojny i tym samym była niechętna do pozbycia się sprzętu, w Stanach Zjednoczonych szukano rynków zbytu dla swoich produktów. Do Warszawy spłynęło kilka ofert i dotyczyły one maszyn Curtiss Hawk 75A, Seversky EP-1, Brewster XF.2A oraz starszego dwupłatowego myśliwca morskiego Grumman F3F. Oferty te odrzucono, bo „Szef Sztabu Głównego zdecydował, że – z powodu trudnych warunków dostawy tak pod względem wysokich cen i zbyt bliskich terminów płatności – z ofert amerykańskich nie skorzystamy”⁴.

Ostatecznie żadna maszyna z zagranicy nie zdążyła trafić na terytorium II RP przed wybuchem wojny. ■

GRZEGORZ ŚLIŹEWSKI doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się tematyką związaną z przeszłością polskiego lotnictwa; opublikował 10 książek i prawie 100 artykułów dotyczących tej tematyki. Działacz Fundacji Historycznej Lotnictwa Polskiego. Mieszka w Koszalinie, gdzie jest głównym organizatorem cyklicznej konferencji popularnonaukowej poświęconej historii lotnictwa.

¹ Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej IPMS), LOT.A.I.2/15, k. 116–117. Opatrzony klauzulą „Most Secret” list majora A. Boyle'a z Air Ministry do Attaché Wojskowego i Lotniczego Ambasady Polskiej w Londynie ppłk. dypl. Bogdana Kwiecińskiego z 3 sierpnia 1939 r. ² Cyt. za: *Wojna Obronna Polski 1939. Wybór źródeł*, pod kierownictwem E.J. Kozłowskiego, Warszawa 1968, s. 216. ³ IPMS, LOT.A.I.2/15, k. 15. List Attaché Wojskowego i Lotniczego Ambasady Polskiej w Londynie ppłk. dypl. Bogdana Kwiecińskiego do Szefa Oddziału II Sztabu Głównego z 19 maja 1939 r. ⁴ IPMS, LOT.A.I.2/16, k. 38. Depesza gen. Ujejskiego, Szefa Sztabu Lotniczego Sztabu Głównego, do Attaché Wojskowego i Lotniczego przy Ambasadzie RP w Waszyngtonie z 1 sierpnia 1939 r.



Podniesienie wraku bombowca

Dnia 5 października 2014 r., o godz. 11, z dna Bałtyku wydobyto wrak bombowca Douglas A-20 z czasów II wojny światowej. Jedna z najbardziej spektakularnych akcji w historii polskiej archeologii podwodnej kończy się wielkim sukcesem. To zadanie wykonano dzięki pomocy Marynarki Wojennej RP, która przygotowała niemal całkowicie zakopany wrak do wydobycia, oraz spółki LOTOS Petrobaltic, która udostępniła do operacji statek badawczy St. Barbara i holownik Kambr.

ŁUKASZ PAŁUCHA

Dzień wcześniej, o godz. 5 rano, na wysokości przylądka Rozewie holownik Kambr podpływa do statku St. Barbara, który czeka przy bojce znaczącej wrak bombowca. Ekipa nurków Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku przechodzi na pokład St. Barbary. Krótka narada z kapitanem i załogą w messie oficerskiej i jeszcze przed śniadaniem ruszają przygotowania do operacji wyciągnięcia wraku. Pogoda wymarzona: w miejscu, które zazwyczaj narażone jest na wiatr i falowanie, panuje cisza, a woda jest spokojna jak w jeziorze. Nie ma chwili do stracenia.

Kambr odpływa, aby rozstawić kotwice St. Barbary, i czeka w gotowości. Kiedy wrak zostanie podniesiony,

podpłynie i weźmie go na pokład. Teraz w roli głównej występuje St. Barbara, która ma oprzyrządowanie pozwalające na precyzyjne i stabilne ustawienie się nad obiektem i przeprowadzenie prac wydobywczych.

Jeszcze przed nurkami pod wodę schodzi ROV, zdalnie sterowany pojazd podwodny. Wkrótce na ekranie monitora pojawia się obraz wraku i jego otoczenia. Nurkowie wiedzą już wszystko, są gotowi do akcji. „Kurka wodna”, bo tak pieszczotliwie nazywany jest przez załogę pojazd, będzie im jeszcze pomagać, oświetlając miejsce akcji i nagrywając podwodne prace. Zadaniem nurków jest przygotowanie wraku do wydobycia.

– Eżektorem powietrznym [podwodny odkurzacz – Ł.P.] oczyszczamy wrak z piasku i zakładamy pasy nośne na prawym i lewym silniku, na skrzydłach oraz z tyłu na gondolach mieszczących podwozie samolotu. Potem załoga St. Barbary opuści nam hak, który zamontujemy do specjalnej belki nośnej – tłumaczy Wojciech Joński, kierownik prac podwodnych działu oceanografii Narodowego Muzeum Morskiego, i razem z kolegami raz za razem schodzi pod wodę.

Operacja zajmuje blisko cztery godziny. W końcu ostatni nurek wraca na pokład. – Wszystko przygotowane. Wrak prezentuje się naprawdę efektownie, ma skrzydła, kawałek kadłuba, śmigła, silniki. Robi piorunujące wrażenie, to coś, czego na co dzień nie widuje się w polskich wodach. Jestem podekscytowany, bo niewielu nurków miało okazję oglądać wrak bombowca i brać udział w takiej akcji – mówi po wyjściu z wody Kazimierz Kotlewski.

Teraz główną rolę zaczyna grać załoga St. Barbary. Rozpoczyna się podnoszenie wraku. Mijają kolejne dwie godziny i bombowiec wynurza się nad lustro wody. Niestety, trawers podtrzymujący wrak naprężony jest do granic wytrzymałości. Lada moment może pęknąć. Jeśli wrak wpadnie teraz do wody, rozpadnie się na kawałki.

Nie ma innego wyjścia, samolot zostaje opuszczony na noc do wody. Na St. Barbarze rozpoczynają się gorączkowe narady. Skąd w morzu w sobotnią noc wziąć belkę, która wytrzyma ciężar 20 ton? Tyle, zamiast szacowanych wcześniej siedmiu, waży wrak bombowca!

Na mostku kapitańskim trwa burza mózgów. Powstaje kilka szkiców i w końcu finalny projekt. O północy na pokładzie zbiera się załoga. Kompletuje potrzebne materiały, wykonuje kolejne przeliczenia, spaw rury. Praca idzie szybko i sprawnie. Jeszcze przed świtem nowy trawers jest gotowy.

– Dzięki doświadczeniu naszych ludzi wyszliśmy z operacji, mamy świetną, zgraną załogę – mówi z satysfakcją Marian Benkowski, kapitan St. Barbary. – Do wszystkich zadań podchodzimy z sercem, ale wydobyć wraku bombowca to dla nas szczególne przeżycie.

W niedzielę o świcie nurkowie przymocowują wrak do nowej belki. O godz. 11 bombowiec zostaje wydobyty.

– Był dreszczyk emocji i napięcie, ale ręka mi nie zdrżała – opowiada Tomasz Paszko, operator dźwigu.

– Byłem skupiony, bo wiedziałem, że wyciągam z wody coś wyjątkowego. Ten samolot to przecież kawał historii. Po głowie krążyły mi różne myśli: jacy ludzie w nim wtedy byli, co przeżywali i co z nimi potem się stało. To niesamowite, że samolot tyle lat spoczywał pod wodą, a teraz ludzie będą go mogli oglądać w muzeum.

Bombowiec sprawnie ląduje na pokładzie Kambrą i dowodzony przez kapitana Tadeusza Wierzbickiego statek rusza do Gdyni. Samolot jest w dobrym stanie, w całości zachowało się śródpłacie wraz ze skrzydłami i silnikami, ponadto wydobyto zegary, inne frag-

DOUGLAS A-20

 Wydobyty z Bałtyku wrak bombowca należy do rodziny amerykańskich samolotów produkcji Douglas Aircraft Company. Pierwszy projekt powstał w 1937 r., potem był wielokrotnie unowocześniany i modyfikowany, także ze względu na miejsce, w którym potem wykorzystywano samolot.

W czasie II wojny światowej bombowce Douglas użytkowane były m.in. przez siły powietrzne Francji, Australii i Związku Sowieckiego, gdzie trafiły w ramach projektu Lend-Lease. ZSRS otrzymał najwięcej, bo aż 2900 egzemplarzy, które nazywane były tam A-20 Boston. To właśnie służący armii sowieckiej bombowiec wydobyto 5 października 2014 r.

Wrak został odkryty podczas rutynowych badań pomiarowych prowadzonych przez Instytut Morski w Gdańsku w lipcu 2013 r. Pierwsza próba jego podniesienia odbyła się w październiku 2013 r., ale z powodu złych warunków pogodowych postanowiono ją przerwać. Wrak jednak dokładnie przebadano, oczyszczono i przygotowano do wyciągnięcia. We wrześniu 2014 r. został odkopany i wystawiony poza krawędź wykopu. W tym momencie rozpoczęło się odliczanie do decydującej akcji i czekanie na odpowiednią pogodę.

Podniesienie samolotu z dna morza bez rozczłonkowania go pod wodą na mniejsze elementy było pierwszą tego typu, profesjonalną próbą polskiego muzeum i jednym z bardziej spektakularnych wydarzeń w polskiej archeologii od czasów wojny. Wrak jest w dobrym stanie, bo samolot prawdopodobnie wodował i dopiero później zatonął.

Prace przeprowadziło Narodowe Muzeum Morskie, Marynarka Wojenna RP oraz statki należące do grupy kapitałowej LOTOS Petrobaltic: St. Barbara i Kambr.



menty oprzyrządowania kokpitu oraz zbiorniki z paliwem.

– Czuję wielką satysfakcję – cieszy się Iwona Pomian, kierownik działu badań podwodnych Narodowego Muzeum Morskiego, która koordynowała całą akcję. – To wspaniale móc patrzeć na wrak, kiedy jest już bezpieczny. Prezentuje się efektownie. To prawdziwy rarytas, bo choć w Stanach Zjednoczonych wyprodukowano ponad siedem tysięcy modeli, w kolekcjach muzealnych jest tylko kilkanaście egzemplarzy, z tego zaledwie trzy w Europie – przypomina. I podkreśla: – Do sukcesu przyczyniło się wielu ludzi i wiele instytucji, ale gdyby nie umiejętności i kreatywność załogi St. Barbary, mogliśmy stracić wrak. ■

Biskup połowy Wojska Polskiego Stanisław Gall od początku posługi miał niełatwe zadanie, gdyż nie należał do ludzi z kręgu marsz. Józefa Piłsudskiego. Szybko doszło do konfliktu, z którego abp Gall wyszedł z wielką godnością.

ZBIGNIEW KĘPA

Sto lat temu, 29 lipca 1918 r., papież Benedykt XV mianował ks. Stanisława Galla biskupem pomocniczym archidiecezji warszawskiej. Sześć dni po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, 17 listopada 1918 r., ks. Gall przyjął sakrę biskupią z rąk abp. Aleksandra Kakowskiego w archikatedrze św. Jana w Warszawie. Trzy miesiące później, 5 lutego 1919 r., zo-



*Portret abp.
Stanisława Galla*

Trudne relacje biskupa z

stał powołany na urząd pierwszego w historii naszej ojczyzny biskupa połowego Wojsk Polskich. Obowiązki te wypełniał do marca 1933 r. Uhonorowany tytułem arcybiskupa pełnił funkcję biskupa pomocniczego w archidiecezji warszawskiej. Po śmierci abp. Aleksandra Kakowskiego 30 grudnia 1938 r. jako wikariusz kapitulny zarządzał diecezją, od 6 stycznia 1940 r. zaś był administratorem apostolskim. Zmarł 11 września 1942 r.

Zbliżające się stulecie utworzenia Biskupstwa Połowego Wojsk Polskich zwróciło uwagę na osobę i dokonania abp. Stanisława Galla. Biskup połowy Józef Guzdek, po uzyskaniu zgody kard. Kazimierza Nycza i spełnieniu formalnych wymagań, doprowadził do ekshumacji pierwszego biskupa połowego z grobu rodzinnego na warszawskich Powązkach. Z wojskowymi i kościelnymi honorami abp Gall został pochowany 14 marca 2018 r. Datę wybrał nieprzypadkowo, gdyż 12 marca 1933 r. Stanisław Gall uwieńczył ważne dzieło życia, remont katedry połowej, dokonując jej konsekracji. Parę dni później, 19 marca 1933 r. w Hucie Królewskiej (obecnie Chorzów) odbyła się konsekracja jego następcy, Józefa Gawliny.

Źródła konfliktu

W działalność Stanisława Galla jako biskupa połowego Wojsk Polskich wpisuje się konflikt – mający różne

natężenia – z marsz. Józefem Piłsudskim. Współcześnie wiele osób abp. Galla kojarzy jedynie z zaistniałym sporem, który doprowadził do zakończenia jego duszpasterzowania w wojsku.

Źródłami długotrwałego konfliktu było z pewnością kilka spraw. Pierwsza z nich to kandydatura na biskupa połowego. Trzeba przyznać, że młode państwo polskie bardzo wystarało się u Stolicy Apostolskiej o zorganizowanie duszpasterstwa wojskowego w formie biskupstwa połowego. Nie bez znaczenia były w tej sprawie zabiegi polskich hierarchów. Józef Piłsudski na tym urzędzie widział bp. Władysława Bandurskiego, nieformalnego pierwszego kapelana Legionów Polskich. Łączył ich wspólny legionowy etos, wizja niepodległej ojczyzny. Natomiast biskupi polscy przeciwni byli, aby zwierzchnictwo duchowe nad wojskiem oddać komuś, kto opuścił diecezję, w której spełniał urząd biskupa pomocniczego (Lwów), wdawał się w konflikty z biskupami, którzy nie chcieli zbytniego akcentowania spraw narodowych podczas nabożeństw, obawiając się represji zaborcy.

Kandydatem na urząd biskupa połowego, którego gotowi byli poprzeć polscy biskupi, był arcybiskup obrządku ormiańskiego Józef Teofil Teodorowicz. Jednak jego zaangażowanie polityczne, zajęcie negatywnego

*Portret marsz.
Józefa Piłsudskiego*

Marszałkiem

stanowiska wobec linii politycznej Józefa Piłsudskiego pogrzały nadzieję na objęcie najważniejszego stanowiska w duszpasterstwie wojskowym. Wtedy dopiero pojawiła się kandydatura bp. Stanisława Galla.

Z korespondencji pomiędzy abp. Aleksandrem Kakowskim, kard. Adamem Sapiehą a wizytatorem apostolskim Achillesem Rattim wynika, że ks. Gall był postrzegany jako tymczasowy biskup polowy do czasu znalezienia lepszego kandydata. Kolejne miesiące i lata działalności bp. Galla jednak zjednały mu przychylność hierarchów, a nawet uznanie.

Drugą przyczyną trudności była z pewnością niejednoznaczna postawa religijna Józefa Piłsudskiego. Z kilku ważnych dla siebie przyczyn w 1899 r. przeszedł z Kościoła katolickiego do Kościoła ewangelicko-augsburskiego, aby po latach powrócić do katolicyzmu i ostatecznie dokonać doczesnego żywota jako katolik. Być może to wpływało na relację z katolickim biskupem polowym, będąc źródłem ostracyzmu Piłsudskiego w ferowanych sądach i opiniach na temat Galla.

Trzecią przyczyną była inna wizja duszpasterstwa wojskowego, w tym roli kapelanów wojskowych. W przygotowanym wystąpieniu na forum zjazdu Konferencji Episkopatu Polski 24–29 sierpnia 1919 r. bp Gall napisał: „Domagano się prawa nominowania i zwalniania

dla Naczelnego Wodza, – a nawet dlatego wstrzymano od dn. 21 czerwca [1919 r. – Z.K.] wszystkie nominacje kapelanów, przez co wytworzyła się dość niepomyślna dla sprawy duszpasterskiej sytuacja. Powoływano się w powyższem na potrzebę bezwzględnej podporządkowania duszpasterstwa wojskowego (wyjąwszy czysto duchową jurysdykcję) wojskowemu dowódcy”¹. Dla pierwszego biskupa polowego kwestia swobodnego powoływania i odwoływania przez niego kapelanów była sprawą priorytetową. Uważał on, że może się jedynie zgodzić „na formę placet ze strony Naczelnego Dowództwa”². Arcybiskup Gall w sprawach podporządkowania sobie duchowieństwa wojskowego napotkał opór nie tylko Naczelnego Wodza, ale także części duchowieństwa wojskowego.

Eskalacja sporu

Różnice w ocenach i potrzebach pomiędzy kurią biskupią a Ministerstwem Spraw Wojskowych narastały. W pierwszych dniach grudnia 1919 r. biskup polowy wystąpił o ustanowienie etatu kapelana dla polskich żołnierzy we Francji. W kurialnym piśmie argumentowano: „Zaznacza się, że sprawa jest dość pilną, gdyż zbliża się okres świąteczny, kiedy obecność kapelana-Polaka jest b. pożądaną”³. Pod koniec stycznia 1920 r. z Ministerstwa Spraw Wojskowych przyszła odmowna odpowiedź płk. Sztabu Generalnego Józefa Rybaka, że „Ze względu na mały zakres działania, we Francji tylko 1 likwidujący się baon, jak również ciężkiej sytuacji finansowej Państwa, utrzymanie kapelana za granicą nie jest, zdaniem Departamentu I., koniecznem”⁴.

Z biegiem lat rozbieżności i uprzedzenia eskalowały. Biskup polowy Stanisław Gall skupiał na sobie i na kurii biskupiej problemy, które powstawały w relacjach władz wojskowych oraz kurii metropolitalnych i diecezjalnych.

Po przewrocie majowym w 1926 r. relacje te bardzo się skomplikowały. Dowódcy wojskowi skrupulatnie meldowali o niepochlebnych opiniach i wszelakich wystąpieniach przeciwko Józefowi Piłsudskiemu. Do sztabu Marszałka docierały także informacje o krytyce ze strony pewnej części duchowieństwa wojskowego. Dowódca 2 Dywizji Legionów Polskich w Przemyślu, gen. bryg. Aleksander Jerzy Narbut-Łuczyński, zameldował dowódcy Korpusu nr X o odmowie zorganizowania Święta Niepodległości w Kielcach 11 listopada 1926 r.: „[problem – Z.K.] bierze swój początek w zarządzeniach Kurji Biskupiej w Kielcach, gdyż i tutaj biskup [Augustyn Łoziński – Z.K.] odmówił tak odprawienia nabożeństwa w katedrze, jak i zezwolenia na odprawienie zakupionej mszy świętej. Swoje stanowisko biskup uzasadnił tam, że święto nie zostało zatwierdzone przez Papieża, a »galówek«/świąt dworskich on nie uznaje. Nie wchodząc w motywy prawne tego stanowiska, melduję, że Kielecka Kurja Biskupia stale

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Nuncjusz apostolski w Polsce Francesco Marmaggi, biskup sufragan warszawski Stanisław Gall podczas pogrzebu matki ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego 27 stycznia 1932 r. w Warszawie.



Nabożeństwo w parku Sobieskiego (Agrykola) w Warszawie celebrowane przez biskupa polowego Stanisława Galla, 19 lub 20 września 1925 r.

bojkotuje wszystkie uroczystości wojskowe, lub imprezy przez osoby wojskowe urządzone pomimo, iż stale jest zapraszana. Ten stały bojkot, niczem nieusprawiedliwiony, gdyż stosunki między wojskiem, a klerem są zupełnie poprawne, narzuca konieczność zajęcia jakiegoś stanowiska, jeżeli nie urzędowego, to przynajmniej konwencjonalnego”⁵.

Sytuację kryzysową w stosunkach pomiędzy biskupem polowym Gallem a władzami wojskowymi spowodował list Episkopatu Polski dotyczący sakramentu małżeństwa napisany w 1931 r. W wyższych sferach wojskowych od dawna nie podobała się krytyka biskupów skierowana pod adresem oficerów, którzy pragnąc zawrzeć ponownie związek małżeński przechodzili do Kościoła ewangelicko-augsburskiego i innych Kościołów protestanckich. Doszło to tego, że dowódca Garnizonu Łódź zakazał w grudniu 1931 r. czytać księdzu kapelanowi list Episkopatu Polski o sakramencie małżeństwa.

Natomiast 19 grudnia 1931 r. bp Gall pisał do Józefa Piłsudskiego: „Mając na względzie wyżej wyluszczone okoliczności mam zaszczyt prosić Pana Ministra, by raczył wydać zarządzenie, które uzna za stosowne celem cofnięcia powyższego zakazu głoszenia listu pasterskiego ww. sprawie Sakramentu małżeństwa oraz ogłoszenia instrukcji, aby podobne fakty, na które z prawdziwą przykrością i bólem zmuszony jestem zwrócić uwagę Pana Marszałka, nie miały miejsca w przyszłości”⁶.

W opinii wielu historyków kruchą równowagę w relacjach: Piłsudski – Gall przeważało zachowanie się pierwszego biskupa polowego na uroczystościach pogrzebowych ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Sławomira Czerwińskiego, który za życia deklarował się jako kalwin i mason. Minister ten, jak twierdziły siostry zakonne, które opiekowały się nim w ostatnim stadium choroby, przed śmiercią przeszedł

na katolicyzm. Biskup Gall wraz z innymi biskupami sprawował Mszę św. żałobną, jednakże odmówił pójścia za konduktem żałobnym. To doprowadziło do ostrego zatargu marsz. Piłsudskiego z bp. Gallem. Po interwencji Marszałka u nuncjusza apostolskiego Francesco Marmaggi, Stolica Apostolska odwołała biskupa z urzędu w wojsku. Odchodząc, zachował on wielką klasę. W *Odezwie pasterskiej* do księży kapelanów 29 marca 1933 r., napisał: „Minęło lat z górą 14, gdy z woli Ojca Świętego objąłem urząd Biskupa Polowego odradzającej się wówczas Ojczyzny. Dziś, kiedy za zgodą Najwyższego Pasterza mam przekazać piastowany urząd w ręce swego Dostojnego Następcy, pragnę skierować do Was, Drodzy moi w Chrystusie Bracia, słowa serdecznego pożegnania”⁷.

Owoyony konflikt?

Wydaje się, że konflikt na linii: Piłsudski – Gall był nieunikniony. Każdy z nich, mając na uwadze sprawy najważniejsze dotyczące niepodległości ojczyzny i jej pomyślności, w szczegółach inaczej widział funkcjonowanie duszpasterstwa wojskowego, nie mówiąc o regułach życia społecznego i politycznego. Były to mocne i nieprzeciętne osobowości. W aurze kontrowersji i sporów udało się jednak osiągnąć konsensus w wielu sprawach.

Biskup Stanisław Gall mógł prowadzić w miarę niezależną politykę kadrową, tworząc korpus księży kapelanów według przyjętych przez siebie kryteriów. Doprowadził do powstania – był autorem projektu – i wprowadzenia *Statutu dla duszpasterstwa wojskowego w Polsce* w 1925 r. W diecezji wojskowej *Statut* zaczął funkcjonować od 1 maja 1926 r. Rozwinął sieć kościołów garnizonych. Biskup Gall nadał duszpasterstwu wojskowemu styl, który w pewnym zakresie kontynuowany jest przez obecny Ordynariat Polowy. Został odwołany z urzędu



Ksiądz biskup polowy Stanisław Gall, prezydent miasta Warszawy Władysław Jabłoński (przecinający wstęgę) w czasie uroczystości otwarcia mostu ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie w 1925 r.



Abp Stanisław Gall podczas sprawowania Mszy św. Żona marsz. Józefa Piłsudskiego Aleksandra (siedzi z lewej).

biskupa polowego Wojsk Polskich, ale przecież za zasługi dla Kościoła otrzymał tytuł arcybiskupa. Z dokumentów historycznych wiemy, że na taki gest Stolicy Apostolskiej zgodził się Marszałek Polski.

Józef Piłsudski w świadomości Ordynariatu Polowego jest postrzegany jako jeden z najważniejszych architektów naszej odzyskanej niepodległości. Następca abp. Stanisława Galla – bp Józef Gawlina – na pogrzebie Marszałka podkreślił, że był on narzędziem sprawiedliwości dziejowej w rękach Boga: „I stała się nad Nim ręka Pańska, i upodobał Go sobie Bóg, i nazaczył czoło Jego stygmatem wielkości i kazał Mu spełnić posłannictwo w narodzie naszym. I wierzył Józef Piłsudski w powołanie swoje wierzył w sprawiedliwość Bożą.

Wiedział, że narody nie mają duszy indywidualnej która by na wzór indywidualnej duszy ludzkiej mogła być wynagrodzona lub ukarana przez Boga Sędziego w wieczności. Wiedział, że sprawiedliwość Boża nagrody lub kary za cnoty i grzechy każdego narodu dokonać musi już tu w doczesności. To też [tak w oryginale] przekonał o wskrzeszeniu Polski było postulatem Jego wobec sprawiedliwości Bożej”⁸.

Setna rocznica odzyskania niepodległości przez Polskę oraz zbliżająca się setna rocznica powołania do istnienia Biskupstwa Polowego Wojsk Polskich są doskonałą okazją, aby przypomnieć zarówno osobę i dokonania marsz. Józefa Piłsudskiego, jak też

abp. Stanisława Galla. Trzeba będzie także przesunąć pewne akcenty we wzajemnych relacjach: Piłsudski – Gall po opublikowaniu dokumentów niezauważonych lub do tej pory nieznanych szerszemu kręgowi miłośników historii, które dotyczą duszpasterstwa wojskowego. A takie prace, jak mi wiadomo, już podjęto. ■

ZBIGNIEW KEPA ksiądz pułkownik doktor, notariusz Kurii Ordynariatu Polowego, dziekan Straży Granicznej.

¹ Referat Biskupa Polowego na zjazd biskupów w Gnieźnie w sierpniu 1919, Warszawa, 25 sierpnia 1919 (maszynopis), Archiwum Kurii Ordynariatu Polowego.

² Tamże. ³ CAW, syg. 300.1.400, Warszawa, 2 grudnia 1919, Pismo Kurii Biskupiej Wojsk Polskich do Departamentu I Mobilizacyjno-Organizacyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych o zatwierdzenie etatu kapelan przy dowództwie Wojsk Polskich we Francji.

⁴ CAW, syg. 300.1.400 (Gabinet Ministra), Warszawa, 21 stycznia 1920, Pismo Szefa Departamentu I Mobilizacyjno-Organizacyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych do Kurii Biskupiej Wojsk Polskich w sprawie utworzenia etatu kapelan przy dowództwie Wojsk Polskich we Francji. ⁵ CAW, syg. 300.1.400 (Gabinet Ministra), Przemyski, 29 grudnia 1926, Pismo dowódcy Okręgu Korpusu Nr X gen. bryg. A. Galicy do Gabinetu M.S.Wojsk. w sprawie stosunek Kurii Biskupiej w Kielcach do władz wojskowych. Załącznik 1. Meldunek Dowódcy 2. Dywizji Piechoty Legionów z 19/XI. 1926. ⁶ CAW, syg. 300.1.405, Warszawa, 19 grudnia 1931, Pismo Biskupa Polowego do Ministra Spraw Wojskowych w sprawie orędzia pasterskiego o sakramencie małżeństwa. ⁷ S. Gall, Odezwa Pasterska do X.X. Kapelanów W.P., [w:] *Słowo Boże ostrzejsze niż miecz obosieczny. Wybór nauczania pasterskiego biskupów polowych Wojska Polskiego: abp S. Gall, abp J. Gawlina, abp. S.L. Głódź, bp T. Płoski. W 90. rocznicę utworzenia biskupstwa polowego w Polsce, wybór i oprac. Z. Kepa*, Warszawa 2008, s. 69–70.

⁸ J. Gawlina, Mowa żałobna wygłoszona nad trumną Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Katedrze Metropolitalnej św. Jana w Warszawie dn. 17 maja 1935 r., Rozkaz wewnętrzny Biskupa Wojsk Polskich, 4/1937, dział nieurzędowy, s. 142–146.

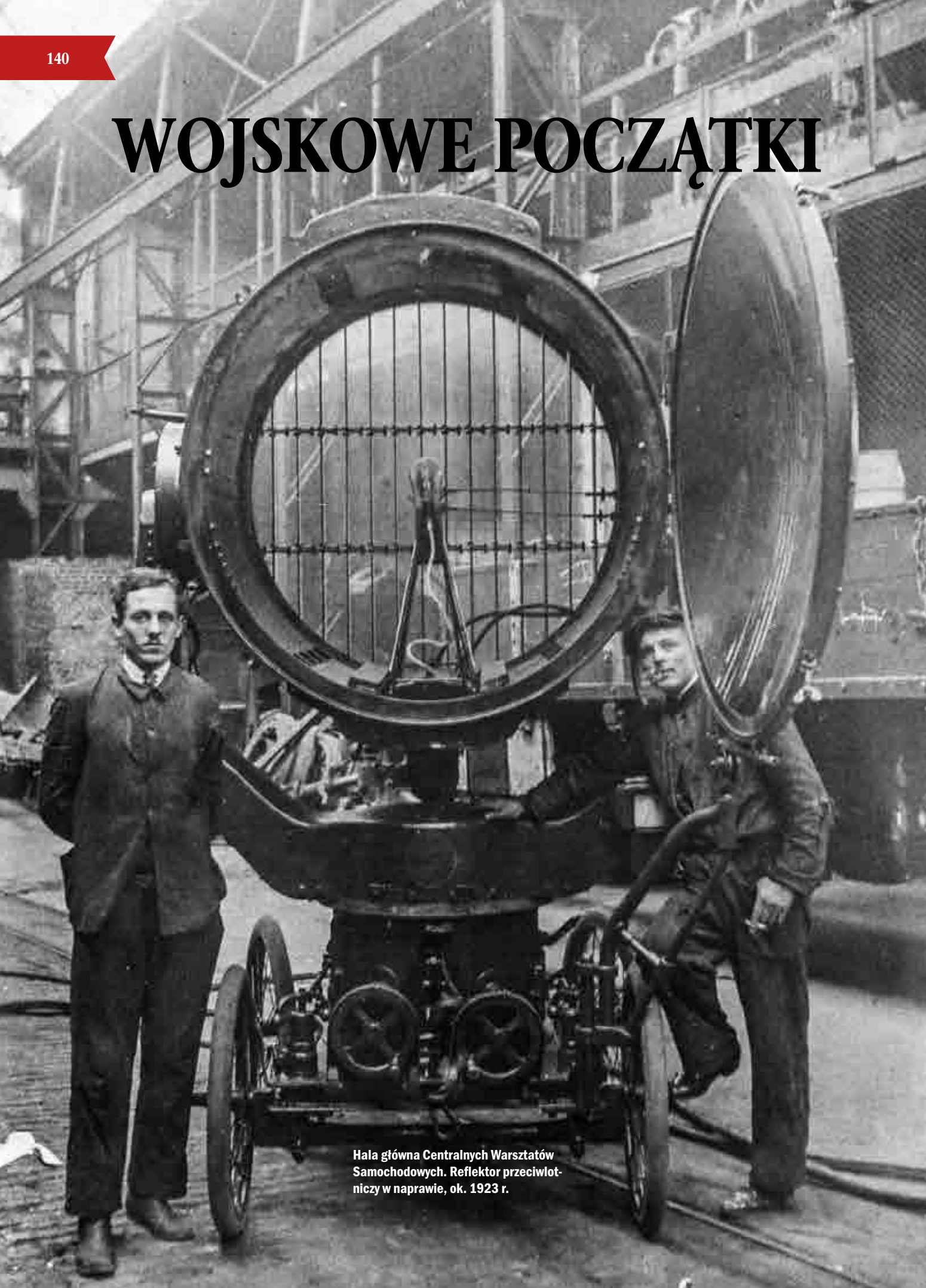


**Ponowny pochówek
abp. Stanisława Galla
14 marca 2018 r.**

Bibliografia:

Acta Nuntiaturae Poloniae za lata 1918–1919, <http://pau.krakow.pl/index.php/en/wydawnictwo/publikacje-on-line/acta-nuntiaturae-poloniae> [dostęp: 19 marca 2018 r.].

WOJSKOWE POCZĄTKI



Hala główna Centralnych Warsztatów Samochodowych. Reflektor przeciwlotniczy w naprawie, ok. 1923 r.

POLSKIEJ MOTORYZACJI

Rok stulecia odzyskania polskiej państwowości i sto pięćdziesiąta rocznica urodzin twórcy Polski niepodległej Józefa Piłsudskiego to okazja do przedstawienia początków motoryzacji naszego kraju, tworzonej od podstaw przez Ministerstwo Spraw Wojskowych.

JAN TARCZYŃSKI

Warunki gospodarcze i polityczne rozdartej zaborami Polski początków XX w. wybitnie nie sprzyjały podjęciu inicjatywy w zakresie produkcji motoryzacyjnej. W pierwszej dekadzie ubiegłego stulecia, gdy w krajach zachodniej Europy rozwijał się potężniejący przemysł motoryzacyjny, na ziemiach polskich czynione były tylko skromne próby tego rodzaju. Wybuch I wojny światowej odsunął na dalszy plan wszelkie polskie projekty wytwórcze.

Gdy w końcu 1918 r. odrodziła się Rzeczpospolita Polska, rząd niepodległego państwa stanął przed niebagatelnymi problemami. Ziemie polskie w okresie 123 lat niewoli stanowiły peryferyjne regiony państw zaborczych. Prawie pozbawione przemysłu przetwórczego były traktowane jako zaplecze surowcowe. Kolonialna polityka zaborców i ogromne zniszczenia wojenne spowodowały, że wielkie obszary kraju były dosłownie pustynią gospodarczą. Smutnym dziedzictwem rozbiorów było też olbrzymie zróżnicowanie regionalne. Polska składała się wówczas z trzech dzielnic, różniących się stopniem zagospodarowania. W każdej z nich istniały odmienne systemy prawne, walutowe, szkolne, podatkowe, normy techniczne, zasady administracji i zarządzania, a także nawyki i mentalność mieszkańców. Z ogromu zniszczeń i chaosu, podsycanego jeszcze wrogimi działaniami sąsiadów – już w początku 1919 r. walki o Lwów z nacjonalistami ukraińskimi, zamieszki i dywersja komunistyczna inspirowana przez bolszewicką Rosję, m.in. w Lubelskiem, zabór Śląska Cieszyńskiego tzw. Zaolzia przez Czechosłowację – trzeba było stworzyć jednolite państwo, w którym rytym życia wyznaczałyby powszechnie obowiązujące zasady. Jego budowę rozpoczęto w trudnych warunkach zewnętrznego zagrożenia niemal od podstaw. To czas wojny bolszewickiej Rosji z Polską oraz Powstania Wielkopolskiego i Powstań Śląskich przeciwko siłom niemieckim, to także niepokoje na Warmii i Mazurach. Oprócz stanowczej woli odbudowy kraju i stworzenia silnego organizmu państwowego, brakowało prawie wszystkiego: pieniędzy, materiałów, ma-

szyn i urządzeń przemysłowych, środków transportu, sprzętu wojennego, zakładów produkcyjnych, wykwalifikowanych pracowników.

Centralne Warsztaty Samochodowe Ministerstwa Spraw Wojskowych

W pierwszych latach po I wojnie światowej głównym użytkownikiem pojazdów mechanicznych było wojsko. Już od zarania niepodległości przystąpiono tam do stopniowego ujednolicenia taboru i tworzenia zaplecza technicznego, m.in. w formie warsztatów naprawczych, wówczas po jednym w każdym Okręgu Generalnym, później Okręgu Korpusu, w tym placówki stołecznej, o nazwie Autowarsztaty Okręgowe „Praga”, założonej już w pierwszej dekadzie listopada 1918 r. Ich kierownikiem został znany automobilista Paweł Bitschan, zastąpiony w połowie 1919 r. przez urzędnika wojskowego VI rangi inż. Czesława Zakrzewskiego, przedwojennego fachowca motoryzacyjnego. Autowarsztaty przekształcono na przełomie 1919 i 1920 r. w ogólnopolskie Centralne Warsztaty Samochodowe.

Centralne Warsztaty Samochodowe Departamentu Samochodowego Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie przy ul. Terespolskiej pod nr. 34, później 34/36, obejmowały teren zamknięty ulicami: Mińską, Terespolską (dzisiaj Chodakowska), Podskarbińską i torami kolei obwodowej. Historia przedsiębiorstwa zaczyna się jednak dużo wcześniej, jeszcze w okresie niemieckiej okupacji, kiedy to zaborcze władze wojskowe zorganizowały w tym miejscu – w dawnej fabryce armatury gazowej, pras i pomp „Schäffer & Budenberg” – samochodowe warsztaty remontowe o nazwie Zentrale Automobilwerkstätte der Heeresverwaltung Oberost. Warsztaty składały się wówczas z hali fabrycznej o powierzchni użytkowej 4758 m², domu administracyjno-mieszkalnego i drewnianej szopy (ściany z desek o grubości 3/4 cala) o powierzchni 305 m², a ich wyposażeniem było 12 obrabiarek uniwersalnych, zarekwirowanych w innych stołecznych zakładach produkcyjnych. ►



1



2

1. Hala główna Centralnych Warsztatów Samochodowych, dalej brama wjazdowa i budynek biurowy, pierwsza połowa lat dwudziestych XX w.

2. Podwórze Centralnych Warsztatów Samochodowych w latach 1920–1923, po lewej samochód osobowy Ford T.

Tak skąpe wyposażenie maszynowe wynikało ze sposobu pracy stosowanego przez Niemców do naprawy w dużej mierze zunifikowanego taboru własnej produkcji, polegającego na wymianie zużytych lub uszkodzonych elementów pojazdu na nowe, pochodzenia fabrycznego. Pełny zapas części znajdował się zawsze w magazynach, a ewentualne uzupełnienie o podzespoły nietypowe wymagało tylko kilku dni oczekiwania.

Naczelnikiem Centralnych Warsztatów Samochodowych został na początku 1920 r. urzędnik wojskowy IX rangi, a wkrótce ppor. inż. Kazimierz Meyer, później pułkownik i pierwszy dyrektor Państwowych Zakładów

Inżynierii, rozwiniętych w 1928 r. z Centralnych Warsztatów, a jego zastępcą i kierownikiem technicznym inż. Adam Samborski. Drugim zastępcą i kierownikiem laboratorium był inż. Tadeusz Paszewski. W początkowym okresie w Autowarsztatach „Praga”/Centralnych Warsztatach Samochodowych pracowało tylko 120 osób, lecz już w 1920 r. liczba zatrudnionych wzrosła do 450. Warsztaty znacznie rozbudowano, przeprowadzono też podział na wyspecjalizowane oddziały, m.in. samochodów osobowych, ciężarowych, motocykli, obróbki skrawaniem i Fordów. Oprócz napraw pojazdów wymienionych już grup, a także czołgów, przyczep samochodowych, reflektorów przeciwlolniczych i rowerów otrzymanych z jednostek wojskowych, dokonywano tam adaptacji zakupionych za granicą pojazdów ciężarowych i specjalnych oraz prowadzono prace mające charakter doświadczalno-produkcyjny.

Początkowo do naprawy pojazdów – w czasie użytkowania jedynie samochodów niemieckich przejętych po okupantach – wykorzystywano bogate zasoby części zamiennych. W miarę wyczerpywania się zapasów, których nie można było uzupełnić niemieckim importem, oraz wobec napływu wozów z demobilu amerykańskiego i francuskiego, wymagających remontów lub w najlepszym razie przeglądów i uzupełnień, koniecznością stało się – na skutek izolacji Rzeczypospolitej w czasie najazdu bolszewickiej Rosji – stworzenie odpowiednich oddziałów mechanicznych, obróbki termicznej i jednostek pomocniczych zezwalających na produkcję części zamiennych we własnym zakresie. Pracy było bardzo dużo, zwłaszcza w 1920 r., gdy niejednokrotnie na naprawę oczekiwało jednocześnie ponad 500 samochodów, stojąc wskutek braku pomieszczeń na fabrycznym placu, często w wodzie i błocie. Dużym wysiłkiem, rozwijając poszczególne działy, Centralne Warsztaty Samochodowe zwiększyły

FOT. ZBIORY CENTRALNEJ BIBLIOTEKI WOJSKOWEJ (4)

Na błoniach przy Centralnych Warsztatach Samochodowych czołgi Renault FT-17 z 1 Pułku Czołgów po naprawie, ok. 1920 r.





Ciężarówki Packard 3 t w naprawie w Centralnych Warsztatach Samochodowych, ok. 1920 r.

w niedługim czasie wydajność. Stało się tak m.in. dzięki powiększeniu parku obrabiarkowego z 16 maszyn w końcu 1918 r. do 83 dwa lata później, wprowadzeniu specjalnego systemu wynagradzania, m.in. premie godzinne po raz pierwszy w Polsce, oraz powiększeniu powierzchni użytkowej pod dachem. Zwrócono też uwagę na racjonalną organizację pracy.

Rozwój Centralnych Warsztatów Samochodowych

Efekty były wyraźne: w 1919 r. w Warsztatach wykonywano średnio 24 remonty samochodów miesięcznie, rok później już 99 remontów, a w sierpniu 1920 r. osiągnięto rekordową liczbę 174 wyremontowanych pojazdów. Zmniejszyła się też liczba średnia pracowników zaangażowanych w naprawę jednego pojazdu z 15,5 w 1919 r. do 4,6 pracownika rok później.

Dodatkowe pomieszczenia fabryczne uzyskiwano, remontując zdewastowane okoliczne zakłady przemysłowe. W grudniu 1919 r. zajęto nieczynną wytwórnę wyrobów lnianych i jutowych „Juta” przy ul. Mińskiej 25/45, gdzie w styczniu następnego roku rozpoczęto masowy remont sanitarek i samochodów Ford.

Jednakże już w kwietniu dawną „Jutę” przejął inny zmilitaryzowany użytkownik – Zakłady Amunicyjne „Po-

cisk” S.A., a Centralne Warsztaty były zmuszone przenieść ten oddział do nieodległej – narożnik ulic Mińskiej i Terespolskiej – przedwojennej fabryki wyrobów z ołowiu Kemnitz S.A. i częściowo do zakładów Drzewiecki i Jeziorański przy ul. Terespolskiej. Zakłady te jednak z rozkazu Ministerstwa Spraw Wojskowych oddano następnie Amerykańskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Jednocześnie przystąpiono do organizacji oddziału Fordów, remontując do tego celu, sposobem gospodarczym, zupełnie zdewastowane magazyny położone na terenie Fortu Kamionkowskiego. Własnym wysiłkiem załogi Centralnych Warsztatów stworzono budynki fabryczne o powierzchni użytkowej 2600 m², szopy pomocnicze o powierzchni 750 m² oraz dom administracyjny, a w dawnej fabryce Kemnitz zlokalizowano oddziały motocyklowy i rowerowy, których kierownikiem był por. Antoni Dawidowicz, naprawiające sprzęt napływający z frontu.

W listopadzie 1921 r. Warsztaty musiały przejąć także remonty francuskich czołgów Renault FT-17 z 1 Pułku Czołgów. Z braku innych pomieszczeń zagospodarowano opuszczoną i zrujnowaną fabrykę wyrobów prasowanych J. Szmidt przy ul. Terespolskiej 40, gdzie po gruntownym remoncie zorganizowano także tapicernię i lakiernię samochodów. ►





Półgąsienicowy samochód pancerny Austin-Putilow „Lis”, zdobyty w czasie wojny bolszewickiej Rosji z Polską, w naprawie w Centralnych Warsztatach Samochodowych, ok. 1921 r.

Do remontu czołgów Warsztaty przystąpiły bez dokumentacji techniczno-technologicznej, modeli i sprawdzianów. Jednakże po sześciu miesiącach pokonano trudności i – oprócz generalnych napraw samochodów osobowych i ciężarowych, specjalnych, pancernych, przyczep samochodowych oraz reflektorów przeciwbliźniaczych wykonywanych w innych oddziałach – dział remontu czołgów mogło opuszczać miesięcznie od 15 do 20 całkowicie sprawnych gąsienicowych wozów bojowych. Nieco później wyprodukowano w nim nawet 25 krajowych czołgów typu Renault FT-17 z blach niepancernych, przeznaczonych do celów szkoleniowych.

Początki własnej wytwórczości

Równolegle z naprawami pojazdów wymienionych już grup i wytwórczości karoseryjnej według własnych projektów wykonywano też – już w pierwszej połowie lat dwudziestych – poważne adaptacje zakupionych za granicą samochodów ciężarowych i specjalnych oraz prace o charakterze doświadczalno-produkcyjnym. Pierwszym etapem tych działań był montaż kilkuset – przypuszczalnie 240 – sa-

mochodów Ford T. Zniszczone i zdekompletowane pojazdy remontowano i uzupełniano w oddziale Fordów, kierowanym przez inż. Romana Masztakowskiego, częściami pochodzącymi z wraków i zagranicznych zakupów oraz wyprodukowanymi w kraju przez Centralne Warsztaty i kooperantów. Z importu uzyskiwano przeważnie silniki, polskiego pochodzenia były natomiast inne elementy, m.in. osprzęt jak chłodnice, także do wozów pozostałych typów, ze stołecznej firmy blacharskiej „Tank” Antoniego Więckowskiego. Na osobowych podwoziach samochodów Ford T, a później także na półciężarowych typu TT, zamontowano kilkadziesiąt nadwozi sanitarnych, wykonanych według własnych projektów.

Dużym osiągnięciem Centralnych Warsztatów było wyprodukowanie w 1920 r. serii 16 1,2-tonowych samochodów pancernych FT-B model 1920, konstrukcji późniejszego twórcy samochodów CWS, inż. Tadeusza Tańskiego. Opancerzenia o grubości do 7 mm wykonano pośpiesznie z ochronnych tarcz okopowych piechoty pozostawionych przez Niemców w Modlinie i umieszczono na przekonstruowanych podwoziach samochodów Ford T. Załogę



1



2

**1. Dział napraw silników Centralnych Warsztatów Samochodowych.
2. Pancerny Ford FT-B model 1920, obok konstruktor inż. Tadeusz Tański.**



Wystawa dokonń Centralnych Warsztatów Samochodowych w 1925 r. Po lewej i prawej stronie – zbudowane w Centralnych Warsztatach Samochodowych ćwiczebne czołgi Renault FT-17 z blach niepancernych.

pojazdu stanowiło dwóch żołnierzy. Ze względu na dużą ruchliwość (prędkość maksymalna – 50 km/h, doskonała zwrotność – promień skrętu 4,1 m, spory zasięg – do 250 km), niewielkie wymiary i siłę ognia (karabin maszynowy Maxim 7,92 mm w wieżyczce obrotowej o 360°) pancerny Ford T wykazywał sporą przydatność w specyficznych warunkach wojny manewrowej na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Był też bardzo trwały – walki polsko-bolszewickie przetrwało 12 wozów, a 3 ostatnie były w służbie jeszcze w 1930 r. Drugiej serii pojazdów, zaplanowanej do produkcji na początku 1923 r., jednak nie wykonano, ponieważ Ministerstwo Spraw Wojskowych rozpoczęło pertraktacje w sprawie zakupu półgąsienicowych samochodów Citroën-Kégresse. Pojazdy te sprowadzono do Polski w 1924 r. i kilkadziesiąt opancerzono w Centralnych Warsztatach według projektu inż. Józefa Chacińskiego i inż. Roberta Gabeau, późniejszego współpracownika głównego konstruktora samochodów CWS.

W latach 1922–1925, w okresie wykonywania prototypów i przygotowań do produkcji samochodów własnej konstrukcji, Warsztaty dysponowały wzbogacanym stopniowo parkiem maszynowym i powiększającą się załogą – od 500 do 700 osób w 1925 r. – o coraz wyższych

kwalifikacjach. Struktura wytwórczo-naprawcza zakładu była dostosowana do ówczesnych potrzeb.

Przyjmowaniem sprzętu do naprawy oraz jego wydawaniem po remoncie zajmowało się biuro zwane popularnie „Depot”, które prowadziło też kontrolę ruchu samochodów obsługujących Warsztaty i wydawało karty wstępu dla osób postronnych. Tam też ustalano zakres i sposób prac naprawczych. W miarę powstawania i rozbudowy warsztatów remontowych przy jednostkach wojskowych, liczba napraw sprzętu typowego zmniejszała się znacznie, powiększyła się za to grupa pojazdów specjalnych, wymagających bardziej indywidualnych metod remontowych i nietypowych podzespołów wymiennych, wzrosły także wspomniane już zadania wytwórcze. Ukształtowały się też poszczególne działy Warsztatów, nabierając bardziej produkcyjnego charakteru.

JAN TARCZYŃSKI doktor nauk humanistycznych, historyk kultury materialnej, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej, członek Zarządu Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego oraz Rady Programowej Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. W latach 1996–2010 dyrektor Biura b. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie. Autor 30 książek i kilkuset artykułów z dziedziny historii polskiej techniki motoryzacyjnej i techniki wojskowej.

Półsłońca kadetów II Rzeczypospolitej



FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO

Błyszczące, metalowe półsłońce z naprzemiennie ułożonych wklęsłych i wypukłych promieni zbiegających się wokół półokrągłego pola z wizerunkiem państwowego orła – tak wyglądała oznaka, którą nosili na czapkach uczniowie korpusów kadetów.

*Półsłońce w ok. 1919
kadeta Zbigniewa
Ziemskiego
z 3 Korpusu
Kadetów
w Chełmnie.*

TOMASZ ZAWISTOWSKI

Forma wojskowej oznaki czapkowej o kształcie kanelowanego półsłońca narodziła się w epoce empire. Wykorzystana w kilku przypadkach przez projektantów francuskich ubiorów wojskowych, upowszechniła się również w postaci elementu ozdabiającego czapki niektórych oddziałów polskich, walczących pod sztanda-

rami cesarza Napoleona I. Początkowo w polu centralnym półsłońca umieszczany był orzeł francuski (w Legii Północnej) bądź monogram cesarski „N” (w pułkach szwoleżerów gwardii oraz w Legii Polsko-Włoskiej). Polski orzeł pojawił się w polu półsłońca dopiero w armii Księstwa Warszawskiego. W zbiorach paryskiego Muzeum Armii (Musée de l'Armée)



FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO (2)

Przykład noszenia półsłońca bez orła, obowiązującego w latach 1919–1922.

zachował się egzemplarz takiej oznaki z cyfrą pułkową „9” poniżej orła, a w warszawskim Muzeum Wojska Polskiego – z napisem: PUŁK NADWIŚLAŃSKI w tymże miejscu. Pułki ułanów, formowane na Litwie w 1812 r., otrzymały półsłońca z litewską Pogonią. Półsłońcami dekorowano również czapki innych pułków tworzonych w ostatnich latach I Cesarstwa Francuskiego i to zarówno polskich, jak i sojuszniczych – niemieckich bądź holenderskich.

Zanim jeszcze cesarz Napoleon podjął brzemienną w skutkach decyzję o wyprawie na Moskwę, car Aleksander I, władca postępowy i otwarty na wpływy zachodnie, czerpał wzorce z francuskich osiągnięć w licznych dziedzinach, co – pośród innych reform – miało też wpływ na wygląd wojskowych mundurów. Dwa lata przed wybuchem wojny, w 1810 r., półsłońca z francuskim rodowodem pojawiły się na rosyjskich czapkach wojskowych. W odróżnieniu jednak od armii Napoleona, w której używane były w jednostkach liniowych, w wojsku Aleksandra przyznano prawo noszenia ich wychowankom 1 i 2 Korpusu Kadetów oraz Pułku Szlacheckiego, pełniącego zbliżoną do korpusów rolę szkoły wojskowej dla młodocianych. Rzecz jasna w polu centralnym umieszczony został orzeł dwugłowy, a trzymana przezeń w szponach wiązka piorunów była kolejnym ukłonem w stronę estetyki Cesarstwa Francuskiego. Wybiegając nieco w przyszłość, można odnotować

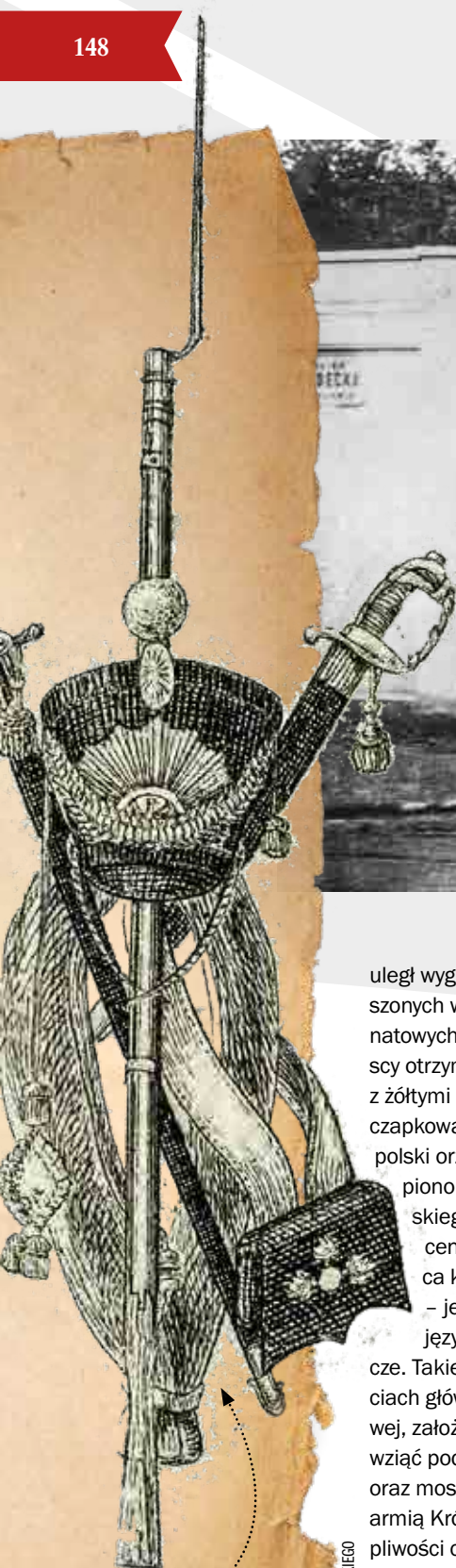


Kadet Kazimierz Fortunat Nałęcz-Nieniewski z KK-2 w Modlinie; zdjęcie datowane na rok 1924. Był jednym z kadetów, którzy w 1921 r. zbiegli ze swoich szkół do III Powstania Śląskiego. Władze wojskowe nie wyciągnęły konsekwencji z tej samowoli. Na mundurze widać przypiętą Śląską Wstęgę Waleczności i Zasługi, odznaczenie ustanowione 6 czerwca 1921 r. i nadawane zasłużonym uczestnikom wszystkich trzech Powstań Śląskich. Kadet Nieniewski zdał maturę w 1926 r. i poświęcił się zawodowej służbie wojskowej w kawalerii. We wrześniu 1939 r. w stopniu rotmistrza pełnił funkcję I adiutanta 4 Pułku Strzelców Konnych. Ranny 2 września podczas nieudanego natarcia na wieś Narzym, pozostał w szeregach i walczył na całym szlaku bojowym 4 psk. Po kapitulacji nie dał rady wyostać się z Polski i służył w szeregach Armii Krajowej. Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari.

jeszcze, że w 1819 r. półsłońca wprowadzono na czapki w Głównej Szkole Inżynierskiej, a w 1820 r. – w Szkole Artyleryjskiej, przez co w armii carskiej stały się one tradycyjnym elementem munduru szkół wojskowych. Orły na półsłońcach z lat 1819–1820 miały już na piersi wizerunek św. Jerzego, tradycyjne godło Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, w szponach zaś trzymały symbole broni – odpowiednio: skrzyżowane topory i skrzyżowane lufy armatnie.

Symbolika znaku

Kaliski Korpus Kadetów, kształcący polską młodzież wojskową za czasów Księstwa Warszawskiego, wznowił działalność w okresie Królestwa Polskiego. Zmianie



*Fragment grafiki
z 1820 r.*

*W centrum widoczny
kiwer ucznia kaliskiego
Korpusu Kadetów
ozdobiony półśłońcem
z orłem*

FOT. ZBIORY TOMASZA ZAWISTOWSKIEGO

uległ wygląd mundurów, gdyż – w miejsce noszonych w czasach napoleońskich kurtek granatowych z wyłogami pasowymi – kadeci kaliscy otrzymali innego kroju kurtki granatowe z żółtymi wyłogami i naramiennikami. Oznaką czapkową kadetów doby napoleońskiej był polski orzeł, który pod carskim berłem zastąpił półśłońcem. W odróżnieniu od rosyjskiego pierwowzoru, ozdobionego w polu centralnym orłem dwugłowym, półśłońca kaliskich kadetów miały orły polskie – jednogłowe; jak to nazywała rosyjskojęzyczna prasa tamtej epoki – pojedynce. Takie półśłońca znalazły się na nakryciach głów elewów Szkoły Aplikacyjnej Wojskowej, założonej w Warszawie w 1820 r. Jeśli wziąć pod uwagę polską historię półśłońca oraz moskiewskie zwierzchnictwo nad całą armią Królestwa Polskiego, trudno mieć wątpliwości co do tego, że kaliski Korpus Kadetów oraz Szkoła Aplikacyjna oznakę otrzymały z nadania moskiewskiego jako typową oznakę czapkową uczniów szkół wojskowych. Mimo to nie sposób nie rozumieć tych, którzy w kadecim półśłońcu widzieć pragnęli odwołanie do chwalebnej tradycji polskiego oręża doby napoleońskiej. Do grona tego zaliczają się nie

tylko autorzy późniejszych prac historycznych, ale też i byli kadeci.

Kadeckie mundury w Niepodległej

„Magazyn był na strychu, pachniał skórą i naftaliną, na półkach leżały stopy tzw. sortów mundurowych. Od petentów oddzielała go drewniana balustrada. – Skąd ja na takiego mizeraka bluzę znajdę – zmartwił się szef wysłuchawszy mojego meldunku. – Chyba mu na plecach fałdę zszyjemy. Kazano mi na podłodze położyć dwa koce. Przygotowałem się na przymiarke. Ale tu się zawiodłem. Sierż. Maćkowiak, szef kompanii, miał wprawę nie lada. Na moją głowę zaczęły spadać wielkim łukiem części munduru i wyposażenia. Szef głośno wylizwał siedzącemu z boku pisarzowi: »Jedne spodnie stalowe krótkie, spodnie drelichowe, jedna bluza sukienna, bluza drelichowa, dwie pary owijaczy, dwie pary gaci, dwie koszule«, itd., aż na kocach urósł ogromny stos. Niestety, munduru granatowego i czapki z półśłońcem między tymi rzeczami nie było. »Bazantem« tego nie dawano. Na to musiałem jeszcze poczekać. [...] »Bazantem« nazywał się nowy¹. Tak wspomi-

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Półśłońce zdobiące bramę wjazdową Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie. Zdjęcie wykonane w latach 1928–1935.

nał swoje pierwsze chwile w rawickim Korpusie Kadetów nr 2 ówczesny trzynastolatek, Sławomir Lindner, późniejszy oficer piechoty, a po wojnie aktor, reżyser i wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej.

Półsłońce, przedmiot zachwyty i pożądania kandydatów na kadetów, weszło do użycia wraz z pierwszym kadeckim mundurem, wprowadzonym rozkazem z 10 listopada 1919 r. Nakryciem głowy kadetów, przewidzianym w tym rozkazie, była „czapka z granatowego sukna, zesztyta z czterech brytów ostro wciętych, stykających się pośrodku dna. [...] Wzdłuż górnej krawędzi otoku czapki żółta wypustka”². Opisana w ten sposób czapka to rogatywka, uznawana od XVIII w. za polską czapkę narodową, którą cytowany rozkaz wprowadził w użycie najpierw w korpusach kadetów, a dopiero półtora miesiąca później w całym Wojsku Polskim. Na rogatywce miała być „przymocowana zamiast orzełka blacha biała-metalowa w kształcie półsłońca z promieniami”³.

Rzeczywiście, zgodnie z rozkazem, w pierwszych latach istnienia korpusów kadetów II RP nie noszono na czapkach godła państwowego. Brak ten naprawiono dopiero we wrześniu 1922 r., kiedy pośród licznych modyfikacji kadeckiego munduru nakazano: „W §4 (czapka) zmienić: a) z przodu na czapce półsłońce z białej nieoksydowanej blachy (błyszczącej) otoczone promieniami; na półsłońcu wypukły orzeł państwowy bez tarczy u dołu”⁴. Załączony do rozkazu rysunek przedstawiał, rzecz jasna, obowiązujące wówczas godło państwowe wz. 1919. Gdy w grudniu 1927 r. wprowadzono nowe godło państwowe, rozkazodawcy nie odnieśli się do wyglądu czapkowej oznaki kadeckiej. Kolejny dokument, już z orłem wz. 1927, wydano dopiero w 1933 r., gdy Departament Intendentury opracował *Warunki techniczne materiałów wojskowych*, stanowiące podstawę odbioru technicznego wielu elementów umundurowania, a wśród nich również kadeckiego półsłońca. W opisanej tam postaci oznaka do trwała aż do 1939 r.

Młodzi eleganci

Na co dzień kadeci nosili umundurowanie ćwiczebne, drelichowe bluzy i spodnie, przy których regulaminowym nakryciem głowy była furażerka. Granatowy mundur sukienki wraz z rogatywką był ubiorem wyjściowym, przedmiotem kadeckiej dumy, nie dziwi więc, że znakomita większość zachowanych zdjęć portretowych przedstawia kadetów w tych właśnie strojach. Granatowe rogatywki z żółtymi wypustkami – ten układ barw to kolejny ukłon w stronę tradycji kaliskiego Korpusu Kadetów z czasów Królestwa Kongresowego – były do połowy lat trzydziestych nieusztynnione tak samo jak w wojsku. Gdy w 1935 r. wprowadzono w Wojsku Polskim czapki garnizonowe nowego kształtu, z denkiem usztynnionym kwadratową stalką i lekko przechylone na prawą stronę, mi-

nister spraw wojskowych rozkazał nadać taki sam kształt rogatywkom kadeckim, zachowując dotychczasowe kolory, a rozkaz ten obowiązywał od 1 listopada 1936 r. Pół roku później, od maja 1938 r., kadeci otrzymywali dodatkowo letni mundur wyjściowy, sztyty z tkaniny o barwie zielonkawopopielatej. Na usztynnionych rogatywkach tego samego koloru znajdowały się oczywiście kadeckie półsłońca.

„Kadeci nosili mundury granatowe z żółtą wypustką i srebrnym galonem na stojącym «włoskim» kołnierzu. Płaszczki mieli »stalowe«, rogatywki granatowe, z orzełkiem na tle tradycyjnego słońca [...]. Chłopcy z korpusu znali się na fasonie, wiedzieli co to fason i uważali się za wielkich »pistoletów«. Byli wysoko notowani wśród panien sklepowych, szczególnie uczulonych na wojskowe wdzięki”⁵ – wspominał Stanisław Zieliński.

A jeszcze więcej mówi na temat kadeckiej elegancji kolejny fragment autobiografii cytowanego już Sławomira Lindnera: „Ojciec uważał, że fasowany mundur i czapka nie są dostatecznie eleganckie i zaprowadził mnie do krawca, który reklamował się jako krawiec męski i wojskowy. Pan Blum, gruby, poważny Izraelita, ojciec liczego potomstwa, wywiązał się z zadania bez pudła. Mundur z gładkiego granatowego sukna leżał bez zarzutu. Już tam ojciec dopilnował, żeby jednej zbyt cienkiej fałdki nie było. Kołnierzyk nieco niższy, ale z szerszym galonem i prawie niezauważalnie szerszymi żółtymi wypustkami. Do tego, w miejsce przepisowych brązowych, kremowe rękawiczki z łosiowej skóry. Fasowany pas żołnierski też poszedł w ką, a zastąpił go pas oficerski, tyle że bez poprzeczki, czyli jak to się wtedy nazywało koalicyjki. Fasowane buciorzy z gwoździami też ustąpiły miejsca chromowym sztybletom. Były to wszystko drobne niuansiki, na które mógł zwrócić uwagę ktoś ze szkoły, ale normalny oficer liniowy z prowincji tego nie zauważał. Raz tylko na stacji w Kole ni mniej, ni więcej tylko gen. Dreszer zwrócił mi uwagę, że te wypustki przypominają raczej lampasy, ale zrobił to śmiejąc się. W drugim przypadku porucznik artylerii w Warszawie po kolei wymienił mi wszystkie najdrobniejsze nieprzepisowości stroju. Ale tym razem to ja się śmiałem, bo miał na mundurze odznakę korpusową, wobec czego odpowiedziałem »Tak jest, Panie Kadecie«, zamiast: panie poruczniku. Zostałem zaproszony na kawę”⁶.

TOMASZ ZAWISTOWSKI miłośnik historii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego. Autor pięciotomowego opracowania *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*.

¹ S. Lindner. *Ale serce boli*, I. W. PAX 1983, s. 69. ² Dz. Rozk. M.S. Wojsk. 1919, nr 194, poz. 2434. ³ Tamże. ⁴ Dz. Rozk. M.S. Wojsk. 1922, nr 38, poz. 551.

⁵ S. Zieliński, *Kielbie we łbie*, Zys i S-ka, 2009, s. 202. ⁶ S. Lindner, wyd. cyt., s. 82.

Bibliografia: *Istoriczieskoje opisanije odieždy i woorużienija rossijskich wojsk*, t. 17, Sankt Petersburg 1902, s. 12 oraz tabl. 2333, 2350 i 2355.

Orzeł pod kadeckim słońcem

Proporzec nagrodowy dla pododdziałów Junackich Hufców Pracy, zakupiony do Muzeum Wojska Polskiego przed kilku laty, to jedyny znany i zachowany do dziś tego typu egzemplarz.

JAROSŁAW PYCH

Wojsko Polskie II RP niemal w całym okresie międzywojennym szczególną wagę przywiązywało do szkolenia bojowego. Prawdłowo przeprowadzone wyszkolenie bojowe jako jeden z etapów szkolenia wojskowego jest gwarancją skutecznej realizacji planów strategicznych. Aby podnieść poziom wyszkolenia w Wojsku Polskim, od dziesiątków lat stosuje się szlachetną rywalizację pomiędzy pojedynczymi żołnierzami i całymi oddziałami. Potwierdzeniem tej rywalizacji są nagrody i wyróżnienia przyznawane najlepszym z najlepszych.

W latach trzydziestych XX w. opracowano system nagradzania najlepszych pododdziałów Wojska Polskiego. Szczególną rolę w systemie odgrywały specjalne przechodnie proporce nagrodowe przyznawane wyróżnionym pododdziałom w każdej dywizji piechoty. Na proporcach nagrodowych dla piechoty wzorowano też proporce różnych organizacji paramilitarnych z okresu międzywojennego, co podyktowane było silnymi związkami tych organizacji z wojskiem. Na wojsku zatem wzorowano strukturę, organizację, stopnie i sposób szkolenia. Tak też było w przypadku proporca nagrodowego dla pododdziałów Junackich Hufców Pracy (JHP).

Pola z napisami: JHP

Proporzec zakupiony przed kilku laty do Muzeum Wojska Polskiego jest zabytkiem o szczególnej wartości. Jedyny znany i zachowany egzemplarz, który dotąd był pieczołowicie przechowywany w rękach prywatnych, świadczy o dużej roli, jaką przedwojenne władze państwa polskiego przywiązywały do wychowania i szkolenia obronnego młodzieży. Ogólną kompozycją i wymiarami nawiązuje do nagrodowych dywizyjnych proporców strzeleckich. Różni się kolorami pól, emblematami i napisami. Proporce nagrodowe dla piechoty miały na stronie głównej kompozycję pól granatowych i żółtych oraz wizerunek herbu Rzeczypospolitej Polskiej, odznak szkół pod-

oficerskich piechoty, nazwę dywizji i napis: MISTRZOWSKI PUŁK PIECHOTY, a na stronie odwrotnej granatowy płat podzielony był na mniejsze prostokąty z datami i napisem: HEJ STRZELCY WRAZ NAD NAMI ORZEŁ BIAŁY.

Daty umieszczone na proporcu JHP wskazują, że powstał w latach 1936–1937 i był nadany zaledwie dwukrotnie. Wykonano go prawdopodobnie w jednym egzemplarzu. Proporzec jest dwustronny, prostokątny, ze skórzaną białą tuleją, przyszytą do boku czołowego. Pozostałe boki obszyto żółtą frędzlą bawełnianą długości 4 cm. Płat uszyto z rypsu jedwabnego, z wewnętrzną bawełnianą tkaniną usztywniającą. Na stronie głównej widnieje kompozycja pól prostokątnych i kwadratowych – czarnych i amarantowych: centralne pole prostokątne i narożne pola kwadratowe są w kolorze czarnym; pola boczne, górne i dolne zaś amarantowe. Pośrodku pola centralnego widoczny jest emblemat Junackich Hufców Pracy: tarcza amazonek zwieńczona słońcem kadeckim z nałożonym sztychem łopaty i żełęczem kilofa. Na sztychu łopaty umieszczono wizerunek orła zgodny z godłem państwowym z 1927 r. i napis: JHP. Emblemat wyhaftowano nicią metalową w kolorze srebrnym i złotym oraz białą nicią bawełnianą. W polach bocznych są haftowane emblematy: skrzyżowane dwie łopaty spięte wieńcem laurowym. Emblematy wykonano nicią metalową w kolorze złotym i nicią bawełnianą, żółtą.

Na stronie odwrotnej w narożnikach widać czarne pola kwadratowe z napisami: JHP. Pozostała część, amarantowa, podzielona została za pomocą sznurka w kolorze srebrnym na mniejsze pola. W polu centralnym jest napis: CZEŚĆ PRACY, nałożony na zielony wieńiec laurowy. W pozostałych polach umieszczono daty i nazwy kompanii nagrodzonych proporcem: 1937/30 KOMP.; 1938/42 KOMP.; 1939; 1940; 1941; 1942; 1943; 1944; 1945; 1946. Napisy w narożnikach wyhaftowano tak jak na stronie głównej. Pozostałe napisy wykonano żółtą nicią bawełnianą z nicią metalową



Proporce nagrodowy dla Junackich Hufców Pracy



Oznaka Junackich Hufców Pracy

w kolorze złotym. Wieniec haftowany był nicią bawełnianą.

Dekret prezydenta z 1936 r.

Junackie Hufce Pracy utworzono dekretem prezydenta RP z 22 września 1936 r. o służbie młodzieży. W dokumencie określono, że służba pracy młodzieży jest szaczną służbą dla narodu i państwa, a polega na wykonywaniu pracy fizycznej dla potrzeb państwa lub jego interesów gospodarczych. Służbę pracy pełniono na podstawie zaciągu ochotniczego w JHP. Oprócz tego hufce zapewniały przysposobienie do służby wojskowej i uzyskanie kwalifikacji zawodowych oraz wychowanie obywatelskie i oświatę ogólną. Do JHP przyjmowano przede wszystkim młodzież bezrobotną obojga płci, w wieku od 18 do 20 lat. Przyjętym przysługiwała nazwa junaków lub junaczek.

Junackie Hufce Pracy podlegały ministrowi spraw wojskowych, przy którym ustanowiono organ opiniodawczy i doradczy – Radę Służby Pracy. Rodzaj, kolejność i warunki robót, które miały wykonywać hufce, ustalał minister spraw wojskowych w porozumieniu z zainteresowanymi ministrami innych resortów na okres objęty planem gospodarczym, przy uwzględnieniu przede wszystkim prac dla potrzeb obrony państwa. Na czele JHP stał komendant mianowany przez ministra spraw wojskowych w porozumieniu z ministrem opieki społecznej spośród oficerów służby czynnej. Kierownicy, personel instruktorski, biurowy i administracyjny JHP rekrutowali się z żołnie-



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Marsz Junackich Hufców Pracy w Poznaniu. Kurator Michał Pollak podczas wręczenia proporca zwycięskiej drużynie Gimnazjum im. Ignacego Jana Paderewskiego.



rzy w służbie czynnej oraz funkcjonariuszy i pracowników cywilnych. Hufce otrzymywały środki m.in. z budżetu Funduszu Pracy.

Służba w JHP trwała na ogół dwa lata, po czym junak był zwalniany. Można było wcześniej wystąpić ze służby. Junacy otrzymywali zakwaterowanie, umundurowanie, wyżywienie i wynagrodzenie. W razie wypadku przy pracy przysługiwało im leczenie na zasadach ustalonych dla żołnierzy w służbie czynnej. Postępy w wyszkoleniu, posiadane umiejętności, wyróżnienia w służbie decydowały o przyznawanych stopniach służbowych. Junacy zobowiązani byli do posłuszeństwa wobec przełożonych i stosowania się do przepisów regulaminu JHP. Za naruszenie obowiązków karano dyscyplinarnie, aż do aresztu na czas do trzech dni lub wydalenia z JHP. Wybuch II wojny światowej przyniósł kres istnienia JHP. W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie istniały co prawda junackie szkoły kadetów, ale te nawiązywały raczej do tradycji kadeckich.

Po zakończeniu wojny władze komunistyczne utworzyły najpierw organizację Służba Polsce, a potem przez wiele lat działały Ochotnicze Hufce Pracy. Obie te organizacje niewiele jednak miały wspólnego z Junackimi Hufcami Pracy. Ta pierwsza, działająca w latach czterdziestych, wykorzystywała młodzież, wcielaną na siłę, głównie do niemal niewolniczej pracy przy odbudowie kraju, a druga skupiała się na przygotowaniu zawodowym młodzieży nieradzącej sobie w podstawowym systemie edukacji szkolnej i zawodowej.

JAROSŁAW PYCH muzealnik, weksylog, pracownik naukowy i kustosz kolekcji weksyliów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, członek Polskiego Towarzystwa Weksylogicznego i komisji historycznej w Ministerstwie Obrony Narodowej. Autor licznych publikacji z zakresu weksylogii i historii kolekcjonerstwa polskiego.

LEGIONY POLSKIE

w artystycznej wizji



Stanisław Bagieński, *Wejście Legionów do Warszawy 1 grudnia 1916 r.*
Fot. zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Stanisław Bagieński wzbogacił zasoby malarstwa o tematyce legionowej obrazem *Wejście Legionów do Warszawy 1 grudnia 1916 r.* namalowanym w 1917 r.

M. RENATA WILEWSKA

W bogatym dorobku sztuki legionowej, zdominowanej przez malarstwo portretowe i rodzajowe, batalistykę i ważne wydarzenia ze szlaku legionowego są stosunkowo skromnie reprezentowane w malarstwie olejnym. Wynika to ze szczególnych, wojennych warunków, w których ta sztuka powstawała, tworzona w znacznej części przez żołnierzy-legionistów, wychowanków uczelni artystycznych w Krakowie i Warszawie.

Jeden z nich, Stanisław Bagieński, związany ze środowiskiem warszawskim, wzbogacił zasoby malarstwa o tematyce legionowej obrazem namalowanym w 1917 r., *Wejście Legionów do Warszawy 1 grudnia 1916 r.*, który jako dar został przekazany w 1938 r. do Muzeum Wojska i po dziś dzień znajduje się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Stanisława Bagieńskiego (1876–1948), batalistę, zalicza się do generacji artystów urodzonych w latach 1861–1880, z której wywodziło się wielu znakomitych twórców sztuki polskiej, profesorów Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie (późniejszej Akademii) i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, m.in. Konstanty Laszczka, Józef Mehoffer, Stanisław Lentz i Stanisław Kamocki. To właśnie ich uczniowie stanowili najliczniejszą grupę ochotników, którzy wstąpili do Legionów Polskich. Bagieński zaś w Legionach nie służył.

Po wstępnej edukacji u ojca, Feliksa Bagieńskiego (1840–1920), Stanisław rozpoczął studia malarskie w warszawskiej Szkole Rysunku prowadzonej przez Wojciecha Gersona. Kontynuował je za granicą – w Monachium i Paryżu. W 1927 r. został wykładowcą w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Malował sceny batalistyczne, epizody z okresu napoleońskiego i Powstania Listopadowego, a także pejzaże i sceny rodzajowe. Jest także autorem ilustracji do utworów literackich, m.in. Henryka Sienkiewicza. Jego prace zamieszczano w wielu czasopismach, m.in. w „Tygodniku Ilustrowanym”, „Biesiadzie Literackiej” oraz „Świecie”. Należał do grupy Pro Arte, skupiającej warszawskich malarzy, ilustratorów i krytyków sztuki. Ich celem była służba sztuce polskiej, programowo zdystansowanej od awangardy, posługującej się realistyczną stylistyką, a także poszukującej szerszych możliwości jej prezentowania. Podlegali oni ostrej krytyce za ubogacony impresjonizmem tradycjonalizm estetyczny. Do grupy Pro

Arte należał m.in. Wojciech Kossak. Bagieński wystawiał swoje prace w znanym Salonie Krywulta, pierwszego marszanda w Warszawie, kolekcjonera i mecenas sztuki. Na wystawach sztuki legionowej w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie i w warszawskiej Zachęcie zaprezentował on największą liczbę obrazów olejnych, pokazywał je także za granicą, m.in. w Wiedniu i Zurychu. Jednym z nich był obraz wejścia do Warszawy Legionów Polskich, uosabiających Wojsko Polskie (od 20 września 1916 r. Polski Korpus Posiłkowy) po latach niewoli. Wydarzenie to opisano, sfotografowano i namalowano.

Historyczny zapis

Przełamanie w 1915 r. przez państwa centralne frontu pod Gorlicami i Tarnowem oraz wyparcie Rosjan z Królestwa Polskiego i z części ziem tzw. zabranych spowodowało zajęcie tych terenów przez Niemców. Legiony – po wspólnie toczonych walkach na Wołyniu od jesieni 1915 r. do września 1916 r. – zostały wycofane z frontu i w październiku tego roku przeniesione na niemiecki obszar operacyjny. Gubernatorem Warszawy został gen. Hans von Beseler. To on wraz z komendantem garnizonu Ulrichem von Etzdorfem przygotował, a potem przyjmował na pl. Saskim defiladę Legionów. Nie uczestniczyła w niej I Brygada, ponieważ Niemcy nie wyrazili na to zgody. Wchodziły oddziały II Brygady, zwanej z czasem Karpacką lub Żelazną, utworzonej 8 maja 1915 r., która wstawiła się m.in. walkami na Przełęczy Pantyrskiej w Karpatach i na Bukowinie brauwrową szarżą 2 szwadronu 2 Pułku Ułanów pod Rokitną 13 czerwca 1915 r., walkami na Wołyniu, m.in. pod Kostiuchnowką 4–6 lipca 1916 r. II Brygadą dowodził gen. Józef Haller, współtwórca pierwszych formacji legionowych (Legionu Wschodniego, 3 pp), który dowództwo objął w lipcu 1916 r. W skład II Brygady wchodził 3 pp płk. Bolesława Roi, 4 pp płk. Andrzeja Galicy, 2 Pułk Ułanów rtm. Juliusza Ostoi-Zagórskiego i kilka pododdziałów. Defiladę otwierał i prowadził płk Stanisław Szeptycki, komendant Legionów Polskich od października 1916 r., oficer armii austro-węgierskiej, skierowany na własną prośbę do Legionów. Oddziały wchodziły od strony Pragi przez most księcia Józefa Poniatowskiego. Na dworcu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej witał ich rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Józef Brudziński. Dalsza trasa prowadziła Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem w kierunku pl. Saskiego. W uroczystości

brały udział różne organizacje społeczne, sportowe i polityczne ze sztandarami. Młodzież akademicka i szkolna tworzyła szpaler wzdłuż trasy marszu. Balkony były przystrojone girlandami, kobiercami i makatami. U zbiegu ul. Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich stała brama tryumfalna w barwach narodowych z białoczerwonymi chorągiewkami, zwieńczona sztandarami, przy której na legionistów oczekiwali weterani Powstania Styczniowego.

Fotograficzna dokumentacja

Temat Legionów Polskich doczekał się publikacji i opracowań poświęconych historii tej formacji oraz wydań albumowych z bogatą dokumentacją fotograficzną, jak zdjęcia dowódców, sceny z różnych miejsc działań bojowych i życia codziennego legionistów. Wśród nich są także zdjęcia wkraczających do Warszawy w grudniu 1916 r. Legionów.

Ujęcia frontalne, perspektywiczne; najczęściej powtarzająca się sceneria to przejście przez bramę tryumfalną i postaci konnych dowódców płk. Stanisława Szeptyckiego, płk. Józefa Hallera z wzniesioną szablą, a przy bramie witający powstańcy styczniowi i mieszkańcy Warszawy.

Muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Sulejówku dysponuje dokumentacją fotograficzną, pocztówkami dotyczącymi także tego wydarzenia. Uwzględniają one różne fazy defilady, ale przede wszystkim ten wspomniany, najbardziej widowiskowy moment przejazdu przez bramę tryumfalną i zgromadzoną po obu stronach ulicy ludność Warszawy, m.in. frontalnie ujęta kolumna i prowadzący komendant Stanisław Szeptycki, w identycznym ujęciu Józef Haller, grupa legionistów z lancami i zatkniętymi nań proporczykami.

Malarskie upamiętnienie

Bagieński w chwili malowania obrazu miał 41 lat. Można przypuszczać, że był świadkiem wydarzeń. Wskazuje na to zgodność opisu faktograficznego i dokumentacji fotograficznej ze sceną upamiętnioną na obrazie. **Biała brama tryumfalna w formie mo-**

numentalnych postumentów-obelisków została oddana bardzo szczegółowo, przyozdobiona identycznym, zgodnym z fotografiami układem i typem dekoracji – girlandami, chorągiewkami i sztandarami, podobnie jak wernie przedstawione są obeliski, połączone udrapowaną girlandą, zawieszoną nad ulicą z napisem: WITAJCIE. Fotografie ukazują przejście oddziałów z dalszej perspektywy.

Na obrazie czoło zwartej kolumny 2 Pułku Ułanów jest na linii bramy. W szarobieskich, siwych mundurach, nawiązujących do dawnych polskich tradycji kawaleryjskich, o które zawsze upominano się w Legionach – w ułankach z odwijanymi, karmazynowymi rabatami i w dość różnych czapkach. Nakrycia głowy w II Brygadzie stanowiły miękkie rogatywki, maciejówki. Często podlegały one modyfikacji i przyjmowały nazwy od nazwisk dowódców pułku, jak rojówki (Bolesław Roja), galicówki (Andrzej Galica), ostojówki (Juliusz Ostojka-Zagórski).

Na piersiach dowodzących oficerów widnieją pasy ułańskie, noszone dawnym zwyczajem przez ramię, będące wyrazem kawaleryjskiego fasonu. Po lewej stronie ulicy znajdują się mieszkańcy Warszawy ze sztandarami. **Postać pierwszoplanowa,**



ujęta jest w geście powitalnym z czapką w ręce. Obraz można uznać za wierną ilustrację wydarzenia – z niewielkimi różnicami – ubogaconą kolorem, przedstawioną według tradycyjnej stylistyki, zgodnej z założeniami grupy Pro Arte.

Sceneria obrazu jest realną rzeczywistością, która narzuciła układ kompozycyjny. Podejście i realizacja tematu pozostają jednak w gestii artysty i są emanacją jego przekonań oraz odczuć. Tak jest i w tym przypadku. Z szeregów legionowych nie wybrał artysta pułku piechoty, ale ułanów. Można założyć, że nie tylko dla barwy munduru, ale ze względu na polskie, kawaleryjskie tradycje tak bardzo wpisane w świadomość narodową i historię polskiej wojskowości. Zwykła, wręcz rodzajowa scena – ilustracja, zdeterminowana kompozycyjnie – dzięki wprowadzeniu przez artystę skromnego epizodu treściowego i formalnego: dwóch postaci dziewczynek – staje się także głębszym przekazem ideowym. **Podbiegające do oficera ułanów dziewczynki, podające bukiety, to wymowny gest, oznaka serdeczności i sympatii.** Właśnie ten epizod świadczy nie tylko o postawie artysty, który uznał go za godny upamiętnienia. Dostępna dokumentacja fotograficzna nie uwzględnia takiej sytuacji. W rzeczywistości miała ona miejsce i zdarzała się na trasie defilady, co odnotował we wspomnieniach gen. Józef Haller.

Obraz Bagieńskiego to przyczynek do wyrażenia nastrojów i poglądów tej części społeczeństwa, która nie podzielała prorosyjskich postaw i z wiarą w odrodzenie Polski witała wkraczających do Królestwa żołnierzy Legionów utworzonych u boku Cesarstwa Austro-Węgierskiego i Cesarstwa Niemieckiego. Stan świadomości Polaków i polskich elit był bardzo zróżnicowany. U początków Wielkiej Wojny w prorosyjskiej Kongresówce – jak wynika z ówczesnej prasy i pamiątek –



oczekiwano zwycięstwa Rosji i wręcz manifestowano w Warszawie wrogość pod konsulatami Austrii i Niemiec. Uważano, że zwycięstwo trójprzymierza pogorszy sytuację Polski. Przyjęto z wiarą odezwę z 14 sierpnia 1914 r. głównodowodzącego armią rosyjską wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza Romanowa i obietnicę autonomii dla zjednoczonych pod berłem cara ziem polskich. Sympatie pro-

rosyjskie rosły w zaborze pruskim, gdzie Niemców uważano za największych wrogów Polski (kulturkampf, Hakata, Września, wóz Drzymały). Sympatie prorosyjskie zderzały się z proaustriacko-niemieckimi, budowanymi kolejnymi działaniami zaborców, m.in. ogłoszonym Aktem 5 listopada 1916 r., w którym cesarz Austrii Franciszek Józef I i cesarz Niemiec Wilhelm II również stwarzali mgliste nadzieje na odrodzenie Polski. Nie dziwią dlatego opinie, że wejście Legionów do Warszawy przyjmowano z ciekawością, ale równoległe do oznak radości był odczuwalny także chłodny dystans, obok euforii nawet przejawy niechęci.

Najlepszym świadectwem nastrojów warszawskiej ulicy 1 grudnia 1916 r. jest pamiątnik gen. Józefa Hallera, w którym napisał: „[...] wyczuliśmy rychło brak entuzjazmu w tłumach publiczności, pomiędzy którą przechodziły nasze dziarskie oddziały. Swoją drogą wśród tej ciszy znamiennej nie brak było przejawów szczerzego entuzjazmu co się wyraziło w obrzucaniu nas w kilku miejscach kwiatami. Mój dereszowaty siwek krocząc dumnie, został uwieczniony przez uśmiechnięte i pełne radosnych łez panienki”.

Warto zapamiętać dziewczynki i ich symboliczny gest, przekaz wiary części społeczeństwa w słuszność obranej, trudnej drogi, która już u początków – od słynnej Drogi Legionów znaczonej była krzyżem, wzniesionym na Przełęczy Pantyrskiej w Karpatach z cztero-wierszem wyrzniętym bagnetem:

*Młodzieży polska patrz na ten krzyż!
Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry lasy i wały,
Dla Ciebie Polsko i dla twej chwały.*

M. RENATA WILEWSKA historyk sztuki. Długoletni pracownik Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, kurator Działu Zbiorów Głównych i zastępca dyrektora. Organizatorka i współautorka wystaw o tematyce historyczno-wojskowej, m.in. „Barwy polskiego oręża” oraz „I podaje wiek wiekowi. Tradycje chrześcijańskie w dziejach polskiego oręża”. Autorka m.in. katalogów wystaw czasowych MWP, artykułów w periodyku „Muzealnictwo Wojskowe” i albumu *Kolekcja Heleny i Tadeusza Kwiatkowskich w Stanach Zjednoczonych*.

Bibliografia:

Klimecki M., Klimczak W., *Legiony Polskie*, Warszawa, 1990, il. 144, s. 18.
Muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, pocztówki nr MJP 291/27, 291/50, 291/51, 291/54/
Haller J., *Pamiątniki*, Londyn 1964, s.117.





KRZYSZTOF WIELGUS
doktor inżynier architekt,
pracownik Instytutu
Architektury Krajobrazu
Politechniki Krakowskiej
im. Tadeusza Kościuszki,
członek Komitetu Kopca
Kościuszki.

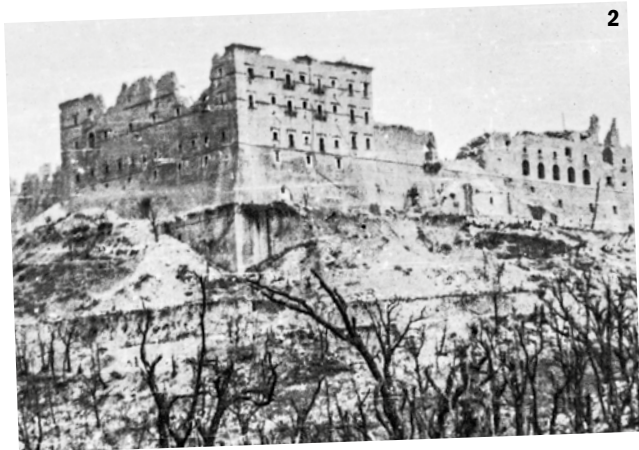
TWIERDZE nie do zdobycia

„Fortyfikacje zaczynają być postrzegane jako atrakcje turystyczne, wręcz jako specyficzny element krajobrazu Polski” – mówi dr Krzysztof Wielgus.

**Twierdza Przemyśl w czasie Wielkiej Wojny pobiła jeden z rekordów oblężenia w ode-
rwnaniu od stałego rodzimego frontu. Trwało
ono 173 dni. Dłużej wytrzymała tylko twier-
dza w Verdun. Co zdecydowało o takiej sku-
teczności Twierdzy Przemyśl?**

Przemyśl był w ogóle najdłużej broniącą się
w okrażeniu twierdzą w I wojnie światowej.
Verdun nigdy nie broniło się w okrażeniu.

Sławna La Voie Sacrée – Święta Droga – była
przez cały czas wykorzystywana do dostar-
czania zaopatrzenia wojskom francuskim.
W Przemyślu rozegrały się trzy doniosłe bata-
lie obronne. Pierwsza – we wrześniu 1914 r.
– to obrona udana, w pełnym tego słowa zna-
czeniu. Druga obrona spowodowała gigan-
tyczne straty, wbrew pozorom, ani nie po
stronie obrońców, ani atakujących. Poniosły



2

1. Wartownia w jednym z fortów Twierdzy Brzeskiej, 1930 r.
2. Ruiny klasztoru na Monte Cassino już po krwawych zmaganiach w maju 1944 r. Niemcy w obronie Linii Gustawa wzorowali się na polskich fortyfikacjach polowych, które z takim trudem przełamywali w 1939 r.

je wojska niezaangażowane bezpośrednio w walki o twierdzę, lecz biorące udział w kolejnych nieudanych próbach odsieczy. Psychologiczne oddziaływanie oblężenia Twierdzy Przemyśl powodowało kolejne – coraz gorzej przygotowane – ofensywy austro-węgierskie, wykrwawiające cesarskie i królewskie armie. Twierdza Przemyśl przyciągała uwagę nie tylko opinii publicznej, lecz i dowództwa. Kiedy choroby i głód oraz kończąca się amunicja doprowadziły załogę fortecy do stanu zagrożenia przejęciem w niezniszczonym stanie przez wojska carskie, to 22 marca 1915 r. likwidowano ją w apokaliptycznym akcie setek eksplozji, niszczenia wszystkich dóbr wojskowych i mordowania ocalałych koni. Była wreszcie trzecia obrona – rosyjska przeciwko Niemcom i Austriakom. Cierpienia, które przeżyła ludność cywilna Przemyśla i otaczających go miejscowości, gehenna, której doświadczyli atakujący oraz obrońcy, czynią z tego miejsca rzeczywiście Verdun frontu wschodniego – krwawe pole bitwy i wielką mogiłę. Wszyscy oni spełnili swoje zadanie, ale ponieśli ogromne koszty.

Swoje zadanie spełniła również Twierdza Kraków – być może jedyna twierdza I wojny światowej, która odegrała rolę „wielkiego zawiasu” czy osi, wokół której obracały się jak wskazówki zegara wrogie armie, twierdzy zaś nigdy nie zdobyto. To jest także symboliczne miejsce, gdzie w czasie Wielkiej Wojny Rosjanie dotarli najdalej. Natomiast po rosyjskiej stronie nie odegrała tej roli potężna Twierdza Modlin. Rosjanie nie tyle nie mieli tam woli walki, co popełnili wiele błędów. Bardzo dzielnie broniła się natomiast rosyjska Twierdza Osowiec,

którą bombardowały najcięższe niemieckie moździerze 42 cm. Przynajmniej trzy twierdze na ziemiach polskich zapisały się na trwałe w dziejach Wielkiej Wojny.

Czy II Rzeczpospolita, oprócz rozbudowy i remontu twierdz oraz umocnień odziedziczonych po zaborcach, miała plany stworzenia nowych fortyfikacji na swych granicach – czegoś na kształt Linii Maginota?

Otóż II Rzeczpospolita wytworzyła to, co prof. Janusz Bogdanowski nazwał „nowopolską szkołą fortyfikacji”. A najlepszą cenzurkę wystawili Polakom okupanci. Niemcy po kampanii wrześniowej 1939 r. bardzo wysoko ocenili nasze fortyfikacje. Dali temu wyraz w wydawnym w 1941 r. studium *Denkschrift über die polnische Landesbefestigung*. Tam, gdzie we wrześniu 1939 r. żołnierze polscy nie musieli manewrować, bo mieli pewien handicap w postaci umocnień, nawet umocnień polowych, bronili się bardzo dzielnie i skutecznie. Taką rolę spełniły właśnie Westerplatte, Mława, Hel i Węgierska Górka. Także polskie fortyfikacje na Wołyniu stawały opór wojskom sowieckim, o czym nadal wie się niewiele.

Polska, niestety, nie miała takich środków jak Francja. Republika zapłaciła ogromną daninę krwi w czasie Wielkiej Wojny i co za tym idzie – nastroje pacyfistyczne i triumfalistyczne społeczeństwa francuskiego nie sprzyjały wydatkom na rozwój armii, floty i lotnictwa. Jedynie idea ministra obrony André Maginota, która streszczała się w powiedzeniu: wylejmy więcej złota do ziemi, to wylejmy mniej krwi na polu walk – zyskała aprobatę społeczeństwa. Francuzi w sposób tyleż totalny, co historyczny rozwinęli doświadczenia z I wojny światowej, starając się utrwalić za pomocą nowoczesnej techniki wojnę pozycyjną, czyniąc z niej – jak mawiał Janusz Miniewicz, pionier wśród polskich badaczy fortyfikacji – „wojnę robotów”. W nowoczesnych fortyfikacjach walczyć miała gigantyczna, kierowana przez człowieka maszyna. Maszyna w tym przypadku nieruchoma, dzieło forteczne – jak nazywali je Francuzi *ouvrage* – będące rodzajem rozproszonego fortu z zległym systemem podziemnych połączeń, z podziemnymi korytarzami, magazynami, siłowniami i szpitalami, z pozostałymi na powierzchni ziemi obiektami bojowymi z pancernymi wieżami, kopułami i kazamatami. Żołnierze obsługujący działa i broń maszynową widzieli nieprzyjaciela jedynie za pośrednictwem peryskopów i celowników optycznych albo... nie widzieli go w ogóle, kierowani zdalnie z punktów dowodzenia. Fortyfikacja przeszła do kolejnego – ostatniego już w dziejach – systemu rozproszonego, rolę twierdz pierścieniowych z XIX i początków XX w. przejęły zaś fronty ufortyfikowane, rejonu umocnione. Gdy Linia Maginota miała osłaniać kraj, dając czas na mobilizację, miało to sens. Kie- ►



Zniszczone budynki Twierdzy Modlin, wrzesień 1939 r.

dy zaczęto wierzyć, że w ogóle powstrzyma niemieckie natarcie, popełniono ogromny błąd doktrynalny, za który przyszło gorzko zapłacić wiosną 1940 r.

Polski nie było stać na własną Linie Maginota, natomiast coś podobnego, choć na znacznie mniejszą skalę, starali się stworzyć Czesi w Sudetach. Polacy musieli zadowolić się tym, co dla Francuzów stanowiło jedynie fortyfikację lekką. Pozytywne doświadczenia obrony przeciw Sowiecom kilku fortów Twierdzy Modlin oraz fortyfikacji Dębego i Zegrza przyczyniły się do twórczej przychylności polskich sztabowców dla dawnych i nowych fortyfikacji. Wykładowcy szkół wojskowych w Toruniu i Warszawie – Kazimierz Biesiekierski, Aleksander Aleksandrowicz, Aleksander Król, Karol Kleczke oraz Władysław Wysiński – stworzyli znakomite podręczniki, przekładające doświadczenia fortyfikacyjne europejskich mocarstw na język i warunki polskie. Od 1933 r. zaczęto budować fortyfikacje Obszaru Warownego Śląsk, jednak otwarcie systemowej budowy umocnień przeciwko Niemcom dało dopiero studium gen. Tadeusza Kutrzeby z marca 1936 r. oraz studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom ze stycznia 1938 r. gen. Tadeusza Kutrzeby i ppłk. Stefana Mossora. Do rozwoju polskich fortyfikacji przyczyniło się też rozpoznanie fortyfikacji czeskich. Czasu na budowę pozostało już jednak bardzo niewiele. Projektantami na-

szych linii obronnych byli m.in. płk Władysław Zieleniewski i płk Marian Porwit.

Polskie obiekty fortyfikacyjne były bardzo dobrze rozmieszczone, wkomponowane w krajobraz i znakomicie wzajemnie kryjące się ogniem. Oprócz fortyfikacji stałej, przewidziano budowę setek lekkich schronów bojowych dla jednego lub dwóch karabinów maszynowych w pasach obrony poszczególnych armii. Niewielkie obiekty z pogranicza fortyfikacji stałej i polowej, w założeniu związane ściśle ogniem flankującym, miały współpracować z umocnieniami ziemnymi. Niestety, z tego ambitnego planu zrealizowano zaledwie 23–50% w zależności od poszczególnych armii.

W fortyfikacji stałej przewidziano nowoczesne elementy pancerne z Huty Ostrowiec, dostosowane do karabinów maszynowych Browning wz. 30, kazamaty pancerne dla działek ppanc. Bofors wz. 36, a nawet tarcze dla dział polowych 75 mm. Stosowano nowoczesne konstrukcje, takie jak śluzy gazoszczelne, nadciśnieniową instalację wentylacyjną, sygnalizację optyczną, łączność radiową i telefoniczną. Tutaj próbowano kanalizować uderzenie wroga. Niestety, takich budowli było wciąż za mało. Wiele fortyfikacji było w 1939 r. nieskończonych, niewyposażonych w kopuły pancerne. Mimo to polscy żołnierze stawiali w nich twardy opór. Mamy więc w przypadku naszych fortyfikacji podobną sytuację jak z PZL

37 „Łoś”, czołgiem 7TP, karabinem przeciwpancernym Ur i pistoletem maszynowym Mors. W 1939 r. stanowiły one znakomitą zapowiedź rozwoju Wojska Polskiego, ale było ich za mało, żeby wpłynąć na walkę z otaczającymi nas nieprzyjaciółmi. Być może w przypadku fortyfikacji wpływ ten był największy w porównaniu z innymi, wdrażanymi dopiero projektami obronnymi Wojska Polskiego.

Obrona Twierdzy Modlin, twierdzy w Brześciu, bunkrów w Wiźnie stała się jednym z symboli Września '39. Jak Pan ocenia rolę polskich fortyfikacji w wojnie obronnej?

Trudno jest fortyfikować się na cztery fronty, a taką sytuację mieliśmy we wrześniu 1939 r., biorąc pod uwagę Prusy Wschodnie i granicę południową po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców. W okresie międzywojennym nasza doktryna fortyfikacyjna dopiero się kształtowała, podobnie jak w innych państwach europejskich. Francuzi nie od razu zbudowali Linie Maginota, a Niemcy również nie zabrali się do fortyfikowania linii Odry i Warty. Przed wojną najpotężniejsze niemieckie umocnienia, czyli to, co dzisiaj nazywamy Międzyrzeciem Rejonem Umocnionym, Wałem Pomorskim i Pozycją Odrzańską – skierowane były przeciwko Polsce.

Polska armia nastawiona była na ofensywność i manewrowanie. Niemiecka także. Tylko że Niemcy manewrowali ciężarówkami i wozami opancerzonymi, a Polacy na piechotę, ewentualnie konno. I tam, gdzie manewrowała nasza kawaleria, było nieźle. Tam, gdzie w czasie manewru na piechotę Polacy byli niejako przytłaczani przez niemiecką artylerię, lotnictwo, czołgi – ponosili klęski. Natomiast tam, gdzie mogliśmy oprzeć się na fortyfikacjach, stawialiśmy bardzo mocny opór. Fortyfikacje polskie dały Niemcom bardzo dużo do myślenia. Potrafiły one znacznie spowolnić natarcie, zmusić do rozwijania sił do szturmów, zabrać najeźdźcy czas i swobodę operacji. Oczywiście nie zatrzymywały całej ofensywy, ale powodowały wśród atakujących dotkliwe straty. Wiadomo, że byłoby lepiej, gdyby tych fortyfikacji było więcej. Szkoda też, że zbyt szybko wycofaliśmy się z fortyfikacji śląskich czy z fortyfikacji w rejonie Pszczyny, ale taka była konieczność. Natomiast fortyfikacje stałe w rejonie Mławy, Węgierskiej Górki i mało znane fortyfikacje polowe w pasie działań Armii „Karpaty”, np. w rejonie punktu oporu „Wietrznica” nad Dunajcem, powodowały zatrzymanie się jednostek niemieckich i słowackich, zadawanie im dużych strat. Na ile mogły, spełniły swoje zadanie. Równocześnie trzeba pamiętać, że nasi obrońcy nie byli strażnikami. Ci ludzie stawiali tak długo opór, jak tylko byli w stanie.

Niemcy w pewien sposób wykorzystali doświadczenia z polskimi fortyfikacjami w kolejnych kampaniach – przede wszystkim na Linii Gustawa we Włoszech. Gęsto flankowane pozycje, zastosowanie broni maszynowej,

znakomicie blokującej wroga na krótki dystans pod Monte Cassino, to doskonały przykład takiej obrony, którą musieli przełamywać m.in. żołnierze 2 Korpusu Polskiego. Właśnie te fortyfikacje polowe na Półwyspie Apenińskim – stałe czy półstałe – zadały aliantom większe straty niż potężne fortyfikacje Wału Atlantycznego. To była w dużej mierze transformacja niemieckich doświadczeń z polskich umocnień z 1939 r.

Polska, usytuowana na styku Zachodu i Wschodu, może dziś poszczycić się wieloma obiektami obronnymi, poczynając od naszych Orlich Gniazd, zamków krzyżackich ze słynnym Malborkiem, twierdz carskich po twierdze pruskie, które znalazły się w granicach Polski po 1945 r. Gdyby Pan miał sporządzić listę 10 obiektów, które miłośnicy twierdz obowiązkowo muszą w Polsce zobaczyć, co by Pan wybrał?

Jeżeli 10, to oczywiście zacznę od Biskupina i Trzcinicy. Następny jest Malbork. Fortyfikacje miejskie – Krakowa i Paczkowa. Bastionowe fortyfikacje Zamościa i Gdańska, twierdza fryderycjańska w Kłodzku, ewentualnie Srebrna Góra. Jeśli mówimy o Krakowie, pamiętajmy, że nie są to tylko średniowieczne fortyfikacje. Jest to także Wawel z basztami ogniowymi i fortyfikacjami kleszczowymi. Z wielkich twierdz pierścieniowych na pewno Kraków, Przemyśl, Toruń i Modlin. Fortyfikacje Węgierskiej Górki, jako przykład polskich umocnień międzywojennych, będących w ogniu walki w 1939 r. Trzeba włączyć forteczny rezerwat Helu, następnie ufortyfikowany łuk Odry i Warty jako przykład fortyfikacji niemieckiej budowanej przeciwko Polsce. Na końcu dodałbym coś z fortyfikacji okresu zimnej wojny, np. system schronów przeciwlotniczych Nowej Huty w Krakowie, a na północy Polski – Baterię Vineta, czyli punkt dowodzenia ludowego Wojska Polskiego na okoliczność ataku na Europę Zachodnią.

Znacznie przekroczyliśmy listę, ale to świadczy o bogactwie fortyfikacji na ziemiach polskich. W wielu z tych miejsc dzieje się lub zaczyna się dzieć coś dobrego w turystyce w ogóle i w turystyce kulturowej. Godne szacunku jest stworzenie Związku Gmin Fortecznych Twierdzy Przemyśl oraz realizacja projektu zabezpieczenia i udostępnienia znacznej części zrujnowanych obiektów fortecznych w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego. Polski Zamość, tzw. Holenderska Linia Wodna i hiszpańska Pampeluna – to wiódące ze względu na skalę inwestycje w zakresie rewitalizacji i udostępniania fortyfikacji w Europie. Fortyfikacja zaczyna być postrzegana jako jedna z atrakcji turystycznych, wręcz jako specyficzny element krajoobrazu Polski. Pod tym względem stajemy się znaczącym miejscem na mapie Europy.

Rozmawiał Piotr Korczyński



Dla ojczyzny ratowania

SZUBIENICA PAL I KULA

W XVII w. w Polsce zadomowił się Mars. Gdy udało się przegnać z kraju Szwedów, Turków i Moskali, wtedy własne nieopłacone wojsko z obrońców zmieniało się w łupieżców.

PIOTR KORCZYŃSKI

W jednej ze scen Sienkiewiczowskiego *Potopu* Andrzej Kmicic z rozkazu płk. Michała Wołodyjowskiego stanął przed plutonem egzekucyjnym za domniemaną zdradę ojczyzny. Skazaniec miał jednak szczęście, bo zanim żołnierze przygotowali muszkiety do morderczej salwy, Jan Onufry Zagłoba odnalazł przy nim list, który świadczył, że uwięzieni wcześniej przez Janusza Radziwiłła oficerowie, w tym Wołodyjowski, dzięki wstawiennictwu Kmicica uniknęli śmierci.

Pułkownik Wołodyjowski – mimo oskarżeń przeciwko Kmicicowi o zaprzaństwo – wybrał dlań (dzielnego i zasłużonego żołnierza) rozstrzelanie. Bo właśnie od czasów potopu szwedzkiego zaczęło ono być na ziemiach Rzeczypospolitej traktowane jako honorowa śmierć żołnierska. Historycznym faktem jest, że Wołodyjowski jako regimentarz z upoważnienia hetmana mógł wydawać wyroki śmierci na równych sobie szlachciców. Gdyby nie patent hetmański, Kmicic bez przeszkód wyjechałby z Wodoktów razem ze swą Oleńką Billewiczówną. W ówczesnym wojsku polskim w czasie wojny najwyższą władzę sędziowską sprawował hetman i tylko on miał prawo skazać szlachcica na śmierć. Inna sprawa, że hetmani często zmuszeni byli sięgać do tej najwyższej kary, by móc stawać w szranki z wrogami.

Normatywne określenie przestępstwa przeciw rozkazowi pojawiło się w wojskach Rzeczypospolitej po raz pierw-



Hetmańska sprawiedliwość.
Rys. Rafał Roskowiński



Porucznik jazdy lekkiej, akwarela Kajetana Wincentego Kielisińskiego według ryciny Caspera van Luykena z 1676 r. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Dziesiętnik piechoty wybranieckiej z czasów Władysława IV, akwarela Kajetana Wincentego Kielisińskiego według obrazu Jana de Baena z XVII w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



Piechur wybraniecki z czasów Władysława IV, akwarela Kajetana Wincentego Kielisińskiego według obrazu Jana de Baena z XVII w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

szy w *Artykułach wojennych dla Litwy*, wydanych przez króla Zygmunta I Starego w 1534 r. Na podstawie *Artykułów wojennych...* co drugie przestępstwo mogło być karane śmiercią, zwłaszcza to wymierzone we władzę hetmańską. Odebraniem życia groziły m.in. podburzanie wojska przeciw hetmanowi oraz bunt przeciw niemu, nieposłuszeństwo hetmanowi, a także defetyzm i dezercja. Do połowy XVII w. kara śmierci występowała najczęściej w wojskowym prawie karnym wszystkich europejskich armii. Hetman, podobnie jak wodzowie naczelni armii innych krajów, miał do wyboru spektrum kar śmierci. Dla przykładu w *Artykułach żołnierskich* hetm. Grzegorza Chodkiewicza z 1566 r. przewidywano, że winowajca: „cześć i gardło traci”, „bez żadnego miłosierdzia będzie ścięty”, „ma być szubienicą karany”, „ma być ćwiartowany”, „bez żadnego miłosierdzia sprośną i haniebną śmiercią karany być ma”, a to i tak tylko niektóre ze sposobów wykonania najwyższej kary na tych, którzy ośmieliliby się sprzeciwić hetmanowi.

Hetman wielki koronny Jan Tarnowski przypominał w swym *Consilium rationis bellicae* z 1558 r.: „In summa, ponieważ na posłuszeństwie wszystko należy, bo gdzie posłuszeństwa nie masz, tam już ani rządu, ani nic dobrego nie masz, a z nierządnym wojskiem nikt nic dobrego nie sprawi. A tak, aby się rycerstwo, gdyż ta rzecz na potliwość należy, posłusznie zachowali przodkiem przeciw hetmańskiemu rozkazaniu, potem przeciw rotmistrzom swym, albowiem lepiej, że się za dobrym sposobem dosługują ci, dobrej sławy, łaski pańskiej,

a za tym i na dobrym mieniu wysługi, niżli za nieposłuszeństwem karania a lekkości”¹. Mimo tych napomnień i okazałych rejestrów drakańskich kar wojskami Rzeczypospolitej raz za razem wstrząsały bunt, rokosze i konfederacje. Mawiano nawet, że nie ma w Polsce gorszego czasu, kiedy żołnierstwo staje się „czwartym stanem w państwie” i obraca broń przeciw ojczyźnie.

„Swawolne kupy żołnierstwa”

Podstawowym problemem w armii I Rzeczypospolitej był notoryczny brak pieniędzy. Nieopłaćeni żołnierze buntowali się, zawiązywali konfederacje i w końcu łupili królewską kasy, czyli ziemie dłużnika, a gdy to nie dawało rezultatu – wzorem osławionych lisowczyków grabili wszystko i wszystkich. „Kupy nieopłaconego żołnierstwa” potrafiły dla własnego kraju być gorsze niż Tatarzy, Szwedzi i Moskale razem wzięci. Niełatwo było zapanować i dowodzić takim wojskiem. Nie wystarczyło mieć uzdolnienia militarne czy organizacyjne. Trzeba było być przygotowanym na wszystko, w tym na opłacanie wojska z własnej kasy. Dobrym przykładem jest tutaj hetman polny litewski Jan Karol Chodkiewicz w czasie kampanii inflanckiej. W październiku 1602 r. podjął buławę i zobowiązał się wobec króla Zygmunta III Wazy, że utrzyma Inflanty przy Polsce. Okazało się szybko, że jego polsko-litewska armia jest nieopłacana, głodna, obdarta i bosa. Chodkiewicz nie miał wyboru: musiał żołnierzom płacić z własnej kieszy, aby słuchali jego rozkazów. Akurat starczyło mu pieniędzy na tyle,



Porucznik chorągwi husarskiej, akwarela Kajetana Wincentego Kielińskiego według ryciny Abrahama de Bruyna, XIX w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

by 13 kwietnia 1603 r. odbić z rąk Szwedów Dorpat i następnego roku – 25 września – zwyciężyć pod Białym Kamieniem. Niestety, z braku dalszych funduszy nie mógł już wykorzystać tej *victorii* – nieopłaceni żołnierze odmówili dalszej walki, zawiązując konfederację i porzucając służbę. W 1605 r. – jak wspominał sam Chodkiewicz – stał się prawdziwy cud, gdyż król przysłał „trochę grosza” i wódz mógł opłacić chorągwie i regimenty. To pozwoliło mu odnieść jedno z najświetniejszych zwycięstw w historii oręża polskiego – pod Kircholmem 27 września 1605 r.

Zarówno królowie, jak i hetmani starali się walczyć z plagą żołnierskich konfederacji i rokoszy. Niestety, rzadko popierani byli w tym przez posłów i senatorów, którzy opierali się nowym podatkom na wojsko. Dopiero kiedy ojczyzna stawała nad przepaścią, sejm sięgał po nadzwyczajne środki. Tak stało się chociażby po klęsce pod Cecorą w 1620 r., kiedy to sejm uchwalił podatki na największą od czasów króla Stefana Batorego armię zawodową przeciw Turcji. Wtedy też zaostrzono dyscyplinę wojskową. Za zawiązywanie i przystępowanie do buntowniczych związków wojskowych grożono szlacheckim żołnierzom wyłączeniem od dziedziczenia i pozbawieniem w przyszłości możliwości sprawowania urzędów oraz obejmowania godności państwowych: „każdy tak któryby do Konfederacy y swywoli żołnierskiej wiązać ważył nie ma do żadnych sukcesy po rodzicach, y do spadkow niaikich po krewnych swoich należec y do żadnych dostoięństw, urzędów y opatrzenia Rzeczypospoli-

tey nigdy będzie mógł mieć przystępu”². Kiedy osmańskie zagrożenie minęło, „swawolne kupy” i „lisowczy” znowu rozplenili się na polskich gościńcach.

Kilka osobnych słów należy się husarii. Siła tej formacji tkwiła nie tylko w uzbrojeniu i taktyce, ale również w ideologii, w stosunku do sprawy, o którą jazda walczyła, w kulturowaniu cech rycerskich i dyscyplinie. W XVI i XVII w. podstawą dyscypliny husarii na zachodzie Europy była przysięga, w której szczegółowo określone zostały obowiązki rotmistrzów, poruczników i rycerzy. Husarze takiej przysięgi nie składali, a fundamentem ich dyscypliny była cześć. Toteż za najcięższe przestępstwa w chorągwiach husarskich tracono cześć, a za lżejsze, pospolite – płacono gardłem. Jednak już pierwsze polsko-szwedzkie wojny o Inflanty pokazały, że to nie wystarczy. Gdy żołnierz stawał się „bosy i głodny”, kiedy musiał tkwić wiele dni, a nawet miesięcy w błocie i śniegu pod szwedzkimi szanćami, zapominał o czci i sprawie, o którą walczył. Pół biedy, jeśli dowodzony był przez tak charyzmatycznych wodzów, jak hetmani Jan Zamoyski, Jan Karol Chodkiewicz i Stanisław Koniecpolski, którzy potrafili utrzymać karność żołnierzy, a w ostateczności opłacali ich dla dobra ojczyzny z własnej kasy.

Dwie szubienice

Nie zawsze jednak pieniądze, perswazje i osobisty przykład wystarczały, by poderwać żołnierzy do walki. Kiedy wymagała tego sytuacja, hetm. Chodkiewicz nie wahał się stosować „srogiego karania na gardle i uczciwości”, a w 1603 r. dla przykładu osobiście wieszał dezertów. Wódz naczelny wyręczał kata w jego krwawej robocie. Nie był on ani pierwszym, ani ostatnim takim wodzem w armii Rzeczypospolitej.

Przykład zdecydowania w karaniu niesubordynacji w czasie działań wojennych dał już wielki książę litewski Witold. W lipcu 1410 r. w czasie wojny z Krzyżakami skazał na śmierć dwóch litewskich wojowników, którzy wbrew jego rozkazowi złupili kościół w Lidzbarku. Zgodnie z litewskim obyczajem skazani sami zbudowali sobie szubienice i sami też się na nich powiesili wobec zgromadzonego wojska. Wielkie wywołało to wrażenie – zwłaszcza wśród rycerstwa polskiego nieprzyzwyczajonego do takiego „wschodniego obyczaju”.

Hetman Jan Tarnowski zawsze zaczynał budowę swego obozu wojskowego od stawiania dwóch szubienic. Pierwsza nosiła miano „żołnierskiej” i wieszano na niej za przestępstwa wojskowe, a drugą nazywano „złodziejską” i przeznaczano ją do karania przestępstw pospolitych. Hetman Jan Zamoyski w czasie oblężenia Pskowa jesienią 1581 r. dla przywrócenia karności w obozie rozkazał bez sądu powiesić jednego z oficerów, a obozowe prostytutki okaleczyć lub ścinać. Hetman Stanisław Żółkiewski, rozgromiwszy w 1615 r. pod Rohatynem bandy zdemoralizowanych i niekarnych żołnierzy, ich prowodyrów ukarał

w okrutny sposób: kazał ich powbijać na pale i jak sam wspominał: „Karwackiego z palem podniesiono na jednej stronie miasta Lwowa. Kąckiego na drugiej stronie miasta także na pal wbito. Skipora na trzeciej stronie ćwiartowano. Kniazika Borowskiego na czwartej stronie miasta ćwiartowano. W tydzień po tych szesnaście towarzyszków ścięto, drudzy jeszcze siedzą”³. Kilka lat wcześniej, po zdobyciu Moskwy, Żółkiewski dla przywrócenia dyscypliny i zjednania sobie miejscowej ludności postanowił karać swych żołnierzy według moskiewskich zwyczajów. Jednego z żołnierzy polskich za sprofanowanie wizerunku Najświętszej Marii Panny skazano na śmierć przez ćwiartowanie, a jego szczątki publicznie spalono na stosie. Inny żołnierz za zgwałcenie młodej kobiety otrzymał karę publicznego wychłostania knutem. Jak zanotował w pamiętniku jeden z uczestników wyprawy Samuel Maskiewicz: „Tego, kiedy sądzono w kole, chcieli niektórzy prawem naszym sądzić go na gardło, ale Bobowski podał sposób i dobry, na który wszyscy przypadli, żeby go moskiewskim prawem sądzono [...]. I tak ci go knutami po ulicach knucono, a chłop wołał, że mu szyję nie ucięto, Moskwa też była kontentna”⁴. W ferowaniu okrutnych wyroków wszystkich przebił ks. Jeremi Wiśniowiecki, który słynął ze srogości nie tylko wobec wrogów, ale i swoich podkomendnych. Na przykład w czasie oblężenia Zbaraża rozkazał dezertnikom obcinać jednocześnie nogi i ręce.

Bezpardonowy Czarniecki

O upadku ducha wojsk Rzeczypospolitej w czasie potopu szwedzkiego świadczy chociażby to, że król Karol X Gustaw podczas pobytu w Krakowie pod koniec 1655 r. przyjął pod komendę litewską husarię Aleksandra Hilarego Połubińskiego, wypłacając z własnej kasy zaległy żołd towarzyszom husarskim. Rzecz wcześniej nie do pomyślenia, by „niezlomni polscy rycerze” przechodzili na stronę wrogiego monarchy. W tych trudnych czasach potrzeba było wodza zdecydowanego na wszystko, by odtworzyć pobite wojsko i przywrócić karność. Takim wodzem okazał się hetm. Stefan Czarniecki. Jak wspomina w pamiętnikach Mikołaj Jemiółowski, Czarniecki stojąc z wojskiem w Wielkopolsce, osobiście wieszał winowajców, a niesubordynowanych żołnierzy wóczył koniem po krzakach i cierniach, a następnie ścinał, świętokradców zaś kazał wrzucać w ogień. Kiedy te metody nie skutkowały, dla przywrócenia dyscypliny zaczął stosować odpowiedzialność zbiorową. Gdy nie znaleziono winnych rabunków i gwałtów, wódz wskazywał chorągiew, z której wybierano przypadkowych żołnierzy i wieszano ich na szubienicach lub przydrożnych drzewach. Czarniecki wprowadził też na większą skalę karę chłosty, później kojarzoną z armią pruską i rosyjską. Między innymi w 1680 r. z rozkazu hetmana zasieczono na śmierć dragona, prowadząc go wzdłuż dwuszerowego regimentu.

„Dla ojczyzny ratowania” Czarniecki nie wahał się wysyłać na śmierć winowajców nie tylko dobrze urodzo-

nych, ale i wysoko postawionych w hierarchii społecznej Rzeczypospolitej. W 1664 r. w obozie wojskowym pod Olchowcem z rozkazu hetmana rozstrzelano oskarżonego o zdradę Jana Wyhowskiego, wojewodę kijowskiego. Ze względu na rangę skazanego wyrok wykonał płk Sebastian Matuszewski.

„Śmierć żołnierska”

Mniej więcej od tego czasu zatem rozstrzelanie zaczęto też traktować jako „śmierć żołnierską” – honorową. Choć początkowo stosowano je w warunkach wojennych z braku czasu na przygotowywanie bardziej wyszukanej kaźni. Na przykład król Jan III Sobieski podczas uciążliwego marszu pod mury Chocimia w listopadzie 1673 r., kiedy nie było możliwości stawiania szubienic, rozkazał niesubordynowanych żołnierzy ścinać lub rozstrzeliwać. Coraz częściej też w pamiętnikach z epoki można natrafić na relacje z egzekucji przez rozstrzelanie: „rozstrzelano czeladnika pana Skorupskiego, towarzysza pana Kmicicowego, za to, że był powodem do rabowania domu pana Krasowskiego” – zanotował w *Diariuszu* Jan Antoni Chrapowicki⁵. Jędrzej Kitowicz w *Pamiętnikach* opisał historię Wyganowskiego, który w 1770 r. uciekł do wojska rosyjskiego. Schwyty, skazany został na śmierć przez powieszenie. Jednak wyprosił przez oficerski sąd konfederacki rozstrzelanie: „aby przynajmniej po żołniersku zginął”⁶.

W ostatnich latach I Rzeczypospolitej, kiedy na horyzoncie coraz wyraźniej rysowała się jej katastrofa, starano się zahamować rozprężenie w wojsku. Jednym ze sposobów były próby zreformowania prawa wojskowego. W 1775 r. sejm uchwalił *Artykuły wojskowe* i *Proceder prawny wojskowy*. Wobec wszechogarniającej anarchii i upadku ducha wojskowego dokumenty te były obliczone na bezwzględne egzekwowanie dyscypliny wojskowej. Ograniczono stosowanie kary śmierci na rzecz dożywotniego pozbawienia wolności połączonego z pracą przymusową. Najpowszechniejszą karą w wojsku miała być od tego momentu chłosta – co nie wywołało entuzjazmu u oświeceniowych reformatorów. Natomiast rozstrzelanie stawało się przywilejem korpusu oficerskiego i zabiegano o nie, jeśli dochodziło do „sprawy gardłowej”.

PIOTR KORCZYŃSKI redaktor kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”, publicysta. Autor książek: *Elitame oddziały specjalne Wojska Polskiego 1939-1945*, *Herbarz szlachty polskiej*, *Wojownicy, żołnierze i śmierć nie zawsze pełna chwały*.

¹ J. Tarnowski, *Consilium rationis bellicae*, Kraków 1858, s. 33.

² *Volumina Legum*, tłum. H. Paszkiewicz, t. II, Warszawa 1925, s. 217.

³ L. Kania, *Służba sprawiedliwości w Wojsku Polskim 1795-1945. Organizacja – prawo – ludzie*, Siedlce 2015, s. 86. ⁴ *Diariusz Samuela Maskiewicza. Początek swój bierze od roku 1594 w lata po sobie idące, w: Moskwa w rękach Polaków. Pamiętniki dowódców i oficerów garnizonu polskiego w Moskwie w latach 1610-1612*, oprac. M. Kubala, T. Ścieżor, b.m.w. 1995, s. 176.

⁵ J.A. Chrapowicki, *Diariusz*, cz. I, 1656-1664, wyd. T. Wasilewski, Warszawa 1978, s. 237.

⁶ J. Kitowicz, *Pamiętniki, czyli Historia polska 1743-1798*, oprac. P. Matuszewska, Warszawa 2009, s. 244.

HISTORIA

Polska Zbrojna

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Staropolska sztuka wojenna

Elastycznością i zdolnością adaptacji obcych wzorów potrafiła zaskoczyć każdego agresora, który przekroczył granice Rzeczypospolitej – niezależnie, czy nadchodził z zachodu, czy ze wschodu Europy.

RADOSŁAW SIKORA

Gdy w 1382 r. umierał król Ludwik Węgierski, Polska była krajem i niewielkim, i słabo zaludnionym. Jej powierzchnia po utracie kontroli nad Rusią Halicką oraz kilkoma lennami nieco tylko przekraczała 130 tys. km², a zamieszkiwało ją według różnych szacunków od 0,6 mln do 1,1 mln ludzi.

Kolejne dwa i pół wieku to okres rozwoju i awansu Polski do grona pierwszych potęg ówczesnej Europy. W 1648 r., który był przełomowym rokiem w naszych dziejach, powierzchnia Rzeczypospolitej wynosiła niemal dokładnie 1 mln km², a jej populacja liczyła ok. 11 mln ludzi.

Tak wielki skok dokonał się nie tyle w wyniku agresywnych wojen (choć i takie z rzadka prowadziliśmy), co w efekcie unii oraz dobrowolnego łączenia się ościennych ziem z Polską. Decydujące były bowiem względy polityczne, które elity sąsiednich krajów skłaniały do uznania zwierzchniej władzy polskiego króla. Atrakcyjność Królestwa Polskiego, możliwości, które to państwo zapewniało, przyciągały jak magnes. Na przykład szlachcic litewski, wzorem polskiego, nabywał prawa, których uprzednio nie miał. Mieszczanie pruscy cieszyli się ze znacznie niższych niż pod panowaniem Krzyżaków podat-

ków, bogacąc się przy tym na handlu, który po otwarciu na polski rynek gwałtownie się rozwinął. Inni szukali gwarancji bezpieczeństwa, czy to poddając swoje ziemie polskiemu królowi, czy też do Polski emigrując. Kolejni szukali w Polsce szansy na poprawę materialnego bytu – kolonizując nieuprawne grunty lub podejmując się różnorodnych zajęć. Ściągali rzemieślnicy, artyści, handlarze, wojskowi. Przybywało ziem i ludzi. W 1569 r. za sprawą Zygmunta Augusta, polskiego króla i wielkiego księcia litewskiego w jednej osobie, w granicach Królestwa Polskiego znalazły się Podlasie, Wołyń, ziemia braciowska i kijowska. Te dwie ostatnie, leżące teraz „u kraja” Polski, wkrótce nazwano Ukrainą. W tym samym roku oba państwa połączyły się unią realną, tworząc Rzeczpospolitą Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. A ponieważ Korona potrafiła znacznie lepiej niż Litwa chronić pogranicze przed tatarskimi najazdami, to populacja Ukrainy gwałtownie wzrosła.



*Jan Amor
Tarnowski*

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Choć decyzje elit politycznych o uznaniu władzy króla polskiego nie były na nich wymuszane zbrojnie, jednak czasem prowadziły do wojen z tymi, w których te decyzje uderzały. Na przykład, kiedy w 1454 r. miasta pruskie i tamtejsza szlachta zwróciły się do Kazimierza Jagiellończyka z prośbą o włączenie Prus do Królestwa Polskiego, a ten się do niej przychylił, wybuchła wojna z Krzyżakami. Trzeba więc było mieć nie tylko na tyle atrakcyjne państwo, żeby chciano się do niego przyłączyć, ale i konkretną siłę, która chroniła interesy Polski i jej zwolenników. Stany pruskie nigdy nie poprosiłyby polskiego króla o inkorporację swoich ziem, gdyby nie wierzyły, że ten jest odpowiednio silny.

Taki model wzrostu państwa pozwalał na minimalizowanie własnego wysiłku militarnego. Powiększanie i utrzymywanie włączonych do Polski ziem odbywało się znacznie mniejszym kosztem, niż gdyby robiono to siłą, wbrew woli miejscowych elit. Poza tym ściśle odróżniano stan pokoju od stanu wojny – zabiegi polityczne od działań wojennych, które różniły się standardami.

Wojna sprawiedliwa

W polityce postulowano ściśle przestrzeganie wartości chrześcijańskich. Do nich należały uczciwość w relacjach międzypaństwowych, jak dotrzymywanie zawartych umów; powstrzymywanie się od działań wymierzonych w państwo, z którym się nie było w stanie wojny, a także starania o unikanie wojen jako takich. Wojnę usprawiedliwiano tylko wtedy, gdy była obronną lub też chodziło w niej o pomszczenie krzywd, które nie dają się naprawić w żaden inny sposób. W tym drugim przypadku należało najpierw domagać się zaspokojenia własnych żądań, a dopiero gdy je odrzucono, oficjalnie wypowiedzieć wojnę.

Za niedopuszczalne uważano wojny agresywne, prowadzone albo dla sławy, albo też w celu powiększenia państwa. Pod uwagę brano bowiem zarówno cierpienia ludzi, jak i prawo narodów do decydowania o tym, kogo chcą mieć za swojego pana. I to wszystko dotyczyło nie tylko społeczeństw i państw katolickich, ale także pozostałych. W Polsce bardzo wcześnie, bo już w początkach XV w., stwierdzono, że nawet poganie mają prawo do swoich państw i własnych rządów, a nawracanie ich nie może odbywać się siłą. W ówczesnej Europie było to novum.

Wszystkie te ograniczenia służyły jednemu – zaskarżeniu Bożej łaski. W niej bowiem widziano źródło po-



Królestwo Polskie wraz z lennami w 1382 r. (obszar czerwony). Rzeczpospolita Obojga Narodów wraz z lennami w 1620 r. (obszar brązowy). Rys. Wojciech Zalewski & Radosław Sikora

wodzenia zarówno w czasie pokoju, jak i na wojnie. Bez niej żadne działanie, nawet najlepiej przygotowane, nie rokowało dobrze.

Na atrakcyjność Polski zasadniczy wpływ miało to, jak się zachowuje w stosunku do innych państw. Związek z Polską był wartościowy wówczas, kiedy wiążący się z nią mógł poważnie liczyć, że przyniesie mu korzyści. Im większa wiarygodność Polski, tym większa chęć, by się z nią wiązać. Podstęp i zdrada, agresywne wojny toczzone bez dania przyczyny i bez ich wypowiedzenia osłabiały wizerunek kraju. Działy więc na szkodę jego atrakcyjności. A ta była przecież jednym z filarów, na których opierał się rozwój państwa polskiego.

Wojna była stanem różniącym się zasadniczo od pokoju i wyraźnie od niego rozdzielonym deklaracją jej wypowiedzenia. Sztukę wojenną rozumiano jako umiejętność odpowiedniego (racjonalnego i skutecznego) kierowania wojskiem w okresie przygotowania i prowadzenia walki. Rządziła się swoimi regułami. Na przykład Polacy zalecali stosowanie na wojnie całego wachlarza forteli, które pomagały wojsku osiągnąć zwycięstwo. Przykładów, że tak właśnie postępowano, jest mnóstwo, chociażby słynna bitwa pod Kircholmem w 1605 r.

Chrześcijańskie miłosierdzie wykazywano zazwyczaj tylko w stosunku do pokonanego wroga i ludności cywilnej. Tę ostatnią należało w miarę możliwości chronić przed okrucieństwami wojny. Zakazane były na przykład gwałty.

Staropolska taktyka

W XVI w. ukształtowała się tzw. staropolska sztuka wojenna. Rozwijana, święciła triumfy do końca XVII w. ►

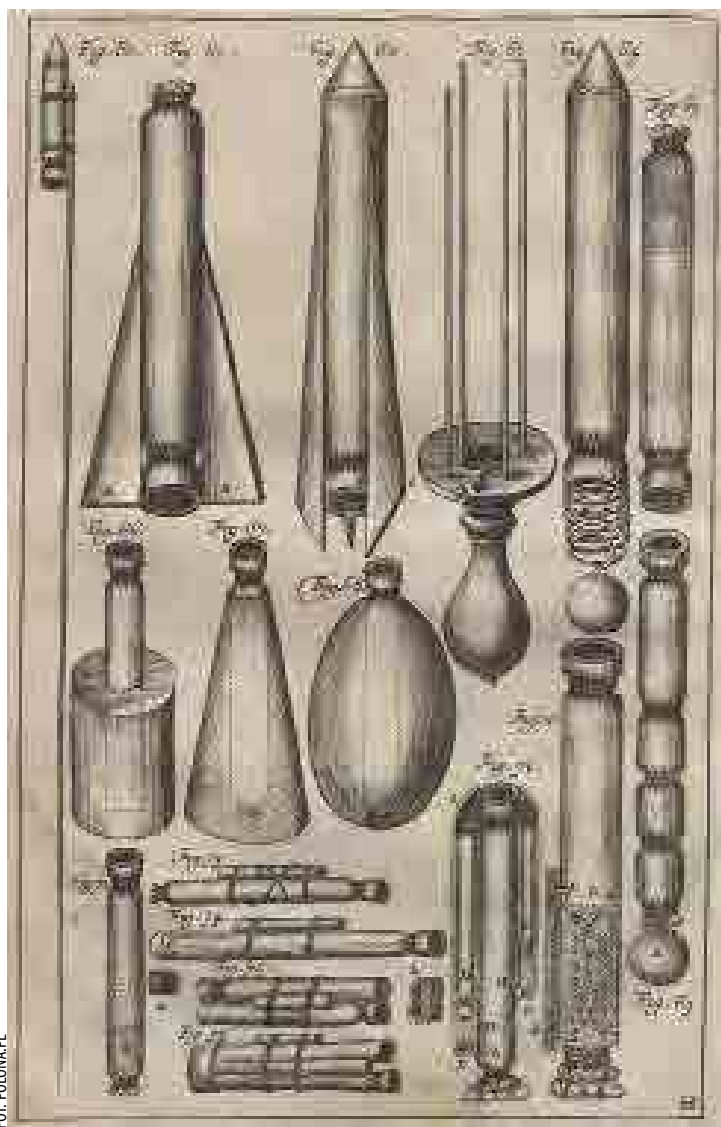
Jednym z jej najbardziej zasłużonych twórców był prawnuk najsłynniejszego polskiego rycerza Zawiszy Czarnego, Jan Tarnowski (1488–1561). W latach 1527–1559, z przerwami, był on hetmanem wielkim koronnym, który podczas długiej kariery wojskowej nie przegrał żadnej bitwy. Jego liczny i okazały dwór pełnił rolę akademii rycerskiej. Tarnowski to również autor wydanego w 1558 r. traktatu *Consilium rationis bellicae*, czyli *Rada sprawy wojennej*. Opisał w nim m.in. rolę i zadania dowódców: króla, hetmana, rotmistrzów oraz rycerzy i żołnierzy, a także zawarł wiele praktycznych zaleceń co do sposobów użycia wojska od poziomu strategicznego do poziomu taktycznego. Jemu to właśnie zawdzięczamy pierwszy opis strzelania przez piechotę

salwami, w sposób umożliwiający utrzymanie ciągłości prowadzenia ognia. Na świecie inwencja ta błędnie przypisywana jest raz wojskom niderlandzkim, innym razem hiszpańskim albo nawet japońskim. Tymczasem już kilka dekad wcześniej polski hetman zalecał: „A gdyby ku bitwie przyszło, gdy pierwszy rząd wystrzeli, aby przykłąkli a zasię [broń] nabijali, a drugi rząd za nimi, aby strzelali, tymże obyczajem potym też przykłąknęli, aby tak we wszystkich rzędziech porzą[d]kiem czynili, a tym porządkiem strzelali i wystrzelivszy aby nabijali tak, jako się tu napisalo”¹.

Nie tylko w taktyce użycia ręcznej broni palnej przodowaliśmy wówczas na świecie. W bitwie pod Obertynem w 1531 r., gdzie Jan Tarnowski pokonał trzykrotnie liczniejsze wojska mołdawskie, Polacy spotkali się z rewelacyjną w owych czasach metodą wykorzystania artylerii. Nie dość, że była ona ładowana pociskami zespolonymi w papierze, co bardzo zwiększało jej szybkostrzelność, to jeszcze była na tyle lekka, że mogła zmieniać pozycję w czasie bitwy. Dzięki temu wspierała ogniem nawet przemieszczające się wojska. Na świecie tę nowinkę taktyczną przypisuje się – jak widać błędnie – szwedzkiemu królowi Gustawowi II Adolfowi, który miał ją zastosować w latach dwudziestych i trzydziestych XVII w. Tymczasem już w XVI stuleciu Polacy, zapewne pod wpływem właśnie bitwy obertyńskiej, zadaptowali ją na swe potrzeby. Jak w 1569 r. pisał jej uczestnik, Marcin Bielski, mieliśmy działa, „które drabi [piechurzy] mogą z sobą toczyć na dwu kółkach, które obróci kiedy chce i ciągnąć może z nim gdzie trzeba”².

Wspomniane nowinki to jeden z wielu przykładów dowodzących, że polska armia nie tylko nie odstawała od innych, ale na niektórych polach przodowała w użyciu nowoczesnej techniki i taktyki wojennej. Wielka w tym zasługa ludzi pokroju hetm. Tarnowskiego, którzy zwykle w latach młodości, podróżując po Europie podpatrywali najnowsze kierunki militarne. Tarnowskiemu zawdzięczamy np. drugie (po gdańskich) fortyfikacje bastionowe w Polsce, czyli obwarowania zamku w Rożnowie. Zapewne podpatrzył je w Italii, którą, obok wielu innych krajów, zwiedził. Także nowy sposób zdobywania miast i zamków, polegający na podkopywaniu się pod mury, zakładaniu min i wysadzaniu umocnień, przypisuje się Włochom. W ten właśnie sposób w 1535 r. Tarnowski zdobył należący do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego Starodub.

Mimo szybkiego wprowadzania przez wojsko polskie ówczesnych nowinek i wynalazków, jak bojowe wykorzystanie techniki rakietowej, nie od nich zależała wielka skuteczność polskiej armii. Niektórym ogólnoeuropejskim trendom świadomie się opierano. Na przykład w staropolskiej sztuce wojennej piechota, choć niezbędna do zdobywania miast i zamków, w bitwach odgrywała jedynie pomocniczą rolę. U nas dominowała



Strona dzieła *Artis Magnae Artilleriae pars prima* (Wielkiej sztuki artylerii część pierwsza) Kazimierza Siemienowicza, z 1650 r.

kawaleria. Przez cały ten okres zachowała ona charakter uderzeniowy, podczas gdy w Europie Zachodniej, po wynalezieniu broni palnej z zamkiem kołowym, nastąpiła rewolucja. Od lat czterdziestych XVI w. pistolety, bandolety i arkabuzy zajmowały miejsce kopii i mieczy jako podstawowej broni kawalerzysty. Dopiero po dwóch stuleciach zrozumiano, że ta droga rozwoju to ślepy zaułek i powrócono do broni białej jako podstawowej.

Skuteczność ognia broni palnej w eliminowaniu siły żywej w XVI i XVII w. była niewielka. Ten, kto zdawał sobie z tego sprawę, mógł stosować znacznie skuteczniejszą formę walki niż ostrzeliwanie nieprzyjaciela. Przy założeniu, że jego żołnierze byli w stanie przełamać naturalny ludzki lęk przed efektami wizualno-akustycznymi towarzyszącymi strzelaniu. Mógł sobie pozwolić na szarżowanie na niego i atakowanie bronią białą. Tak właśnie czyniła polska kawaleria, co zapewniło jej wiele spektakularnych zwycięstw.

Twórcza adaptacja

Znaczenie kawalerii w Polsce nie wynikało jednak tylko z utrzymania przez nią decydującej roli na polu bitwy. Wynikało również z charakteru przeciwników, uwarunkowań geograficznych i społecznych. Ślepe kopiowanie wzorów zachodnioeuropejskich, które powstawały i ewoluowały w innych warunkach, świadczyłoby o braku rozsądku. Nikt tego na szczęście nie robił. Natomiast pełnymi garściami czerpano z doświadczeń płynących ze Wschodu i z Zachodu, po czym twórczo adoptowano je do polskich warunków.

Dysponując licznymi zastępami dobrze wyszkolonej i zmotywowanej do walki obronnej szlachty, mając wystarczająco liczną kawalerię przeznaczoną do przełamujących szarż, ale nie domagając finansowo, co oznaczało trudności w utrzymaniu liczniejszej armii przez dłuższy czas, polscy dowódcy zwykle dążyli do stoczenia bitwy polowej, do szybkich rozstrzygnięć w bezpośredniej walce. Zanim przeciwnicy zaczęli powszechnie stosować różnego typu przeszkody antykawaleryjskie, np. kozły hiszpańskie, i odpowiednio wykorzystywać teren, np. rowy, nasze rycerstwo odnosiło liczne i spektakularne sukcesy. Problemy pojawiły się wtedy, gdy nieprzyjaciół zaczął konsekwentnie uchylać się od walki w otwartym polu. Tak między innymi czynili Szwedzi w latach dwudziestych XVII w. i Moskale w wojnie smoleńskiej w latach 1633–1634. W tej sytuacji, siłą rzeczy, wzrosło znaczenie piechoty i artylerii.



Akwaforta Stefano Della Bella Edwarda Szczodrowskiego powstała między 1648 a 1651. Fot. Polona.pl

W XVI i XVII w. raz tylko armia polska straciła przewagę jakościową nad przeciwnikiem, mianowicie w latach 1655–1656. Wówczas to jazdy uderzeniowej (husarii) było dramatycznie mało. Po kilku przegranych bitwach Polacy elastycznie dostosowali się do nowej sytuacji. Zamiast dążyć do starć z przygotowanym do walki nieprzyjacielem, na wielką skalę praktykowali tzw.

wojnę szarpaną. Dysponując przewagą liczebną, uderzano na rozproszonego i nieprzygotowanego do boju przeciwnika. Była to taktyka stosowana już dawniej przez lekką jazdę polską. Tyle że wcześniej, gdy dysponowano liczną jazdą uderzeniową (husarią), która zapewniała przewagę we frontalnym starciu, lekka jazda pełniła jedynie pomocniczą rolę. Mniej więcej od początku 1656 r. taktyka właściwa tej kawalerii zaczęła odgrywać rolę zasadniczą. Zadanie swe spełniła.

Sprawą zwykle ignorowaną, mimo że decydowała ona o swobodzie operacyjnej polskiej armii, były tabory. Na zachód od Polski stosowano odmienny system zaopatrywania wojska w żywność. Armia polska zaś ciągnęła z sobą olbrzymie tabory. Służyły one między innymi obronie, bo stanowiły ruchomą fortecę. Źródłem tej innowacji niewątpliwie należy dopatrywać się w piętnastowiecznych doświadczeniach czeskich husytów. Liczne tabory miały też inną funkcję. Dzięki żywności, którą zabierano na wozy, uniezależniano się od baz z zaopatrzeniem. Miało to fundamentalne znaczenie na obszarach rozległych i słabo zaludnionych. A takimi były południowe i wschodnie tereny Rzeczypospolitej i sąsiadujące z nimi ziemie. Dzięki taborom polska armia mogła wykonywać dalekie i długotrwałe przemarsze, zachowując zdolność bojową.

Staropolska sztuka wojenna, czerpiąc z doświadczeń bliższych i dalszych sąsiadów, twórczo je rozwijając, przystosowując do specyficznych warunków Rzeczypospolitej, przez dwa stulecia skutecznie odpowiadała na wyzwania otoczenia. To jej zawdzięczamy najbardziej spektakularne zwycięstwa w historii naszego państwa. Zwycięstwa odnoszone zwykle w wojnach sprawiedliwych, czyli obronnych.

RADOSŁAW SIKORA doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii, w 2010 r. obronił pracę doktorską *Taktyka walki, uzbrojenie i wyposażenie husarii w latach 1576–1710*. Autor licznych książek i publikacji dotyczących staropolskiej wojskowości i kawalerii.

¹ J. Tarnowski, *Consilium rationis bellicae*, oprac. T.M. Nowak, Warszawa 1987, s. 19.

² M. Bielski, *Sprawa rycerska* (1569), w: *Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowej z rękopisów i dzieł najrzadszych*, oprac. K.W. Wójcicki, Warszawa 1856, s. 328.

Chińczycy grają w GO, a ludzie Zachodu w szachy

Chińska sztuka wojenna poszła inną drogą niż europejska.
Podstawową różnicą jest bardzo wczesny w Chinach
zanik kultury rycerskiej, która ustąpiła
pragmatyzmowi z traktatu *Sztuka wojny*.
Wpływ humanitarnych idei konfucjańskich to drugi czynnik,
który ukształtował chińską sztukę wojenną.

PIOTR PLEBANIAK

Na chiński sposób prowadzenia wojen wpływały m.in. uwarunkowania historyczne. Przybyły z zachodnich stepów na wpół barbarzyński klan, czy też lud, Zhou przejął polityczną kontrolę nad centrum chińskiej cywilizacji ok. XI w. p.n.e. Król Wu 武王, pierwszy władca tej dynastii, dokonał całkowitej reorganizacji państwa przejętego po dynastii Shang (ok. 1600–1022 r. p.n.e.). Podzielił on obszar swojej politycznej kontroli na 70 domen, które oddano w zarząd stronnikom i krewnym rodu Zhou. Na wieść o śmierci króla Wu wybuchł bunt ludności i arystokracji chcących przywrócenia reżimu Shangów. Po jego stłumieniu liczba państw lennych wzrosła do ok. 170. Zamierzano stworzyć quasi-feudalny system polityczny. Rzeczywista władza w domenach podległych królowi dynastii Zhou była sprawowana przez ich zarządców, którzy dzierżyli m.in. tytuł książąt udzielnych. Umownie można by ich nazwać wicekrólami. Należące do nich lenna, często mające formę miasta-państwa, zasługują na użycie podobnej analogii – porównania do greckich polis.

Upadek dynastii Zhou

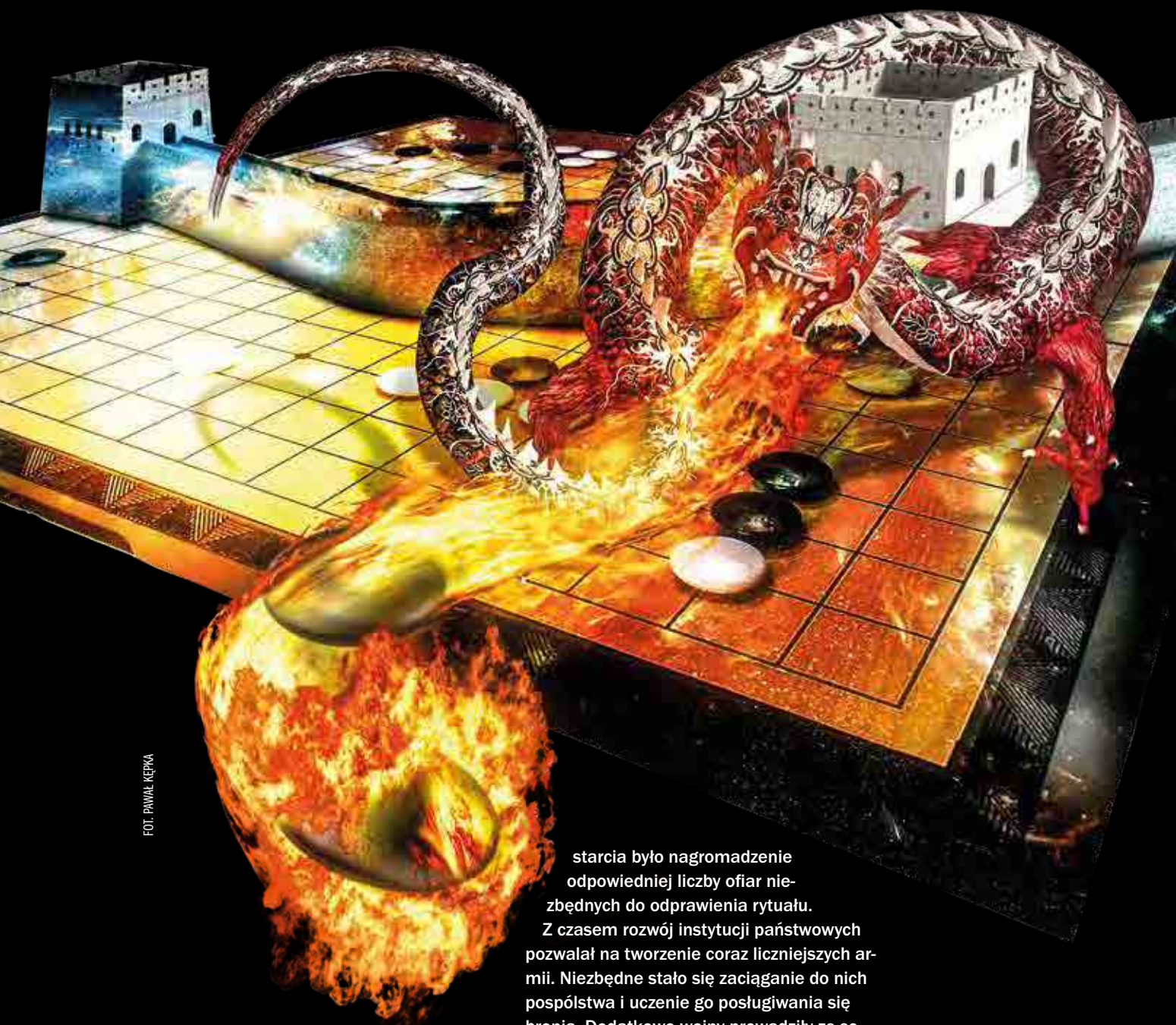
Narzucony przez Zhou porządek rytualno-polityczny stopniowo zdegradował się. Choć władcy państw i miast-państw formalnie podlegali władzy Zhou, wraz z odległością od stolicy i urzędującego w niej suwerena wzrastała ich autonomiczność, samowola, a w końcu arogancja. Z upływającymi dziesięcioleciami autorytet dynastii podupadał, a siła i niezależność lenników – porównywalnych do „sobiepanów” Zamoyskich – z nią zaś i chaos polityczny zwiększały się. Czasy te obejmują Epokę Wiosen i Jesieni (770–476 p.n.e.), zapoczątkowaną przeniesieniem stolicy dynastii na

wschód pod naporem barbarzyńców stepowych, oraz Epokę Walczących Królestw (475–221 p.n.e.), wyznaczoną w historiografii raczej arbitralnie. Były to czasy stopniowo nasilających się intryg, zmagających i coraz bardziej otwartych wojen między lennikami, którzy – zaniebując powinności wobec dynastii Zhou – zaprzęgnięci byli pożeraniem sąsiadów i własnym fizycznym przetrwaniem.

Taka sytuacja geopolityczna Państwa Środka determinowała chiński sposób prowadzenia wojen i konfliktów – w tandemie z rytualnie uwarunkowaną potrzebą skrywania braku harmonii społecznej. Należało toczyć je skrycie. Kolejną istotną cechą odróżniającą chińskie postrzeganie etyki prowadzenia wojen było to, że z zasady wojny, bitwy i zmagania toczyły się między stronami sobie nierównymi.

Zasadniczo konflikty zbrojne chińskiej starożytności teoretycznie dają się podzielić na: zbrojne wystąpienia przeciwko upadłej dynastii, tj. takiej, która dekadencją i uciskiem ludu dowiodła, że utraciła tzw. mandat Nieba; przywracanie porządku na peryferiach; karanie uzurpatorów i „buntowników”, np. książąt udzielnych, którzy uzurpowali sobie tytuł króla. Dopiero potem mamy wojny domowe w sensie ścisłym i wojny zaborcze.

Wyprawy i kampanie wojenne pierwotnie były niczym ekspedycje karne, które miały za cel ukaranie księcia udzielnego lekceważącego przestrzeganie rytuałów (księgi obyczajów) i niepokornego wobec władzy Zhou. Ale z biegiem dziesięcioleci w sposób coraz bardziej otwarty toczono wojny zaborcze, których uczestnicy walczyli o supremację nad Równiną Centralną będącą najstarszym obszarem zajmowanym przez cywilizację chińską. Władcy wielkich organizmów



FOT. PAWIAŁ KĘPKA

politycznych, a także niewielkich miast-państw, rywalizowali o terytorium i supremację nad sąsiadami.

Im dalej więc sięgamy w przeszłość, tym chińskie wojny mają bardziej rytualny charakter. Gdy trzonem siły armii były obsadzone przez arystokrację rydwany, wojna stanowiła domenę elit. Starcia toczono w wyznaczonych miejscach i w określony sposób. Miały przy tym silnie religijny charakter. Często towarzyszyło im też składanie rytualnych ofiar z ludzi, zbliżone nieco do tzw. wojen kwietnych toczonych przez Azteków. Celem

starcia było nagromadzenie odpowiedniej liczby ofiar niezbędnych do odprawienia rytuału.

Z czasem rozwój instytucji państwowych pozwalał na tworzenie coraz liczniejszych armii. Niezbędne stało się zaciąganie do nich pospólstwa i uczenie go posługiwania się bronią. Dodatkowo wojny prowadziły ze sobą państwa o pokrewnych, ale nie identycznych kulturach, stąd to właśnie w tym okresie skalą i brutalnością najbardziej przypominały konflikty toczone w basenie Morza Śródziemnego. W wyniku nieustannych wojen liczba państw malała, aż w III w. p.n.e. zostało ich zaledwie kilka. Władca najsilniejszego z nich, przemienionego w totalitarną maszynę wojenną państwa Qin, podbiwszy sąsiadów, ustanowił się Pierwszym Cesarzem. Podkreślmy raz jeszcze, że te wojny miały typowy charakter „na wyniszczenie”, tak bliski naszym wzorcom zachodnim. ►



„Kupcy, rzemieślnicy i chłopci to trzy skarby”

Maksyma ta pochodzi z jednego ze starożytnych klasycznych traktatów chińskiej wojskowości *Sześć strategii księcia Tai* (Taigong liu tao 太公六韜). Jest on esencją starożytnej chińskiej geopolityki, a jednocześnie kluczowym punktem odróżniającym chińską i europejską filozofię prowadzenia wojen. Już w tamtym okresie chińscy władcy nie dążyli do zniszczenia zasobów materialnych przeciwnika, a do ich przejęcia. Każdy z nich zmierzał do rozbudowania swojej siły ekonomicznej. Taki cel miała też praca ich poddanych – kupców, rzemieślników i chłopów. Jeśli władca należał do dbały o swój lud, siła militarna pojawiała się samoistnie. Jednocześnie zniszczenie zasobów przeciwnika nie wzmocniało zwycięzcy przed starciem z kolejnym przeciwnikiem – to już wyznacznik zupełnie pragmatyczny. Wyjście z konfliktu z bilansem dodatnim było kwestią przetrwania w następnej rozgrywce. Niszczenie zasobów, które można było przejąć, w tym eliminacja żołnierzy przeciwnika, było zgubne. W takich wła-

śnie warunkach powstała filozofia prowadzenia wojen zawarta w maksymach z traktatu *Sztuka wojny*, np. przejąć zasoby, ale ich nie zniszczyć. Notabene traktat ten jest w swej istocie podręcznikiem prakseologii.

Skutkiem omawianych uwarunkowań historycznych było to, co celnie podsumowano powiedzeniem „Chińczycy grają w go, a ludzie Zachodu w szachy”. W grze go przeciwnikowi odbiera się możliwość wpływania na bieg wydarzeń – otacza się jego piony tak, aby zabrać mu wszelką możliwość manewru. W zachodnich szachach gracze starają się wyeliminować i usunąć z szachownicy figury przeciwnika. Taka jest właśnie różnica między wojną manewrową a wojną na wyczerpanie.

Mandaryn i generał

Bezłitosne intrzygi wojujących państw miały jeszcze jeden ważny skutek. Było to powstanie kasty wędrownych doradców. Zatrudnienie takich doradców, którzy – wprowadzając w życie swoje teorie – poprawiali funkcjonowanie państwa, stanowiło oczywisty krok dla każdego władcy. Podobnie było z zatrudnieniem odpowiedniego stratega i głównodowodzącego.

To wykorzystywanie różnego rodzaju specjalistów przez władcę skutkowało gigantycznym skokiem cywilizacyjnym Państwa Środka. Kultura i nauka rozkwitała, siłą rzeczy zaprzęgnięta w służbę polityki i władców walczących o utrzymanie rządów. Efektem często burzliwego rozwoju państwa była rosnąca liczba uzdolnionych, wykształconych urzędników i nauczycieli. Podróżując od kraju do kraju, oferowali oni usługi tym władcom, którzy uznali za stosowne lub byli dość przewidujący, aby uczynić użytek z ich nauk i umiejętności. Takimi wędrownymi mędrkami był Konfucjusz (551–479 p.n.e.) i współczesny mu Sun Zi (ok. 540–470 p.n.e.). W okresie tym prężnie rozwijało się tzw. sto szkół myśli chińskiej. Każdą z nich zakładał mistrz, który oferował wypracowane przez siebie rozwiązanie konkretnego problemu bądź najskuteczniejszy we własnym mniemaniu sposób rządzenia państwem. Jedną ze stu szkół była tzw. szkoła strategów. Ci, którzy do niej należeli, starali się znaleźć najskuteczniejsze sposoby toczenia i wygrywania wojen. Dzieła, które napisali lub skompilowali, w większości zaginęły, często możemy jednak natknąć się na obszerne z nich cytaty, zamieszczane w pracach powstałych później.

CZYNNIKI, KTÓRE WPŁYWAŁY NA SZTUKĘ WOJENNĄ W HISTORYCZNYCH CHINACH

- Kult przodków, którego trzonem była konieczność wychowania męskiego potomka. Aby ciągłość kultu przodków była podtrzymana, ojciec musiał spłodzić syna, którego obowiązkiem było odpowiednie zaopiekowanie się duchem zmarłego dziadka.
- Używanie broni i zabijanie innych ludzi było zajęciem niepomysłnym w świetle chińskiego pojmowania natury i przemian sił yin i yang. Skoro przemoc i broń służąca do zabijania były same w sobie złe, tym trudniej mogły prowadzić do osiągnięcia pomyślnego celu. Preferowano więc drogi okrzęzne, mediację, kompromis i poszukiwanie pokojowych rozwiązań.
- Konfucjański pacyfizm, którego centrum stanowiło dążenie do osiągnięcia cnoty miłosierdzia ren (仁).
- Według chińskich doktryn, państwo trwało na fundamencie cnót przejawianych przez władcę. Aby zachować tzw. Mandat Niebios, uprawniający do rządzenia poddanymi, musiał on wcielać w życie cnotę humanitarności ren, a więc dbać o dobro swojego ludu, cnotę sprawiedliwości yi (義), czyli wypełniać obowiązki wobec poddanych. Jeśli uznano, że władca utracił mandat Niebios, a więc przestał być strażnikiem przestrzegania moralnych wyznaczników, jego konkurent był moralnie uprawniony do zastosowania siły w celu wyniesienia na tron osoby godnej. Prowadzenie przez władcę wojen zaborczych i przelewanie krwi było jednym z występków skutkujących utratą gwarantowanego przez Niebo stanu nietykalności. Wojen należało więc za wszelką cenę unikać.
- Powstanie pierwszego efemerycznego imperium Qin (221–207 p.n.e.), a następnie imperium Han (206 p.n.e.–220 n.e.) zepchnęło wojnę z centrum chińskiego świata na jego obrzeża. Głównym teatrem działań zbrojnych stały się nękane przez koczowniców rubieże na północy i zachodzie.

Jedną z takich książek jest traktat *Metody Sima* (Sima fa, 司馬法), należący do tzw. siedmiu klasycznych dzieł wojskowości. Zawarte w nim dyrektywy zalecają m.in. maksymalną dyscyplinę, którą należy wprowadzić wśród żołnierzy, a przy tym danie pełnej niezależności dowódcy od decyzji politycznej władcy po rozpoczęciu kompanii i wyruszeniu armii w pole.

W traktacie militarnym *Mistrz Wu* zaś czytamy: „Wewnątrz kultywować edukację i moralność, na zewnątrz szykować się zbrojnie” (nei xiu wende wai zhi wubei). 內修文德外治武備 Dzieło to jest próbą połączenia humanitarnych nauk konfucjańskich z pragmatyczną koniecznością prowadzenia wojen i stosowaniem przemocy propagowanych przez jedną ze stu szkół – szkołę legistów. Legiści optowali za utrzymaniem porządku społecznego za pomocą nagród i kar, a bezpieczeństwa zewnętrznego dzięki zdyscyplinowanej armii.

Aspekty: cywilny wen i wojskowy wu

Te dwie skrajne filozofie zarządzania państwem stały się przyczyną rozwinienia dwóch niezależnych systemów administrowania organizmem państwowym. Oba kształtowały podejście do prowadzenia wojen i sposób ich toczenia.

Doprowadziło to do powstania sytuacji diametralnie różnej od tego, co działo się na Zachodzie. Centrum kultury i polityki zajęli nie wojownicy i żołnierze, ale urzędnicy cywilni. Nigdy nie nastąpiła gloryfikacja wojny i walki, która była jednym z głównych czynników wzmacniających pozycję europejskiego władcy, przedstawianego na koniu i z mieczem w dłoni.

Z czasem połączone działanie pięciu wymienionych czynników sprawiło, że główny nurt kultury piśmienniczej tworzony był przez urzędników cywilnych wen. Także w życiu między samymi Chińczykami dominowała rola wen (文), czyli aspektu cywilnego, pokojowego.

Chińska skłonność do podstępów

Chińczycy, oceniając dowódcę, przykładali zupełnie inną miarę niż Polacy, czy szerzej – Europejczycy. Podkreślali oni nie jego męstwo i odwagę, ale przebiegłość oraz umiejętność zastosowania forteli i wybiegów. Wojna była dla nich bardziej pojedyńkiem umysłów dowódców niż zderzeniem dwóch armii.

Eskalacja użytych metod, choć jako kwestia pragmatyki i etyki zachodziła w obu rejonach świata, była w nich uwarunkowana zupełnie innymi ograniczeniami. Sięganie po etycznie kalające metody wu (武) było uważane za metodę ostateczną. Zazwyczaj dotyczyło to sytuacji, w której należało przywrócić pożądany stan sprawiedliwości i ukarać występnych i złych, a także gdy barbarzyńcy otaczali Państwo Środka. Obniżenie statusu wu pogłębiło się w czasach pano-

wania dynastii Han, kiedy to wobec naporu koczowniczych konnych wojowników wyposażonych w łuki Chińczycy zaczęli bronić granic, posługując się sojusznikami. Byli nimi inni barbarzyńcy, bardziej w tym skuteczni niż sami Hanowie. Tym bardziej przyczyniło się to do traktowania wojowania przez zbiurokratyzowaną elitę jako zajęcia ich niegodnego.

Oczywiście elementy wu pozostawały obecne w kulturze „centrum”. Ich zastosowanie było jednak mocno ograniczone przez przemożny wpływ aspektu wen. Wiąże się to z jeszcze jednym terminem, który przez kulturą obcość jego pola semantycznego zupełnie umyka tłumaczom dzieła *Sztuka wojny*. Chodzi o uciekanie się do działań określanych mianem gui (詭). Naruszają one bowiem w jakiś sposób zbudowaną na ideałach konfucjańskich społeczną harmonię. Stosowanie metod przynależnych aspektowi wu zawsze było jednak kalające moralnie. Na liście takich nieprzyjemnych, choć koniecznych czynności było nie tylko wymierzanie kar, ale i prowadzenie działań zbrojnych, w tym i obronnych.

W Europie wykształcił się odrębny system prawny oraz kultura wypowiedzania i prowadzenia wojen, zawierania sojuszy, restrykcji w stosowaniu broni i prowadzenia określonych działań, zwłaszcza wobec cywilów. System ten krystalizował się przez stulecia, a wpływały na niego choćby takie wydarzenia jak niewyobrażalnie destrukcyjna wojna trzydziestoletnia (1618–1648). W Chinach zaś prowadzenie wojen poddano zupełnie innym dyrektywom prawnym, obyczajowym i etycznym, co m.in. niekorzystnie wpłynęło na wojenne losy Chin, gdy przyszło im zmagać się z naporem „zamorskich diabłów”.

Przyrodzony pacyfizm cywilizacji konfucjańskiej powstrzymywał władców kolejnych dynastii przed stworzeniem ideologii imperialnej realizowanej drogą podbojów i kolonizacji. Jednak ostatnie wieki to rządy militarystycznie nastawionych Mandżurów (dynastia Qing, obalona w 1911 r.) oraz wykorzenienie tradycyjnych wartości za czasów Mao Zedonga i zaadaptowanie zachodnich koncepcji ekspansjonistycznych. Na naszych oczach tworzy się tzw. doktryna ekspansji na zewnątrz (zou chuqu 走出去), której elementem są wypustki realizowanej pod szyldem pasa ekonomicznego gospodarczej aneksji, myląc o określonego mianem Nowego Jedwabnego Szlaku. ■

PIOTR PLEBANIAK socjolog, z zamiłowania sinolog. Doktorant wydziału historiografii na Chinese Culture University w Tajpej na Tajwanie, gdzie wkrótce obroni pracę zestawiającą starożytną grecką i chińską sztukę wojenną oraz ich wpływ na genezę podstawowych cech obu cywilizacji – europejskiej i konfucjańskiej. Zawodowo specjalizuje się w negocjacjach handlowych, a naukowo zajmuje się psychologią konfliktu i historią wojskowości. Autor *Starożytnej mądrości chińskiej* oraz 36 forteli. *Chińska sztuka podstępu, układania planów i skutecznego działania*.



*Zaproszenie
na spotkanie
hołżeńskie*



FOT. ARCHIWUM GRUPY REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ COMMANDO (2)
FOT. ZBIORY MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

**Kpt. Władysław
Smrokowski
(pierwszy z lewej)
podczas szkolenia
w Szkocji**

Pierwszy komandos

**Major Władysław Smrokowski był dowódcą pierwszego
w polskiej armii oddziału wojsk specjalnych.**

ANNA DĄBROWSKA

Zarząd zawiązał się jako dwudziestolatek, wstępując w 1929 r. do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. Trzy lata później trafił do służby w 3 Pułku Strzelców Podhalańskich, a od 1935 r. był instruktorem, następnie zastępcą komendanta Szkoły Podchorążych Rezerwy w Cieszynie.

W 1939 r. dowodził kompanią 4 Pułku Strzelców Podhalańskich. Po walkach pod Ułowem i Tomaszowem Lubelskim por. Smrokowski zebrał rozproszone oddziały i na czele jednej z grup udało mu się przekroczyć granicę z Węgrami. Dotarł do Francji, gdzie walczył w szeregach 1 Dywizji Grenadierów. Podczas przedzierania się na południe do nieokupowanej części kraju został ciężko ranny w nogę. Z pomocą żołnierzy dotarł do Lyonu, gdzie trafił do szpitala. Za kampanię francuską – na wniosek gen. Bronisława Ducha, dowódcy 1 DG – oficera Stanisława Smrokowskiego odznaczono Orderem Woennym Virtuti Militari V kl.

Jego odwagę na polu walki doceniono także w inny sposób. W sierpniu 1942 r. został dowódcą nowej elitarniej jednostki – 1 Samodzielnej Kompanii Komandosów. Po przeszkoleniu jednostkę przerzucono w grudniu 1943 r. do Włoch. W górach Abruzzach nad rzeką Sangro 13 grudnia kpt. Smrokowski poprowadził pierwszy polski patrol we Włoszech. Kilka dni później koło miej-

scowości Pescopennataro jego komandosi odparli atak 200 elitarnych niemieckich strzelców alpejskich, nie tracąc ani jednego żołnierza.

Wiosną 1944 r. kompania weszła w skład 2 Korpusu Polskiego. Podczas bitwy o Monte Cassino oficer dowodził zgrupowaniem Commando, które składało się z komandosów i szwadronu szturmowego 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Jego głównym zadaniem było opanowanie stromego wzgórza San Angello bronionego przez niemiecką elitarną 1 Dywizję Strzelców Spadochronowych. Po ciężkich walkach żołnierze mjr. Smrokowskiego 19 maja zdobyli wzgórze. Po bitwie o Ankone, za zasługi podczas walk we Włoszech, major otrzymał z rąk Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego Złoty Krzyż Orderu Virtuti Militari. Oficer na czele swoich komandosów walczył też w bitwie o Bolonię, w której jego żołnierze odznaczyli się przy forsowaniu rzeki Gaiana.

Po zakończeniu wojny major pozostał na emigracji, pracował m.in. w hucie żelaza w Chicago. Zmarł na zawał serca 2 stycznia 1965 r. Spoczywa na cmentarzu pod Chicago, a pośmiertnie został awansowany do stopnia podpułkownika.

ANNA DĄBROWSKA dziennikarka portalu Polska-Zbrojna.pl i miesięcznika „Polska Zbrojna”.

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

| WOJSKO |
| POLSKIE |

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Szas generalny czy ogólny wycisk

Ponadstuletnia przerwa w istnieniu własnej floty, a także postęp techniczny w budowie okrętów spowodowały konieczność przyjęcia i zaadaptowania komend oraz określeń z flot państw obcych.

ANDRZEJ ŁYDKA

Najwięcej zapożyczeń było w języku marynarskim. Komandor Bolesław Romanowski, polski dowódca okrętów podwodnych, wspominał wysiłki Kierownictwa Marynarki Wojennej podejmowane w celu wyrugowania z marynarskiego słownictwa takich dziwnych wyrazów, jak noria, kofferdam, tekalemit, fendekurs i magier, katfiszki, szoty, projektory. „Peleng został wyparty przez namiar, szlupbelki przez żurawiki, szturwał przez koło sterowe, szot przez gródź”¹, pisał. Kierownictwo Marynarki Wojennej poszło za ciosem i nakazało zamiast słowa „szas” używać „wycisk”. Szasować (z francuskiego *chasse*) oznaczało czynność opróżniania z wody głównych zbiorników balastowych (okrętu podwodnego) za pomocą sprężonego powietrza.

Podczas inspekcji ORP „Wilk” polski admirał Józef Unrug, zarazem niemiecki oficer pokładowy okrętów podwodnych z czasów Wielkiej Wojny, usłyszał komendę „Ogólny wycisk”. „Twarz admirała poczerwieniała, zachnął się i zwrócił do dowódcy okrętu z zapytaniem:

– Cemu wszakże pan pozwalasz na kpiny i to podczas inspekcji?

Dowódca wyjaśnił, że na okręcie wszystkie komendy są ściśle przepisowe.

– A »ogólny wycisk«? To nie jest wszakże przepisowe!

– Wręcz odwrotnie – rzekł dowódca. – Z polecenia Kierownictwa Marynarki Wojennej używane jest słowo »wycisk« zamiast »szas«. A ponieważ wyraz »generalny« jest cudzoziemski, zastąpiliśmy go polskim »ogólny«. Cała komenda więc brzmi: »ogólny wycisk«.

– A jak wszakże było przed tym?

– »Szas generalny«.

– Stosujcie to nadal! To brzmi lepiej”².

¹ B. Romanowski, *Torpeda w celu!*, Warszawa 1958, s. 50.

² Tamże, s. 51.



1. Marynarze na polskim okręcie wojennym. Gdynia, lata 1940–1944.
2. Uroczystość na pokładzie ORP „Garland”. Gdynia, lata 1940–1945.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Święto 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie. Defilada rekrutów po przysiędze. Grudzień 1934 r.

Charakter podniosły uroczystości wojskowych

Ceremoniał wojskowy jest zbiorem zasad, które nadają ramy uroczystościom z udziałem wojskowej asysty honorowej.

MARIUSZ KUBAREK

Zasady ustanowiono po to, aby przeprowadzić organizatora uroczystości przez zawiłości ceremonialne i etykietę. By przedsięwzięcie, którego się podjął, miało charakter podniosły, zgodny z obowiązującymi w wojsku przepisami i poszanowaniem wartości patriotycznych.

Historia polskiego ceremoniału wojskowego ma wielowiekową tradycję i sięga wczesnośredniowiecznych ceremonii dworskich oraz rycerskich opisanych m.in. w *Kronice polskiej* Galla Anonima. Dokumenty zawierające regulacje ceremonialne, poza kilkoma wyjątkami, kształtowały się jednak dopiero w XIX i XX w.

Żandarm w ubiorze parady, 1815-1887

Statuty polskiego sejmu, zarządzenia i rozkazy

Pierwsze zapisy odnoszące się do przeprowadzania uroczystości wojskowych zawarto w statutach polskiego sejmu, wydawanych od drugiej połowy XV w. W XVIII w. pojawiały się drukiem pierwsze regulaminy musztry. W większości przypadków dokumentami, na których podstawie odbywały się uroczystości z udziałem wojsk, były jednak odrębne i jednorazowe zarządzenia i rozkazy. Rozbiory Polski i utrata państwowości doprowadziły do zatracenia wypracowanych przez wieki rozwiązań i wprowadzenia licznych naleciałości ceremonialnych przejętych zarówno od sojuszników, jak i zaborców. Przykładem jest wzięty z armii cesarza Napoleona I dwuczęściowy *Przepis musztry i manewrów dla piechoty*, wydany przez Drukarnię Wojskową w Warszawie w latach 1830–1831.



FOT. POLONA.PL

Regulaminy

W latach 1911–1918 powstawały regulaminy zarówno dla formacji militarnych, np. Polskich Drużyn Strzeleckich, jak i polskich oddziałów wojskowych walczących na frontach I wojny światowej, głównie Legionów Polskich. Na uwagę zasługuje zwłaszcza *Regulamin wewnętrzny. Służby szczególne. Oddawanie honorów, uroczystości*, wydany nakładem Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego w maju 1916 r. w Piotrkowie. W dokumencie tym prawdopodobnie po raz pierwszy opisano uroczystości związane z wręczeniem i poświęceniem oraz oddaniem sztandaru, pogrzebem wojskowym i udziałem żołnierzy w nabożeństwie.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w odrodzonym Wojsku Polskim został wprowadzony do użytku *Regulamin służby wewnętrznej* Część X. *Uroczystości, obchody i przyjęcia – Projekt*, wydany w 1919 r. Przewiduje on, oprócz udziału wojska w nabożeństwach i pogrzebach, także elementy ceremoniału państwowego, takie jak uroczystość państwowa rocznicy konstytucji 3 maja, uroczyste przyjęcie naczelnika państwa, naczelników państw obcych.

Okres międzywojenny to czas wytężonej pracy nad różnymi formami ceremoniału wojskowego. W 1921 r. został wydany zaktualizowany *Regulamin piechoty. Musztra*, w którym opisano m.in. parady wojskowe, a w 1924 r. *Regulamin służby wewnętrznej*. To na nim wzorowano się przy tworzeniu *Regulaminu służby wewnętrznej* z 31 marca 1945 r. Jednocześnie, po przewrocie majowym, coraz większe znaczenie w sprawie uroczystości wojskowych i szkoleniu z musztry miały wpływy francuskie, wypierające dotychczas obowiązujące niemieckie.

Lata 1918–1939 to także okres rozwoju polskiej dyplomacji i ceremoniału państwowego. Dwóch głównych twórców protokołu – hr. Stefan Przeździecki i Karol Bertoni – przygotowało zbiór przepisów protokółarnych na podstawie rosyjskich i austro-węgierskich elementów dworskich, wzbogacony o polskie tradycje narodowe, uwzględniający również udział w ceremoniach asysty wojskowej.

Elementy zaczerpnięte z regionów świata

Okres II wojny światowej to czas, gdy polskich żołnierzy obowiązywał ceremoniał wojskowy na podstawie przedwojennych regulaminów. Ulegał on jednakże przemianom –

CEREMONIAŁ W II RP

Okres międzywojenny był czasem wytężonej pracy nad różnymi formami ceremoniału wojskowego. Na zdjęciu: *Tymczasowe przepisy oddawania honorów obowiązujące w Wojsku Polskim, Warszawa 1919 r.*



FOT. POLONA.PL

był modyfikowany i wzbogacany o nowe elementy oraz dostosowywany do zasad obowiązujących w regionie świata, w którym walczyli polscy żołnierze.

Po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie bezpowrotnie przepadły wypracowane przez nie wzorce uroczystości. Powstałe w Związku Sowieckim Wojsko Polskie próbowało zachować swoje przedwojenne tradycje. Sytuacja polityczna sprawiła jednak, że ceremoniał zaczął bardziej odgrywać rolę czynnika kształtującego światopogląd niż elementu upowszechniania tradycji i patriotyzmu.

Jeszcze *Regulamin służby wewnętrznej* z marca 1945 r. zawierał takie elementy, jak rota przysięgi zakończona słowami „Tak mi dopomóż Bóg”, jednak usunięto już z niego formy i przebieg uroczystości wojskowych.

Powracały one dopiero w kolejnych wydaniach *Regulaminu służby wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL* z lat 1950 i 1958. Pojawiały się opisy uroczystości: podniesienia flagi, przekazania sztandaru, wręczenia odznaczeń. Z każdym rokiem przybywało form uroczystości i dokumentów, które próbowały te kwestie unormować. Ostatnim *Regulaminem służby wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL*, który opisywał uroczystości, był dokument z 1970 r.

Dopiero w 1973 r. do ludowego Wojska Polskiego trafił, wydany nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej, *Ceremoniał wojskowy*. We wstępie napisano: „Podręcznik systematyzuje zasady organizowania i przeprowadzania ceremonii wojskowych zawarte w różnych dokumentach i przepisach [...] nie wszystkie zawarte w podręczniku zasady będą mogły być w każdej jednostce absolutnie ściśle przestrzegane. Należy je zatem traktować jako wskazania realizowane w sposób twórczy”. Po raz pierwszy powstał dokument, który był zbiorem zasad określających sposób przeprowadzania uroczystości. Zawierał przebieg uroczystości i schematy ustawienia pododdziałów. Obejmował również elementy ceremoniału morskiego i lotniczego. Szybko okazało się, że choć szczegółowy, wymagał nowelizacji. Już w 1978 r. powstała jego wersja rozszerzona – zmianie uległ układ rozdziałów, rozbudowano zagadnienia poświęcone ceremoniałowi morskiemu i lotniczemu, dodano uroczystości garnizonowe.

Po 1989 r.

Zmiany, które dokonały się w Polsce po 1989 r., wymusiły wprowadzenie nowych form udziału asysty wojskowej w uroczystościach. W 1995 r. przekazano do użytku służ-

bowego w Wojsku Polskim *Ceremoniał wojskowy*, zastępujący ten z 1978 r. Z dokumentu usunięto zapisy odnoszące się do minionej sytuacji politycznej. Powstały w nim nowe rozdziały, które zawierały opisy udziału asysty wojskowej w ceremoniach patriotyczno-religijnych, scenariusze ceremonii dla żołnierzy pełniących służbę w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz omawiające ceremonię przejścia obowiązków zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi przez prezydenta RP.

Po wejściu Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego konieczna była nowelizacja ceremoniału i rozbudowanie go o nowe formy uroczystości. Powołany w Ministerstwie Obrony Narodowej w 2009 r. zespół opracował dokument, który został rozszerzony m.in. o udział wojska w uroczystościach religijnych z rozróżnieniem na uroczystości katolickie, prawosławne i ewangelickie, przedsięwzięcia realizowane w polskich kontyngentach wojskowych oraz udział w charakterze asysty honorowej Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego.

10 kwietnia 2010 r.

Wprowadzony w styczniu 2010 r. *Ceremoniał wojskowy* nie przewidywał wydarzeń, które miały miejsce w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r. Po dramatycznej śmierci pasażerów samolotu konieczne stało się przygotowanie ceremonii sprowadzenia ciał i pogrzebów najważniejszych osób w państwie i najwyższych dowódców Wojska Polskiego.

Okazało się, że oprócz ceremoniału, który był oczywiście wskazówką, jak przeprowadzać przedsięwzięcia, podstawą stało się doświadczenie i praktyka osób zaangażowanych w przygotowanie i przeprowadzenie uroczystości.

Ostatnie opracowanie *Ceremoniału wojskowego* z 2014 r., obowiązujące obecnie, znowelizowano w związku ze zmianą systemu dowodzenia w Siłach Zbrojnych i utworzeniem Dowództwa Generalnego Sił Zbrojnych oraz Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych. Aktualizacja ta zawiera nieznacznie zmodyfikowany przebieg uroczystości.

I choć od ostatniego wydania *Ceremoniału wojskowego* minęły cztery lata, obecnie trwają prace nad kolejnymi zmianami, wynikającymi chociażby z wprowadzenia do wyposażenia pododdziałów reprezentacyjnych nowego uzbrojenia oraz utworzenia nowego rodzaju sił zbrojnych – Wojsk Obrony Terytorialnej.

Ceremoniał wojskowy jest poradnikiem przeprowadzania uroczystości. Obserwując ewolucję tego dokumentu w ciągu lat, można jednak dojść do wniosku, że z regulaminu, który jasno nakazywał realizację czynności i regulował przebieg uroczystości, stał się materiałem pomocniczym swobodnie interpretowanym przez organizatorów ceremonii, co sprawia, że te same uroczystości – choć poprawnie przeprowadzone – są czasami zupełnie inne. ■

PLK MARIUSZ KUBAREK szef Oddziału Protokołu Wojskowego Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych Ministerstwa Obrony Narodowej.

FOT. KONRAD KĄCZMAREZ/DOWÓDZTWO GARNIZONU WARSZAWA



Zmiana warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie

Przewodnik po miejscach,

Ujazdów, część III

Co stało się z pierwotnym ujazdowskim założeniem obronnym?
Jak teraz wygląda miejsce po dawnym grodzie
i co się tam obecnie znajduje?

ROBERT MARCINKOWSKI

Od momentu założenia Warszawy Ujazdów zmienił funkcje i stał się raczej letnią siedzibą władców, a gródek opuszczono. Dawne podgrodzie rozwinęło się w dość sporą wieś, a królewskie rezydencje powstawały na północ od obecnej ul. Agrykola, w miejscu późniejszych koszar ujazdowskich. Wspomniana wieś, ciągnąca się wzdłuż skarpy na północ od obecnego Belwederu, istniała do drugiej połowy XVIII w. Jej kres był związany z urządzeniem terenu wokół regulowanego odcinka Traktu Czerskiego, obecnie zwanego Alejami Ujazdowskimi. Górny taras skarpy wiślanej – od wąwozu Agrykoli po Belweder – przeznaczono na tzw. ogród użytkowy, mający zaspokajać stale rosące potrzeby królewskiej rezydencji w Łazienkach. Około 1780 r. podjęto decyzję o likwidacji wsi i najprawdopodobniej też wtedy splantowano częściowo pozostałości dawnego grodziska.

Osada ta z inicjatywy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego odrodziła się pod nazwą Nowej Wsi. Miała wzorcowo zaprojektowane, jednakowe zagrody, symetrycznie rozłożone wzdłuż traktu wiodącego z Ujazdowa na Wolę, który z czasem zaczęto nazywać ul. Nowowiejską.

Po rozebraniu kmięcych zabudowań na uzyskanej przestrzeni urządzono zaplecze ogrodnicze dla pobliskich Łazienek. Najbardziej efektowną budowlą, która przetrwała w szczątkowej formie do naszych czasów, był tzw. *Trebhauz*, czyli cieplarnia mająca chronić rośliny egzotyczne. Zaprojektowano ją z rozmachem, wiedziano bowiem, że król przywiązuje dużą wagę do ciępolubnych roślin i będzie tu często przebywał, bądź to doglądając swych hodowli, bądź to chwalać się nimi przed podejmowanymi w rezydencji gośćmi. Obiekt ów przetrwał szczęśliwie do XX w., choć został w wyniku

ostatniej wojny znacznie uszkodzony, a podczas odbudowy środkową partię niemal doszczętnie rozebrano.

Od 1797 r. na terenie obecnego Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego funkcjonował cmentarz wojskowy, przeznaczony dla pruskich żołnierzy stacjonujących w pobliskich koszarach ujazdowskich. Chowano tu zarówno szeregowych żołnierzy, jak i kadrę oficerską. Nekropolię zamknięto już w 1806 r., a ostatecznie zlikwidowano ok. 1818 r., co zbiegło się w czasie z decyzją o przeniesieniu tu Ogrodu Botanicznego, funkcjonującego dotychczas u podnóża skarpy, poniżej Pałacu Kazimierzowskiego. W dokumentach nie znajdujemy potwierdzenia o ekshumacji mogił wojskowych, a zatem – jak można się domyślać – teren ów jedynie splantowano. Potwierdza to po trosze relacja znanego varsavianisty Franciszka Sobieszczańskiego z ok. 1865 r., w której wspomina on o widocznych gołym okiem ułamkach kostnych znajdujących na rabatach Ogrodu Botanicznego funkcjonującego już wówczas od bez mała 50 lat.

Działkę pod ogród wydzielono z ówczesnych Łazienek za zgodą i aprobatą cara Aleksandra I, który rok wcześniej odkupił dawną rezydencję królewską od spadkobierców Stanisława Augusta Poniatowskiego. Cały obszar górnego ogrodu użytkowego, ciągnącego się od Agrykoli po Belweder, wraz z cieplarniami i szklarniami, a także stojącą poniżej skarpy Starą Pomarańczarnią, zaadaptowano więc na potrzeby dydaktyczne nowo powstającego Uniwersytetu Warszawskiego. Ogród funkcjonował także wtedy, gdy w ramach represji po Powstaniu Listopadowym uniwersytet zamknięto. Wówczas to zmniejszono o ponad połowę powierzchnię placówki do dzisiejszych jej rozmiarów, włączając odebrany teren u podnóża skarpy do Łazienek Królewskich. ►

których już nie ma



Wejście do Ogrodu Botanicznego od strony Alej Ujazdowskich. Po prawej, za żywopłotem, widoczny jest fragment osiemnastowiecznego Trebhauzu, czyli cieplarni wzniesionej tu jeszcze za Stanisława Augusta Poniatowskiego. W latach dwudziestych XIX w. dostawiono do niej budynek obserwatorium astronomicznego. Na uwagę zasługuje konstrukcja na dachu mieszcząca teleskop. Pocztówka z ok. 1900 r., bez obiegu. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



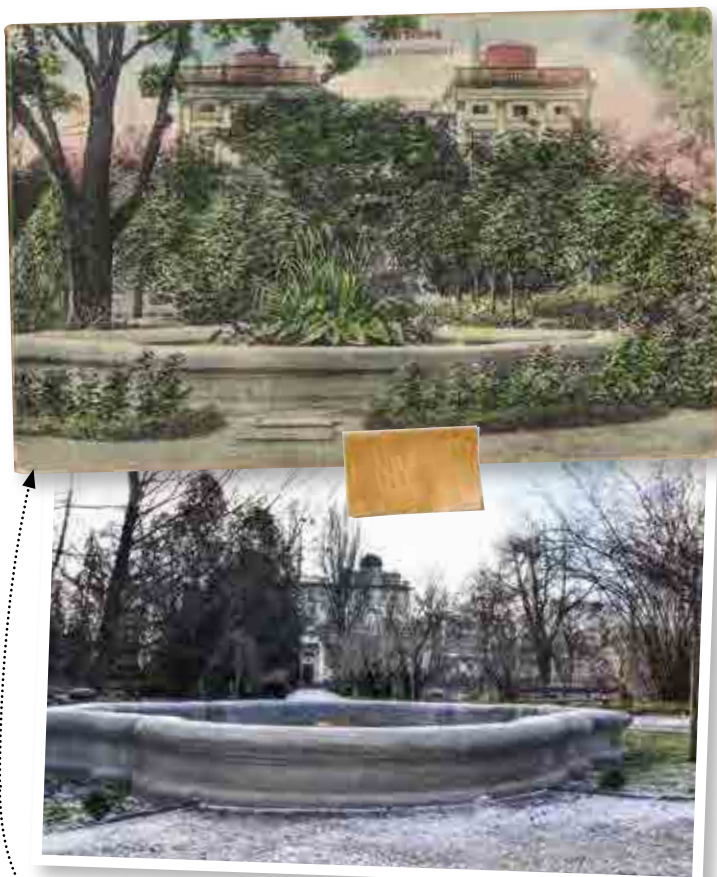
FOT. ROBERT MARCINKOWSKI



Widok gmachu w nieco szerszej perspektywie niż na poprzednim ujęciu. Pocztówka okolicznościowa wydana z okazji jubileuszu stu-lecia Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Znanych jest kilka kart pocztowych propagujących z okazji tej rocznicy instytucję obserwatorium. Pocztówka jubileuszowa z 1925 r., bez obiegu. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego



FOT. ROBERT MARCINKOWSKI



Pocztówka, podbarwiana ręcznie akwarelą, przedstawia Ogród Botaniczny Uniwersytetu Warszawskiego. Obiekt ów był wśród warszawiaków o tyle popularny, co... nefotogeniczny. Trudno bowiem było z płataniny wąskich alejek, spowitych dość gęsto zielenią, wydobyć atrakcyjne ujęcia. Być może właśnie dlatego na kartkach pocztowych nader często pojawia się w tle gmach obserwatorium tak bardzo kojarzony z ogrodem. Pocztówka z ok. 1912 r., obieg: 29 listopada 1913 r. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego

W tym samym czasie podjęto także decyzję o stworzeniu obserwatorium astronomicznego po północnej stronie *Trebhauzu*. Teren znakomicie się do tego nadawał, był na wzgórzu i daleko za miastem, co umożliwiało idealną penetrację nieba. Dziś sytuacja jest zgoła inna: to łazienki wraz z przyległościami stanowią oazę zieleni otoczoną zwartą miejską zabudową. Wznoszenie obserwatorium nieco się przeciągało. Otóż pierwszego z budowniczych, prowadzących prace Michała Kado odsunięto od inwestycji w następstwie zarzutów o niegospodarność i nieudolne kierownictwo. Jego funkcję przejął Hilary Szpilowski. Gmach ukończono w 1824 r., a obserwatorium oddano do użytku rok później. Z nielicznymi przerwami działa ono do dzisiaj i tak mocno zrosło się z Ogrodem Botanicznym, że obecnie mało kto zauważa,



FOT. ROBERT MARCINKOWSKI (2)

Ujęcie ogrodu w podobnej konwencji co na poprzedniej pocztówce. Tym razem fotograf ustawił się nieco na wschód od uwiecznionej na poprzedniej karcie, istniejącej do dzisiaj, fontanny. Park jest zupełnie pusty, zapewne z powodu wczesnej pory, na którą wskazują delikatne cienie rzucane przez drzewa i oświetlenie gmachu obserwatorium. Pocztówka z 1908 r., obieg: 20 lipca 1910 r. Kolekcja prywatna Roberta Marcinkowskiego

że były i w dalszym ciągu są to dwie odrębne instytucje. Nie wdając się dalej w szczegóły bogatej historii, zarówno obserwatorium, jak i ogrodu, warto na koniec przytoczyć ciekawy fakt z czasów II wojny światowej. Wówczas to Ogród Botaniczny był jedynym w Warszawie parkiem dostępnym dla Polaków, co było solą w oku dla niemieckich władz okupacyjnych. Z końcem 1942 r. podjęto więc odpowiednie kroki, by całość wcielić do Łazienek i uniemożliwić Polakom wstęp na teren obiektu. ■

ROBERT MARCINKOWSKI absolwent Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych Uniwersytetu Warszawskiego. Z wykształcenia i zawodu kartograf. Z zamiłowania varsavianista. Wieloletni członek Komisji ds. Nazewnictwa Miejskiego Rady m.st. Warszawy. Wyróżniony odznaką „Zasłużony dla Warszawy”. Autor kilkunastu pozycji książkowych, w tym *Ilustrowanego Atlasu Dawnej Warszawy*.

Świat



ANDRZEJ WITKOWSKI

filokartystyki

Nasze zamachy mają jeden cel – odeprzeć natychmiast bezecne gwałty siepaczków carskich tak, by widzieli, że ich czyny nie ujdą im bezkarnie” – głosił u progu XX w. na swoich łamach „Robotnik”, organ Polskiej Partii Socjalistycznej. Tak tłumaczono potrzebę dokonywania zamachów na rosyjskich dygnitarzy, żandarmów i agentów carskiej ochrony.

Skutki zamachu dokonanego 19 maja 1905 r. na generała-gubernatora warszawskiego Konstantina Maksymowicza przedsta-

wia załączona pocztówka. Z powodu dekonspiracji, ochotnik z organizacji bojowej PPS inżynier elektronik Tadeusz Dzierzbicki, osaczony przez tajniaków z ochrony na werandzie cukierni Wacława Trojanowskiego przy ul. Miodowej, przedwcześnie zdetonował bombę własnej konstrukcji. Zginęło kilku Rosjan i sam zamachowiec. Carski dygnitarz cudem ocalał. Chwilę po zamachu na miejscu zdarzenia pojawili się żandarmi, tajniacy, a także reporterzy gazet i zwykli gapię. Z kolekcjonerskiego obowiązku należy dodać, że obok cukierni Trojanowskiego widać sztyl znaną firmę Karola Sommera wydającą między innymi pocztówki, z których dziś wiele jest poszukiwanym rarytasem.

Wracając do nieudanego zamachu, warto odnotować, że jego cel – choć nie tak jak planowali spiskowcy – osiągnięto. Maksymowicz przeżył szok, który nie pozwalał mu opuszczać murów jego warszawskiej rezydencji. Władze zwierzchnie odwołały go ze stanowiska za tchórzostwo i przeniosły do Twierdzy Zegrze. Ponieważ nadal nie opuszczała go trauma, z nowej siedziby nosa nie wychylał, przez co miejsca tam długo nie zagrażał. Moskiewski taki urzędnik chluby nie przynosił.

ZAGADKA DLA CZYTELNIKÓW

Na zdjęciu obok, wykonanym ze szklanego negatywu udostępnionego przez kolekcjonera Edwarda Szymczaka, uwidocznieni zostali żołnierze i sprzęt używany przez polską armię w pierwszych latach odrodzonej Rzeczypospolitej. Radiostacja przenośna YB1 była w początkach lat dwudziestych XX w. nowoczesną konstrukcją opracowaną w brytyjskiej firmie Marconi's Wireless Telegraph Co. W Polsce, użytkowana pod oznaczeniem RKA (radiostacja korespondencyjna armii), służyła do utrzymywania łączności na szczeblu dywizji i armii. Miała zasięg do 250 km. Na stanie Wojska Polskiego znajdowało się ok. 100 urządzeń tego typu.

Oczywiście, jak zwykle, pytamy naszych czytelników: żołnierze jakiej jednostki WP pozują na zdjęciu? Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres: andrzej.witkowski@zbrojni.pl

Dziękujemy Jerzemu S. Wojciechowskiemu z Lublina i Wojciechowi Dowiedczykowi z Olsztyna za informacje dotyczące fotografii zamieszczonych w numerze 3 naszego kwartalnika. Na zdjęciu pokazaliśmy elewa z batalionu remontowego Szkoły Podoficerskiej, który stacjonował w Rembertowie. Nagrody książkowe wyślemy pocztą.



Wysiłek ku zjednoczeniu

Generał Kazimierz Sosnkowski po II wojnie światowej na emigracji podejmował próby konsolidacji polskich stronnictw i ugrupowań politycznych działających na Zachodzie.

PAWEŁ SZTAMA

Sosnkowski był „wszechstronnie utalentowanym intelektualistą, typem szlachetnego patrioty”, ale przede wszystkim długoletnim towarzyszem walki i najwierniejszym polityczno-wojskowym uczniem Józefa Piłsudskiego. Generał uważał, że nieuprawnione jest porównywanie go do Marszałka. „Znałem i uznawałem moralne i faktyczne prawo do wodzostwa u jednego tylko człowieka, który życiem całym sobie to prawo zdobył; wszystko poza tym to tylko epigonizm, istna inflacja diadochów” – podkreślał.

To właśnie Sosnkowskiego, a także Edwarda Śmigłego-Rydza marsz. Piłsudski oceniał najwyżej spośród kadry oficerskiej. Mimo że ich drogi rozeszły się po przewrocie majowym, Sosnkowski do ostatnich chwil życia był największym spadkobiercą myśli politycznej Komendanta.

Generał w ciągu kilkudziesięciu lat piastował wiele ważnych stanowisk dowódczych i ministerialnych, co oznaczało – oprócz niewątpliwych: prestiżu i splendoru – ogromną odpowiedzialność. Po zakończeniu II wojny światowej Sosnkowski, widząc ogromny podział wśród polskich elit emigracyjnych, postanowił podjąć się misji zjednoczeniowej.

Książka *O zjednoczenie i legalizm. Ostatni akt życia publicznego Kazimierza Sosnkowskiego* znakomitego publicysty i niezłego polityka Tadeusza Katelbacha to opowieść o ostatnim wielkim zadaniu generała. Dzieło to opracował świetny historyk wojskowy dr Jerzy Kirszak wraz z dyrektorem Wojskowego Biura Historycznego im. gen. Kazimierza Sosnkowskiego dr. hab. Sławomirem Cenckiewiczem. Katelbach na przykładzie powojennej działalności gen. Sosnkowskiego w sposób przystępny zobrazował dzieje sporów, które wybuchały wśród polskich elit politycznych przebywających od II wojny światowej na przymusowej emigracji. Opracowanie to napisane jest z perspektywy sympatyka generała, do czego Katelbach przyszedł się we wstępie *Od autora*. Niemniej to, co na pierwszy rzut oka może wydawać się najsłabszą stroną książki, po jej przeczytaniu już takową nie jest. Zwykła publikacja staje się bowiem czymś w rodzaju wspomnień człowieka, który przyglądał się bacznie i z bliskiej per-



Tadeusz Katelbach, *O zjednoczenie i legalizm. Ostatni akt życia publicznego Kazimierza Sosnkowskiego*, oprac. Jerzy Kirszak, Warszawa 2017

spektywy działalności Sosnkowskiego oraz innych polityków przebywających za granicą. Dzięki temu Katelbach zdobył wiedzę o politycznych rozgrywkach i posunięciach wewnątrz obozu emigracyjnego. Tym samym opisał poszczególne etapy podejmowanych przez generała prób zjednoczenia polskich stronnictw i ugrupowań politycznych działających na Zachodzie. Sosnkowski doskonale zdawał sobie sprawę ze swojego autorytetu i próbował go wykorzystać do połączenia skłóconych sił. Zjednoczona emigracja była *idée fixe* generała. Tylko skonsolidowana mogła cokolwiek znaczyć wobec rządów Stanów Zjednoczonych lub Wielkiej Brytanii. I kiedy wydawało się, że marzenia Sosnkowskiego mogą się ziścić, na przeszkodzie stanęli politycy rozumujący kategoriami tu i teraz...

Jednocześnie, o czym Katelbach kilkakrotnie przypominał, Sosnkowskiemu zależało, aby wszystkie podejmowane przez niego działania i ich ewentualne następstwa były zgodne z tekstem polskiej konstytucji z 1935 r. Generał pod tym względem był niezwykle konsekwentny i pryncypialny. Legalizm był dla niego prawdziwym *sacrum*, którego nie wolno było naruszyć ani ominąć. Nie rozumieli tego jego partnerzy z różnych politycznych stronnictw. Brakiem roztropności, a także politycznych talentów wykazali się ci, których Sosnkowski uważał za ludzi myślących innymi kategoriami niż partykularne interesy.

Zasadniczą część książki składa się z 10 rozdziałów, przygotowanych przez Katelbacha. Istotne uzupełnienie opracowania stanowią: *Wprowadzenie do pierwszego wydania w kraju* oraz *Prolog, czyli senator i „Kazimierz Zjednoczyciel”*. *Wprowadzenie...* przygotowane przez Cenckiewicza i Kirszaka pokazuje kręte losy tej publikacji. Napisał przez dyrektora Wojskowego Biura Historycznego *Prolog...* pokazuje genezę sporu, który zapoczątkował m.in. rozchwiany charakter ciężko schorowanego prezydenta RP na uchodźstwie Władysława Raczkiewicza, a także współpracę Katelbacha i Sosnkowskiego w celu zjednoczenia polskiej emigracji.

Książka *O zjednoczenie i legalizm* wydana została we współpracy Wojskowego Biura Historycznego i Wydawnictwa Literackiego.



ADAM SIWEK
DYREKTOR BIURA UPAMIĘTNIANIA
WALK I MĘCZEŃSTWA
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Ta misja wciąż trwa

Wielkim wyrzutem sumienia powinno być to, że wciąż jeszcze tak liczni żołnierze Wojska Polskiego z września 1939 r. nie są odnalezieni i pochowani z szacunkiem na cmentarzach wojennych.

Państwo – czy to sięgamy do średniowiecza, czy też mówimy o czasach nowożytnych, czy w końcu doświadczamy czasów nam współczesnych – zawsze dbało o pochówek swoich wojowników, wiernych żołnierzy. Po bitwach najczęściej chowano ich we wspólnych mogiłach żołnierskich. Wyjątkowość tych miejsc oznaczano głazami lub usypanymi kurhanami. Dziś naszym zadaniem jest mozolne odnajdywanie tych mogił. Odczytywanie na nowo historii, którą opowiadają. Nie zawsze jest to proste, jak chociażby w przypadku bitwy pod Grunwaldem. Dotąd nie wiadomo bowiem, gdzie ostatecznie tysiące tam poległych spoczywają. Nie każdy z wojennych pochówków był właściwy. Często, odnosząc się do czasów współczesnych, żołnierzy pozostawiano tam, gdzie polegli. Ich ciała przysypano ziemią w dołku strzeleckim, w okopie. Nie było zapewne możliwości, by zabrać je z pola walki i pochować na cmentarzu wojennym. Ale zobowiązania państwa wobec ich szczątków trwają nadal. Ta misja wciąż trwa. I wciąż mamy tu duże zaległości. Zaniedbania sięgają jeszcze okresu po 1945 r.

W służbę żołnierską w sposób oczywisty wpisane jest ryzyko śmierci. Jeżeli państwo polskie oczekuje od swoich obrońców najwyższej ofiary to musi też zagwarantować, że zadba o ich doczesne szczątki, nie pozostawi na pobojowisku, ale pochowa z honorami, a o ich losie powiadomi rodzinę. Jeżeli państwo, nawet po dziesiątkach lat, podejmuje starania o odszukanie i ekshumację pozbawionych grobu szczątków żołnierzy lub pomordowanych obywateli to wzmacnia swoją powagę i wiarygodność.

Jednym z miejsc niezwykłych są Lasy Janowskie i rozsiane w nich szczątki żołnierzy z września 1939 r. Grzebano ich pośpiesznie w warunkach polowych – szli na odsiecz oblężonego już wówczas przez dwóch agresorów Lwowa. Wierne miasto nie doczekało jednak swojej wiernej, ofiarnej armii. Będziemy szukać prochów jej żołnierzy nadal.

Rodziny poległych dowiadują się po latach, jaki był los ich bliskich. Ci, których prochów nie odnaleźliśmy, wciąż przecież są uznawani za zaginionych. Dotykamy tutaj obszarów ulotnych i transcendentnych, bo obcowanie ze szczątkami ludzkimi czy z przedmiotami, które towarzyszyły śmierci żołnierskiej, często bardzo brutalnej, gwałtownej, niesie ze sobą duże emocje. Odsłanianie szczątki nawet po wielu latach wciąż kryją w sobie tajemnicę majestatu śmierci. Jaka była? Szybka, gwałtowna? Czy celny strzał zakończył życie nagle, czy też ranny konał w męczarniach, porzucony na polu walki? Ekshumacje odkrywają tajemnice. Doświadczaliśmy tego, otwierając przed laty groby ofiar rzezi wołyńskiej we wsi Ostrówki. Ujawniliśmy grozę ostatnich chwil pomordowanych kobiet, dzieci i starców. Ich niewyobrażalne cierpienie. Opowiedzieliśmy o tym światu. Każdy, kto ma za sobą takie doświadczenie, wie, że w odkrytych relikwiach z dołów śmierci i odzyskanych ludzkich szczątkach wciąż zachowana jest pamięć nagłej śmierci, jej groza i rozpacz. Tego się nie zapomina. Te wspomnienia towarzyszyć nam będą już przez całe życie.



FOT. STUDIO MTJ

MAŁGORZATA ŁĘTOWSKA
SEKRETARZ REDAKCJI

„KTO RATUJE JEDNO ŻYCIE, RATUJE CAŁY ŚWIAT” – TE SŁOWA WIDNIEJĄ NA MEDALACH PRYZNAWANYCH SPRAWIEDLIWYM WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA.

Spośród ponad 26 tys. osób, które zostały uhonorowane tym tytułem, jest ponad 6600 Polaków. Wszystko jednak wskazuje na to, że Polaków ratujących Żydów było znacznie więcej niż oficjalnie odnotowano.

Jan Karski, Zofia Kossak-Szczucka, Irena Sendlerowa, s. Teresa Janina Kierocińska, Antonina i Jan Żabińscy, brzemienista Wiktoria i Józef Ulmowie i ich sześcioro dzieci, Wincenty i Łucja Barankowie z synami Tadeuszem i Henrykiem oraz teściową Katarzyną – to tylko niektóre postaci. Znane są osoby upamiętnione przez instytut Yad Vashem lub w inny sposób, wiadomo też, że były tysiące Polaków ratujących Żydów, do dziś nieznanych z imienia i nazwiska.

W czasie II wojny światowej zginęło niemal 6 mln polskich obywateli. Połowa z nich to społeczność żydowska. Niemcy – po napaści 1 września 1939 r. na Polskę – na okupowanych ziemiach wydali antyżydowskie nakazy. Żydzi powyżej dziesiątego roku życia musieli nosić opaskę z gwiazdą Dawida, mieli obowiązek pracy, zakaz korzystania ze środków transportu i opuszczania miejsca zamieszkania bez zezwolenia. Część z nich kierowano do obozów pracy, a pozostałą część umieszczono w gettach. Władze niemieckiej III Rzeszy na konferencji w Wannsee 20 stycznia 1942 r. oficjalnie zdecydowały o tzw. ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej, czyli wymordowaniu europejskich Żydów.

W okupowanej Polsce za pomoc Żydom Niemcy karali śmiercią. Mimo to Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie i Polskie Państwo Podziemne od początku starały się ich ratować. W grudniu 1942 r. powstała Rada Pomocy Żydom „Żegota”. Wsparcia udzieliły też zorganizowane środowiska oraz pojedyncze rodziny i osoby. Wymiar sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego zaś karał tzw. szmalcowników.

Pierwszą w Polsce placówkę muzealną zajmującą się tematyką ratowania ludności żydowskiej na okupowanych ziemiach polskich podczas Zagłady – Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej – otwarto 17 marca 2016 r.

Później, 1 marca 2018 r., weszła w życie nowelizacja ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, według której m.in. „Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie [...], lub za inne przestępstwa stanowiące zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Także w tym roku Sejm RP ustanowił 24 marca Narodowym Dniem Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką. To święto o charakterze państwowym. „Na dzisiejszym pokoleniu spoczywa niezwykle odpowiedzialne zadanie upowszechniania rzetelnej wiedzy o tamtych wydarzeniach i ukazywania światu zapomnianych bohaterów II wojny światowej, którzy w godzinie ostatecznej próby nie zawahali się podjąć największego ryzyka dla ocalenia bliźnich” – napisano w uzasadnieniu prezydenckiego projektu ustawy.

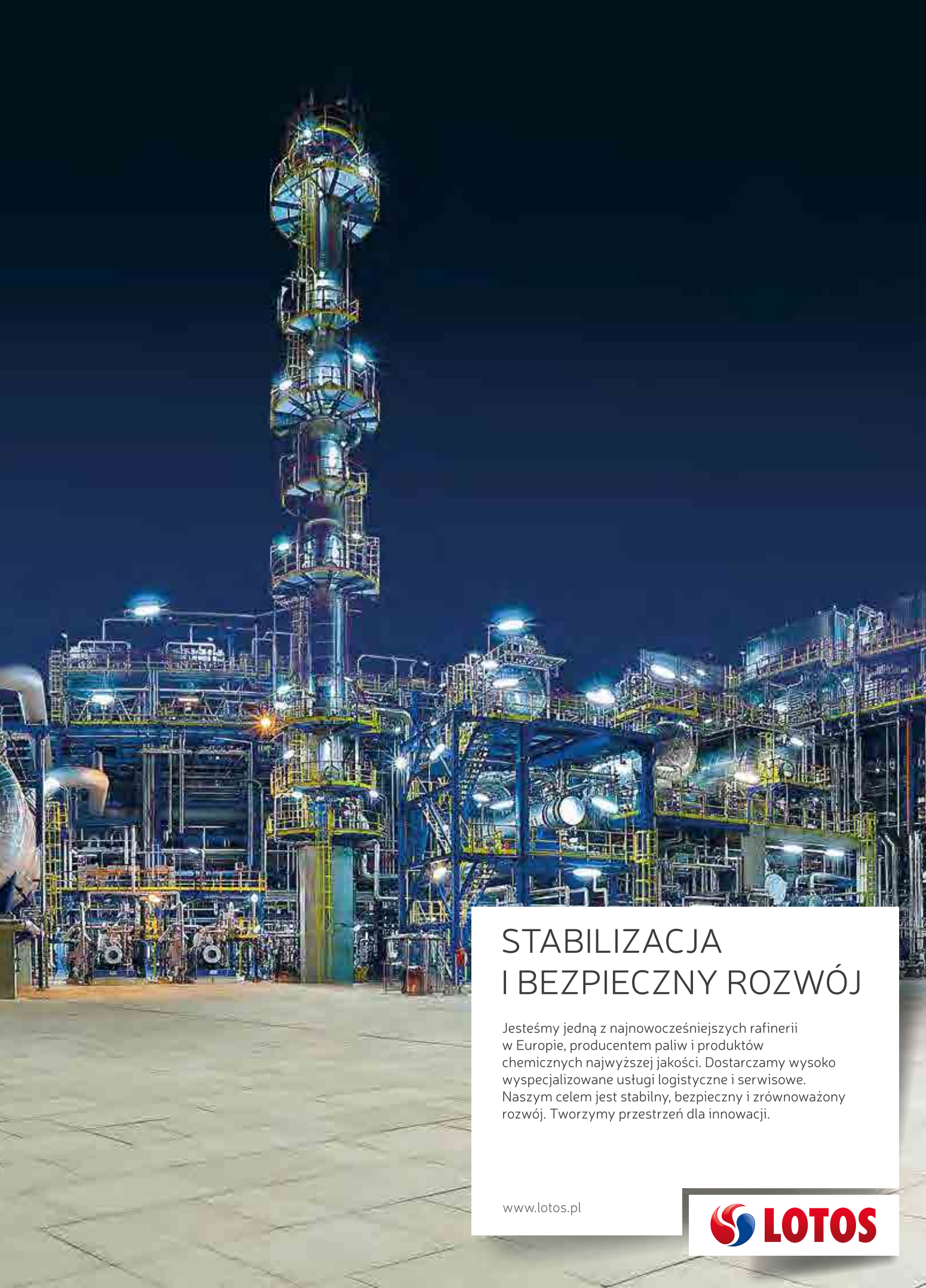
*„Jesteście świadkami śmierci,
która nie powinna ulec
zapomnieniu”.*

*Jan Paweł II, do uczestników pielgrzymki Rodzin Katyńskich.
Rzym, 13 kwietnia 1996 r.*

Pamiętamy

*Ofiarom tragedii pod Smoleńskiem
10 kwietnia 2010 roku*





STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

